SPECJALNE WYDANIE NA DŁUGI WEEKEND

Żółta kartka od Krakowa • Religia i AI • Prof. Izdebski o seksie Polaków
Gniew rowerzystów • Kto i co wciąga? • Bałtycki Ormuz • Magnat Sakiewicz

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Teraz w Polskę

Zanosi się na rekordowy sezon turystyczny. Polska stała się modna.

ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

USA 5 USD, WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 23 (3567), 2 06–9 06 2026 Cena 17 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500 23

9 770032 350602

Wydanie w sprzedaży do 9.06.2026

eprasa.pl 568960d8b



Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

CUBE STORE

eprasa.pl 568960d3fb



© PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

54
Polski Ormuz

Tematy tygodnia

12 Krzysztof Burnetko
Bunt w Krakowie
16 Marcin Piątek
Wakacje Polaków: dokąd i za ile?

Rozmowa świąteczna

20 Ks. prof. **Andrzej Draguła** o tym, jak sztuczna inteligencja zmieni religię i czy AI zastąpi Boga

Polityka

24 Rafał Kalukin
Republika PiS
27 Ewa Siedlecka **Waldemar Żurek – jaka przyszłość czeka ministra?**

Społeczeństwo

30 ROZMOWA POLITYKI
Prof. **Zbigniew Izdebski** o seksie Polaków, tematach tabu i jego własnej chorobie
34 Juliusz Ćwieluch
Rowerzyści mają dość!
38 Katarzyna Kaczorowska
Polak na haju
42 Zbigniew Borek
Konkurs na proboszcza
45 Joanna Podgórska
Spór o mieszkania na Wawelu

Rynek

48 Rozmowa z prof. **Dariuszem Dolińskim** o technikach manipulacji, po które sięgają oszuści
51 Cezary Kowanda
Tanie masło, duży kłopot

Świat

54 Marek Świerczyński
Czy Bałtyk nas obroni
58 Paulina Wilk **Incel szuka żony**
61 Prof. **Jan Zielonka** o tym, jak uratować i wzmocnić Unię
64 Jakub Medek CZECHY
Niemcy sudeccy nadciągają
66 Piotr Podemski WŁOCHY
Rywalki Giorgii Meloni

Nauka/projektpulsar.pl

68 Andrzej Hołdys
El Niño: reaktywacja?
72 Katarzyna Kaczorowska
Awantura o kosmicznym zasięgu
75 Prof. **Bartosz Kontny** o tym, jak nurkowali starożytni

Historia

78 Rozmowa z prof. **Doris L. Bergen** o kapelanach III Rzeszy
81 Piotr Szlanta **CK buntownicy**

Kultura

88 Jakub Demiańczuk
Powrót He-Mana
91 Edwin Bendyk
Czy AI zastąpi pisarzy?
94 Piotr Sarzyński
Polskie graficzki wychodzą z cienia
98 **Wouter Van Looy** o tym, czego od muzyków oczekują dzieci
102 Bartek Chaciński
Paul McCartney: brzmienie nostalgii
104 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

110–113 • **Rewia na korcie**
• **Magda Gessler superstar**
• **Kto się wysprzęglił**
• **Życie na Grenlandii**
• **Gwiazdki Michelin**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **33**, **108**, **114** Galeria POLITYKI
• **84** Afisz • **105** Witkowski
• **106** Lis • **107** Agata Passent
• **108** Mizerski • **109** Do i od redakcji
• **114** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 568960d3fb



Całkiem nowy mecz

Mariusz Janicki

Majowy „zamach" w krakowskim ratuszu pokazał, że mniejsza frekwencja wystarcza, aby odwołać werdykt dokonany przy większej frekwencji. Co oznacza, że przy takiej polaryzacji jak teraz w Polsce zdeterminowana mniejszość może odwołać niemal każdego prezydenta czy radę miasta. Zatem raczej nieskuteczne jest nawoływanie do absencji, należałoby zachęcać do pójścia do urn i wspierania urzędującego prezydenta. Ale to z kolei oznaczałoby de facto normalne wybory samorządowe, które mogłyby się odbywać dowolnie często, co wygląda absurdalnie. Te dziwactwa prawa referendalnego nie oznaczają jednak, że KO nie ma problemu, zwłaszcza że według exit poll co czwarty przeciwnik prezydenta Miszalskiego głosował w zeszłym roku na Rafała Trzaskowskiego (więcej o sytuacji po referendum s. 12). Wciąż jednak nie widać refleksji, że styl i jakość rządzenia obecnej ekipy, także w samorządach, nie wystarczą za rok do przedłużenia władzy, a widzą to niemal wszyscy – wrogowie i zwolennicy. O co tu chodzi?

Przyczyna może tkwić głębiej, niż się wydaje. Niedawno ministra w rządzie Donalda Tuska ujawniła, że premier wyklucza zmiany w systemie emerytalnym, ponieważ – jak miał oświadczyć – „przez taką reformę w przeszłości sparzył się i przegrał wybory". Tamta reforma była dla Tuska szczególnie traumatycznym doświadczeniem, a jej skutki wykroczyły daleko poza temat emerytur, wpłynęły na brak później jakiegokolwiek dużego programu społecznego. Tusk, który często powtarzał, że nikt go nie namówi na „bolesne reformy", zaczął od tej może najboleśniejszej, a pieniądze, których nie wydał przed 2015 r., spożytkował Kaczyński po wyborach na 500 plus, czym wygrał także kolejne w 2019 r.

Co jednak najistotniejsze, to samoograniczenie przeszło także na drugą odsłonę rządów Tuska po 2023 r. – żadnych śmiałych ruchów, lepiej leżeć, niż się przewrócić. Niechęć premiera do szerszych wizji została wzmocniona pogłębiającym się chaosem w polityce światowej, co ma związek z prezydentem Trumpem, z sytuacją wojenną, bezpieczeństwem; tak powstało nowe alibi. Jak przekazują ludzie z jego otoczenia, Tusk mówi o niecelowości „tworzenia 10-letnich strategii", kiedy nie wiadomo, co wydarzy się jutro. Dochodzą głosy, że powróciła „reaktywność", niewychylanie się z pomysłami, które na pewno zostaną rozjechane w mediach, zanim jeszcze wejdą w życie. Ale jest pytanie, czego właściwie wyborcy mają bronić.

Tusk jest znany z przekonania, że rozumie więcej od innych polityków, ekspertów i publicystów, którzy nie wiedzą tyle o złożoności spraw. Jeśli zatem szef rządu czeka, to należy czekać; jeśli coś postanowi, to znaczy, że właśnie nadszedł czas; jeśli coś odrzuca, to trzeba o tym zapomnieć i nie dopytywać. Gdyby nawet przyjąć zasadę rządzenia jako sztukę reagowania, to ma ona sens, kiedy te reakcje są perfekcyjne, ale nie są. Jeżeli rząd unika zmian systemowych i skupia się na administrowaniu, to wtedy państwo powinno funkcjonować jak w zegarku. Sondaże pokazują jednak, że ludzie nie dostrzegają w tej mierze przewagi nad dawnymi rządami PiS. Rezygnacja z „10-letnich strategii" brzmi na pozór rozsądnie, ale bez wyznaczenia jakiegoś kierunku, zaczyna się wydawać, że o nic dużego już nie chodzi. Bo długofalowe strategie, oprócz swojego meritum, mają polityczne znaczenie, organizują wyobraźnię wyborców, mobilizują ich do głosowania. Ostatnie sondaże dają rządowi ok. 31–33 proc. poparcia przy ponad 50-procentowej społecznej niechęci, na tym nie wygrywa się wyborów. Te utrzymujące się od wielu miesięcy niskie wyniki rządu przyczyniły się do przegranej Rafała Trzaskowskiego.

Pojawiło się nowe ciekawe zjawisko, czyli specyficzny rodzaj złości, wyraźnie widoczny w social mediach, że słabe rządy Tuska niweczą wysiłek całego obozu demokratycznego włożony w opór wobec PiS w latach 2015–23 i w czasie ostatniej parlamentarnej kampanii. Oto liberalni demokraci dostali wreszcie ciężko wywalczone okienko do rządzenia i jest to marnowane przez kiepskie wykonawstwo, a po ośmiu latach władzy Kaczyńskiego liberałowie nie mogą sobie pozwolić na rządy przeciętne. Bo nieudana odsłona obecnej władzy może na lata zniwelować przewagę moralną i ustrojową demokratów nad populistycznym modelem. I to się robi główna pretensja wobec Donalda Tuska – że zużywa potencjał i czas na rządy może mozolne, ale jakoś nieistotne, nieefektowne, które za rok z okładem znowu dadzą władzę Kaczyńskiemu. Tusk narzekał na prezydencką kampanię Trzaskowskiego, ale kampania Tuska przed wyborami parlamentarnymi – a ona już trwa – też wygląda źle. Stąd rosnąca skłonność, aby jakoś ukarać dzisiejszą władzę, choćby absencją wyborczą, nawet przy świadomości, że to oznacza rządy PiS i Konfederacji.

Jednocześnie nadal jest w elektoracie nadzieja, że Tusk wprowadzi modyfikacje do swojej metody rządzenia, że nastąpi przyspieszenie jeszcze w tym roku, może rekonstrukcja rządu. Jakieś sygnały tu i tam się pojawiają, niektóre ustawy wcześniej chomikowane, a nakierowane na liberalny elektorat, wychodzą z Sejmu, a KO wciąż ma ponad 30 proc. wskazań i zwycięża w partyjnych rankingach, więc wciąż jest się od czego odbić. Na szczęście dla rządzących stagnacja dotknęła także PiS, który przy pomocy „kandydata na premiera" Przemysława Czarnka również powrócił do starych czasów i teraz dziwi się, że to nie działa. Ale partia Kaczyńskiego jest elastyczna, w końcu się zapewne przebudzi, bo prezes choć mentalnie tkwi w poprzednich dekadach, potrafi się otworzyć na programowe, wizerunkowe nowości. Pytanie, czy może to zrobić Tusk. Bo nadchodzące wybory będą także konkursem na zdolność do samozmiany, pozbycia się dawnych traum, schematów, przyzwyczajeń; potrzebne będzie wyjście ze strefy komfortu. Szykuje się, także pod względem polityczno-medialnej technologii, zupełnie nowy mecz. Kto wcześniej to zrozumie, wygra.

eprasa.pl 568960d3fb

Albatros travel

Albatros 40 lat

Grenlandia
– rejs wzdłuż Zachodniego Wybrzeża

Pełne wyżywienie na statku



Niezapomniany rejs na pokładzie statku Ocean Albatros podczas arktycznego lata przez zatokę Disko do wpisanego na listę UNESCO Icefjordu z górami lodowymi.

Wyrusz na pokładzie nowoczesnego statku Ocean Albatros w rejs wzdłuż zachodnich wybrzeży Grenlandii. Zobacz góry lodowe, lodowce, fiordy, kolorowe osady i dziką arktyczną przyrodę. Odwiedzimy m.in. Qeqertarsuaq, Uummannaq oraz Ilulissat Icefjord wpisany na listę UNESCO. Dzięki pontonom Zodiak dotrzemy do trudno dostępnych miejsc, a komfort zapewnią nowoczesne kabiny z oknem i prywatną łazienką.

10 dni
Wylot z Warszawy
21/08 2026

od **33.998,-**

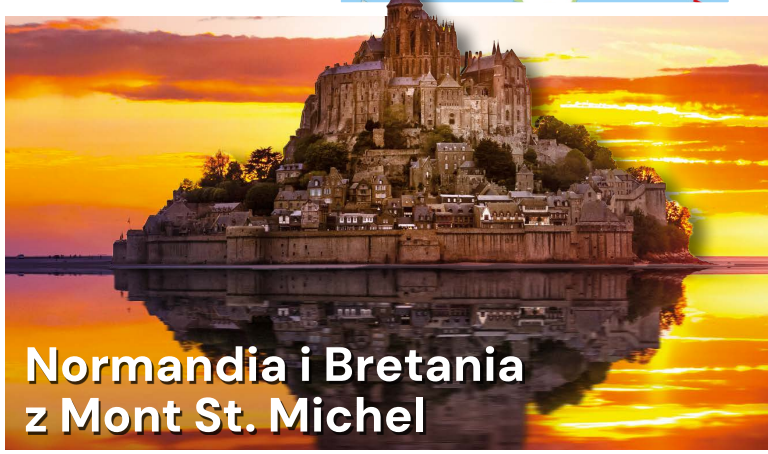


Muzyczny Sylwester w Lizbonie

Przywitaj Nowy Rok w urokliwej Lizbonie, spacerując wąskimi uliczkami i podziwiając wspaniałe zabytki wpisane na listę UNESCO przy dźwiękach muzyki fado.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. **Dz. 2** Zwiedzanie Lizbony autokarem. Dzielnice Belém, Alfama, Baixa. Po południu czas wolny. **Dz. 3** Wycieczka do Sintry (dodatkowo płatna) lub czas wolny w Lizbonie. Wieczorem kolacja sylwestrowa. **Dz. 4** Spacer po Lizbonie z polskim pilotem. Opcjonalnie koncert noworoczny, dodatkowo płatny. Czas do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Przelot do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026 | od **6.198,-**



Normandia i Bretania z Mont St. Michel

Poznaj północne wybrzeże Francji z jej słynnymi plażami oraz uroczymi zakątkami pachnącymi calvadosem, serem camembert i ostrygami.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Paryża. W drodze do Caen zwiedzanie ogrodów Moneta w Giverny w Normandii. Kolacja w normandzkiej restauracji. **Dz. 2** Caen – Bayeux i miejsca związane z desantem wojsk alianckich w Normandii w 1944 roku. **Dz. 3** Caen. Degustacja normandzkich serów, calvadosa i cydru. Zwiedzanie urokliwego Honfleur. **Dz. 4** Z Normandii w kierunku Bretanii. Ogród Christiana Diora w Granville i wyjątkowa wyspa Mont St. Michel. **Dz. 5** Mont St. Michel. Ostrygi w Cancale, zwiedzanie otoczonego murami obronnymi pirackiego miasta Saint-Malo oraz domy szachulcowe w Dinan. **Dz. 6** Normandia – Chartres ze słynną katedrą – Paryż. **Dz. 7** Paryż. Wylot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 11/10, 18/10 2026 | od **6.698,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL20**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 568960d3fb

Kraków będzie trendsetterem?



Wygląda na to, że po odwołaniu w referendum Aleksandra Miszalskiego gorączka polityczna zaczyna nieco spadać. Po pierwsze, sierpniowe przyspieszone wybory reklamowane jako sparing przed bitwą o Sejm mogą wymknąć się z tego schematu ze względu na lokalną słabość KO i PiS oraz ich kłopoty z wyłonieniem kandydatów. Po drugie, prorokowana fala kolejnych referendów w największych miastach na razie wydaje się dość mizerna. Inicjatywy odwoławcze (na razie tylko na poziomie wniosków w radzie miasta) pojawiły się jedynie w Rzeszowie i Gliwicach.

Kolejnych referendów wykluczyć oczywiście nie można, ale prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW, jest sceptyczny co do ich znaczącego wpływu na politykę ogólnokrajową: – *Polskie ustawodawstwo wymaga od inicjatorów zebrania stosunkowo niewielkiej liczby podpisów, zaś same referenda mają niskie progi frekwencyjne, więc mogę sobie wyobrazić podobne plebiscyty w Białymstoku, Rzeszowie czy niektórych mniejszych miastach. Jednak nawet gdyby takich inicjatyw było więcej, nie będzie to oznaczać trwałej zmiany preferencji wyborczych na poziomie krajowym*.

Do przeprowadzenia referendum należy zebrać podpisy 10 proc. uprawnionych do głosowania; aby było ważne, musi wziąć w nim udział co najmniej 60 proc. liczby osób biorących udział w wyborze odwoływanego organu, czyli np. w drugiej turze wyborów prezydenckich. Jednak mimo niskich wymagań do „buntu miast" potrzeba czegoś więcej niż politycznego sygnału z centrali tej czy innej opozycyjnej partii. W Krakowie zapalnikiem było nieudolne wprowadzenie Strefy Czystego Transportu i bardzo mocny (zarówno politycznie, jak i finansowo) niezależny gracz w postaci Łukasza Gibały, który jest głównym faworytem do zwycięstwa w sierpniowych wyborach.

Faktem jest jednak, że w metropoliach narasta napięcie między istotnymi grupami mieszkańców a samorządowym establishmentem, skupionym zazwyczaj wokół KO, choć niekoniecznie zawsze z legitymacją partyjną w kieszeni. Z tym że nie jest to nowy fenomen; podobny bunt, być może nawet silniejszy, obserwowaliśmy już 15–20 lat temu, kiedy w dużych miastach na jego fali zaczęły powstawać ruchy miejskie, a „starzy" prezydenci w rodzaju Ryszarda Grobelnego w Poznaniu mieli coraz większe kłopoty z utrzymaniem władzy. Dziś wciąż partia Tuska w metropoliach jest wygodnym chłopcem do bicia (zazwyczaj z uzasadnionych powodów), ale niekoniecznie przekłada się to na potencjał zmiany władzy lokalnie, a już na pewno nie przekłada się na poparcie w wyborach ogólnokrajowych, gdzie rolę grają zupełnie inne czynniki polaryzujące. (M.DAN.)

Więcej na s. 12.

Emki dla beztalenci

„Praca artystyczna to praca" – z takim przesłaniem artystka wizualna **Monika Drożyńska** wystąpiła na gali Paszportów POLITYKI w tym roku. Resort kultury lubi sięgać po to hasło i przekuwa słowo w ciało. Rada Ministrów w Dniu Matki przyjęła projekt ustawy o zabezpieczeniu socjalnym dla artystów, którym – jak to ujęła w podkaście POLITYKI ministra **Marta Cienkowska** – „powinęła się noga".

Artyści zwykle nie są etatowcami, wykonują pracę projektową, przestoje to ich chleb powszedni. Szacuje się, że 10 proc. osób wykonujących w Polsce zawody artystyczne nie ma żadnego ubezpieczenia, a 15 proc. wykonuje pracę bez żadnej umowy. Wsparcie mają otrzymywać ci, którzy go realnie potrzebują: średni dochód z trzech ostatnich lat nie może przekroczyć 125 proc. dwunastokrotności minimalnego wynagrodzenia. W tym roku – jak liczy OKO.press – byłoby to 72 090 zł. O tym, kto ma prawo z dopłat skorzystać, czyli nazywać się artystą, decydowałoby Centrum Edukacji i Pracy Artystycznej (dziś to jeszcze Centrum Edukacji Artystycznej) na podstawie opinii specjalnej komisji złożonej ze 145 ekspertów. Program ma obsłużyć ZUS i nie obejmuje samozatrudnionych. Resort opiera się na badaniach „Policzone i policzeni" prowadzonych na Uniwersytecie SWPS pod wodzą Doroty Ilczuk i Anny Karpińskiej. Wynika z nich, że ustawa dotyczy – to też szacunki OKO.press – ok. 20 tys. osób.

Nastroje mamy w kraju konfederackie, więc prędko podniosło się larum. „Jeżeli artysta nie potrafi na siebie zarobić, to nie jest artystą, tylko hobbystą. Nie tworzy sztuki, tylko badziew – stwierdził Sławomir Mentzen. – STOP finansowaniu nierobów, beztalenci i darmozjadów z naszych pieniędzy!". „Oni [resort kultury] wydają pieniądze na jakieś bzdury, pogięte blachy, które nazywają rzeźbą" – dodał Krzysztof Bosak. Oraz: „Oni to dadzą takim indywiduum jak ten słynny Jaś Kapela, co nagrywał jakieś grafomańskie piosenki na temat aborcji".



Takie prawica ma fantazje o sztuce. To działa, w social mediach uciera się niesłużąca sprawie nazwa „lex Kapela" – od nazwiska poety, performera, okazjonalnie freakfightera. Pojawiają się komentarze w rodzaju: „Nie jestem wyborcą Konfy, ale…". A twórcy słyszą w sieci, że jeśli liczą na „emki" – jak się mówi w slangu o emeryturach – to niech idą do „normalnej" pracy. Już mało kto pamięta, że podwaliny pod ustawę kładł PiS z Piotrem Glińskim na czele resortu kultury. Wszystko to burza w szklance wody, a niestety pewnie również sztuka dla sztuki. Flirtujący z Konfederacją Karol Nawrocki pewnie i tak sięgnie po weto. (AŻ)

© JAKUB PORZYCKI/FORUM, ADAM STĘPIEŃ, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Gordyjski węzeł

Wołodymyr Zełenski nadał elitarnej jednostce wojskowej, Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ", imię Bohaterów UPA. W Polsce taka decyzja musiała wywołać negatywną reakcje, a także pytania: po co prezydent Ukrainy to zrobił? Przecież polsko-ukraińskie relacje bardzo się poprawiły. Trwają przygotowania do Konferencji Odbudowy Ukrainy, której gospodarzem w czerwcu będzie Gdańsk. Zapowiedzią nadchodzącego wydarzenia była konferencja o bezpieczeństwie zorganizowana w marcu w Rzeszowie, gdzie Donald Tusk spotkał się z premierką Ukrainy Julią Swyrydenko. Dobre oceny zbiera majowa wizyta w Kijowie ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego.

Odpowiedź jest prosta, choć kryje się za nią złożona rzeczywistość. Zełenski najprawdopodobniej o polskiej reakcji nawet nie pomyślał. Wbrew zaklęciom o strategicznym partnerstwie między Polską i Ukrainą relacje z Polską nie są dla ukraińskich władz najważniejszym celem polityki zagranicznej. Ukraińcy są też przekonani, niebezzasadnie, że Ukraina, stawiając opór i powstrzymując Rosję, stała się realnym gwarantem polskiego i europejskiego bezpieczeństwa. Zwłaszcza po zapowiedziach USA o zmniejszeniu zaangażowania w Europie. To nie oznacza, by ukraińskie władze mogły sobie pozwolić na brak wrażliwości w relacjach z państwami partnerskimi. Ale decyzja Zełenskiego i – szerzej – rosnące znaczenie pamięci o UPA w ukraińskim społeczeństwie (jeszcze w 2013 r. większość Ukraińców miało do UPA stosunek negatywny) nie ma antypolskiego charakteru. To efekt procesu dekolonizacji i ostatecznego, w przekonaniu Ukraińców, wyzwalania się spod wpływu imperialnej, rosyjskiej dominacji. Narodowy panteon wypełniają postaci symbolizujące walkę z Rosją, w czasach podporządkowania skazane na niepamięć: Iwan Mazepa, Symon Petlura, także przywódcy i uczestnicy ruchu oporu spod znaku OUN i UPA.



Antyrosyjska konsolidacja ukraińskiego społeczeństwa jest źródłem siły Ukraińców w trwającej już piąty rok wojnie. Jest także w polskim interesie. Jak jednak pogodzić ten interes z polską pamięcią historyczną? Niektórych bohaterów ukraińskiego panteonu nie będziemy w stanie zaakceptować. Musimy jednak zrozumieć, że mamy znikomy wpływ na trwające w Ukrainie procesy społeczne. Kształtuje je wojna o wymiarze egzystencjalnym – Ukraińcy nie mają wątpliwości, że walczą o przetrwanie państwa i narodu. Przekonania tego nie zmieni nawet odebranie Zełenskiemu Orderu Orła Białego.

EDWIN BENDYK

Ustawa, która nikomu się nie podoba

Sejm uchwalił ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Poszło gładko. Tylko czterech posłów rządzącej koalicji zagłosowało przeciw. Byli to politycy z najbardziej konserwatywnego skrzydła PSL: Marek Biernacki, Andrzej Grzyb, Urszula Nowogórska i Jacek Tomczak. Ustawa to efekt pracy **Katarzyny Kotuli** (Lewica) i **Urszuli Pasławskiej** (PSL), nad którym posłanki pracowały od początku kadencji. Kotula chciała wprowadzić najpierw związki partnerskie, ale przy mocnym oporze ludowców, projekt stopniowo okrajano. Obecna wersja ustawy zakłada, że dwie osoby pełnoletnie będą mogły zawrzeć umowę u notariusza, która – rejestrowana w USC – umożliwi m.in. wspólnotę majątkową, ustanowienie obowiązku alimentacyjnego, uzyskanie prawa do korzystania ze wspólnego mieszkania oraz nadanie drugiej osobie uprawnień do dostępu do informacji medycznych.

Mimo tego, że pierwszy raz politycy uchwalili przepisy, które w minimalnym stopniu zabezpieczają pary jednopłciowe, wybuchów radości nie było. Karol Nawrocki od miesięcy zapowiadał, że ustawy nie podpisze. Szef jego kancelarii Paweł Szefernaker tłumaczył, że w ten sposób próbuje się wprowadzić tylnymi drzwiami związki partnerskie, a na to „nie ma i nie będzie zgody". Nawrockiemu ma nie podobać się przede wszystkim to, że pary jednopłciowe zyskałyby uprawnienia podatkowe oraz prawo do zabezpieczenia społecznego. Jako przykład Szefernaker podał przykład renty wypłacanej przez ZUS w razie śmierci partnera, która „dotąd była właściwa tylko dla małżeństwa".

Dla par jednopłciowych charakter przyjętej ustawy jest wciąż uwłaczający. Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, działające na rzecz równości małżeńskiej, kwituje: „Nie widzimy sensu w poświęceniu jej zbyt wiele czasu. To transkrypcja i litygacje są realnymi narzędziami do walki o równość".

PSL zapowiedział przy okazji, że – w obawie przed pełnym uznaniem małżeństw jednopłciowych w polskim systemie – złoży projekt ustawy uniemożliwiający adopcję dzieci parom jednopłciowym. Tydzień wcześniej taki sam projekt (zabraniający również przysposobienia dziecka partnera/partnerki) złożyła Konfederacja. Prawica sięga po ostatni działający argument: adopcja dzieci przez pary jednopłciowe to jedyny aspekt, w którym poparcie Polek i Polaków jest niskie. Odsetek osób przeciwnych takiemu rozwiązaniu waha się według różnych badań od 44 do ponad 70 proc. (AGSZCZ)



eprasa.pl 568960d3fb

TYDZIEŃ W POLITYCE

Lennik Trumpa



Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk; doradca prezydenta RP w latach 2010–15

Nie podzielam radości, z jaką nasi politycy przyjęli wycofanie się przez prezydenta Trumpa z zamiaru zablokowania rotacji prawie połowy amerykańskiego kontyngentu w naszym kraju. Nie Polskę i jej rację stanu wsparł bowiem Trump, a prezydenta Karola Nawrockiego. Uczynił to wręcz ostentacyjnie, tak informując o swojej decyzji: „W związku z sukcesem wyborczym obecnego prezydenta Polski Karola Nawrockiego, którego z dumą poparłem, oraz naszymi relacjami z nim, z przyjemnością ogłaszam, że Stany Zjednoczone wyślą do Polski kolejnych 5 tys. żołnierzy". Taka deklaracja historykowi kojarzy się jak najgorzej. Niewiele bowiem ma wspólnego z relacjami pomiędzy suwerennymi państwami, szanującymi podmiotowość i racje partnera. Bardziej przypomina to kontrakt lenny, w którym senior gwarantuje wasalowi opiekę, w zamian za podporządkowanie się jego poleceniom i interesom.

Właśnie tak rosyjscy carowie postępowali z ostatnimi polskimi królami, im zawdzięczającymi osadzenie na tronie. Nieobca była ta praktyka także państwom demokratycznym. Po 1918 r. Francja chciała tak traktować Polskę, odrodzoną m.in. dzięki jej pomocy. Zablokował to Józef Piłsudski – zwolennik sojuszu z Paryżem, ale nie za cenę poddaństwa. Nie zdobył się na podobną stanowczość premier Władysław Sikorski, zaprzęgnięty w czasie drugiej wojny światowej przez premiera Churchilla do rydwanu brytyjskiej polityki.

Trump jest przywódcą wyjątkowo egocentrycznym. W tym, że wspiera w Polsce właśnie Nawrockiego, nie ma przypadku. Swoje prezydenckie zwycięstwo z 2024 r. zawdzięcza przecież ruchowi MAGA, który w ostatnich latach zdominował Partię Republikańską. Ruch ten stawia na nacjonalizm i populizm, i jest bardzo przywiązany do tradycyjnych wartości. Właśnie takich, jakie w gronie polskich kandydatów na prezydenta w 2025 r. w największym stopniu prezentował Nawrocki. Amerykański patron w zamian za udzielone poparcie oczekuje posłuszeństwa, nawet za cenę poświęcenia interesów narodowych wasala. Przekonała się o tym boleśnie jego największa do niedawna europejska ulubienica, premier Włoch Giorgia Meloni. Kierując się włoską racją stanu, nie wsparła wojny Trumpa i Netanjahu przeciwko irańskim ajatollahom. Skrytykowała też niewybredny, oburzający włoskich katolików, atak Trumpa na papieża Leona XIV. Gospodarz Białego Domu od razu zmienił ton: „Jestem nią zszokowany. Myślałem, że ma odwagę, myliłem się".

Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że i prezydent Nawrocki prędzej czy później zostanie poddany podobnej próbie. Jak na razie dość zręcznie lawiruje między Scyllą uległości wobec Trumpa a Charybdą polskiej racji stanu. Wspomnianego ataku na papieża, który oburzył Polaków niemniej niż Włochów, sam nie potępił, ale pozwolił to uczynić jednemu ze swoich ministrów. Nie da się jednak tak kluczyć na dłuższą metę, bo zbyt wiele jest pól, na których cele Trumpa i Polski są rozbieżne. W pierwszej kolejności chodzi tu o stosunek do imperialnej polityki rosyjskiej i Putina, w którym Trump widzi sprzymierzeńca, a my śmiertelne zagrożenie dla naszej suwerenności.

Oby tylko w momencie poważnej próby Karol Nawrocki zachował się jak prezydent RP, a nie lennik polityka, dla którego inne niż jego interesy są tylko kartą przetargową w grze o własne imperialne zyski.



Rozśpiewane pożarzysko

W maju doszło aż do dwóch dużych pożarów w polskich lasach. W Puszczy Solskiej na Lubelszczyźnie spłonęło 1157 ha, w okolicach mazowieckiego Wołomina – ok. 300 ha. Oba pożary powstrzymywano z dużym poświęceniem; w pierwszym – zginął pilot samolotu Dromader. Polskie lasy nie płonęły na tak rozległym obszarze od 1992 r. Należy się spodziewać – taki mamy klimat – coraz częstszych powtórek. I sporów o to, co robić z pożarzyskami. Bo sprawa nie jest taka oczywista. Na szlaku ognia w pożarzysku w **Puszczy Solskiej** śpiewa coraz więcej gatunków ptaków. Odradzają się rośliny, powróciły głuszce. Lubelskie Towarzystwo Ornitologiczne apeluje, by nie dać się zwieść narracji o „katastrofie ekologicznej". Owszem, są znaczne straty, ale większym kłopotem będzie wycięcie i wywiezienie nadpalonych drzew oraz wprowadzenie na ich miejsce sztucznych nasadzeń. Taki scenariusz planują wdrożyć Lasy Państwowe. I chcą działać jak najszybciej, by drewna nie zajęły owady, co obniży jego cenę. Lubelscy ornitolodzy twierdzą, że taka operacja „wyrządzi więcej szkód niż same płomienie".

Leśne organizmy są przystosowane do radzenia sobie z pożarami, zwraca uwagę Państwowa Rada Ochrony Przyrody. I wskazuje, że w Puszczy Solskiej część stworzeń uciekła przed ogniem (jak głuszce), inne (np. mrówki) schroniły się pod ziemią. Rada podkreśla, że pożar nie umniejszył walorów najcenniejszych przyrodniczo miejsc. Co więcej stworzył warunki atrakcyjne dla gatunków pirofilnych, czyli uzależnionych od obecności ognia w środowisku. Rada namawia, by jak najszybciej powołać rezerwat Długie Bagno, ale w znacznie szerszych granicach niż na planowanych dotąd 280 ha (z tego 172 ha zostało dotknięte ogniem). Bo najsensowniej byłoby znaczną część pożarzyska pozostawić do renaturalizacji. Nie ciąć, nie sadzić i rozebrać niebezpieczne dla głuszców płoty z metalowej siatki. Trzeba się za to skoncentrować na likwidacji sieci rowów, które od dziesięcioleci skutecznie odwadniają obszar objęty pożarem.

Paradoks polega na tym, że spłonęły dawne leśne mokradła. Osuszone po to, by zamienić je w plantację sosny. Według Rady do rozległości pożaru przyczyniły się też działające od ponad 100 lat rowy na okolicznych terenach rolniczych oraz regulacja najbliższych rzek, Niepryszki i Tanwi. Opinie te podziela Lubelskie Towarzystwo Ornitologiczne. Przestrzega, że jeśli odpływ wody nie zostanie zatrzymany, to „Puszcza Solska zapłonie ponownie". (WIN)

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 568960d3fb

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY









Wydanie dostępne także z zestawem luksusowych kosmetyków Rituals do wyboru:

THE RITUAL OF AYURVEDA

Pianka pod prysznic 50ml

+

Mus do ciała 50ml

HOMME RITUALS

Nawilżający krem-żel do twarzy

+

Antyperspirant w sprayu

ZWIERCIADLO.PL

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

MagazynZwierciadlo zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

eprasa.pl 568960d3fb



Izrael oskarżony

Fala krytyki pod adresem Izraela przybiera na sile. W zeszłym tygodniu sekretarz generalny ONZ António Guterres dodał **izraelskie siły bezpieczeństwa** do listy stron oskarżanych przez ONZ o stosowanie przemocy seksualnej w konfliktach zbrojnych. W swoim raporcie Guterres zidentyfikował 31 ofiar ze Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu: 14 mężczyzn, siedem kobiet i dziesięcioro dzieci, wobec których izraelskie służby miały dopuścić się gwałtów i innych form przemocy seksualnej w areszcie, w czasie przesłuchań, na punktach kontrolnych. Przypadki nadużyć dotyczą lat 2023–25. „Naruszenia obejmowały gwałty, w tym z użyciem przedmiotów, gwałty zbiorowe, próby gwałtu, przemoc fizyczną wobec narządów płciowych, celowe postrzelenia w genitalia, dotykanie piersi i genitaliów, przeszukania z rozbieraniem i przeszukania jam ciała przeprowadzane bez widocznego uzasadnienia bezpieczeństwa, przymusową nagość oraz groźby gwałtu" – napisano w raporcie.

Izraelskie siły bezpieczeństwa umieszczono na tej samej liście co Hamas, który trafił na nią rok wcześniej z powodu przemocy seksualnej popełnionej przez jego członków podczas ataku z 7 października 2023 r. oraz wobec zakładników. Guterres już wcześniej ostrzegał zarówno Rosję, jak i Izrael przed stosowaniem przemocy seksualnej oraz wzywał do zapobiegania nadużyciom i ścigania sprawców, ale oba państwa nie podjęły wystarczających działań i nadal ograniczały dostęp organom monitorującym ONZ. Według ONZ to zapewne jedynie wierzchołek góry lodowej.

Izrael krytyki nie przyjmuje i w reakcji zawiesił stosunki z sekretarzem generalnym ONZ aż do wygaśnięcia jego mandatu, czyli do końca tego roku, a izraelskie MSZ nazwało raport „próbą stworzenia fałszywej symetrii między Izraelem a rzeczywistymi okrucieństwami popełnionymi przez Hamas". Tymczasem nie ma w zasadzie dnia, by nie ginęli Palestyńczycy – w Strefie Gazy od zawieszenia broni w październiku 2025 r. śmierć poniosło już ponad 900 osób, na Zachodnim Brzegu z rąk żołnierzy i żydowskich osadników od 2023 r. straciło życie ponad tysiąc.

W reakcji na rosnącą przemoc osadników Rada Unii Europejskiej objęła sankcjami cztery organizacje oraz trzy osoby indywidualne, w tym Danielę Weiss, uważaną za „matkę chrzestną" żydowskich osadników – mają zakaz wjazdu na terytorium UE oraz pośredniego i bezpośredniego finansowania ze środków unijnych. – *Przemoc osadników jest prowokacją. Chodzi o stworzenie pretekstu, by zrobić na Zachodnim Brzegu to, co zrobiono w Gazie* – uważa Gerszon Baskin, izraelski dziennikarz, aktywista, badacz konfliktu na Bliskim Wschodzie. A w Gazie Izrael coraz bardziej przesuwa tzw. żółtą linię na wschód, kontrolując już 64 proc. terytorium. Premier Beniamin Netanjahu nakazał właśnie wojsku zajęcie 70 proc. enklawy, by krok po kroku „rozprawić się z resztkami" Hamasu.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

Drybling dyplomatyczny

„Prezydent kazał mi przekazać, że jest cierpliwy" – powiedział w sobotę sekretarz obrony USA **Pete Hegseth** podczas wizyty w Singapurze. Znów chodziło o brak umowy kończącej wojnę z Iranem, która rozpoczęła się 28 lutego, a od 8 kwietnia jest w zawieszeniu, choć obie strony wymieniają ciosy. Przez cały ostatni tydzień strona amerykańska budowała opowieść o tym, że do porozumienia jest coraz bliżej. Najpierw Trump zrezygnował z wesela najstarszego syna na Bahamach, potem zapowiedział ważną naradę w Camp David, prezydenckiej rezydencji, gdzie ogłaszane były już ważne decyzje, w końcu przeniósł ową naradę do pokoju sytuacyjnego pod Białym Domem. I znów nici. A sam fakt, że ludzie prezydenta muszą publicznie zapewniać o jego cierpliwości, budzi wątpliwości.



Sami Irańczycy kolejne przejawy strategicznej dwubiegunówki prezydenta USA traktują wzruszeniem ramion. Sugerują przy tym, że w negocjacjach niewiele się dzieje. Gdy Amerykanie opowiadają, że na stole leży przedłużenie rozejmu o 60 dni pod warunkiem udrożnienia cieśniny Ormuz, Irańczycy odpowiadają, że najpierw blokadę muszą zdjąć Amerykanie, potem mają zwrócić Iranowi zamrożone fundusze (ok. 12 mld dol.) i dopiero wtedy mogą negocjować przyszłość programu nuklearnego.

Warto zauważyć, że Trump w zasadzie przestał domagać się ograniczenia irańskiego programu balistycznego i wsparcia dla regionalnych sojuszników, co może oznaczać, że blokada Ormuzu zaczyna być paląca dla USA. Z kolei irańscy negocjatorzy w swoim stylu zaczęli wskazywać na „rosnącą wewnętrzną opozycję wobec negocjacji", dając do zrozumienia, że lepiej się z nimi się dogadać teraz. I rzeczywiście w mediach i na ulicach uaktywnili się przedstawiciele radykalnego skrzydła reżimu, tzw. frakcji Pajdari, którzy twierdzą, że Iran już wygrał i ustępstwa na rzecz USA będą zdradą.

Obie strony dyplomatycznie się zakiwały, a na spalonym zostali irańscy piłkarze. W odróżnieniu od Polaków zakwalifikowali się na mistrzostwa świata w Kanadzie, Meksyku i w Stanach Zjednoczonych, które rozpoczynają się już 11 czerwca. Irańczycy mieli przygotowywać się do turnieju i zagrać trzy mecze grupowe na Zachodnim Wybrzeżu USA. Jednak – według stanu na 31 maja – żaden irański piłkarz nie dostał amerykańskiej wizy. Krajowa federacja w ostatniej chwili próbowała przenieść bazę do Meksyku, skąd piłkarze lataliby na kolejne mecze, ale wiz meksykańskich też jeszcze nie mają. Gdyby jednak dotarli na pierwsze spotkanie (z Nową Zelandią, 16 czerwca w Los Angeles,) byłby to pierwszy przypadek w niemal stuletniej historii mundialów, gdy kraj napadnięty grałby na terytorium agresora.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 568960d3fb

Kandydatów jak serów



Wybory we Francji dopiero za rok, ale już widać 40 kandydatów do **Pałacu Elizejskiego** tak oficjalnych, jak i tych, którzy „czują się gotowi" i nie trzeba ich długo namawiać. I ruszyły pierwsze wiece. Zanosi się na rekord. Ostra konkurencja toczy się nie tylko między partiami, ale i wewnątrz nich. Po raz pierwszy od dziesięciu lat wybory będą „otwarte", to znaczy nie przeciwko urzędującemu prezydentowi, bo Emmanuel Macron zakończy drugą kadencję, a nie zdołał namaścić następcy. Zresztą przy tak małej popularności nie liczono by się z jego wskazaniami. Arena otwiera się więc szeroko.

Choć politycy francuscy są długowieczni (wystartują zapewne były prezydent François Hollande, byli premierzy – Édouard Philippe, Gabriel Attal i Michel Barnier); jest też miejsce dla nowych twarzy. Za to partie polityczne słabną – minęły czasy wielkich ugrupowań (partia gaullistowska liczyła kiedyś ponad milion członków, komunistów po wojnie było ponad pół miliona). Najsilniejsze dziś prawicowe Zjednoczenie Narodowe ma zapewne ok. 100 tys., inne najwyżej po 50 tys. członków. Co ważniejsze, partie utraciły zdolność dyscyplinowania swoich aktywistów, a formalni przywódcy tracą nad nimi kontrolę. Mamy więc np. czterech rywali wśród socjalistów, tyluż wśród republikanów (dawnych gaullistów); pogłębia się też rozdrobnienie partyjne.

Receptą na wyłonienie lidera rzadko bywają prawybory w partiach, bo wojny przywódców (jak u nas – „kandydatów na premierów" w PiS) napędzane osobistymi ambicjami trudno przecież – po wewnętrznym głosowaniu – zamienić szybko we współdziałanie w prawdziwych wyborach. Nawet we wspomnianym Zjednoczeniu Narodowym sytuacja nie jest jasna: bo nie wiadomo, czy jego dotychczasowa kandydatka, była przewodnicząca Marine Le Pen, uzyska w apelacji złagodzenie wyroku zakazującego jej pełnienia funkcji publicznych i czy nie zastąpi jej obecnie kierujący ugrupowaniem Jordan Bardella (POLITYKA 18).

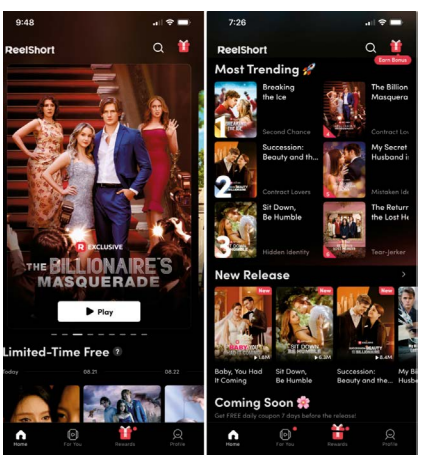
Charles de Gaulle, prezydent Francji w latach 1958–68, prognozował, że po jego odejściu należy się obawiać nie tyle politycznej pustki, ile nadmiaru kandydatów na przywódców! Jak widać, kraj będzie znany nie tylko z ponad 600 gatunków serów. MO

Rewolucja mikrodramatów

Mogło się wydawać, że *duanju*, chińskie miniseriale w dwuminutowych odcinkach do oglądania na smartfonach, to lokalna moda i efemeryda. Jednak już w 2025 r. przebiły dochodami filmy fabularne, też skądinąd szybko rosnący tu segment. Co więcej, stały się kolejnym miejscowym przebojem eksportowym, podbijającym Stany Zjednoczone, Japonię, Koreę Południową, Tajlandię, Malezję, a ostatnio Amerykę Łacińską, kierują się ku Europie (lokalnym centrum jest Londyn), z apetytem na Bliski Wschód i Afrykę.

W czym tkwi ich siła? Mikrodramaty to skondensowane historyjki, rodzaj opery mydlanej na sterydach: wszystko tu ma być efektowne, na granicy kiczu, dziać się szybko („nie ma czasu, od razu trzeba się całować"), a na koniec odcinka musi być haczyk zachęcający do obejrzenia kolejnego. Silne są tu wpływy estetyki TikToka i jego lokalnego odpowiednika Douyin, gdzie ten fenomen wystartował w 2018 r.

Takich odcinków bywa kilkadziesiąt, pojawiają się na platformach streamingowych, pierwsze kilka jest za darmo, jak



dawka narkotyku. To produkt dla ludzi zabieganych, dojeżdżających, korzystających z każdej wolnej chwili. Produkcja jest szybka i tania, od razu też widać, co wciąga widzów: hity się kontynuuje, resztę błyskawicznie ugrabia i gra dalej. A algorytm pomaga im wybrać dokładnie to, od czego są uzależnieni. W 2025 r. powstało co najmniej 200 tys. takich wariackich seriali, również w wersji animowanej, a rynek według zgodnych szacunków wart był 14 mld dol. Chińskim Hollywood mikrodramatów stało się 13-milionowe tanie Zhengzhou, z przemysłem w kryzysie, gdzie pustostany zamieniono na studia.

Sztuczna inteligencja wszystko jeszcze potaniła i przyspieszyła, od scenariuszy po montaż, a także uatrakcyjniła wizualnie, aktorzy też są coraz częściej sztucznie generowani, często z wykorzystaniem prawdziwego wizerunku (co rzecz jasna rodzi rosnące problemy z własnością intelektualną i prawami autorskimi). Nie zapominajmy też o chińskiej cenzurze, która najpierw nie nadążała, ale teraz w kwestiach politycznych i obyczajowych coraz sprawniej sięga po nożyce. Obostrzenia obchodzi się produkcją za granicą i swoistym umownym językiem, puszczaniem oka w kwestii seksu. Ostatni wielki problem to nadkreatywność: seriali zaczyna być za dużo. Bańka szybko pęknie, przetrwają najbardziej przedsiębiorczy. Ten nowy format rozrywki raczej nie robi wrażenia na krytykach filmowych, ale odsłania wstydliwą naturę rosnącej klasy społecznej – żarliwych odbiorców byle czego. WP

© SOPA IMAGES/GETTY IMAGES, EZRA ACAYAN/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, MP

eprasa.pl 568960d3fb



Obalony z funkcji prezydent Krakowa Aleksander Miszalski

Krakowski kocioł

KRZYSZTOF BURNETKO

Po referendum, które obaliło z urzędu prezydenta miasta, w statecznym Krakowie zawrzało. Zagotowało się też w kraju.

Kraków jest nie tylko drugim co do wielkości miastem Polski, ale też jedną z najszybciej rozwijających się metropolii. „Kraków należy do zaledwie kilku spośród 107 miast prezydenckich w wyludniającej się Polsce, których populacja rośnie, i to w najszybszym tempie" – powtarza tutejszy socjolog prof. Janusz A. Majcherek.

Podwawelski gród – tu akurat warto użyć tej frazy – jest też największą atrakcją turystyczną Polski; okupuje czołówki światowych rankingów miejsc wartych odwiedzenia. Dość powiedzieć,

eprasa.pl 568960d3fb







Od lewej: **czy PiS postawi na prof. Andrzeja Nowaka? Kandydatka celebrytka Marianna Schreiber. Pierwszy zgłosił się Marian Banaś, były szef NIK.**

że w ubiegłym roku lotnisko w Balicach pobiło rekord – obsłużyło ponad 13 mln pasażerów. Miasto odwiedza ok. 15 mln gości rocznie. Dla stałych mieszkańców bywają uciążliwi, ale co roku zostawiają tu ok. 10 mld zł. Dzięki temu rozwija się sieć komunikacji publicznej i dróg (w tym rowerowych), powiększa zasób zieleni i oferta kulturalna oraz inne detale ważne w codziennym życiu lokalsów. Tymczasem w referendalnych rachunkach zwyciężyła znana z innych okoliczności opowieść o „mieście w ruinie".

Dlaczego poszło tak źle

Mogło się wydawać, że pozycja władz miasta jest nienaruszalna, zwłaszcza że prezydent Krakowa miał za sobą większość rady miasta, a na dodatek wpływy w stolicy, bo pochodzi z partii rządzącej. Tymczasem Aleksandrowi Miszalskiemu udało się, śladem Bronisława Komorowskiego w wyborach prezydenckich, „po pijanemu przejechać na pasach zakonnicę w ciąży" (copyright Adam Michnik).

Faktycznie, obalony z funkcji prezydent Aleksander Miszalski nie należał (i to również zdaniem wielu z tych, którzy go przed dwoma laty na nią wybrali) do mistrzów zarządzania miastem. Ale też – by użyć frazy Jerzego Pilcha – „wielkich skandali nie było".

Zarzuty, którymi inicjatorzy referendum obrzucili Miszalskiego, były stosunkowo błahe (narażanie powagi królewskiego miasta przez występy w – rzeczywiście żenujących – tiktokowych rolkach), dyskusyjne (podwyżki cen komunikacji) albo wręcz kłamliwe (rygory strefy czystego transportu). Dlatego podstawowym błędem prezydenckiej ekipy była nieumiejętność przedstawienia swoich zamierzeń mieszkańcom. Symbolem stanie się plan strefy czystego transportu, czyli ograniczeń dla samochodów niespełniających wymogów ekologicznych.

Byłby to kolejny etap uwalniania Krakowa od wiszącego nad nim (tak w rzeczywistości, jak w sferze wizerunku) smogu, tuż po zakazie opalania kamienic piecami węglowymi (Kraków był tu pierwszy w Polsce). Koncept SCT nie oznaczał w praktyce utrudnień dla samych mieszkańców miasta. W największej mierze mógł dotknąć przybyszy spoza Krakowa, głównie tych z podmiejskich wsi. Jednak referendystom udało się tak pokierować publiczną świadomością – oczywiście w imię wolności (kierowców, posiadaczy samochodów starszych marek itd.) – że sensowna, a i wymagana przez regulacje europejskie idea została rozmyta.

Ekipa prezydenta Miszalskiego zaczęła w panice wycofywać się także z innych – podobnie zasadnych – decyzji. Pojęciem przewodnim w obronie przed populizmem referendystów stało się... „zdanie mieszkańców". Miszalski bił się w piersi, wołając „moja bardzo wielka wina". Sztandarowym narzędziem kampanii prezydenta były „ławeczki", czyli wyjazdy – wraz z grupą urzędników i... drewnianą ławką – do kolejnych dzielnic miasta, aby w plenerowej atmosferze spotkać się z mieszkańcami, porozmawiać o lokalnych kłopotach i obiecać, że zostaną rozpatrzone.

Tak czy tak, Aleksandrowi Miszalskiemu nie dane będzie dokończyć dzieła, przerwał je w połowie okresu przewidzianego dla prezydentury przez prawo (a w istocie demokratyczną umowę społeczną i zdrowy rozsądek).

Siła referendystów

Tu pojawia się kolejna – ustrojowa już – przyczyna zamieszania. Kraków stał się dowodem, jak łatwo można użyć referendum odwoławczego do podważenia demokratycznego przecież wyboru władz miasta oraz wiążącej się z nim zasady kadencyjności. Z ustawowego punktu widzenia nie trzeba do tego ani naprawdę poważnych powodów, ani faktycznie wysokiego progu poparcia. Prawo nie stawia także żadnych wymogów co do przejrzystości finansowania kampanii referendalnej. By poprzestać na podwórku krakowskim: inicjator poprzedniej próby odwołania władz Krakowa (w 2016 r.) Łukasz Gibała (eksposeł, a potem radny miejski) oficjalnie deklarował, że wydał na nią wtedy z własnych środków 778 tys. zł. Także teraz przyznał się do opłacania referendalnej akcji, lecz kwoty nie ujawnił. Wedle niektórych musiała być o wiele większa: poseł Jerzy Meysztowicz w Radiu Kraków wspomniał o kilku milionach złotych. Setki opłacanych „wolontariuszy", tony rozdawanych na ulicach referendalnych gazetek i komiksów, billboardy, oklejone plakatami słupy ogłoszeniowe, czapeczki, koszulki. Plus internet. To musiało kosztować. ▶

© ARTUR BARBARowski/EAST NEWS, JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA, BEATA ZAWRZEL/REPORTER, MARYSIA ZAWADA/REPORTER

eprasa.pl 568960d3fb







Od lewej: **radny Łukasz Gibała już trzykrotnie starał się o fotel prezydenta Krakowa. Do boju zgłosiła się także radna (i współprzewodnicząca Razem) Aleksandra Owca. Startu nie wyklucza zastępca (a niegdyś konkurent) Miszalskiego prof. Stanisław Mazur.**

▶ Skądinąd fachowcy od politycznego marketingu zauważają, że do sukcesu kampanii referendalnej przyczyniło się połączenie agitacji w sieci z użyciem tradycyjnych narzędzi: wydawnictw papierowych i propagandowych gadżetów. Choć te wielu uważało już za nieskuteczne.

Poligon przed wojną

Obalenie prezydenta z Koalicji Obywatelskiej jako swoje zwycięstwo próbuje przedstawić Prawo i Sprawiedliwość. W rzeczywistości jest to jednak sukces odniesiony mimochodem. Początkowo prezes Jarosław Kaczyński i radni z jego partii wykazywali wobec planów referendalnych... rezerwę. Obawiali się porażki frekwencyjnej, jak i tego, że gdyby udało się zmobilizować ludzi do głosowania, to ofiarą mogłaby się stać również rada miasta. PiS ma w niej pokaźną reprezentację. Po ogłoszeniu danych o frekwencji odetchnęli jednak z ulgą: o ile głosujących wystarczyło do odwołania prezydenta z wrogiej kolacji, o tyle było ich zbyt mało, by odwołana została również rada miasta.

Nie przez przypadek już godzinę po komunikacie MKW na Rynku Głównym pojawiła się mocna pisowska drużyna, na czele z Przemysławem Czarnkiem (było nie było kandydatem na premiera), Beatą Szydło (ekspremierką z małopolskich Brzeszcz) i miejscowymi posłami. Przekaz był jednoznaczny: w Krakowie przegrał sam Donald Tusk. Czarnek perorował, że Miszalski to krakowski Tusk, i nazywał ich wręcz przyjaciółmi (choć w politycznym światku jasne jest, że Kierownik – jak nazywają Tuska w partii – nie przepada za obecnymi krakowskimi działaczami). Wszystko po to, by klęskę KO pod Wawelem zaprezentować jako początek końca rządzącej ekipy w całym kraju. Strategię taką dawno zdradził Ryszard Terlecki: za przykładem Krakowa pójść mają inne miasta, a w końcu odbity ma zostać parlament.

Podobną wizję snują obie Konfederacje, które skądinąd dużo mocniej niż PiS zaangażowały się w referendalną akcję.

Wysyp kandydatów

Na krakowskim zamieszaniu skorzystać zamierza wielu – i w różny sposób. Stąd wysyp zgłoszeń do przewidzianych na koniec sierpnia przedterminowych wyborów prezydenta Krakowa. Pierwszy – z gotowym spotem promocyjnym – wystartował Marian Banaś, niegdyś szef Najwyższej Izby Kontroli z nadania PiS, ale dziś z Jarosławem Kaczyńskim skonfliktowany. O ile prezes Banaś był z Krakowem związany studiami, działalnością opozycyjną w PRL oraz interesami, o tyle związków z miastem nie ma kandydatka Marianna Schreiber, znana celebrytka. Podobnych przypadków będzie więcej – start daje okazję do pobrylowania w mediach, a żeby zostać zarejestrowanym kandydatem, wystarczy przedłożyć ledwie... 3 tys. podpisów poparcia.

Oczywiście zgłaszają się również politycy, nawet jeśli nie mają większych szans. Start na prezydenta Krakowa jeszcze przed odwołaniem Miszalskiego zapowiadał Grzegorz Braun. I też pojawił się w mieście tuż po ogłoszeniu wyników referendum, by wywołać kolejną antyeuropejską hecę na posiedzeniu sejmiku województwa. Konfederacja Sławomira Mentzena do walki wystawiła Bartosza Bocheńczaka – działacza mało rozpoznawalnego, lecz znanego ze skuteczności w internecie z czasów, kiedy prowadził kampanię prezydencką szefa partii. Do boju zgłosiła się także radna (i współprzewodnicząca partii Razem) Aleksandra Owca. W wiecowej mowie padły słowa o „arogancji władzy", „służbowych limuzynach", „obscenicznych pensjach Miszalsko-Tuskowsko-Czarzastych aparatczyków" oraz o „grupowych zwolnieniach", „zapieprzaniu jak mały samochód", „rosnących kosztach życia". I wezwanie: „Tę patologię trzeba wreszcie skończyć".

Lider Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty na razie zapowiedział tylko, że i ona będzie „walczyć o Kraków dla dobra Krakowa". Oraz ostentacyjnie odrzucił sugestię, że koalicja rządząca – której jego partia jest częścią – powinna wystawić w mieście wspólnego kandydata. Z kolei szef ludowców, a więc trzeciego koalicjanta, Władysław Kosiniak-Kamysz (przed laty sam wymieniany w kontekście krakowskiej prezydentury) wezwał do wystawienia w Krakowie „ponadpartyjnego kandydata różnych środowisk, szczególnie w ramach naszej koalicji".

Na politycznym rynku miasta krążą i inne nazwiska, w tym eksprezydenta Andrzeja Dudy (który jednak podobno oburzył się na taką sugestię), ale też radnych i lokalnych aktywistów. Jeden z kpiarzy, wybitny poeta Marcin Świetlicki, sięgnął po frazę

eprasa.pl 568960d3fb



Konfederacja Sławomira Mentzena do walki wystawiła Bartosza Bocheńczaka.

ze swojej starej piosenki: „Któregoś dnia to miasto będzie należeć do mnie...".

Dwaj wielcy plus...

Główni gracze na razie nie ujawniają kart. PiS – głosem Czarnka – stwierdził, że na ustalenia jest czas. Czy to sygnał do rozmów o potencjalnych sojuszach, czy przejaw braku odpowiedniego kandydata? Kiedyś mowa była o Małgorzacie Wassermann (zachwalał ją nawet były prezydent prof. Jacek Majchrowski). A może w uniwersyteckim Krakowie PiS postawi na uznawanego w partii za intelektualistę prof. Andrzeja Nowaka? Chętnych do walki znalazłby pewnie wśród młodszych aktywistów – potyczka to prestiżowa i pozwalająca na pokazanie się w polityce, choć trudna: PiS zawsze przegrywał tu walkę o prezydenturę.

Jeszcze trudniejszy dylemat ma Koalicja Obywatelska. Wskazówką mogło być to, kogo premier Tusk obsadzi w roli komisarza mającego zarządzać miastem do czasu powołania nowego prezydenta. Czy byłby to jedynie urzędnik na czas przejścia, czy też z czasem kandydat KO na włodarza miasta? Padło na Stanisława Kracika, jednego z zastępców obalonego prezydenta. To jeden z najbardziej doświadczonych samorządowców w Polsce: po 1989 r. był przez 19 lat burmistrzem podkrakowskich Niepołomic, wojewodą małopolskim, ale i posłem. Teraz mógłby śmiało być kandydatem na prezydencki urząd, zastrzega jednak, że nie ma takich aspiracji. Startu nie wyklucza za to inny zastępca (a niegdyś konkurent) Miszalskiego prof. Stanisław Mazur. Jako swój atut przedstawia znajomość miasta, w tym rozpoczętych inwestycji. No i ma tytuł profesorski, co pod Wawelem nadal waży.

W lokalnej KO rozważana jest też osoba zasiadającej od minionego roku w Senacie działaczki gospodarczej Moniki Piątkowskiej. Lecz ona dopiero buduje sobie rozpoznawalność. Niezmiennie wraca pomysł na zagospodarowanie mającego w Krakowie dobrą kartę Bogdana Klicha – dziś reprezentuje RP w Waszyngtonie, ale może powrót do rodzinnego miasta byłby sposobem na rozwiązanie klinczu wywołanego przez Pałac Prezydencki? W grze ma być również eurodeputowany Bartłomiej Sienkiewicz. Tak naprawdę wielu Krakowian liczy wciąż na zacne nazwisko spoza struktur partyjnych. Kogoś, kto przekonałby do siebie wyborców o różnych – byle prodemokratycznych – sympatiach. W tle czai się bowiem groźba opanowania miasta przez radykalną narodową prawicę. Krajobraz po referendum pokazał więc wielką przypadłość obecnego życia publicznego w Krakowie: słabości kadr. U wszystkich.

...ten trzeci

Poza wielką partyjną dwójką jest w Krakowie jeden gracz wagi ciężkiej: wspomniany Łukasz Gibała. Ten 49-letni radny miejski zaczął karierę jako... poseł Platformy Obywatelskiej, a potem Ruchu Palikota. I już trzykrotnie starał się o fotel prezydenta Krakowa – w 2014, potem w 2018 r. (w obu przypadkach konkurując z prof. Jackiem Majchrowskim), a wreszcie w ostatnich wyborach. To jego miał na myśli prof. Majchrowski, mówiąc o „przebieraniu nogami, by zostać prezydentem Krakowa". Już raz, w 2016 r., próbował użyć do tego referendum, tyle że skończyło się sprawą prokuratorską o nadużycia przy zbieraniu podpisów. Teraz Gibała też nie krył finansowego wsparcia dla referendum. Stać go na taką inwestycję – pochodzi z zamożnej rodziny (ojciec działał w branży alkoholowej, a brat udziela się m.in. w sferze klubów fitness).

I wprawdzie nie zadeklarował jeszcze kolejnego startu, lecz podkreśla co rusz, jaki to doborowy zespół ludzi zebrał podczas ostatnich wyborów i jaki świetny plan dla Krakowa przedstawili. A skoro w prezydenturę włożyło się tyle wysiłku, ambicji i pieniędzy, to ma o co grać. I choć zastrzega, że nie zamierza się już bratać z żadnymi partiami, to jest jasne, że w jego przypadku wyobrażalny jest alians z PiS czy obu Konfederacjami.

Efekt Miszalskiego

Pojawiło się już zjawisko nazwane efektem Miszalskiego. I nie chodzi o to, że zadłużony Kraków musiał wydać na organizację referendum 4 mln zł, a przedterminowe wybory kosztować będą kolejne 8 mln (bo najpewniej będą konieczne dwie tury), tyle że teraz zapłaci budżet państwa. Ważniejsze, że nowego prezydenta czekają dwa lata ze starą radą miasta, zdominowaną wciąż przez Koalicję Obywatelską. A o ile nie wygra kandydat KO, to miasto czeka permanentna awantura. Totalnie przeciwna „nowemu" większość rady będzie zapewne blokować jego pomysły. Oznacza to paraliż decyzyjny. Zresztą w każdym układzie do następnych wyborów decyzje na wszystkich szczeblach miasta podejmowane będą jeszcze wolniej i – by tak rzec – ostrożniej. Taka jest natura urzędniczej mentalności.

Kimkolwiek by był nowy prezydent, zarządzanie miastem stanie się zapewne bardziej populistyczne. Już spore zadłużenie, zamiast się zmniejszać, musi wzrosnąć. A że wieści o losie prezydenta Krakowa dotarły również do innych miast, lokalny populizm, pojmowany jako reakcja na „głos mieszkańców", może się stać podstawowym kryterium w pracy samorządowców.

Niewykluczone, że ich włodarze odstąpią teraz od co odważniejszych decyzji i planów, zwłaszcza tych, które mogą być przedmiotem politycznych ataków. W odruchu obronnym polec mogą, a w każdym razie zostaną ograniczone, inicjatywy ekologiczne, ze strefami czystego transportu na czele (bo to „ekoterror kosztem praw kierowców"), edukacyjne (bo „seksualizacja") czy równościowe (bo „propagowanie zboczeń").

W Rzeszowie na przykład złożono aż dwa wnioski – radnych z PiS i radnych z Razem – o odwołanie prezydenta Konrada Fijołka. Efekt Miszalskiego rozlewa się na Polskę.

KRZYSZTOF BURNETKO

© JAKUB PORZYCKI/FORUM, BEATA ZAWRZEL/REPORTER, MARZEBA BUGAŁA-ASTASZÓW/AGENCJA WYBORCZA, PAWEŁ SUPERNAK/PAP

eprasa.pl 568960d3fb

W Polskę jedziemy

Wojna na Bliskim Wschodzie zrewidowała wakacyjne plany Polaków, na czym skorzysta rodzimy biznes turystyczny. Niezależnie rozkręca się moda na Polskę za granicą. Zanosi się na rekordowy sezon.



MARCIN PIĄTEK

Na podsumowania przyjdzie czas we wrześniu, ale już przybywa sygnałów przemawiających za tym, że będziemy mieli do czynienia z rekordowym sezonem. Eugeniusz Triasun, rzecznik prasowy serwisu rezerwacyjnego Travelist, oferującego pobyty w hotelach (w bazie Travelist jest ich ok. 800) od 3 do 5 gwiazdek: – *Dane z końca maja pokazują, że rezerwacji mamy aż o 21 proc. więcej niż w analogicznym okresie rok temu. Na przełomie marca i kwietnia, też porównując rok do roku, było ich aż o 60 proc. więcej. Liczba dostępnych miejsc szybko się kurczy*.

Powód tego boomu jest oczywisty: rozpętana przez Izrael i Stany Zjednoczone wojna z Iranem, której pokłosiem była destabilizacja sytuacji w całym regionie Bliskiego Wschodu i okolicy, bo przecież w pierwszych tygodniach konfliktu irańskie rakiety zostały zestrzelone również nad Turcją i Cyprem. Tymczasem Turcja i Egipt to ulubione kierunki zagranicznych wakacji Polaków, czułych na punkcie proporcji jakości do ceny. Strach przed tym, jak wojna się rozwinie oraz gdzie ewentualnie mogą trafić pociski, zamroził również sprzedaż urlopów i wycieczek do Grecji, numeru dwa na liście wakacyjnych kierunków obieranych przez Polaków.

Urlopowa huśtawka

Do obaw o bezpieczeństwo dołączyło wkrótce zmartwienie prozaiczne: wzrost cen. Po zablokowaniu przez Iran ruchu tankowców w cieśninie Ormuz kurs ropy naftowej wystrzelił, a pesymiści wieszczyli rychły wzrost cen surowca, nawet 2–3-krotny. Przedwojenne kalkulacje zakładały, że tona paliwa lotniczego będzie kosztować około 700 dol., ale cena szybko skoczyła do 1700, obecnie oscyluje wokół 1300–1400 dol. W cenie zagranicznych wycieczek koszt paliwa lotniczego to nawet 25 proc., poza tym biura podróży zabezpieczają się przed tego rodzaju nieprzewidzianymi zdarzeniami, umieszczając w umowach z klientami klauzulę podniesienia ceny sprzedanej już wycieczki o 8 proc. w razie wystąpienia tego rodzaju rynkowych zawirowań.

Obawy, że będzie nieprzewidywalnie i drogo, miały więc solidne uzasadnienie. I tak urlopowe pomysły zapobiegliwych Polaków planujących wypoczynek z wyprzedzeniem uległy korekcie na korzyść rodzimych lokalizacji. Ale jednocześnie, gdy pierwszy strach minął, a sytuacja na Bliskim Wschodzie osiągnęła kruchą stabilizację, rodacy ze zdwojonym impetem uderzyli do biur podróży. Piotr Henicz, prezes Itaki: – *Popyt na zagraniczne wycieczki nie tylko wrócił już do ubiegłorocznego poziomu, ale jest nawet większy. Wszystko wskazuje na to, że w porównaniu*

eprasa.pl 568960d3fb



Plaża w Międzyzdrojach. Oprócz polskich turystów mnóstwo sąsiadów z Niemiec. I będzie jeszcze więcej, bo za pobliską granicą pada jeden hotel za drugim.

z poprzednim sezonem letnim będziemy mieli około 10 proc. klientów więcej.

Na pozycje niekwestionowanych liderów, jeśli chodzi o zagraniczne urlopy, wróciły Turcja i Egipt. Obawy, że biura podróży będą się starały powetować wzrost cen paliwa lotniczego wysokimi podwyżkami, okazały się nieuzasadnione. Prezes Piotr Henicz mówi, że jeśli chodzi o rekompensatę wywindowanych cen paliwa, trzeba było wykazać się wyczuciem i delikatnie badać próg bólu klientów, żeby ich do siebie nie zrazić. – *Dlatego poprzestaliśmy na podwyżkach co najwyżej o 7–8 proc., co w zasadzie pokrywa tylko wzrost kosztów działalności naszych partnerów na miejscu. Wyższe ceny paliwa w tym sezonie bierzemy na siebie, co oznacza po prostu niższą marżę. Możemy sobie na to pozwolić, bo poprzednie lata były dla branży bardzo dobre* – przyznaje.

Żadne z biur podróży nie zdecydowało się również na odwołanie do podwyżek uzasadnionych wspomnianą klauzulą nadzwyczajną, gdyż – jak tłumaczy prezes Henicz – poruszanie się z wyczuciem na polu relacji z klientami oznacza, że krótkoterminowe zyski tej operacji (teoretycznie uzasadnionej) byłyby niższe od długoterminowych strat związanych z tym, że klient może poczuć się zanadto dociśnięty. A takiego klienta można stracić. Bezpowrotnie.

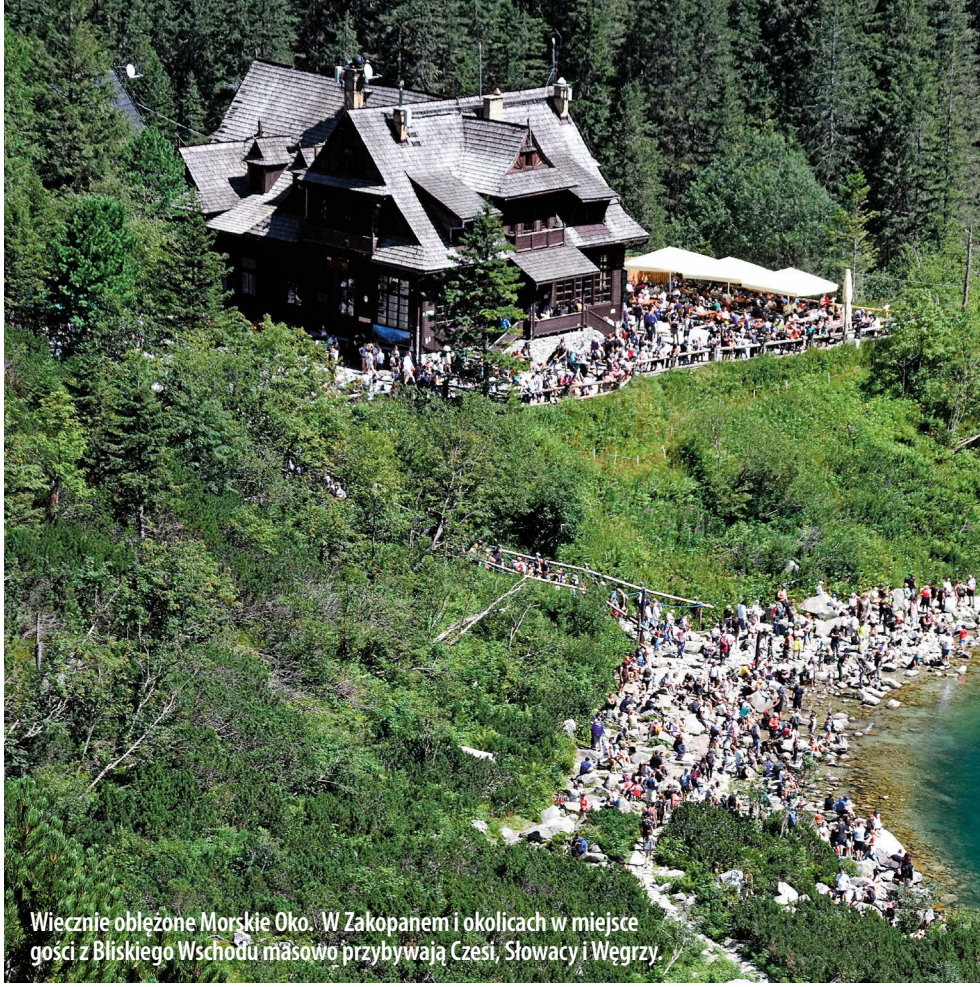
Taniej niż taniej

W porównaniu z poprzednimi sezonami ceny wakacyjnych urlopów zagranicznych trzymają się w ryzach. Grażyna z Bydgoszczy wraz z małżonkiem wybierają się w połowie czerwca na turecką riwierę, do Bodrum. – *Za osiem dni all inclusive zapłaciliśmy w sumie prawie 6 tys. zł. Tyle samo co rok temu, bo też byliśmy w Turcji, ale w Antalyi. Zawsze latamy w tym terminie, w lipcu już jest drożej i upały nie do wytrzymania* – mówi Grażyna, która bardzo ceni sobie turecką gościnność, w tym przede wszystkim obfitość i różnorodność jedzenia, no i gwarantowane słońce.

Jeśli chodzi o rynek krajowy, ceny się ustabilizowały. – *W porównaniu z ubiegłym sezonem wygląda to następująco: w górach o 6 proc. drożej, na Mazurach o 6 proc. taniej, natomiast na wybrzeżu bez zmian* – mówi Eugeniusz Triasun. Przy okazji zauważa, że mamy do czynienia z pewnym paradoksem: nad Bałtykiem ceny właściwie nie drgnęły, choć to tam właśnie wczesną wiosną pobyt na wakacyjne terminy rósł najszybciej (ponad 50 proc. rezerwacji). – *W miejscowościach nadmorskich jest największa baza hotelowa i wciąż powstają nowe inwestycje, rośnie konkurencja. Poza tym ubiegłoroczne lato nad Bałtykiem, dość chłodne i deszczowe, sprawiło, że branża nie chce wystraszyć klientów zaporowymi cenami. Aby nie było wrażenia, że nie dość, że pogoda niepewna, to jeszcze drożyzna* – dodaje Triasun. ▶

© ROBERT STACHNIK/REPORTER

eprasa.pl 568960d3fb



Wiecznie oblężone Morskie Oko. W Zakopanem i okolicach w miejsce gości z Bliskiego Wschodu masowo przybywają Czesi, Słowacy i Węgrzy.

▶ Wakacje nad Bałtykiem wychodzą taniej niż w „taniej" zagranicy, czyli w Turcji i Egipcie. – *Nasi klienci za tydzień w dwuosobowym pokoju z dostawką dla dziecka i wyżywieniem w popularnych nadbałtyckich kurortach płacą średnio 4,2 tys. zł. Dla porównania w Turcji koszt analogicznego pobytu dla jednej osoby w przyzwoitym hotelu to co najmniej 3,5 tys. zł* – mówi Triasun. Ceny rządzą się swoimi prawami, czyli im późniejsza rezerwacja, tym drożej. Do tego hotelowe działy marketingu i sprzedaży są wspomagane przez algorytmy, które dostosowują stawki do popytu i ruchu na stronie internetowej.

Nie można jednak wykluczyć sytuacji, że poddanie się pędowi w kwietniu (egzotyczne kierunki niepewne, nie wiadomo, co będzie z lotami, zaraz ruszy cenowa gorączka) i wybór opcji polskiej może okazać się dla portfela bardziej kosztowny niż rezerwacja last minute w lipcu. A na to decyduje się coraz więcej rodaków, uzależniając miejsce urlopu od pogody. – *Nawet odwołują, mimo wpłaconych zaliczek. Rok temu miałam kilka takich sytuacji. Słyszałam od klientów, że zmieniają plany i jadą tam, gdzie nie będzie padać. Że odżałują te 10 proc. zaliczki, trudno. Na ich miejsce już nikt nie przyjechał, choć trochę obniżyłam ceny, w sumie straciłam ze 30 tys. To znaczy nie zarobiłam* – mówi Mirosława, która ma niewielki pensjonat na wschodnim wybrzeżu.

Booking trzyma w ryzach

Agata Wojtowicz, prezes Tatrzańskiej Izby Gospodarczej, potwierdza, że przybywa turystów uzależniających pobyt od pogody: – *Widać to w statystykach. Kwiecień był pod Tatrami fatalny, bo zimny, majówka też nieszczególna, no ale akurat to był w tym roku względnie krótki weekend, od piątku do niedzieli. Zresztą kalendarz w ogóle w tym roku branży turystycznej nie sprzyja, bo 15 sierpnia wypada w sobotę. A każdy nocleg mniej to konkretna strata. Turyści wiedzą, że mogą sobie pozwolić z czekaniem do ostatniej chwili, bo mają olbrzymi wybór. Powstają nowe hotele, ale przede wszystkim przybywa baza apartamentów na wynajem.*

Rewolucja w rezerwacjach pobytów spod znaku Bookingu oznacza plusy dla klientów – mają większy wybór, ostra konkurencja trzyma w ryzach ceny, system komentarzy oceniających pobyt wymusza większą dbałość o jakość apartamentów – ale właściciele pensjonatów z pokojami na wynajem narzekają. – *Kogo nie ma na Bookingu, jakby nie było go wcale* – mówi Mariola wynajmująca pokoje w Karpaczu. – *Ta platforma zdziera z nas około 15 proc., ale nie mam wyjścia. Jeśli gość trafia do mnie pierwszy raz, prawie na pewno jest z Bookingu. Czasami się zastanawiam, czy ma sens dalsze utrzymywanie strony internetowej, o inwestycjach w pozycjonowanie na Google nie wspominając. Jakby pan sobie życzył kiedyś nocleg, to proszę pamiętać telefon do mnie, dam zniżkę.*

Wakacyjna lista przebojów

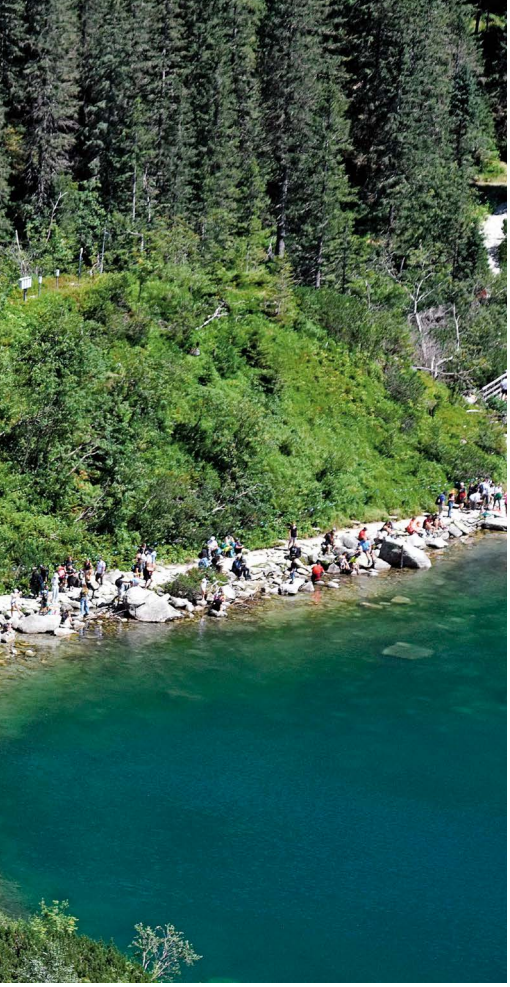
W sezonie wakacyjnym właściwie co roku biją po oczach nagłówki o tłumach rozdeptujących najpopularniejsze szlaki i kurorty, o obleganych atrakcjach i niemiłosiernych korkach na drogach dojazdowych. Te tłumy widać dobrze w statystykach sprzedaży biletów do parków narodowych. Ten najpopularniejszy, tatrzański, odwiedziło w 2025 r. ponad 5,2 mln turystów (w 2024 r. było ich ponad 150 tys. mniej). Agata Wojtowicz zwraca jednak uwagę, że oblężenie TPN może być mylące. – *Nie przekłada się to bezpośrednio na liczbę rezerwacji noclegowych. Wielu gości to turyści jednodniowi.*

Relacjom o turystycznych najazdach towarzyszą poparte dowodami zdjęciowymi doniesienia o paragonach grozy. Wysokie ceny bywają skutkiem falującego popytu w sezonie – chudsze tygodnie lokalna branża turystyczna stara się sobie powetować podczas wzmożonego ruchu, ale z drugiej strony przeciętny Polak się bogaci, stać go. Okazuje się, że nawet na pobyt w otwieranym pod koniec czerwca gigahotelu sieci Gołębiewski w Pobierowie, budowanym przez lata, z naruszeniem prawa, bez niezbędnych pozwoleń.

Pobierowski „Gołąb" ma być otwierany na raty, najpierw do dyspozycji gości będzie oddanych 500 z 1200 pokoi. Ceny, jak na polskie standardy, kosmiczne – 1300 zł za dobę – nie odstraszyły chętnych. Przedstawiciele sieci hoteli informowali, że w pierwszej dobie sprzedali 2,1 tys. rezerwacji, a serwery momentami odmawiały posłuszeństwa z powodu oblężenia.

Wakacyjną listę przebojów, jeśli chodzi o, jak branża mawia, destynacje, można obstawiać w ciemno. Na Mazurach to Mikołajki, Giżycko i Mrągowo, w górach Zakopane, Karpacz, Szczyrk, na wybrzeżu Trójmiasto, Świnoujście, Kołobrzeg, Międzyzdroje, Mielno. I bezpośrednia okolica. – *Jeśli w najbardziej popularnych lokalizacjach mamy jakieś spektakularne*

eprasa.pl 568960d3fb



© ALBIN MARCINIAK/EAST NEWS

przetasowania, jest to często związane z nowymi inwestycjami hotelowymi, gdy znacząco rośnie liczba miejsc noclegowych. Ten efekt w tym roku widać np. w Muszynie, gdzie niedawno został otwarty hotel znanej sieci – mówi Eugeniusz Triasun.

Czeki robią ruch

Polacy, jak wiadomo nie od dziś, lubią spędzać wakacje w popularnych kurortach, tłum im nie przeszkadza, wychodzą z założenia, że pobyt w tym samym miejscu mrowia innych turystów dowodzi słuszności obranej lokalizacji. Poza tym rodacy wykazują się lojalnością: dobrze ugoszczeni, wracają rok w rok pod ten sam adres, gdzie jest przewidywalnie, swojsko, a właściciel kłania im się w pas, przejdzie na ty, ugotuje pod zamówienie, kusi małą zniżką na przyszły rok i wręczy na odjezdne nalewkę, wyrób własny.

Eugeniusz Triasun zauważa, że Polska jest wybierana przez rodaków coraz częściej, bo jakość oferty się poprawia. – *Basen w hotelu to już absolutne minimum, przybywa inwestycji z aquaparkami, strefami SPA, odnowy biologicznej, salonami piękności, ofertą zajęć sportowych. Tak aby klient miał co robić na wypadek słabszej pogody.*

Poza tym coraz mocniej zaznacza na rynku swoją obecność nowa grupa rodzimych turystów, nastawionych na aktywne spędzanie czasu, jak również doznania estetyczne, prozdrowotne oraz kulinarne, i pod takie potrzeby tworzona jest wyspecjalizowana oferta. – *Z badań wynika też, że coraz częściej i chętniej wyjeżdżamy w większym, rodzinnym gronie. Nie jest już obciachem spędzanie czasu z rodzicami, mocno stawiamy na zacieśnianie więzi* – mówi Katarzyna Turosieńska, rzecznik prasowa Polskiej Izby Turystyki.

Lokalny popyt stymuluje oferta bonów turystycznych. W tym sezonie praktykowana w województwach podlaskim i warmińsko-mazurskim, w sezonie wakacyjnym dopłata wynosiła 400 zł pod warunkiem dokonania rezerwacji na minimum trzy noce. Można ubiegać się o jeden bon rocznie. – *Zainteresowanie musi być bardzo duże, bo gdy zgłosiłam się za pierwszym razem, oferta rozeszła się w pięć minut. Udało się przy kolejnej okazji, trzymałam rękę na pulsie* – mówi Martyna z Wrocławia, planująca rodzinny urlop w Hajnówce. Cel programu jest oczywisty: pobudzenie ruchu w regionach wschodnich, traktowanych nieufnie z powodu bliskiego echa wojny. Jesienią ma być zainaugurowany ciąg dalszy (w formie czeków), tym razem również z myślą o branży turystycznej w dwóch pozostałych wschodnich województwach: lubelskim i podkarpackim.

Z ziemi włoskiej do Polski

W tym roku touroperatorzy specjalizujący się w organizowaniu dla Polaków wypoczynku za granicą spodziewają się rekordowej liczby klientów, a jednocześnie są sygnały wskazujące na to, że i polska branża turystyczna nie będzie narzekać na obroty. Kto zatem ma je nakręcić? Po pierwsze, sami rodacy, którzy chomikują dni wolne właśnie na okres wakacyjny i coraz częściej fundują sobie urlop zarówno w kraju, jak i za granicą. Wg badań CBOS odsetek osób, które mogą sobie pozwolić na podróże wypoczynkowe kilka razy w roku, wzrósł z 31 proc. w 2024 r. do 37 proc. rok temu. Na krajowe podróże wydaliśmy w 2025 r. niemal 53 mld zł (wzrost rok do roku o 7 proc.). W górę, o 3 proc., poszła również liczba samych podróży z myślą o wypoczynku w Polsce – do 54,5 mln.

Jednocześnie nakręca się moda na Polskę wśród zagranicznych gości. W ub.r. roku przyjechało do nas 21,5 mln turystów, ponad 8,5 proc. więcej niż rok wcześniej, zostawili w Polsce 41,5 mld zł, a pod względem wzrostu liczby noclegów (+7 proc.) w całej Unii Europejskiej lepsza była tylko Malta. Jeśli chodzi o nacje, pierwsza trójka gości to Niemcy, Ukraińcy i Brytyjczycy, a na kolejnym miejscu są Czesi, którzy najwyraźniej znudzili się już Adriatykiem, postanowili odkryć Bałtyk i tak im się w Polsce spodobało, że namawiają innych i wracają, tym razem w inne rejony. Coraz mocniej widać ich również pod Tatrami. – *Czesi, Słowacy i Węgrzy to obecnie numer jeden wśród naszych zagranicznych gości. Weszli w miejsce turystów z Bliskiego Wschodu, których jest wyraźnie mniej* – mówi Agata Wojtowicz.

Katarzyna Turosieńska zwraca uwagę na coraz większe zainteresowanie Polską wśród Włochów, którzy są zmęczeni piekielnymi upałami w ojczyźnie w sezonie letnim i szukają wakacyjnych przystani, gdzie da się oddychać. – *W pierwszych trzech kwartałach ub.r. mieliśmy 585 tys. gości z Półwyspu Apenińskiego. To również zasługa udanej kampanii promocyjnej Polskiej Organizacji Turystycznej, prowadzonej zarówno w internecie, jak również za pomocą tradycyjnych narzędzi reklamowych we włoskich miastach* – mówi Turosieńska.

Z badań wynika, że oprócz znośnego lata zagraniczni turyści cenią sobie w Polsce kuchnię, zabytki, gościnność, jakość obsługi, duże wrażenie robią na nich również parki narodowe. Małopolska, mająca ich aż sześć, już to odczuwa, a w blokach stoi Podlasie (cztery parki).

Ten turystyczny sukces byłby jeszcze lepiej mierzalny, gdyby udało się wyeliminować szarą strefę w najmie krótkoterminowym. Kilka dni temu weszło wprawdzie w życie unijne rozporządzenie wprowadzające obowiązek rejestracji lokali i przypisywania im numerów identyfikacyjnych, ale polskie prawo ma iść jeszcze dalej: 50 tys. zł kary za brak wpisu do rejestru, obowiązek uzyskania zgody wspólnot mieszkaniowych dla lokali znajdujących się w budynkach wielorodzinnych, a samorządy będą mogły ustalać limit dni wynajmu w ciągu roku, a nawet zakazywać go w określonych strefach. Branża turystyczna liczyła bardzo na to, że przepisy wejdą w życie jeszcze przed tym sezonem, ale się nie udało i podczas tegorocznych wakacji będzie się jeszcze musiała borykać z nieuczciwą konkurencją.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 568960d3fb

Ks. prof. Andrzej Draguła o Kościele w epoce sztucznej inteligencji, o tym, czy AI może zastąpić Boga, i co o AI mówi papież.

Te



ILUSTRACJA **MARTA RÓŻA ŻAK**

eprasa.pl 568960d3fb

ologia technologii

JAKUB HALCEWICZ: **– Pisze ksiądz kazania z AI?**

KS. PROF. ANDRZEJ DRAGUŁA: – Nie wiem, czy ja w ogóle cokolwiek piszę z AI.

Bo?

Zdarza się, że czytam teksty kaznodziejskie napisane przez AI, quasikazania. Ich zaletą – a jednocześnie fundamentalną wadą – jest to, że można by je wygłosić o każdej porze i w każdym miejscu na świecie; nie są w stanie podzielić się osobistym doświadczeniem wiary. Ponieważ są wyprodukowane przez maszyny, które operują algorytmami i muszą stworzyć coś statystycznie uśrednionego. To takie gładkie, wypolerowane kule do toczenia po kościelnej posadzce.

Brakuje w nich napięcia?

To jest trochę jak z Nike, która jest najpiękniejsza „w momencie/ kiedy się waha" (Herbert). Tekst jest piękny dopiero wtedy, gdy nabiera jakiegoś osobistego charakteru, kiedy jest w nim znamię człowieka, który może się potknąć. Zresztą – jak dobrze wiemy – w prawie autorskim ciągle funkcjonuje taka definicja utworu, która wymaga indywidualnego charakteru.

Kiedy piszę kazanie, mogę dokonać wyboru między tym albo innym słowem lub wątkiem. Mogę się pomylić. I czasami się mylę. Maszyna nie ma tych możliwości, a zdarzające się halucynacje sztucznej inteligencji to nie to samo co ludzkie błędy. Maszyna jest wewnętrznie zdeterminowana swoim algorytmem, co z braku danych prowadzi do zmyślania.

Oczywiście możemy jej wgrać moje teksty i zlecić napisanie kazania w tym samym stylu. Wyjdzie wtedy coś dragułopodobnego. Ale to nie będzie na pewno mój tekst, ponieważ tam nadal nie będzie mojego procesu twórczego ani mojego doświadczenia. Dlatego AI nie zastąpi ani mnie, ani żadnego innego autora z jego indywidualnością.

Czy AI to współczesna Wieża Babel? Budujemy potęgę opartą na uniformizacji i technicznej kontroli?

W encyklice „Magnifica humanitas" papież wychodzi od tego starotestamentowego obrazu Wieży Babel, aby przypomnieć odwieczne pragnienie samowystarczalności człowieka i sięgnięcia tego, co absolutne. Tylko czy to jest dla Leona XIV obraz samej sztucznej inteligencji? Wydaje mi się, że nie. W tej encyklice poświęconej AI zbiega się mnóstwo wątków, a AI jest dla papieża symbolem świata podporządkowanego technice, kontroli i wydajności. Encyklika jest gruba i gęsta. To prorocza diagnoza współczesnej cywilizacji, która splata się z AI.

Jak zmieni się w niej Kościół?

On zawsze reaguje na rozwój techniki – w tym znaczeniu, że zastanawia się nie tylko nad jej etyką, bo moim zdaniem etyka techniki jest czymś wtórnym, jest konsekwencją, ale zajmuje się teologią technologii. Nazwalibyśmy to dzisiaj teologią sztucznej inteligencji. Stawia pytanie, co sztuczna inteligencja robi z człowiekiem. W jaki sposób wpływa na to, jak rozumiemy siebie jako ludzi? Teologia stawia to pytanie, widząc człowieka w perspektywie do Boga.

W jednej z poznańskich parafii sztuczną inteligencję zainstalowano w kaplicy, by całodobowo służyła ludziom do modlitwy i rozmowy. Mieszkańcy mówili, że jest taktowna, a nie wścibska, nie ocenia, każdego traktuje indywidualnie i zamiast straszyć piekłem, uspokaja.

O czymś to świadczy?

O tym, że wypieramy relacje naturalne, które wymagają bardziej skomplikowanych i dojrzalszych interakcji na rzecz takich, jakie oferuje sztuczna inteligencja – nie trzeba np. wystawiać się na krytykę, której – być może – nie szczędziłby mi człowiek. Relację z AI możemy w każdym momencie przerwać, co nie bardzo możemy zrobić w relacji prawdziwej. Oczywiście możemy wyjść z gabinetu psychologa, z kancelarii parafialnej, z zakrystii czy z pokoju, w którym są rodzice, trzasnąć drzwiami i zamknąć się u siebie. Tylko że na pewno byłby to akt o wiele silniejszy niż wyłączenie chata, telefonu czy jakiegokolwiek urządzenia. Wymagałby konfrontacji z człowiekiem, nie z ekranem.

Relacje z AI są bezpieczniejsze i łatwiejsze. Raczej potwierdzają nasze wyobrażenia, niż nas konfrontują z innymi. Ale Kościół nie żyje odseparowany od rzeczywistości i trendów społecznych. Wirtualizacja relacji, która dokonuje się wszędzie, dokonuje się także w nim.

Dlatego ludzie wolą rozmawiać z maszyną niż księdzem?

Brzmi to jak kryzys relacji duszpasterskich. Ale nie wydaje mi się, żeby o to chodziło. Człowiek nie przeżywa swojej wiary *in abstracto*, ale przeżywa ją w określonych kontekstach, także w kontekście technologicznym. W tworzeniu modeli AI – jak ten w kaplicy w Poznaniu – ma znaczenie wstępna wizja ideowa autorów i efekt, jaki zamierzają uzyskać, karmiąc bota wybranymi zasobami danych. Już św. Tomasz mówił, że nic nie będzie w umyśle, czego by wcześniej nie było w zmysłach. „Na wyjściu" jest tyle, ile „na wejściu".

Można zatem wymyślić teologiczny czy kaznodziejski model AI „w starym stylu", który by się specjalizował w duchowości piekielnej, to znaczy skierowanej na strach, przestrogę, pouczanie. I można przygotować taki model, który będzie pocieszał.

W kryzysie bardziej szukamy pocieszenia czy jasnych zasad?

Myślę, że ludzie znajdują sobie odpowiedzi na kryzysy w bardzo różnych formach duchowości. To nie musi być – tak to nazwijmy – kościelna duchowość pocieszenia. Może to być duchowość rygoru bardziej wyrastająca z tradycjonalizmu. Jedni w kryzysie poszukują pociechy, inni uciekają się do dyscypliny. Nie umiemy powiedzieć, jaki procent wiernych wybiera którą drogę. ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ Religijność i kształt wiary w dużym stopniu zależą od konstrukcji psychofizycznej człowieka. Są ludzie, którzy mają większą potrzebę duchowego bezpieczeństwa i będą szukać przesłania miłosierdzia. Inni – poczucia sprawiedliwości: wobec siebie i wobec innych.

Część osób szuka odpowiedzi poza Kościołem, by nie wiązać duchowości z instytucją, do której są zrażone. Dzisiaj wiemy, że opuszczają Kościół, ale nie opuszczają pewnej formy duchowości – chrześcijańskiej czy postchrześcijańskiej, a może nawet ateistycznej.

Dla niektórych AI staje się wszechwiedzącą wyrocznią, instancją, do której – jak w modlitwie – można się zwracać w każdej sprawie. Może zastąpić Boga?

Bałbym się raczej, że zastąpi wróżkę. Zamiast szklanej kuli i tarota ludzie będą pytać ChataGPT lub innego modelu. Jestem pewien, że można by go zapytać o sprzyjającą koniunkcję gwiazd. Nie ulega wątpliwości, że AI jest narzędziem pozwalającym korzystać z najróżniejszych bibliotek naszej wiedzy, ale chyba jednak nie z wiedzy boskiej, do niej nie mamy bezpośredniego łącza. Na pewno czymś niebezpiecznym będzie ubóstwienie rozumiane jako absolutyzacja wiedzy AI i uwierzenie każdemu jej słowu.

Kościół bywa nazywany znakiem sprzeciwu. Leon XIV nadaje temu pojęciu nowe znaczenie, wchodząc w mocną polemikę z polityką Donalda Trumpa i pisząc encyklikę przeciwko wszechwładzy big techów?

Co do polemiki z prezydentem USA, to sam Leon XIV wyjaśniał, że wypowiedzi odczytane jako polemiczne wobec Trumpa napisał dużo wcześniej, a on nie jest politykiem, dlatego nie reaguje doraźnie. Jest takie zdanie Owidiusza, do którego można by sprowadzić napomnienia, sformułowane przez papieża Leona XIV wobec świata big techów: „Cokolwiek czynisz, czyń roztropnie i patrz na koniec". Istnieje niebezpieczeństwo, że technologia unieważni etykę, to znaczy, że światem zawładnie przekonanie, że dobre jest to, co jest możliwe. Dlatego u Leona XIV tak dużo pytań o związki, konsekwencje, powiązania, wpływy, wykorzystanie. To nie jest diatryba przeciwko technologii, to jest upomnienie się o myślenie w kategoriach konsekwencji.

Pisał ksiądz kilka lat temu, że pandemia podważyła wśród katolików poczucie niezbędności Kościoła. Otworzyła ich na poszukiwania duchowości w sieci?

Ostatnio dzwoniłem do mojej przychodni lekarskiej, chciałem zamówić teleporadę. Usłyszałem, że teleporad już nie udziela, bo skończyło się to wątpliwej jakości „leczeniem na odległość". No właśnie: coś, co miało być substytutem, stało się czymś pierwszorzędnym. Znamy to bardzo dobrze, zdarza się, że wszelkiego rodzaju zamienniki, ersatze, wyroby czekoladopodobne dają poczucie zaspokojenia. Interaktywność to jednak nie jest to samo co interpersonalność. O tym także mówi Leon XIV w swojej encyklice. Możemy wejść w kontakt interaktywny z AI, ale to tylko złudzenie kontaktu interpersonalnego, niezawierające choćby sfery emocji.

Pozostawanie na etapie wirtualnego zaspokojenia daje oczywiście pewien komfort. Tylko że zaspokojenie to polega na pasywnym czytaniu czy oglądaniu. To zupełnie coś innego niż obecność. Msze na Robloksie – o ile jeszcze je ktoś odprawia – to efemerydy związane z pewną fascynacją rzeczywistością online, jak projekt Second Life sprzed lat, o którym dziś już nikt nie pamięta. I nawet jeśli realizujemy w sieci jakąś potrzebę religijnego rytuału, to przecież istotą rytuału jest partycypacja, czyli branie w nim udziału.

Interpersonalność, obecność, partycypacja – chce ksiądz powiedzieć, że nie ma duchowości bez spotkania osób, bez ciała?

Z literatury i filmów science fiction znamy pragnienie cyfrowego istnienia człowieka czy transhumanizmu – przekroczenia człowieczeństwa. Nie widzę w tym nic pociągającego. Nie chciałbym być ciągiem cyfr zapisanych w chmurze. A chrześcijaństwo jako religia wcielenia domaga się istnienia ciała – kochającego, myślącego, przeżywającego, funkcjonującego społecznie. Leon XIV przypomina, że według nauki chrześcijańskiej „każde ciało jest świątynią Ducha Świętego i domem Boga; właśnie to przymierze chwały i kruchości staje się kryterium oceny modeli antropologicznych proponowanych przez współczesną kulturę". Ciało jest do zbawienia koniecznie potrzebne.

Kiedy Bóg stał się człowiekiem, nierozerwalnie związał się z ludzkim ciałem. I związał z ludzkim ciałem sakramentalność. Dlatego wciąż nie spowiadamy i nie udzielamy komunii na odległość. Choć gdyby dobrze poszukać, to już w średniowieczu zastanawiano się, czy można przyjmować komunię nie tylko *per gustus*, ale także *per oculos* (nie tylko przez smak, ale także przez widzenie).

Człowiek składa się nie tylko z wyabstrahowanego myślenia, z jakiejś idei, ale jest także ciałem. Nawet nie składa się z ciała, ale właśnie nim jest. Jeśli całe swoje życie – miłość, strach i inne emocje – przeżywa w ciele, dlaczego miałby nie przeżywać w ciele religii? Pomijam już nawet argument teologiczny, że to wynika z wcielenia. Po prostu wynika z cielesnej natury ludzkiej.

Również duchowość ateistyczna ujawnia się na zewnątrz w zachwycie nad światem. Nie sposób go zamknąć w sobie milczącym, ponieważ w duchowości ateistycznej bierze udział nie tylko ateistyczny duch, ale także, jeśli tak można powiedzieć, ateistyczne ciało.

Jak Kościół odnajduje się w świecie unifikowanym przez algorytmy, a nie przez ambonę?

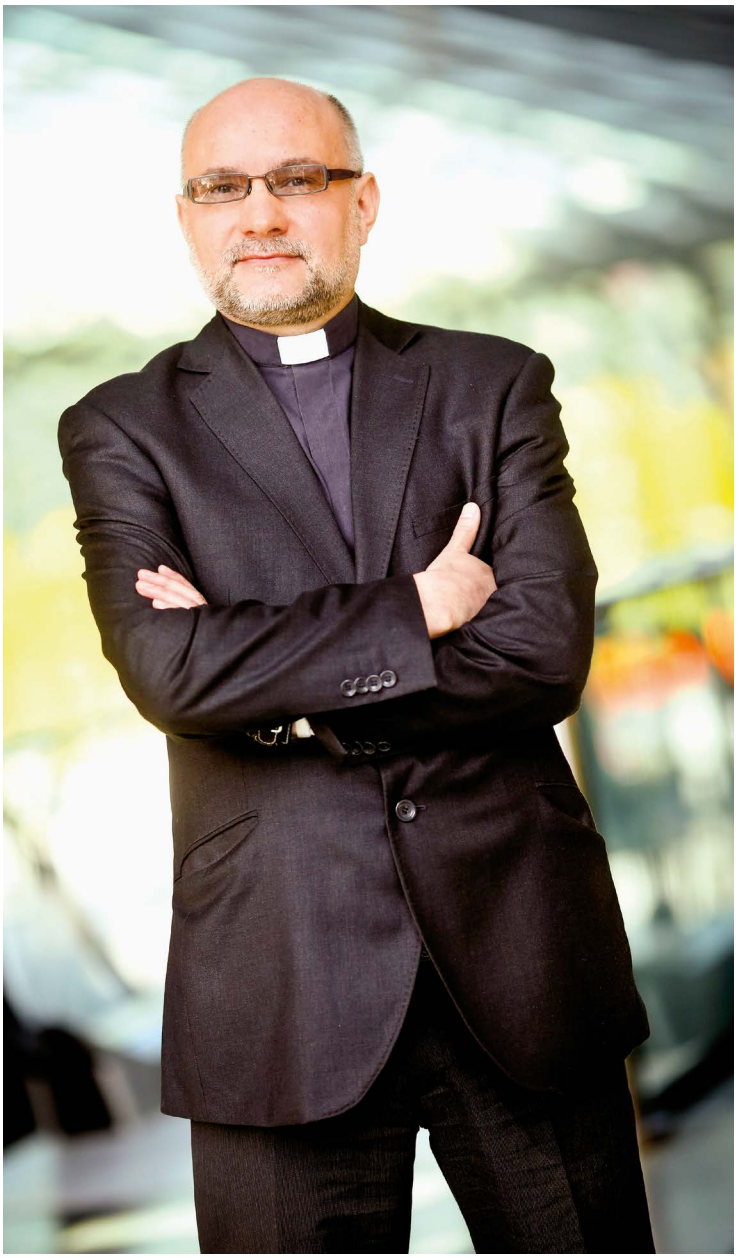
Odkąd pojawiały się masowe media, kolejni papieże wypowiadali się na ich temat, najczęściej dostrzegając w nich bardziej szansę niż zagrożenie. Jeśli teraz Leon XIV mówi o sztucznej inteligencji, nie chce jej z góry egzorcyzmować, tylko chce ją pokazać jako współczesny kontekst życia osoby wierzącej – adresata encykliki.

Powiedzmy sobie szczerze: aż do wynalezienia i upowszechnienia się druku kaznodziejstwo było jedynym medium masowym. Dzisiaj działamy na wolnym rynku przekazu idei. Mamy najróżniejsze kaznodziejstwo. Niektórzy uprawiają kaznodziejstwo religijne, inni kaznodziejstwo wellness, zdrowego żywienia, w sferze ekonomii, polityki. Robią to osoby, które proponują określony styl życia, często sprofilowany duchowo, parareligijnie, altreligijnie czy pozareligijnie. Można powiedzieć, że rozpoznać się ze swoją wiarą jest w tym świecie o wiele trudniej niż w homogenicznym społeczeństwie dawnego typu.

Wiceprzewodniczący episkopatu abp Józef Kupny powiedział w niedawnym wywiadzie dla PAP, że księża influencerzy przysparzają więcej problemów niż korzyści.

Myśmy nie przeszli przez etap telekaznodziejów, jak to było w Ameryce. Przed laty byłem zafascynowany amerykańskim

eprasa.pl 568960d3fb



© KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

Ks. prof. **Andrzej Draguła** (ur. 1966 r.) – ksiądz diecezji zielonogórsko-gorzowskiej i prof. Uniwersytetu Szczecińskiego, członek Komitetu Nauk Teologicznych PAN. Publicysta „Więzi", autor książek, m.in. „Kościół na rynku. Eseje pastoralne", „Syn marnotrawny. Biografia ocalenia" i „Ekstaza miłosiernego Samarytanina".

pastorem Robertem Schullerem z Cristal Cathedral w Orange pod Los Angeles. Nawet na ćwiczeniach z homiletyki analizowałem jego retorykę. Jego kongregacja nie przetrwała, a Kryształowa Katedra jest teraz katedrą katolickiej diecezji Orange.

Najtrudniejszą rzeczą w kaznodziejstwie jest odróżnienie popularności tego, co się mówi, od popularności samego siebie. Ta druga jest naprawdę krótkotrwała. Publika znajdzie sobie szybko innego idola, gdy ten ich już znudzi. Jako wykładowca kaznodziejstwa cały czas uczę, że kazanie to nie jest informacja o czymś – taką można sobie gdzieś przeczytać; jest natomiast informacją przefiltrowaną przez moje doświadczenie wiary, które musi być obecne na ambonie. Media zwielokrotniają „ja". A przecież nie wolno uciekać na ambonie od siebie.

Jak sobie ksiądz radzi?

Na przykład przyznaję się, że miałem trudności z kazaniem, nie wiedziałem, o czym powiedzieć. Przyznaję się, że coś przeczytałem i mi się to nie spodobało. Przyznaję się do jakiegoś osobistego doświadczenia wiary – gdzieś byłem, coś duchowego przeżyłem.

Nie wyrażam mojego doświadczenia wiary na płaszczyźnie stylu retorycznego, podniosłym tonem i pytaniami retorycznymi. Św. Augustyn w dziele „O nauce chrześcijańskiej" pisał, że kaznodzieja niekoniecznie musi posługiwać się stylem wysokim, z wieloma figurami retorycznymi i odpowiednim tonem. Dziś retorycznie najmocniejsi są influencerzy, ale bezpośredni efekt komunikacyjny należy odróżnić od skuteczności teologicznej, czasami osiąganej naprawdę prostymi środkami: mówieniem o rzeczach prostych i odkrywaniem siebie bez ekshibicjonizmu.

Jak ksiądz widzi przyszłość Kościoła w Polsce w perspektywie najbliższych lat? Zapowiadano irlandzki scenariusz szybkiej sekularyzacji. I Kościołowi ufa już zaledwie jedna trzecia Polaków. Jednocześnie w planie europejskim widać nowe scenariusze, jak francuski…

Model francuski to odrodzenie się religii w kraju postchrześcijańskim, a takim jeszcze nie jesteśmy. Z kolei mam wrażenie, że sekularyzacja trochę spowolniła w stosunku do tempa, jakie miała w latach 2020–25, a więc w okresie pandemii i postpandemii. Kościół jako instytucja jest bardzo krytykowany, to prawda, ale być może przeceniamy rolę Kościoła jako instytucji. Młodzi bardziej interesują się duchowością niż Kościołem. I chyba to jest największe wyzwanie. Kościół i religia nie muszą – jak kiedyś – realizować funkcji pozareligijnych: społecznej, patriotycznej, narodowotwórczej czy nawet opiekuńczej. Mogą się skupić na duchowości i na tym, co najważniejsze, na zbawieniu.

Mówiliśmy wcześniej o człowieczeństwie, jego przekraczaniu i dążeniu do doskonałości. Historia Wieży Babel nie skończyła się dla ludzi najlepiej…

Jednocześnie nie wydaje mi się, żeby pragnienie przekraczania siebie było samo w sobie złe. Warto może rozróżniać wzrost od rozwoju. Czym innym jest wzrost, który jest czymś integralnym, organicznym – jeśli mówimy o roślinie, ona wzrasta. Natomiast rozwój ma w sobie coś technologicznego. Istotą encykliki Leona XIV jest być może wskazanie kierunku: „rozwijać technikę, nie dopuszczając do cofania się serca". Ja wiem, że brzmi nieco poetycko, ale chyba to jest ta istota rzeczy. Z jednej strony rozwijamy technikę, ale z drugiej – nie zapominajmy o człowieczeństwie.

Opowieść o Wieży Babel pokazuje, że dążenie do ciągłego rozwoju i doskonałości może sprawić, że przestajemy być otwarci na siebie nawzajem i na to, co nas przerasta. Doskonałość ostatecznie zamyka. Nie jest otwarta na rozwój ani na relacje, bo niczego poza sobą nie potrzebuje. Doskonałego nie da się już udoskonalić, jak pewnie powiedziałby św. Tomasz – bo pełnia nie może być jeszcze pełniejsza.

ROZMAWIAŁ JAKUB HALCEWICZ

eprasa.pl 568960d3fb



Żebrak z sakiewką

Rozszumiały się wierzby płaczące i srogi partyzancki los ponownie dopadł Tomasza Sakiewicza. Na szczęście szef Telewizji Republika dobrze wie, jak przechytrzyć swoich oprawców. A przy okazji trochę na tym zarobić.

RAFAŁ KALUKIN

„Republika prześladowana za realizację misji dziennikarskiej – zeskanuj kod QR telefonem i wesprzyj nas teraz!" – zachęcał komunikat na telewizyjnym pasku, kiedy szef stacji Tomasz Sakiewicz w rozmowie na żywo opowiadał pod koniec ubiegłego tygodnia o „bandytach" z policji, którzy „torturowali" jego asystentkę. Wejście policji do mieszkania Sakiewicza po fałszywym alarmie to nieustająco temat numer jeden w TV Republika, za każdym razem podparty apelem o datki. Po zeskanowaniu kodu otwiera się strona platformy crowfundingowej. Wystarczy zrobić przelew.

I nie będą to źle wydane pieniądze, bo chodzi w pierwszej kolejności o wyrażenie sprzeciwu przeciwko „kryptodyktaturze" Tuska, która chce zniszczyć opozycyjną stację i jej szefa. „Jak za okupacji, jak za komuny, odpowiedzmy humorem. Wesprzyj rząd i inwigiluj Sakiewicza" – zachęcał szef Republiki w nieco wcześniejszym nagraniu. Greps miał polegać na tym, że występując w telewizyjnym okienku, sam pozwala się inwigilować swoim widzom, żeby wyrobili sobie prosty automatyzm: kiedy masz w zasięgu oka Sakiewicza, od razu sięgasz po telefon i puszczasz blika.

Ale w rozmowie ze swoimi dziennikarzami nie jest w nastroju do żartów. W końcu wymierzona w niego akcja to tak naprawdę atak na polską rację stanu. W jego garsonierze zamiast asystentki równie dobrze mógł akurat przebywać ambasador ważnego sojuszniczego państwa, bo tego rodzaju persony zdarza mu się podejmować na dyskretnych rozmowach. Wyobraźmy więc sobie, że umundurowane bandziory każą się dyplomacie legitymować albo, nie daj Boże, zakuwają w kajdanki. No przecież cały świat by o tym trąbił. „Nie wiedzą, z kim zadarli" – cedzi więc przez zęby redaktor, po czym ślubuje, że nie spocznie, dopóki nie dopadnie winnych. Oczywiście z pomocą widzów, tak więc przydałby się jeszcze jeden przelew...

© PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl 568960d3fb

Pretekstem do rozmowy są doniesienia o zatrzymaniach hakerów, którzy odpowiadają za serię fałszywych alarmów. O ich motywacjach na razie nic nie wiadomo – poza tym, że jeden z nich to recydywista, który nie trafił jednak do aresztu i ma odpowiadać z wolnej stopy. Dla Republiki sprawa jest jasna: władza specjalnie wypuściła przestępcę na wolność, żeby napuścił policję na Sakiewicza. Trochę co prawda nie wiadomo w jakim celu, ale w prawicowym gabinecie krzywych luster zasada *cui bono* nie ma zastosowania. Wystarczy ogłosić, że totalitarna władza represjonuje patriotów, i wszystko jasne.

Siepacze nie dają redaktorowi spokoju nawet wtedy, kiedy po prostu „spotyka się na kawie". Zapewne była to aluzja do wycieku zdjęć z jego sekretnego spotkania sprzed paru miesięcy z szefem Zondacrypto Przemysławem Kralem. Poszukiwany w Polsce „król kryptowalut" podejmował wtedy Sakiewicza w Monako, opłacając mu luksusowy hotel, a wcześniej wykupując w Republice reklamy za 37 mln zł.

Kto wypuścił zdjęcia i skany rachunków, też za bardzo nie wiadomo. Akurat ważyły się losy ustawy regulującej rynek kryptowalut i wyglądało to tak, jakby sam Kral zwabił w pułapkę Sakiewicza, żeby zdyscyplinować prawicę do wystąpienia przeciwko rządowemu projektowi. Przyłapany *in flagranti* szef Republiki nie pierwszy raz w życiu znalazł się jednak w kłopotliwym położeniu i ma na to od dawna opracowane patenty. Otóż należy w takich sytuacjach samemu ubrać się w szaty ofiary, która prosi o wsparcie.

I chociaż wydawałoby się, że rola medialnego magnata na światowej szachownicy jest nie do pogodzenia z rolą przełożonego zakonu żebraczego, w modelu funkcjonowania Sakiewicza to już dawno przestało być sprzecznością. Żyjąc w zbytku, w głębi duszy pozostaje wciąż tym samym „partyzantem wolnego słowa", jak określił się przed laty w tytule książki własnego autorstwa.

W tej sytuacji nie należy od Sakiewicza wymagać biznesowej odpowiedzialności. Mimo to wielu się dziwiło, kiedy dwa lata temu występował o miejsce na multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej. Bo chociaż istotnie poszerza to zasięgi, przy okazji niemało kosztuje: już na wejściu trzeba wybulić 18 mln zł, a potem jeszcze corocznie po 6 mln aż przez 10 lat. Co przy kruchych biznesowych podstawach jest ryzykowne.

Republika co prawda już miała imponującą oglądalność po przejęciu gwiazd TVP Kurskiego, za którymi poszła szeroka widownia. Ale porównywalne wpływy już nie, gdyż dla większości reklamodawców format propagandowej telewizji z krwiożerczym przekazem jest zazwyczaj mało atrakcyjny. O poluzowaniu nie było jednak mowy, ponieważ popularność stacji wynika właśnie z tego, iż zbudowała z widzem radykalną wspólnotę.

Chociaż w mediach Sakiewicza to już właściwie norma, że jest zarazem bogato i biednie. Jeszcze w 2013 r., czyli za pierwszego „reżimu Tuska", redaktor wsławił się zorganizowaniem w gustownych wnętrzach krakowskiego Grand Hotelu „Balu Niepokornych". Wspólnie z małżonką prowadził poloneza w pierwszej parze, za którą podążała śmietanka prawicowego dziennikarstwa oraz notable z PiS. Jako motto pożyczono sobie strofę Jacka Kaczmarskiego: „Jestem postacią na wskroś tragiczną/ najtrudniejszegom dokonał wyboru/ między obozem dla nieprawomyślnych/ a honorami i łaską dworu".

Prawdziwe źródło tragizmu biło jednak trochę obok. „Miał pokazać dziennikarzom z III RP, którzy organizują swoje bale dziennikarskie: »my nie gorsi«" – skwitował później intencje Sakiewicza autor „Gazety Polskiej" Leszek Misiak, niezwykle zasłużony w opisywaniu obłędnych teorii o smoleńskim zamachu, ale niedopuszczony przez szefa do elity. „Tymczasem jednego z czołowych dziennikarzy GPC [„Gazety Polskiej Codziennie"] eksmitowano z mieszkania, bo nie miał na czynsz, gdyż nie wypłacono mu poborów, a w październiku 2012 r. szefostwo GPC zapowiedziało cięcia wynagrodzeń o 20 procent" – kontynuował sfrustrowany dziennikarz. Podając też imienne przykłady piszącej po trzy teksty dziennie reporterki, która miała 100 zł do końca miesiąca i wstydziła się prosić rodziców o pomoc, oraz fotoreportera, któremu nie zapłacono od trzech miesięcy, a mimo to płacił z własnych pieniędzy za delegacje.

Ale nawet w czasach rządów PiS to się za bardzo nie zmieniło. Jak wyliczały media, media Sakiewicza miały łącznie przytulić w rozmaitych formach ponad 150 mln zł z publicznej kasy. Jego pracownikom nie poprawiło to jednak losu, o czym w 2018 r. anonimowo opowiedziały „Gazecie Wyborczej" zdesperowane dziennikarki TV Republika, miesiącami oczekujące na przelew od pracodawcy. Na szefie stacji, który akurat fundował sobie za dwa miliony piętro zabytkowej willi w centrum Krakowa, takie doniesienia nie robiły jednak wrażenia. Na dyskusji w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich bez ogródek stwierdzał: „Ja nigdy nie obiecywałem przychodów moim dziennikarzom, tylko że będą mogli uprawiać dziennikarstwo bez cenzury. Obiecywałem im, że w zamian za to mogą ich czekać represje, kłopoty, a często i brak pieniędzy". I teraz tak samo; w rozmowie z Wirtualnymi Mediami zapytany o pensje pracowników Sakiewicz z godną podziwu szczerością odpowiada, iż „próbuje przyzwyczaić ludzi do tego, że to nie jest typowa firma, w której pierwszego dostaje się pieniądze na rachunek".

W towarzyskich kręgach nazywany od wielu lat „Sakiewką", nie tylko z powodu nazwiska. Jego żywiołem od początku pracy w mediach było bowiem załatwianie pieniędzy (nie mylić z zarabianiem). Z dziennikarstwem aż tak dobrze sobie nie radził, kiedy na początku lat 90. zdobywał szlify w dzienniku „Nowy Świat". Zatrudniona tam również Elżbieta Isakiewicz opisała go we wspomnieniowej książce jako „młodego, zwalistego brodacza, członka ZChN, przemierzającego korytarz w tę i z powrotem w czarnym swetrze i wielkim drewnianym krzyżem zawieszonym na szyi", który „swym prowokacyjnym wyglądem poczciwego grubasa nadawał się na ofiarę".

„Wywracano do góry oczy, kiedy wchodził ze swoim artykułem i wzdychano głośno, kiedy wychodził. Publicznie ogłaszano na planowaniu, że jako dziennikarz jest tragicznym nieporozumieniem, wstydem i zakałą redakcji" – wspominała dziennikarka, dodając na koniec, że bohater opisu był „nie do zdarcia" i potrafił przetrzymać każdy kryzys.

Redaktorem naczelnym „Nowego Świata" był Piotr Wierzbicki, pisarz i publicysta z bogatym dorobkiem, najbardziej drapieżne w tamtym czasie prawicowe pióro, ale zarazem chadzający własnymi ścieżkami warszawski inteligent w stylu przedwojennym. Po odejściu z „Nowego Świata" cała ta trójka będzie kierować powołaną w 1993 r. „Gazetą Polską". Awans Sakiewicza wziął się z tego, że jako jedyny miał smykałkę do pieniędzy i nawet kiedy pismo biedowało – czyli zazwyczaj – potrafił wytropić jakieś ich dodatkowe źródło.

Ale w 2005 r. sytuacja zrobiła się już całkiem beznadziejna, bo Wierzbicki złagodził linię i czytelnicy odpłynęli. Sakiewicz miał wtedy przyjść do naczelnego z ofertą publikowania kryptoreklamowych tekstów, za co został pogoniony. Przeprowadził ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ więc redakcyjny zamach stanu i obalił mentora, w czym pomogli sprowadzeni przez niego chwilę wcześniej nowi udziałowcy, czyli dwóch tajemniczych biznesmenów z koncesją na wydobycie minerałów w Kongu. Początkowo Sakiewicz twierdził, że zweryfikował ich wiarygodność u znajomych polityków prawicy, ale już po paru miesiącach – kiedy Wierzbicki przestał być problemem – nagle zmienił front. Teraz okazało się, że są agentami służb, którzy „zainwestowali brudne pieniądze, żeby zniszczyć prawicową gazetę". Dzięki ugodom sądowym pozbył się w efekcie intruzów, przejmując pełną kontrolę nad wydawnictwem. Pod jego rządami linia „Gazety Polskiej" wróciła do prawicowej ortodoksji, pokrywając się szczelnie z linią PiS.

Ale minęły cztery lata i „Gazeta Polska" ponownie zapłonęła. Tym razem poszło o spółkę Rejtan, którą założył Sakiewicz wspólnie z teściem. Na podstawie zawartej umowy miała ona wypłacać wynagrodzenia pracownikom redakcji, tyle że ówczesny prezes wydawnictwa Janusz Miernicki nie miał dostępu do informacji, do kogo i za co płyną pieniądze. Tymczasem tytuł ponownie znalazł się na krawędzi.

Sporo starszy Miernicki był wcześniej świadkiem na ślubie Sakiewicza, ale teraz z dnia na dzień stał się obcą ekspozyturą, gdyż usiłował cofnąć naczelnemu pełnomocnictwa finansowe. „Mrożące krew w żyłach informacje dochodzą do nas o tym, co robił w latach 60." – insynuował Sakiewicz. Innym razem objaśniał: „Rozwalenie naszego środowiska mogło być istotnym celem kampanii niektórych ośrodków wspierających obóz rządzący". Stanęły za nim rosnące już w siłę kluby „Gazety Polskiej", których oficjalny szef – jak twierdził później Miernicki – również dostawał z Rejtana wypłaty. I tak podtrzymujący święty ogień jedynej niepokornej prawicy Sakiewicz kolejny raz wygrał starcie, a już w kolejnym roku dzięki katastrofie smoleńskiej pismo zaczęło zbijać prawdziwe kokosy, stając się fabryką teorii spiskowych oraz filmowej eksploatacji pamięci o ofiarach.

„To był nasz obowiązek wobec Polski i naszych przyjaciół, którzy zginęli w Smoleńsku" – powtarzał Sakiewicz, jednocześnie handlujący w swojej prywatnej księgarni (ale z logo „Gazety Polskiej") powstałymi za publiczne pieniądze raportami parlamentarnego zespołu jego bliskiego znajomego Antoniego Macierewicza. Na fali smoleńskiego wzmożenia powstała również w 2011 r. „Gazeta Polska Codziennie", na co Sakiewicz skołował kasę na rozruch w SKOK-ach pod zastaw swoich udziałów w jednym z dotychczasowych wydawnictw. Ale później trzeba już było na siebie zarobić i to właśnie wtedy zastosowana została w pełnej skali metoda żebracza.

„Redagujemy gazetę w warunkach skrajnych, czasami bez snu, dyżurując po kilkadziesiąt godzin. Całe kierownictwo redakcji i spółki pracuje za darmo. Pensje dziennikarze też są mało wygórowane" – pisał naczelny w partyzanckim duchu, apelując do czytelników o kupowanie dwóch egzemplarzy naraz. „Niech każdy da z siebie, co może. Jeszcze jeden wysiłek i wygramy" – obiecywał.

Już poza widokiem publicznym rejestrował dodatkowo fundację, żeby wystąpić o status organizacji pożytku publicznego, co umożliwia zbierania odpisu z deklaracji podatkowej na organizacje społeczne. Dostając od sądu odmowę, niezrażony zgadał się następnie z pallotynami, którzy posiadali stosowną fundację, żeby wykorzystać furtkę w przepisach pozwalającą zbierać pieniądze na rzecz innych podmiotów. I oceniając po publikowanych danych, odpis na „kościół smoleński", w który „Gazeta Polska" tak wiele zainwestowała, był dosyć szczodry, chociaż nie aż tak, żeby ostatecznie nie dopuścić do grona udziałowców firm bezpośrednio już powiązanych z partią Kaczyńskiego.

Gdy nastały rządy PiS, to pieniądze zaczęły wreszcie szukać Sakiewicza. Znajdowanie furtek stało się zbędne, gdyż otworzyły się na oścież wrota do ministerialnych budżetów, funduszy i państwowych spółek. Co można było zobaczyć na kolumnach reklamowych gazet Sakiewicza, hojnie dotowanych przez MON Macierewicza. A jeszcze lepiej na wielkich galach wręczania nagród pisowskim świętym, na których Sakiewicz wygłaszał swoje typowe oracje o służbie Polsce. Tyle że przeobrażony z dawnego „partyzanta" w dygnitarza już pełną gębą, nawet jeśli większość jego medialnych oddziałów nadal koczowała na leśnej polanie.

Ale może tak właśnie być powinno, by zachować status kombatanta? Przy okazji jednej z rocznic „Gazety Polskiej" hołubione przez władzę pismo pochwaliło się swoistym kalendarium represji. Od ukradzionego w zamierzchłych czasach malucha Wierzbickiego, poprzez włamanie do redakcji i zabranie faksu (kolejny raz dzieło „nieznanych sprawców"), założony przez nie wiadomo kogo podsłuch, wezwania do prokuratury w sprawie ujawnienia tajemnicy państwowej, aż po zlecenie przymusowego doprowadzenia do sądu Sakiewicza, który sam nie stawił się na wezwanie.

Ale to nie wszystko, bo represjami było również zaprzestanie zapraszania naczelnego „Gazety Polskiej" do dyskusji w liberalnych mediach, odebranie mu w 2010 r. audycji w radiowej Trójce (raptem trzy lata po końcu rządów PiS, które go tam osadziły!), odcięcie jego gazet od reklamodawców, opisane już wyżej „podburzanie akcjonariuszy", wreszcie liczne pozwy sądowe i nawet „próby wsadzania do więzień" (tyle że nieudane).

Bilans imponujący, chociaż uprawianie cierpiętnictwa zawsze było po coś. Stało się swoistą marketingową strategią, sposobem uwiarygodnienia, a być może z czasem również odruchem, który nakazuje teraz redaktorom Republiki przerywać program, kiedy pod oknem redakcji przysłana przez „reżim" koparka nie wiadomo po co rozkopuje ulicę. W tej sytuacji policyjny szturm na garsonierę naczelnego właściwie nie wymaga uzasadnienia, chociaż na razie republikańska twierdza dzielnie się trzyma, a wręcz nabiera światowego znaczenia, co można było niedawno zobaczyć na migawkach z konferencji CPAC w Teksasie, z brylującym tam Sakiewiczem i jego aktualną gwiazdą Michałem Rachoniem.

Ich najświeższa inicjatywa to Stowarzyszenie Przyjaciół Republiki z intrygującym adresem w Chełmie. Musiała wzbudzić spory niepokój w PiS, skoro wpływowa niegdyś posłanka tej partii Beata Mazurek podzieliła się publicznie podejrzeniem, że to wstęp do założenia własnej partii. Zresztą nawet z otoczenia samego Jarosława Kaczyńskiego płyną od dawna sygnały, że prezes przestał ufać Sakiewiczowi, bo za bardzo urósł, uniezależnił się i poprzez reglamentację zaproszeń do stacji wręcz hoduje sobie własną grupę w PiS. No i ostatnio został jeszcze dobrodziejem Zbigniewa Ziobry, którego zamierza cyklicznie pokazywać w telewizji, chociaż akurat tego polityka najlepiej byłoby głęboko schować.

Tylko po co Sakiewiczowi własna partia? Dziennikarze Radia Zet zdążyli już zresztą zajrzeć do statusu nowego stowarzyszenia, żeby znaleźć tam nietypowe jak na szyld i deklarowany profil („promowanie niezależności mediów") cele statutowe, które obejmują również edukację społeczną na temat ubezpieczeń. Wygląda więc na to, że jak zawsze chodzi tak naprawdę o zapełnienie sakiewki.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 568960d3fb



© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

Żurek ma pod górę

EWA SIEDLECKA

Waldemar Żurek mówi o sobie, że ma skórę grubą jak nosorożec, że wie, co robi, i że robi słusznie. Ale wciąż jest typowany jako kandydat do „odstrzału”.

Ucieczka Zbigniewa Ziobry do USA przypomniała sprawę rozliczeń z dawną władzą i nakierowała reflektory na Waldemara Żurka. Minister sprawiedliwości wraz z szefem MSZ zostali zobowiązani przez premiera Tuska do wyjaśnienia Amerykanom, że chodzi tu o sprawę kryminalną, nie polityczną. Ziobro w Stanach sprawił kłopot nie tylko partii Kaczyńskiego, ale też stronie rządowej, do tego stopnia, że powróciła formuła „Tusk się wściekł”. Kontakty z administracją Trumpa miały sugerować, że Ziobro nie dostanie prawa wjazdu do USA, więc w obozie władzy nastąpiła duża konfuzja i poirytowanie, zwłaszcza że szanse na ekstradycję byłego ministra są znikome. Żurek wspomina o możliwości odebrania Ziobrze paszportu genewskiego, ale może to nie mieć żadnego znaczenia wobec odgórnej decyzji Trumpa.

A do tego pozostaje niewyjaśniona sprawa drugiego zbiega, Marcina Romanowskiego, którego miejsce pobytu pozostaje nieustalone, co poza wszystkim średnio świadczy o polskich służbach. Sam Żurek w rozmowie z Polsatem przyznał, że spotkanie z premierem się odbyło, że „ma być kolejne, wiem, że mogę być zderzakiem, ale plany mam na lata”.

Opinia się tworzy

Nie wiadomo jeszcze, jakie plany wobec ministra ma premier Tusk, który powołał Żurka na urzędy ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego zaraz po tym, jak Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie i stało się oczywiste, że nie uda się przywracać praworządności za pomocą ustaw. Zadanie miał jasne: naprawić wymiar sprawiedliwości i przywrócić praworządność metodami pozaustawowymi. A do tego rozliczyć karnie poprzednią ekipę rządzącą. Tylko że to niemożliwe. Przynajmniej bez łamania w oczywisty sposób reguł praworządności.

Dlatego tak ważna była narracja, która notabene w dzisiejszych czasach jest dla opinii publicznej często ważniejsza od prawa i od faktów. I minister Żurek takiej narracji dostarcza. Nagrywa filmiki, w których w sposób energiczny informuje o swoich działaniach lub zamiarach – choćby słynne „jakbyśmy chcieli, to byśmy go [Zbigniewa Ziobrę] w bagażniku przywieźli [z Budapesztu], służby na całym świecie robią takie rzeczy”. W mediach elektronicznych go pełno, wdaje się też w ostre polityczne ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ polemiki, np. „Pan prezydent nie jest Królem Słońce” – gdy komentował fakt, że prezydent Karol Nawrocki arbitralnie wytypował sobie do odebrania ślubowania dwoje z sześciorga sędziów wybranych do Trybunału Konstytucyjnego.

Jak ten sposób komunikowania swoich osiągnięć się sprawdza? Według marcowego sondażu dla Onetu pozytywnie działania ministra Waldemara Żurka oceniło 31,3 proc. pytanych, negatywnie 27,5 proc., a aż 41 proc. nie miało zdania. Widać, że opinia o misji Żurka jeszcze się nie utrwaliła i jest w trakcie tworzenia.

Neosędziowie trzymają się mocno

Urzędowanie zaczął od pozbycia się reszty nieusuniętych przez ministra Adama Bodnara ziobrowych prezesów i wiceprezesów sądów. Bodnar, zgodnie z ustawą, usunął tylko tych, na których dymisję zgodziło się kolegium danego sądu. Żurek zrobił to z resztą 45 prezesów i wiceprezesów (wszystkich sądów w Polsce jest 368). Na zarzut bezprawności odpowiadał, że zmienione przez PiS kolegia sądów nie są – jak wymaga ustawa – reprezentacją samorządu sędziowskiego, ale składają się z prezesów sądów, którzy nawzajem bronią własnych interesów.



Prokuratura przygotowała zarzuty karne dla I prezeski SN Małgorzaty Manowskiej – w sprawie jej działalności w SN, a także jako osoby przewodniczącej Trybunałowi Stanu. I dla prezesa Trybunału Konstytucyjnego Bogdana Święczkowskiego – za nielegalne wykorzystanie systemu Pegasus wobec Romana Giertycha, gdy Święczkowski był prokuratorem krajowym. Jednak postawienie im tych zarzutów zostało zablokowane na etapie uchylania ich sędziowskich immunitetów. Odmowa uchylenia immunitetów przez neoIzbę Odpowiedzialności Zawodowej SN zniweczyła też próby postawienia zarzutów sędziom zaangażowanym w aferę hejterską (jak powołany teraz do Krajowej Rady Sądownictwa Łukasz Piebiak) czy rzecznikom dyscyplinarnym ministra Zbigniewa Ziobry.

Minister sprawiedliwości nie ma władzy nad Sądem Najwyższym i nie może zrobić nic, by odsunąć neosędziów od orzekania. Jako prokurator generalny Żurek polecił jednak prokuratorom występującym w sprawach zawisłych przed SN wnioskowanie o wyłączanie z nich neosędziów. Część posłuchała, ale „ziobrowi” – nie. Przygotował też wyliczenie, ile kosztuje Skarb Państwa orzekanie każdego z neosędziów w SN, biorąc pod uwagę zadośćuczynienia orzekane skarżącym przez Europejski Trybunał Praw Człowieka.

Orzekanie przez neosędziów minister Żurek próbuje ograniczyć nowelizacją regulaminu o urzędowaniu sądów powszechnych. W składach wieloosobowych, jeśli „będzie tego wymagał wzgląd na sprawność rozpatrywania spraw”, przewodniczący wydziału może zadecydować, że z użyciem wprowadzonego przez Ziobrę systemu zwanego sądolotkiem wylosuje się tylko referenta sprawy, a pozostałych dwóch sędziów przewodniczący wyznaczy na zasadach wcześniej ustalonych przez prezesa sądu po konsultacji z kolegium sądu. PiS okrzyknął to rozporządzenie narzędziem do manipulowania składami sądzącymi.

Sędziowie łagodnie o ministrze

Minister Żurek zrezygnował z oczekiwania na opinię Komisji Weneckiej o przygotowanym za czasów Adama Bodnara projekcie ustawy regulującej status neosędziów – tzw. praworządnościowej – i doprowadził do wniesienia jej pod obrady Sejmu. Ale na tym się skończyło, bo utknęła w sejmowej Komisji Sprawiedliwości. To, że prace nad nią się nie toczą, jest zapewne decyzją polityczną premiera.

Brak prac nad tą ustawą jest jednym z niewielu zarzutów, jakie usłyszeć można od środowiska sędziowskiego, z którym związany był Waldemar Żurek jako sędzia. Na pytanie, po co uchwalać ustawę, skoro prezydent jej nie podpisze, szef Iustitii Bartłomiej Przymusiński odpowiada, że bez tego trudno realizować plan B, czyli prace nad jednolitym statusem sędziego. Chodzi o to, by znieść podział na sędziów sądów rejonowych, okręgowych i apelacyjnych, żeby wszyscy sędziowie mogli orzekać na każdym szczeblu sądowym, jeśli wygrają konkurs na wolne miejsce. Po wprowadzeniu pomysłu w życie każdy sędzia musiałby zostać powołany na nowo. Taki pomysł miał już wiceminister u Ziobry Łukasz Piebiak, ale został zarzucony. Wtedy miał służyć do pozbycia się sędziów niepokornych, teraz – neosędziów. Ale skoro powołania sędziowskie są w rękach prezydenta Nawrockiego, to nie ma się do czego spieszyć.

Sędziowie są rozczarowani także tym, że Żurek nie zrealizował obietnicy „zgaszenia światła w neoKRS”, czyli doprowadzenia do rozwiązania tego ciała na podstawie wyroków TSUE i ETPCz i uchwały Sejmu. Chodzi o symboliczny wymiar pozbycia się osób, które niszczyły przez blisko osiem lat sądownictwo, uczestniczyły w represjach wobec sędziów i – jak mówi jedna z naszych rozmówczyń – stworzyły zwartą grupę, która do dziś kąsa. Teraz ich kadencja w KRS kończy się naturalnie, minister Żurek „nie zgasił światła”, patronował za to sędziowskiemu opiniowaniu kandydatów, którzy zgłosili się do konkursu na zwalniające się miejsca w KRS, a Sejm w uchwale zobowiązał się ich wybór uszanować. I w końcu wybrał 13 sędziów wskazanych w ten sposób oraz dwójkę rekomendowaną przez PiS i Konfederację. Teraz nie wiadomo, czy prezydent Nawrocki będzie powoływał sędziów wskazanych przez nową KRS.

Ale generalnie środowisko sędziowskie, które walczyło o niezależność sądów za czasów PiS i miało olbrzymie oczekiwania wobec ministra Bodnara, w stosunku do ministra Żurka jest niezwykle wyrozumiałe. Słyszymy, że udało mu się przekonać premiera, by jednak wybrać sędziów na wakujące miejsca w Trybunale Konstytucyjnym (choć trwa tam pat, a nowi sędziowie na skutek sprzeciwu Bogdana Święczkowskiego nie mogą orzekać); jednak została powołana nowa KRS.

Rozliczenia idą opornie

Jednak najważniejszym celem, dla którego Donald Tusk wymienił Adama Bodnara na Waldemara Żurka, było przyspieszenie rozliczeń nadużyć poprzedniej władzy. I tu sukcesu nie ma. Przyczyn jest wiele, nie tylko „piąta kolumna” ziobrowych prokuratorów. Także złe nawyki gromadzenia dowodów ponad miarę i potrzebę, lęk przed umorzeniem sprawy wbrew politycznym oczekiwaniom, a także strach przed zemstą nowego politycznego kierownictwa po zmianie władzy, która przecież prędzej czy później nastąpi.

Niedługo po objęciu przez Żurka funkcji PG pojawiły się „rozliczeniowe” zarzuty, a nawet akty oskarżenia, ale to był najczęściej efekt pracy wykonanej jeszcze za czasów Bodnara. W październiku zeszłego roku POLITYKA podsumowała

© PAP/PAWEŁ SUPERNAK

eprasa.pl 568960d3fb

stan śledztw, w których występowały najważniejsze osoby z czasów rządów PiS. Do dziś niewiele się w nich zmieniło, poza ucieczką na Węgry wiceministra Marcina Romanowskiego po postawieniu mu zarzutów i ministra Zbigniewa Ziobry, gdy prokuratura chciała mu postawić 24 zarzuty związane z nadużyciami w Funduszu Sprawiedliwości. Jarosław Kaczyński nie dostał zarzutów w śledztwie w sprawie budowy tzw. dwóch wież i nieoficjalnie mówi się, że nie ma podstaw, by uznać, że popełnił oszustwo na szkodę austriackiego biznesmena.

Mateusz Morawiecki już ponad 14 miesięcy temu dostał zarzut przekroczenia uprawnień przy wyborach kopertowych, a aktu oskarżenia nie ma. Trwające od grudnia 2023 r. śledztwo w sprawie Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (straty – 1,8 mld zł), za którą odpowiadał premier, nie zaowocowało ani aktem oskarżenia, ani zarzutami. Śledztwo w sprawie zakupu bezwartościowych środków ochrony przed covidem przez KPRM – to samo.

Nie ma efektów śledztwa w sprawie przekraczania uprawnień przez Zbigniewa Ziobrę w związku z dochodzeniami po śmierci jego ojca. Podobnie w sprawie siedmiu śledztw dotyczących nieprawidłowości w podkomisji smoleńskiej Antoniego Macierewicza. Jedynie wiceminister sprawiedliwości Michał Woś został już postawiony w stan oskarżenia za przekazanie z Funduszu Sprawiedliwości pieniędzy na zakup systemu Pegasus przez ABW. Poseł PiS Dariusz Matecki zaś odpowiada przed sądem za defraudację pieniędzy z Funduszu w tzw. wątku szczecińskim, ale na rozprawie się nie pojawił.

Obcy ukryli się w prokuraturze

Waldemar Żurek ma z prokuraturą pod górę. Nie tylko dlatego, że na wysokich stanowiskach w zabetonowanej Prokuraturze Krajowej – w tym w roli pięciu jego zastępców – pozostali żołnierze Ziobry. Adam Bodnar odsunął ich na boczny tor, powierzając zadania analityczne lub zawieszając. Ale samo ich trwanie na urzędzie i pobieranie 60 tys. zł pensji co miesiąc działa na prokuratorów demoralizująco. Słyszy się, że dla części prokuratorów funkcyjnych na różnych szczeblach przechowywanie żołnierzy Ziobry na synekurach pełni funkcję osobistego zabezpieczenia: my was przechowamy teraz, a wy nas – gdyby zmieniła się władza. Z tego powodu nie pociąga się też do odpowiedzialności dyscyplinarnej tych, którzy np. stosowali represje wobec „opornych" prokuratorów.

Żurek nienajlepiej dogaduje się z powołanym za czasów Bodnara prokuratorem krajowym Dariuszem Korneluk iem. To on, nie Korneluk, firmuje w mediach działania prokuratury. Powołał na stanowisko radcy w Ministerstwie Sprawiedliwości prokuratorkę Ewę Wrzosek (którą zwolnił Bodnar), a przy okazji pełni ona funkcję jego nieformalnej doradczyni do spraw karnych (Żurek jest cywilistą), Korneluk – jak Bodnar – przynajmniej deklaratywnie hołduje zasadzie, że nie należy ingerować w niezależność prokuratorów prowadzących konkretne śledztwa. Żurek natomiast gotów jest używać narzędzi wprowadzonych do ustawy o prokuraturze przez Ziobrę, które dają mu prawo zmiany decyzji procesowych prokuratorów, a nawet przejmowania śledztwa do własnego prowadzenia. Tylko kto przeanalizowałby setki tomów kilkudziesięciu najbardziej medialnych spraw, żeby zarekomendować prokuratorowi generalnemu konkretne decyzje procesowe? Kto prowadziłby przejmowane przez niego śledztwa? Trzeba by zbudować równoległą strukturę obok istniejącego już systemu nadzoru instancyjnego nad każdym śledztwem.



Prokuratura od lat podzielona jest nie tylko politycznie. Działają tu rozmaite koterie i powiązania nieformalne, zaszłości historyczne, a więc rekomendacje personalne mogą mieć także drugie dno i nieprzewidziane konsekwencje. Jeśli przy tym nie ma się zaufania do prokuratora krajowego, który podejmuje decyzje kadrowe i otoczył się swoimi ludźmi – to łatwo nie jest.

Ziobro rządził tym wszystkim za pomocą kija i marchewki, przekupstwem i represjami, co premiowało miernoty i karierowiczów i nie jest wzorcem do naśladowania. Żurek pokazał stanowczość, gdy w zeszłym miesiącu swoją „osobistą" – jak podkreślała rzeczniczka PK Anna Adamiak – decyzją odwołał sześciu prokuratorów delegowanych do katowickiego oddziału zamiejscowego Prokuratury Krajowej ds. Przestępczości Zorganizowanej, którzy zajmowali się śledztwem w sprawie Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych i sprawą Zondacrypto.

Nakazał wycofanie aktu oskarżenia wobec Wojciecha Kwaśniaka, wiceszefa KNF, za rzekomy brak nadzoru nad SKOK Wołomin (w rzeczywistości to on ujawnił aferę SKOK). Zdecydował o wycofaniu się prokuratury ze sprawy o zniesławienie rzeczniczki Straży Granicznej znanej z kontrowersyjnych komunikatów w sprawie działań SG wobec migrantów na granicy z Białorusią. Interweniował w sprawie ślimaczącego się śledztwa dotyczącego negowania przez Grzegorza Brauna mordowania Żydów w komorach gazowych Auschwitz.

Realia studzą nadzieje

Prokuratorzy mają jednak do Żurka pretensje, że nie wysłał do rządu ustawy ponownie rozdzielającej prokuraturę od rządu. Pytany przez nas dlaczego, odpowiada, że najpierw potrzebne są inne reformy w prokuraturze. Chciałby wprowadzić konkursy na wolne etaty, na wzór tych sędziowskich. W przygotowaniu jest nowy regulamin urzędowania prokuratury, którym można takie konkursy wprowadzić. Jego zdaniem należy przyjmować do pracy w prokuraturze jak najwięcej absolwentów Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, bo są świetnie przygotowani, w odróżnieniu od osób, które przychodzą do prokuratury z innych zawodów prawniczych, by dosłużyć się stanu spoczynku. Otworzył filię KSSiP w Gdańsku i zamierza otworzyć drugą w Poznaniu.

Swoją drogą zmiana pokoleniowa może być dobrym remedium na łamane latami przez kolejnych polityków w roli prokuratora generalnego prokuratorskie kręgosłupy. Ale nic z tego nie będzie, jeśli w pracy natychmiast zetkną się z żądaniem spełniania politycznych oczekiwań.

Widać, że Waldemar Żurek nie składa jeszcze broni, ale jego rządowa przyszłość jest w rękach premiera Tuska, który może zdecyduje się na jeszcze jedno nowe otwarcie w „rozliczeniach", jeśli uzna to za politycznie wydajne. Albo stwierdzi, że już lepiej nie podgrzewać tego tematu i dać Żurkowi zrobić tyle, ile się da. Jedno jest pewne: wydawało się, że sprawiedliwość po Ziobrze to resort samograj, jak edukacja po Czarnku, ale polityczne realia szybko ostudziły te nadzieje.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 568960d3fb



Prof. **Zbigniew Izdebski** (ur. w 1956 r. w Żarach) – pedagog, seksuolog, specjalista zdrowia publicznego; pracuje na Uniwersytecie Warszawskim i Zielonogórskim. Koordynator zespołu ekspertów ds. podstawy programowej edukacji zdrowotnej. Od 2010 r. stały współpracownik Instytutu Kinseya – jako jeden z czterech Europejczyków. Uhonorowany medalem Światowej Akademii Medycyny Alberta Schweitzera za humanizację medycyny.

Eros na kozetce

O seksie Polaków, tematach tabu i własnej chorobie mówi seksuolog prof. Zbigniew Izdebski

MALWINA DZIEDZIC: **– Rak czy seks – o czym trudniej nam rozmawiać? Aktorka Hanna Bieluszko opowiadała niedawno: „Kiedy w eleganckim towarzystwie zaczynałam mówić o moim raku, czułam, jakbym zrobiła coś niestosownego”.**

ZBIGNIEW IZDEBSKI: – Nawet pytanie kogoś chorego onkologicznie „Jak się czujesz?” bywa tabu! Ludzie milczą z różnych powodów, nie wiedzą, czy takim pytaniem nie naruszą granic. Są przecież osoby, które nie chcą o tym mówić, i takie, które rozmawiają swobodnie. Jedno i drugie nie jest łatwe. Zarówno w kwestiach onkologicznych, jak i zdrowia seksualnego brakuje nam kultury dyskusji. Temu służą kampanie, np. „Rak to nie wyrok”, oraz postawy osób publicznych, które oswajają chorobę i mówią o profilaktyce.

© RADEK POLAK

eprasa.pl 568960d3fb

Choroba była dla pana profesora zaskoczeniem?

Kiedy jesienią ubiegłego roku zostałem pacjentem onkologicznym, też zadałem sobie to pytanie. Nie tylko zajmuję się przecież promocją zdrowia i profilaktyką, ale sam też regularnie się badam. Moja starsza 42-letnia córka jest osobą z niepełnosprawnością, co stanowi dla mnie podwójną mobilizację, bo mamy z żoną ogromne poczucie odpowiedzialności za jej przyszłość.

Razem z moją lekarką szukaliśmy przyczyny moich dolegliwości, choć rutynowe badania pokazywały, że wszystko mieści się w normie. Dzięki jej dociekliwości i szczegółowej diagnostyce udało się w końcu chorobę wykryć i przeprowadzić operację.

Do choroby podszedłem jak do kolejnego wyzwania. Ale jako honorowy obywatel Zielonej Góry odbyłem rozmowę z wiceprezydentem miasta dotyczącą warunków pogrzebu. Doprecyzowaliśmy te kwestie na wszelki wypadek. Ucieszyło mnie, że potraktował tę rozmowę poważnie, a nie kurtuazyjnie. Druga rzecz: byłem w banku i przekazałem żonie wszystkie informacje dotyczące naszych spraw majątkowych; chciałem, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Kiedy to zrobiłem, poczułem się spokojniejszy.

Zwolnił pan tempo?

Obecnie jestem w trakcie chemioterapii. To nieprzyjemne doświadczenie, ale nauczyłem się żyć od chemii do chemii. Jak co tydzień, już od 30 lat, dalej kursuję między Warszawą a Zieloną Górą. Choć zawiesiłem przyjmowanie pacjentów i ograniczyłem wyjazdy zagraniczne oraz udział w konferencjach. Wiedząc, że w grudniu będę miał operację, pod koniec listopada poleciałem jeszcze do Stanów. Chciałem zraportować projekt badawczy dotyczący zdrowia seksualnego i seksualności Polaków, którego wartość wynosi 26,5 mln zł. Jako członek Instytutu Kinseya jestem zobowiązany do systematycznego raportowania aktywności naukowej, więc przyspieszyłem wyjazd, mając świadomość nadchodzących ograniczeń.

Doświadczył pan profesor „cancer ghostingu"? Tego strachu, nieporadności, kiedy ktoś się dowiaduje, że znajoma osoba choruje, ale nie wie, jak o tym rozmawiać, więc wycofuje się z relacji?

Mam szczęście, bo obracam się w kręgu, w którym o trudnych tematach rozmawiamy otwarcie. Mój bliski współpracownik Maciej Białorudzki ma listę ludzi, którym raportuje o moim stanie zdrowia, bo niektórzy nie dzwonią bezpośrednio, nie chcąc przeszkadzać. To jest w porządku. Wiem jednak, że się interesują. Wiadomo, że są dni lepsze i gorsze. Np. jutro miałem mieć chemię, ale już wiem, że nie pojadę do kliniki, bo poziom płytek krwi jest zbyt niski.

Mam kalendarz wypełniony planami i optymistycznie zakładam, że leczenie zakończy się sukcesem, choć w życiu bywa różnie. Mam też poczucie, że jestem w doskonałych rękach i nikt mnie tanio nie pociesza – z chirurgiem i onkologiem rozmawiamy bardzo konkretnie o przebiegu leczenia. Od lat starałem się wprowadzać do programów kształcenia lekarzy przedmiot dotyczący nie tylko humanizacji medycyny, lecz przede wszystkim komunikacji klinicznej: relacji lekarz–pacjent. Bo w Polsce to temat mocno zaniedbany.

A co z komunikacją w domu? Wspomniał pan o córce. Magda ma czterokończynowe porażenie mózgowe, niepełnosprawność wymusza zaś pewne rytuały, bycie w gotowości…

Córka wie o mojej chorobie. Mimo swojej niepełnosprawności ruchowej intelektualnie jest w pełni sprawna. Choć nie mówi, porozumiewa się z nami za pomocą komunikacji alternatywnej. Dużo rozmawiamy o tym, co się dzieje. Mam też świadomość, jak wiele zawdzięczam mojej żonie – przecież nawet kiedy byłem zdrowy, w czasie moich cotygodniowych wyjazdów do Warszawy, to na niej spoczywało gros obowiązków. Jesteśmy małżeństwem od ponad 40 lat. Celina jest farmaceutką; kochała swoją pracę, ale wybrała opiekę nad córką. Podjęliśmy tę decyzję wspólnie.

Dużo podróżujemy po Polsce, bo dalsze wyjazdy są logistycznie trudne. Kiedy ktoś widzi nas w restauracji i mnie rozpozna, widać po reakcjach, że trudno mu połączyć wizerunek profesora zajmującego się seksem z mężczyzną spędzającym czas z żoną i córką z niepełnosprawnością. Chyba wyobrażają sobie takiego specjalistę zupełnie inaczej...

Bo zderzają się tu dwa tematy, które w powszechnym wyobrażeniu się wykluczają?

Tak, to się wiąże. Moja córka jest bardzo piękną kobietą, ale zmaga się z silnymi ruchami mimowolnymi. Ona także ogląda się za facetami – zaznaczam: tylko za przystojnymi. Ale nie tylko to się ludziom wyklucza. Kiedy siedzimy w restauracji i karmimy Magdę, a potem podajemy jej prosecco, które lubi, widzę wzrok innych. Patrzą zszokowani: „Matko, osoba z niepełnosprawnością, a oni poją ją winem!". Podobnie kiedy kelner przynosi dwa kieliszki – rzadko stawia jeden z nich bezpośrednio przed moją córką. Ja prowadzę samochód, więc piją moja żona i córka, a i tak traktują Magdę, jakby jej przy tym stole nie było.

Magda bardzo przeżyła protest osób z niepełnosprawnościami w Sejmie w 2018 r. Jako rodzic OzN ma pan poczucie, że od tego czasu coś się wyraźnie zmieniło? Bo jednak te protesty, choć już nie tak głośne, regularnie powracają.

Owszem, zmiany przebiegają zbyt wolno, jednak są. Czekamy na ustawę dotyczącą asystencji. Jeśli chodzi o wsparcie finansowe, pewne rzeczy wyraźnie się poprawiły. Czy wystarczająco? Nie. Ale poprawę widać. Dobrym przykładem są dofinansowania do samochodów czy sprzętu. Choć bywają sytuacje absurdalne. Mamy w domu kilka wózków. Do jednego chcieliśmy zamontować silnik, żeby łatwiej było go pchać podczas dłuższych spacerów czy wyjazdów w góry. Jestem przecież teraz słabszy. Pojechaliśmy więc do sklepu medycznego w Zielonej Górze. Silniczek kosztował ok. 9,8 tys. zł, sprzedawca powiedział nam jednak, że mamy prawo do dofinansowania. Złożyliśmy więc wniosek. Ale świadczenia nam odmówiono, bo może je otrzymać osoba, która jeździ na wózku i sama porusza kołami. Moja córka zaś ma ręce spastyczne, a poza tym jej wózek ma niskie koła – nie ma nawet jak samodzielnie nim sterować. To pokazuje, że w systemie wciąż jest wiele rzeczy nielogicznych. A przecież takich rodzin jak nasza jest wiele. Dzieci stają się dorosłe, a my się starzejemy i tracimy siły. Nie wszystkich stać, żeby za taki sprzęt zapłacić.

W tym roku kolejny raz trafił pan na Listę Stu „Pulsu Medycyny" – jako jedna z osób wywierających największy wpływ na polski system ochrony zdrowia. Ba, jest pan w trakcie badań na ogromną skalę. Czego się z nich dowiemy?

Te 26,5 mln zł, o których wspominałem, to dotacja, którą Uniwersytet Warszawski otrzymał z Agencji Badań Medycznych w ramach programu epidemiologicznego. Badania dotyczą zdrowia seksualnego i planów prokreacyjnych Polaków. ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ Projekt potrwa do 2030 r. Dla mnie, w tym wieku, to spełnienie marzeń naukowych. Będziemy badać prawie 27 tys. osób! To pozwoli ponownie skonstruować erotyczny pejzaż Polski, bardzo pogłębiony. Zobaczymy, czy potwierdzą się np. różnice między Polską wschodnią i zachodnią. Wśród badanych jest także ponad 2 tys. studentów z różnych miast. Będziemy ich zachęcali m.in. do bezpłatnych testów na HIV. Do tego będziemy też badać osoby ze środowisk MSM, czyli mężczyzn mających seks z mężczyznami, oraz osoby praktykujące tzw. chemseks. Seks pod wpływem substancji psychoaktywnych to znacząca przemiana obyczajowości seksualnej. Jest szczególnie niebezpieczny, bo człowiek traci kontrolę nad zachowaniami.

Potrzebujemy jeszcze więcej bodźców w tym przebodźcowanym świecie?

Coraz więcej! Wystarczy spojrzeć na pornografię. Filmy pornograficzne z dawnych lat i te dzisiejsze to zupełnie inne obrazy: pod względem dynamiki, aktywności, wydolności. Polska jest dużym konsumentem pornografii, na której szczególnie skoncentrowaliśmy się w czasie covidu. Nie jestem jej przeciwnikiem. Jeśli oglądają ją osoby dorosłe, wiedzą po co i mają do niej dystans – proszę bardzo. Ale jeśli ktoś chce traktować pornografię jako inspirację albo materiał edukacyjny, to jest problem. Przychodzi do mnie np. mężczyzna z przekonaniem, że ma przedwczesny wytrysk. Pytam, ile trwa stosunek, a on mówi: „15–20 minut". Z punktu widzenia dysfunkcji seksualnej to nie jest przedwczesny wytrysk. Ale jeśli patrzy na film pornograficzny i widzi, ile tam mężczyzna może współżyć, chciałby co najmniej tyle samo.

Z kolei u niektórych kobiet filmy pornograficzne powodują lęk przed współżyciem – zwłaszcza tych z niewielkim doświadczeniem seksualnym. Oglądają porno, widzą, co się dzieje z ciałem innej kobiety, gdzie trafia penis i ile trwa seks, i są przerażone. A przecież konsumentami pornografii są także nastolatkowie.

Których powinniśmy edukować. Rząd niby to wie, ale boi się uczyć młodych o zdrowiu seksualnym.

To zawstydzające, nie tylko rozczarowujące. Edukacja zdrowotna w dużej mierze należy do obszaru medycyny prewencyjnej – zawsze lepiej inwestować w profilaktykę niż później w leczenie. Od września ma być obowiązkowa w części skoncentrowanej m.in. na zdrowiu psychicznym, fizycznym czy na uzależnieniach. To, co dotyczy zdrowia seksualnego, ma być osobną częścią – fakultatywną. Godzin będzie mało, do tego rodzice będą musieli wyrazić zgodę. To nie jest dobre rozwiązanie. A przecież nigdy wcześniej holistyczna edukacja zdrowotna dzieci nie była tak potrzebna jak teraz. Zarazem wiem, że ten kompromis to pewna konieczność, żeby w ogóle coś udało się zrobić. Sądzę, że Barbara Nowacka jest zdeterminowana, żeby ten przedmiot wprowadzić, nie ma w tym jednak wystarczającego wsparcia ze strony rządu.

A z czym Polak przychodzi do seksuologa?

Przede wszystkim z nerwami – że w ogóle musiał przyjść. Bo, niestety, nie nauczyliśmy się dbać o nasze zdrowie seksualne. Mężczyźni przychodzą najczęściej z zaburzeniami erekcji, przedwczesnym wytryskiem, lękiem przed współżyciem. Czują się zalęknieni, bo kobiety stały się bardziej świadome swojej seksualności, mają oczekiwania, często wprost artykułują niezadowolenie. I coraz rzadziej mówią: „Nie martw się, to się zdarza". Druga rzecz to stres i zmęczenie. Pracujemy dużo, nawet za dużo. A to przekłada się na naszą formę. Czasem pacjent przychodzi i mówi: „Panie profesorze, jestem cały czas podniecony". A w rozmowie okazuje się, że myli podniecenie ze stresem. Jest cały czas spięty i wydaje mu się, że przez współżycie albo masturbację rozładowuje napięcie. Ale to nie jest napięcie seksualne, tylko stres.

U kobiet stres i zmęczenie są podobne. Ale przychodzą także z tym, że nie przeżywają orgazmu, że stosunek trwa zbyt krótko albo bywa bolesny. A kiedy pytam, czy rozmawiały o tym z ginekologiem, okazuje się, że nie. To błąd. Ginekolodzy sami powinni pytać kobiety o aktywność seksualną: czy życie seksualne jest aktywne, satysfakcjonujące, czy pojawiają się trudności.

Chętnie chwalimy się, że mamy dobrego ginekologa, psychologa czy ortopedę, ale seksuologa – już nie. Nadal wstydzimy się, że ten seks uprawiamy? Że mamy jakieś preferencje lub problemy?

Nadal trudno nam o tym rozmawiać. Młodzi może dużo mówią o seksie, ale w sposób zwulgaryzowany – uczą się tego z internetu. Nieraz nawet twierdzą, że ten seks uprawiają, choć wcale tak nie jest, mają jednak poczucie, że wszyscy wokół to robią, więc i oni powinni. Ale za tym wszystkim też kryje się wstyd. Osoby w średnim wieku są bardziej oswojone z tematem, ale to pokolenie, którego też nie nauczono rozmawiać swobodnie o seksualności. Największą trudność mają zaś ludzie w późniejszej fazie życia, dla których seks bywa ważny, ale którzy słyszą: „Ale jak to, jesteś babcią/dziadkiem!". I głupio powiedzieć córce czy synowi, że owszem, potrzebuję bliskości.

Moim zdaniem istnieją trzy tabu polskiej seksualności: seksualność dzieci i młodzieży, seksualność osób z niepełnosprawnościami oraz seksualność osób starszych. Traktujemy dzieci i młodzież tak, jakby były aseksualne – jeśli mówimy o zbyt wczesnym rozpoczynaniu współżycia, to na pewno chodzi o dzieci sąsiadów, nie nasze. Podobnie patrzymy na niepełnosprawnych i seniorów – jak niemal na aseksualnych.

Tymczasem nastąpiła w Polsce zmiana obyczajowa, którą częściowo zawdzięczamy Uniwersytetom Trzeciego Wieku, bo prowadzą kursy korzystania z internetu. I coraz częściej także seniorzy otwierają strony, na których można kogoś poznać. I oczywiście trzeba uważać, bo ktoś może nas oszukać, ale można też znaleźć tam kogoś, z kim przeżyjemy miłosne uniesienie. Może nie będzie takie jak w młodości, bo intensywność miłości w różnych fazach życia jest inna, ale będzie, a to ważne.

Dlatego do gabinetów seksuologicznych przychodzą także ludzie na emeryturze. Mężczyzna powie, że poznał kogoś, ale boi się, że mu nie wyjdzie, będzie oceniany. Albo że partnerka jest młodsza i może to nie wypada... Kobiety podobnie. Mówią: „Może to głupie, ale chciałabym seksu, a mam siedemdziesiątkę". I pytają, na wszelki wypadek, czy nie są erotomankami.

Do tego często seniorzy muszą ukrywać swoje związki. Bo rodzina tej miłości w późnym wieku nie akceptuje, uważa, że mamie czy babci coś odbiło; martwi się, na kogo zostanie przepisane mieszkanie itp. Przyzwyczailiśmy się też, że dziadek czy babcia na emeryturze – często jeszcze relatywnie młodzi ludzie – mają pomagać w opiece nad dziećmi. Jednak osoby ze starszego pokolenia coraz częściej się przed tym bronią, chcą realizować swoje potrzeby. A ja jestem fanem miłości i sądzę, że wszyscy na miłość zasługujemy. Na każdym etapie życia.

eprasa.pl 568960d3fb

GALERIA POLITYKI



BASIA DZIEDZIC

Nowe media bardzo zmieniły nasze relacje?

Dzięki nim możemy wprost porozmawiać o naszych pragnieniach. W związkach, w których mało rozmawia się o seksie, ktoś nieraz zapyta po wszystkim: „Dobrze ci było?" – cokolwiek miałoby to znaczyć. A tutaj sytuacja jest jasno określona: co lubisz, czego nie, o czym marzysz. Nie musisz się czerwienić, że powiedziałaś komuś, że lubisz seks oralny. Na niektórych stronach wypełnia się ankietę dotyczącą preferencji: kto cię interesuje, jakie masz oczekiwania, czy lubisz seks oralny, analny, a może chcesz seksu w trójkącie? – ten ostatni to zresztą częste marzenie Polek i Polaków. Bywają osoby, które spotkały się w realu z kimś, z kim wcześniej korespondowały. I przychodzą do mnie, mówiąc: „Tyle o seksie nie rozmawiałam nawet z własnym mężem!".

Nie boi się pan, że także seksuologów za chwilę zastąpi AI? Bo łatwiej otworzyć się przed maszyną niż przed człowiekiem?

My to już obserwujemy. AI wchodzi w różne obszary naszego życia. Ludzie przychodzą do lekarza z gotową diagnozą, mówią, że mają to i to, albo oczekują przepisania konkretnych leków, bo konsultowali się ze sztuczną inteligencją. Ale też szukają relacji z różnymi botami, co rzeczywiście może być zagrażające. Choć to nic nowego, że są osoby, które przeżywają przyjemność seksualną bez fizycznego partnera. Słyszę np. często pytanie, czy to w porządku, że nigdy nie przeżyłam z mężczyzną takiego orgazmu jak z wibratorem – który do tego „bardzo się jej słuchał" i nie miał humorów.

A jak jest z seksem w Ameryce? Prezydentura Trumpa i aktywność ruchu MAGA odcisnęły piętno także na sferze seksualności?

Ameryka i po względem podejścia do seksu jest bardzo podzielona. Znaczenie ma tu nie tylko biologia, ale też uwarunkowania kulturowe, społeczne i religijne. Badania Kinseya w latach 50. wywołały poruszenie, bo pokazały rzeczywistość Ameryki i jej podwójne standardy: przywiązanie do rodziny, religii i tradycji z jednej strony, a z drugiej – zdrady, relacje równoległe, homoseksualność. Amerykanie nie mogli się z tym pogodzić. Myślę, że dziś te podwójne standardy także występują w prawie, obyczajowości, podejściu do tradycyjnej rodziny.

Jednocześnie po rewolucji seksualnej, a także po badaniach Mastersa i Johnson, którzy koncentrowali się na fizjologii seksu, Amerykanie wcześniej niż my dochodzili do pewnych kwestii. Do dziś mają większą świadomość swoich potrzeb seksualnych i większą otwartość na korzystanie z pomocy terapeutycznej, psychoterapeutycznej czy seksuologicznej. Mają też bardzo rozbudowaną sieć wsparcia dla ludzi o różnych potrzebach, orientacjach i preferencjach seksualnych.

Donald Trump próbuje to zawrócić.

Podczas mojej ostatniej podróży do USA obserwowałem, jak decyzje prezydenta mogą wpływać nawet na uniwersytety. Choćby przez wstrzymanie dotacji rządowych, bo komuś nie podoba się realizacja projektów badawczych albo podejście do seksualności. Jako osoba, która od wielu lat tam pracuje i zna tamtejszy świat akademicki, mogę powiedzieć tylko: nie spodziewałem się, że coś takiego może się w Ameryce wydarzyć.

Ta konserwatywna cofka widoczna jest i u nas.

Ale u nas również są te podwójne standardy! Wystarczy spojrzeć na niektórych polityków: głoszą poglądy o seksualności, rodzinie, niepodważalnej wartości tradycji, choć sami często nie żyją według tych zasad – o czym wiedzą wszyscy dookoła, choć niekoniecznie sami wyborcy. Buntuję się przeciwko temu, zwłaszcza kiedy słyszę, co on albo ona mówi jako polityk, a jednocześnie znam ich zachowania i upodobania.

Spór o rejestrowanie małżeństw jednopłciowych też obnażył tę hipokryzję.

A przecież przy okazji widzimy takie piękne przykłady jak ten z Wrocławia: zarejestrowano związek dwóch mężczyzn, którzy są ze sobą od 50 lat. Niełatwo być z kimś przez pół wieku! – ani w relacjach heteroseksualnych, ani homoseksualnych.

Kończy pan 70 lat, w zawodzie jest już pół wieku. Czasy się zmieniają, a politycy wciąż boją się naszej seksualności?

To straszne, ale mimo upływu tylu lat ich wiedza w podstawowych kwestiach bywa na zerowym poziomie. Pamiętam, jak kiedyś z Magdą Środą zaproponowaliśmy szkolenie w Sejmie na temat kwestii etycznych i zdrowia seksualnego. Osoby, które zostają parlamentarzystami, nie muszą się znać na wszystkim. Ale skoro stanowią prawo, powinny wiedzę nadrabiać: konsultować się, zasięgać opinii eksperckich, po prostu się douczyć. Jednak problemem polskich polityków jest to, że nie mają moralnego poczucia odpowiedzialności społecznej czy obywatelskiej, za to mają silne poczucie władzy.

ROZMAWIAŁA MALWINA DZIEDZIC

eprasa.pl 568960d3fb

Wkoło roweru

Wchodzący właśnie w życie obowiązek jazdy w kaskach podzielił środowisko rowerzystów. Jako marchewkę rządzący obiecują drogi rowerowe. Tyle że to projekt na kiedyś, a rowerzyści domagają się zmian teraz. Choćby w przepisach, czy w kwestii kradzieży rowerów, których przybywa.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Od 3 czerwca dziecko do 16. roku życia bez kasku na rowerze czy hulajnodze oznacza dla rodziców wydatek rzędu 100 zł. Po znowelizowaniu przepisów Kodeksu ruchu drogowego tyle wynosi mandat. Umówmy się, kara jest symboliczna, a policja i tak zapowiada, że raczej będzie pouczać, niż mandatować. Ale to największa zmiana w podejściu



Droga rowerowa Wałcz–Kołobrzeg wytyczona na dawnym szlaku kolejowym

eprasa.pl/568960d3fb

do rowerzystów od wielu lat. – *I kolejna, która przerzuca na nich odpowiedzialność za to, że na polskich drogach nie mogą czuć się bezpiecznie, a wypadków i zabitych na rowerach jest ciągle za dużo* – mówi Andrzej Janowski z Federacji Rowerowej.

W zeszłym roku zginęło 155 rowerzystów. Poseł Łukasz Litewka w chwili wypadku miał kask na głowie. Ale nie mógł mu uratować życia, bo prędkość i siła uderzenia auta były zbyt duże. Podobnie dzieje się w większości tego typu wypadków. Kaski chronią mózg, ale nie mogą ratować życia. Życie ratuje ostrożna jazda i dobra infrastruktura drogowa. Dobra, czyli najlepiej odseparowana od ruchu samochodowego. Tyle że infrastrukturę buduje się latami, a kaski można wprowadzić jednym aktem prawnym.

Kij

Paradoksalnie przez lata największym hamulcowym obowiązku jazdy w kaskach byli sami politycy, którzy dobrze wiedzieli, że to nie jest pomysł z kategorii „świetnie, zróbmy to". Politycy bali się nie tylko samej natury Polaków, którzy nie lubią nakazów i zakazów. Ale przede wszystkim sprzeciwu środowiska rowerowego, którego przekaz był jasny. Problem nie jest po stronie rowerzystów.

Koronnym argumentem przeciwko kaskom paradoksalnie okazało się najbardziej rowerowe państwo świata, czyli Królestwo Niderlandów (kiedyś nazywane Holandią), w którym nie tylko nie ma takiego obowiązku; więcej, nie ma również rowerzystów w kaskach. Ewentualnie spotkać ich można sporadycznie, ale dotyczy to głównie tych, którzy uprawiają sporty rowerowe i chronią głowę ze względu na duże prędkości. – *Typowy Holender kasku nie używa, bo jazda na rowerze jest tam traktowana jak zwykły spacer, a poczucie bezpieczeństwa na drodze jest wysokie. To zasługa dobrej infrastruktury, ale też tego, że kierowcy przyzwyczaili się, że muszą uważać, bo rowerzyści są wszędzie. I to w ten sposób, a nie obowiązkiem noszenia styropianowego kasku na głowie, dba się o bezpieczeństwo użytkowników ruchu drogowego pozbawionych osłon, poduszek powietrznych i tony stali, które chronią kierowców* – dodaje Janowski z Federacji Rowerowej.

Ale Polska nie jest Holandią. Tym bardziej że 2025 r. okazał się krytyczny pod względem liczby wypadków śmiertelnych z udziałem dzieci. Co prawda nie były to dzieci na rowerach, a głównie na elektrycznych hulajnogach. Jednak przekaz był taki, żeby chronić dziecięce głowy. I w sumie było to logiczne. – *Mózg, zwłaszcza dziecka, jest organem niezwykle delikatnym. I zaledwie w niewielkim stopniu podlegającym regeneracji. Noga się zrośnie, łokieć możemy zoperować. Uszkodzony mózg może oznaczać wyrok na całe życie* – mówi dr Łukasz Rakasz, neurochirurg, ordynator oddziału neurologii dziecięcej z warszawskiego szpitala przy ul. Niekłańskiej.

W zeszłym roku takich wyroków dzieci dostały całe mnóstwo. – *W pewnym momencie nie było dnia, żeby na nasz SOR nie trafiało przynajmniej jedno dziecko z urazem twarzoczaszki albo w obrębie czaszki* – dodaje Rakasz. Według policyjnych statystyk (nie wszystkie wypadki zostały w nich odnotowane) w zeszłym roku doszło do 1158 wypadków na hulajnogach elektrycznych.

Stan dzieci, które brały w nich udział, był różny. Jedne kończyły ze złamaniami albo wstrząśnieniem mózgu. Ale były też przypadki, które kończyły się trwałym kalectwem.

Krzywa śmierci w 2025 r. była tak wysoka, że decyzja o drastycznych rozwiązaniach przyszła właściwie automatycznie. W 2022 i 2023 r. na hulajnogach elektrycznych zginęło sześcioro dzieci. Rok później w samym 2024 r. zgonów było już pięć. A w 2025 r. aż 11 dzieci zginęło na hulajnogach elektrycznych. 14 lipca na posiedzeniu Krajowej Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego zapadła decyzja zobowiązująca rząd do wprowadzenia obligatoryjnego obowiązku jazdy w kaskach dla dzieci do 16. roku życia. Zmiany poszły szybką ścieżką legislacyjną. A nowy prezydent Karol Nawrocki, który miał już na koncie kilka spektakularnych wet, nowelizację Kodeksu ruchu drogowego podpisał. Rodzice dostali ponad pół roku, żeby kupić dzieciom kaski. Ale jak zgodnie wynika z danych sprzedażowych producentów, jakiegoś wielkiego popytu tu nie odnotowano. Być może część czeka na obiecane kaski od rządu.

Marchewka

Jeszcze w grudniu zeszłego roku Ministerstwo Infrastruktury zrobiło pierwszą przymiarkę do zakupu kasków dla dzieci. Właściwy przetarg ogłoszono w lutym. Zamówienie opiewało na 65 tys. kasków, które zwycięzca przetargu miał dostarczyć do wojewódzkich kuratoriów oświaty. Pomysł resortu był taki, żeby kaski były wręczane dzieciom przy okazji egzaminów na kartę rowerową. Tyle że egzaminy zaczynają się w kwietniu, a dopiero pod koniec tego miesiąca udało się wyłonić zwycięzcę przetargu i 24 kwietnia podpisać z nim umowę. Wygrała firma Media Check Point, która z kaskami nie była wcześniej kojarzona. Jeśli już, to z gadżetami promocyjnymi. Ale kaski mają mieć certyfikat i dostawca zapewnia, że je mają. Dostawy mają dotrzeć do 7 lipca tego roku. Czyli już w wakacje, kiedy skończą się tegoroczne egzaminy na kartę rowerową.

Ale dla rowerowych aktywistów nie to jest najbardziej kuriozalne, tylko sama karta rowerowa, którą oprócz Polski trzeba mieć jedynie w Korei. – *Karta jest dokumentem oderwanym od rzeczywistości. Proces jej uzyskiwania odbywa się w sztucznych warunkach, a nie w prawdziwym ruchu drogowym. System udaje, że uczy, a dzieci udają, że coś umieją* – mówi Aleksander Wiącek, koordynator kampanii Edukacja Rowerowa 2.0 (ER 2.), który od ponad 10 lat zajmuje się edukacją najmłodszych z zakresu bezpieczeństwa ruchu drogowego.

Wiącek i większość organizacji rowerowych w Polsce zwracają uwagę, że przepisy nijak nie przystają do rzeczywistości. – *Z dzieci do lat 10 na rowerach formalnie zrobiono pieszych, więc np. jezdnią muszą jechać po lewej stronie i, co do zasady, nie mogą jechać po drodze dla rowerów, tylko muszą po chodniku, za to mogą przejechać po przejściu dla pieszych. Każdy rodzic, który dla dobra dziecka chce je uczyć umiejętności jazdy w ruchu drogowym przed kartą rowerową, musi więc łamać przepisy* – tłumaczy Wiącek. To klasyczny bareizm, których zresztą polskie przepisy dotyczące rowerzystów są pełne. Ale problem jest właściwie strukturalny. – *Przedmiotu uczą nauczyciele, którzy często sami nie jeżdżą rowerem*. Przeszkolenia dla kadry odbywają się w Wojewódzkich Ośrodkach Ruchu Drogowego. – *Znamy ich przebieg. Trwają kilka godzin i skupiają się głównie na tym, jak zorganizować egzamin* – dodaje Wiącek.

W resorcie edukacji nie ma poczucia, że z kartą rowerową coś jest nie tak. Urzędnikom nie przeszkadza nawet to, że materiał z tego zakresu przyczepiony jest do innego przedmiotu, czyli techniki. Program jest przeładowany (książka ma ponad 100 stron), za to liczba godzin naskórkowa, bo zaledwie jedna w tygodniu, przez dwa lata w klasach od IV do VI. – *Aby bezpiecznie uczestniczyć w rzeczywistym ruchu drogowym, uczniowie* ▶

© WOJEWÓDZTWO ZACHODNIOPOMORSKIE

eprasa.pl 568960d3fb

▶ *powinni bezwzględnie najpierw opanować jazdę rowerem w praktyce w miasteczku ruchu drogowego lub na placu szkolnym odpowiednio do tego przygotowanym* – upierają się urzędnicy z MEN.

A aktywiści rowerowi rwą włosy z głowy na ten tok myślenia. – *Młodzież zdająca na prawo jazdy nie uczy się jeździć na boisku czy sali gimnastycznej. A przyszły rowerzysta ma bezwzględny zakaz jeżdżenia w naturalnych warunkach. Czego można te dzieci nauczyć w taki sposób?* – irytuje się Wiącek.

Niewiele mądrego. Z dnia na dzień dziecko, które jeszcze dzień wcześniej poruszało się po chodniku, musi zjechać na drogę pomiędzy samochody, jeśli obok nie ma drogi dla rowerów. A jeśli szkoła się nie wyrobi z egzaminami, to po skończeniu 10. roku życia w ogóle nie ma prawa jeździć na rowerze. Absurd goni absurd. I nic z tego nie wynika. – *Przepisy MEN w tym zakresie wynikają z przepisów Ministerstwa Infrastruktury* – poinformowało biuro prasowe.

W resorcie infrastruktury problem widzą. – *Regulacje dotyczące zasad uzyskiwania karty rowerowej powstały wiele lat temu i nie w pełni odpowiadają realiom współczesnego ruchu drogowego, w którym rower staje się coraz powszechniejszym środkiem codziennego transportu. Trwają prace analityczno-koncepcyjne* – odpisało biuro prasowe resortu. Od pół roku gotowy projekt zmian przygotowany przez aktywistów rowerowych leży i czeka.

Droga droga

Konkretne prace trwają za to wreszcie nad projektem ustawy o drogach rowerowych. Projekt to duże słowo, bo nikt go jeszcze nie widział. A druk UD401 nie wszedł nawet jeszcze w obszar obróbki sejmowej. Ciągle jest na etapie prac legislacyjnych rządu. Ale znane są już jego wstępne założenia. – *Jest nadzieja, że proces budowy dróg rowerowych nabierze nowej dynamiki. Na dziś jest to mozolne i, co tu dużo mówić, niewdzięczne zadanie wymagające wielokrotnie więcej zgód niż na budowę drogi samochodowej* – mówi Wanda Nowotarska z zachodniopomorskiego urzędu marszałkowskiego, która jest liderką w realizacji tego rodzaju inwestycji. Drogą na skróty jest budowanie dróg rowerowych w bezpośrednim sąsiedztwie dróg samochodowych. – *Przepisy skutecznie blokują inne rozwiązania. Wiele dróg powstaje więc na patencie, jak się mówi w środowisku. My na przykład budujemy większość naszych dróg rowerowych w dawnym śladzie kolejowym* – dodaje Nowotarska. Ale i takie patenty mają swoje ograniczenia. Za czasów pisowskiego programu Kolej Plus rząd dał czerwone światło dla oddawania gruntów kolejowych.

Tamtego rządu już nie ma, a problemy zostały, choć wiadomo, że dawnej sieci kolejowej nie da się odtworzyć i wielu gruntów kolej nie potrzebuje. – *Z tego, co wiemy, nowe przepisy nie pozwolą na wywłaszczenie pod budowę dróg rowerowych prywatnych właścicieli. Ale pozwolą na szybsze przejmowanie gruntów Skarbu Państwa i uproszczą procedury* – dodaje Nowotarska. Kiedy to się stanie, niechciane i niebezpieczne sąsiedztwo rowerzystów i kierowców przestałoby być polskim obligiem.

Tyle że to pieśń przyszłości. W 2015 r. podobną ustawę próbował przeprowadzić rząd Ewy Kopacz. Nie zdążył i sprawa przepadła.

Mniejsza była wtedy również liczba rowerów. A co za tym idzie, skala kradzieży. W Polsce oficjalne statystyki, zwłaszcza na tle innych europejskich krajów, właściwie napawają optymizmem. W zeszłym roku w całej Polsce ukradziono mniej rowerów niż w Amsterdamie w jeden miesiąc. Tyle że w tym zdaniu nic nie jest prawdą. Po pierwsze, i w Amsterdamie, i w Polsce liczba kradzionych rowerów jest zaniżona. W obu wypadkach z podobnych powodów. Niska wykrywalność, długotrwałe procedury i znikoma szansa na odzyskanie utraconego mienia.

Kradzione nie tuczy

Jednak prawda jest taka, że polska policja czasem aż prosi się, żeby ktoś zgłosił się po własny rower. – *Są takie sytuacje, że znajdujemy dziuplę pełną kradzionych rowerów, a złodziej albo paser mówi, że jest kolekcjonerem i to wszystko jego* – opowiada jeden ze stołecznych policjantów. Jeśli policji nie uda się wykazać, że rowery były kradzione i ustalić poszkodowanych, to właściwie sprawę należy umorzyć.

Problem jest ogólnoeuropejski i starszy od samej Unii. Ale są już kraje, które sobie z nim w pewien sposób poradziły. Kluczem do sukcesu jest jedna spójna baza, w której można rejestrować rowery. – *Podstawą takiej bazy musi być jednolity system znakowania rowerów. We Francji po wielu latach udało się nam wypracować takie rozwiązanie* – mówi Olivier Schneider, jeden z ojców i realizatorów tego pomysłu. Przy okazji opowiadania, jak system powstał, przytacza coś na kształt anegdoty. – *Naszym szczęściem, że tak powiem, był fakt, że urzędnikowi, który angażował się w projekt, ukradziono rower. Dopiero co go kupił i tak mu się na nim świetnie jeździło, że poszedł i kupił drugi, dokładnie taki sam* – opowiada Schneider. Kilka dni później ukradziono mu również ten drugi rower. No i rząd francuski rozpisał przetarg na operatora ogólnofrancuskiej bazy danych rowerów. 1 stycznia 2021 r. zaczęła działać baza FNUCI (Fichier national unique des cycles identifiés). Obsługuje je niezależne od państwa stowarzyszenie APIC. Ale policja ma pełen wgląd do bazy.

Każdy producent i importer operujący na terenie Francji mają obowiązek znakować rowery w ten sam sposób. Każdy rower z automatu trafia do bazy. Numer APIC musi być na każdym dowodzie zakupu roweru. Podobnie jak należy w niej zarejestrować nazwisko właściciela. Chyba że ten sobie tego wyraźnie nie życzy. Na dziś w bazie FNUCI jest już 9 mln rowerów. Czy to oznacza, że drastycznie spadła liczba ukradzionych rowerów we Francji? Drastycznie nie. Za to drastycznie wzrosła liczba odzyskanych rowerów. Przed wprowadzeniem systemu zaledwie 0,5 proc. kradzionych rowerów z powrotem trafiało do swoich właścicieli. Obecnie ten wskaźnik jest na poziomie 12 proc. i ciągle rośnie. – *To znaczy, że 24-krotnie powiększyliśmy szansę na odzyskanie rowerów. Utrudniliśmy życie złodziejom i to wszystko właściwie niewielkim kosztem* – mówi Olivier Schneider.

W Polsce ciągle nie ma jednolitej bazy. Jest za to zalew baz, bo każda komenda wojewódzka ma właściwie własną. Policja już od lat prowadzi akcję znakowania rowerów. – *Do dziś nie mogę się nadziwić, po co właściwie to robią, bo przecież te bazy nie są nawet połączone. A jak ukradną ci rower i się pofatygujesz na policję, to i tak każą ci przynieść dowód zakupu, bo samo znakowanie nie jest dowodem, właściwie nie wiadomo, czym jest* – dodaje Schneider. Niewątpliwie jest typowo polskim rozwiązaniem, w którym coś się obiecuje, ale właściwie niczego nie gwarantuje. Rowerzyści dostają całe mnóstwo takich rozwiązań.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Więcej o tych i podobnych tematach słuchaj w podkaście „Rowery, nie bajki". Szukaj na polityka.pl i YouTube.

eprasa.pl 568960d3fb

ZAPRASZAMY NA OLIMP



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 568960d3fb

Polski haj

KATARZYNA KACZOROWSKA



Biorą lekarze i prawnicy, bezrobotni i uczniowie.
Skalę powszechnego używania narkotyków najlepiej widać w... policji.

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 568960d3fb

Komunikaty na stronie policja.pl i doniesienia medialne nie pozostawiają cienia wątpliwości. Miesięcznie ilości przejmowanych narkotyków idą w tony. Są spektakularne zatrzymania, międzynarodowa przestępczość, laboratoria działające w spokojnych wsiach – to hurt. W Krakowie właśnie ruszył proces Michała S. ps. Smog, którego prokuratura, opierając się na dowodach zebranych m.in. przez FBI, oskarża o przemycenie do Polski co najmniej 700 kg marihuany, ale też kokainy, mefedronu, amfetaminy i ecstasy. Łącznie wartość rynkowa narkotyków oszacowana została na ok. 13 mln zł.

Ale jest też detal. 19 maja kryminalni z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu przejęli prawie 11 kg narkotyków i blisko 10 litrów płynnych substancji. Oferta frontem do klienta: marihuana, amfetamina, mefedron. Tego samego dnia na warszawskiej Woli zatrzymano parę, która w mieszkaniu i komórce lokatorskiej zgromadziła prawie 3 kg amfetaminy, ponad 2 kg ecstasy, pół kg marihuany, 210 g kokainy i ponad 200 g tzw. różowej kokainy Tusi – rzadkiej i niebezpiecznej syntetycznej mieszanki. Dzień wcześniej w Grudziądzu zatrzymano 37-latka – w jednym z wynajmowanych mieszkań miał ponad 19 kg mefedronu, 5,3 kg amfetaminy, 2,2 kg marihuany, 2,2 kg metamfetaminy i 2 kg substancji 3-CMC. Gmina Masłów w Świętokrzyskiem tego samego dnia i policyjny „urobek": ponad 11 kg marihuany, 2,5 kg amfetaminy, 8,5 kg 4-CMC. Koniec kwietnia, Kraków – tu policjanci w mieszkaniach, autach i komórkach lokatorskich w czasie jednej akcji przejęli 50 kg narkotyków i substancje do produkcji kolejnych ilości.

Ten hurt i detal pokazują realne zapotrzebowanie Polaków na narkotyki. Według najnowszego badania PolDrugs 2025 najczęściej – po alkoholu, nikotynie i kofeinie – sięgamy po marihuanę. W grupie respondentów objętych badaniem (wiek 13–67 lat) choć raz w życiu jointa zapaliło 97,9 proc. badanych, a w ciągu ostatniego roku aż 85 proc. Druga w kolejce jest MDMA, substancja aktywna w tabletce ecstasy. Zażyło ją co najmniej raz 75,9 proc. respodentów, a w ciągu ostatniego roku 42,1 proc. Dr Gniewko Więckiewicz, psychiatra ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, kierownik i pomysłodawca badania PolDrugs, podkreśla jeszcze jedno niepokojące zjawisko – rośnie liczba osób, które narkotyki zażywają w samotności. Najczęściej w domu.

– *W 2021 r., w pierwszej edycji badania, było to 18,2 proc. respondentów. W 2023 r. – bo PolDrugs realizowane jest co dwa lata – 20,2 proc., ale w 2025 r. już 25,7 proc. I ta tendencja wzrostowa pokazuje, że dzieje się coś bardzo niedobrego* – mówi wprost psychiatra z SUM. I dodaje, że PolDrugs realizowany od 2020 r. wymyślił z powodów... osobistych. – *Dorastałem w erze dopalaczy. Miałem koleżanki i kolegów, którzy przez nie stracili zdrowie i życie. I kiedy wybrałem psychiatrię, zacząłem badać, jak substancje psychoaktywne wpływają na rozwój objawów depresyjnych, lękowych, a przede wszystkim na rozwój uzależnień.*

Bo badanie dr. Więckiewicza wypełnia lukę poznawczą i – jak podkreśla jego pomysłodawca – jest dzwonkiem alarmowym: media zalewają informacje o tym, że Polacy, zwłaszcza młodzi, piją coraz mniej alkoholu, ale nikt nie zajmuje się tym, czym ten alkohol zastępują. I w jakiej skali.

– *Wiedza o skali zażywania środków psychoaktywnych powinna być priorytetem w ochronie zdrowia. Analizuje się spożycie alkoholu, mamy specjalny fundusz na walkę z uzależnieniem od niego, promocję trzeźwości. Tymczasem kwestia narkotyków jest wciąż drugorzędna, choć jednocześnie wiemy, że staje się coraz bardziej paląca. Bo Polska jest na haju* – podkreśla dr Więckiewicz. Według niego skalę uzależnienia Polaków doskonale pokazuje wzrost liczby kierowców zatrzymywanych pod wpływem amfetaminy i (lub) marihuany.

W 2021 r. tych złapanych było blisko 6 tys. Ale sześć lat wcześniej o połowę mniej. I już w 2018 r. Paweł Jabłoński, dyrektor ówczesnego Krajowego Biura ds. Przeciwdziałania Narkomanii (dzisiaj to Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom), alarmował: „Ponad 8 proc. Polaków stwierdza, że zna kogoś, kto prowadził pojazd mechaniczny pod wpływem alkoholu, a niewiele mniejszy odsetek zna osoby, które prowadzą pod wpływem narkotyków. Ale na tym nie koniec. Ponad 2 proc. Polaków deklaruje, że wsiada do samochodu jako pasażer, wiedząc o tym, że kierowca jest pod wpływem alkoholu, a 1,7 proc. robi tak, wiedząc, że kierowca jest pod wpływem narkotyków".

Z publikowanych kilka lat temu badań Krajowego Biura ds. Przeciwdziałania Narkomanii wynikało, że 1,1 proc. Polaków przyznało się do prowadzenia pojazdu po zażyciu narkotyków w ciągu ostatnich 12 miesięcy. To co najmniej 200 tys. kierowców jadących w stanie mniejszego lub większego odurzenia. A eksperci alarmowali, że faktyczna liczba może być znacznie większa. Bo przecież są tacy, którzy się nie przyznają do jazdy po amfetaminie lub marihuanie. I ci, których policja nie złapała. Dane nie pozostawiały też wątpliwości – na haju najczęściej jeżdżą młodzi mężczyźni w wieku 18–34 lata.

Według danych Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom blisko 6 proc. Polaków w wieku 15–64 lata zażywa narkotyki. Jedni okazyjnie – na imprezach, inni stale. Europejskie Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii systematycznie analizuje ścieki w 115 miastach kontynentu. Jedynym polskim miastem w tej grupie jest Kraków, w którym w latach 2024–25 najczęściej zażywano amfetaminę, mefedron i kokainę. W piątki i soboty.

Podinspektor Michał Aleksandrowicz z Centralnego Biura Śledczego Policji: – *Jeszcze do 2015 r. królowała amfetamina. Obecnie najwięcej zabezpieczamy tzw. kryształu, czyli mefedronu, klofedronu i klefedronu. Przyczyna jest prosta – są tylko dwa rozporządzenia unijne, które regulują, co jest prekursorem do produkcji tych narkotyków, a co nim nie jest.* Podinspektor od razu dodaje, że są już gotowe nowe przepisy, potrzeba jeszcze tylko kilku miesięcy karencji, by weszły w życie – poszerzy się lista zakazanych substancji, z których produkowane są syntetyczne narkotyki.

– *Ale to jest jak Hydra, której po obcięciu głowy odrastała nowa. Bo chemicy pracujący w laboratoriach na pewno wymyślą coś nowego. Rynek nie znosi próżni* – mówi wysoki oficer policji z komendy wojewódzkiej w centralnej Polsce. I przyznaje, że w latach 90. ubiegłego wieku, kiedy policjanci zabezpieczali 100 g marihuany czy amfetaminy, to zbiegali się wszyscy, by świętować sukces. – *Dzisiaj wrażenie zrobić może tona, bo już nie kilogramy, zabezpieczane praktycznie codziennie. I nawet jeśli uznamy, że część z tych zabezpieczanych narkotyków jest przemycana do Skandynawii czy na zachód Europy, to i tak poraża skala tego, co realnie jest w kraju do kupienia i do zażycia* – dodaje oficer. ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ A Michał Aleksandrowicz uzupełnia: – *Do produkcji syntetyków, które są kokainą dla ubogich, jako znacznie od niej tańsze i najpowszechniejsze, nie trzeba wielkiego laboratorium ani specjalistycznego sprzętu. I to jest jeden z powodów, dla których jesteśmy w tej branży potentatami takimi jak Belgia czy Holandia.*

Dowód? W 2024 r. CBŚP wspólnie ze służbami ukraińskimi zlikwidowało laboratorium, w którym zabezpieczono blisko 220 kg mefedronu (już gotowego narkotyku i substancji do jego produkcji). Według szacunków medycznych taka ilość mogłaby zabić 5 mln ludzi. Raport Europejskiego Centrum Monitorowania Uzależnień i Substancji Odurzających (EMCDDA) nie pozostawia też cienia wątpliwości – rośnie liczba zgonów spowodowanych zażywaniem narkotyków. Wciąż na pierwszym niechlubnym miejscu są tu opioidy, ale coraz większe zagrożenie stanowią ich nowe syntetyczne odpowiedniki oraz przyjmowanie różnych substancji jednocześnie.

W 2021 r. w Unii Europejskiej zarejestrowano ponad 6 tys. zgonów na skutek przedawkowania. I równie istotne jest nowe zjawisko: wzrost zgonów wśród osób w wieku 50–64 lata. Od 2012 do 2021 r. aż o 69 proc. Tomasz Harasimowicz, terapeuta uzależnień: – *Uzależnienie od środków psychoaktywnych jest demokratyczne. Ale biorców można posegregować. W przypadku nastolatków istotne są ciekawość i solidarność grupowa. U dorosłych pewien pseudoelitarny styl bycia i życia. I oczywiście kokaina z racji ceny rzeczywiście jest elitarna, ale na rynku dominują groźne narkotyki syntetyczne.*

Groźne, bo dawniej, jak pacjent brał heroinę, było wiadomo, jakie stosować narzędzia, co podawać, by neutralizować czy łagodzić skutki odstawienia. Podobnie z marihuaną czy środkami halucynogennymi. Teraz w syntetykach wystarczy zmienić jedną literkę czy cyfrę w łańcuchu chemicznym i toksykolog potrzebuje znacznie więcej czasu, by ustalić, co zatruło pacjenta i jak go z tego zatrucia wyprowadzić.

– *I to jest nowa jakość pokazująca, że ten rynek jest dobrze zagospodarowany i bardzo prężny w rozwoju* – jego skalę czy też raczej skutki tej skali Harasimowicz widzi na co dzień w dwóch gabinetach, w których przyjmuje. Trafiają do niego osoby uzależnione z tzw. świecznika, które nie chcą, by wiedza o ich uzależnieniu przebiła się do wiadomości publicznej. Innych kierują szkoły, służby, sądy. Jak podkreśla terapeuta, to pełny przekrój wiekowy, zawodów, pozycji społecznej, dochodów. Zastrzega, że nie poda wieku swojego najmłodszego pacjenta, bo nie chodzi o epatowanie, ale o uczulenie rodziców.

– *Większość uzależnionych nie zauważa pierwszej fazy problemu. Są przekonani, że to wszystko jest incydentalne, minie. Ci, którzy oczekują nadzwyczajnych doznań, myślą, że to będzie wyjątkowe doświadczenie. I nagle budzą się, jeśli w ogóle się obudzą, ze świadomością, że wcale nie jest, a część z nich będzie sięgać po kolejne dawki* – mówi Tomasz Harasimowicz. Terapeuta uczula na jeszcze jedno nowe zjawisko – akceptację rodziców dla pierwszych doświadczeń ich dzieci ze środkami psychoaktywnymi: – *Bo przecież jeśli ja w młodości paliłem jointy i wyszedłem na ludzi, to nic groźnego się nie dzieje, prawda? Nic bardziej mylnego. To jest przyzwolenie na branie, a rodzic nie powinien otwierać tych drzwi, zwłaszcza że w gruncie rzeczy nie wie, co bierze jego dziecko i że ta marihuana jest inna niż w jego młodości, podkręcana chemicznie.*

Psychiatra dr Gniewko Więckiewicz tłumaczy, że większość sięgających po narkotyki coś sobie rekompensuje, a substancje chemiczne dają im łatwość życia. – *Jesteśmy podzieleni tak, jak nigdy jeszcze nie byliśmy. Fora dyskusyjne, różne portale społecznościowe te podziały pogłębiają. W tym chaosie, życiu w różnych polach konfliktów, substancje psychoaktywne stają się po prostu ucieczką od rzeczywistości. Bo naprawdę biorą wszyscy. Prawacy i lewacy. Kibole i policjanci. Lekarze i prawnicy. Choć od razu zastrzegam, że swoich pacjentów o poglądy nie pytam* – podkreśla.

W wiadomościach pełno informacji o przestępstwach i zbrodniach popełnionych pod wpływem narkotyków. Jak choćby o tej ze stycznia 2024 r., kiedy w Łodzi 35-letni mężczyzna zabił kolegę i koleżankę. Razem na kameralnej domówce pili alkohol. Na stole pojawił się też tzw. kryształ. Podczas procesu, w którym został skazany na 25 lat więzienia, Daniel Ch. tłumaczył, że mefedron brał od kilku tygodni. I nie wie, co się z nim działo. Okazało się też, że narkotyki zażywał przy swoich dzieciach. „Podjąłem walkę z demonami, nie powiem, jak to wyglądało, to wszystko działo się w mojej głowie, to było, jakby ktoś mi film puszczał" – mówił Daniel Ch. A rzeczniczka łódzkiej prokuratury streszczała opis tragedii z aktu oskarżenia: „Jak wszystko wskazuje, agresja była wynikiem wizji i omamów, których oskarżony doświadczył. Chwycił wówczas nóż kuchenny i zadał kilkanaście ciosów swojemu koledze i aż kilkadziesiąt 30-latce. Ofiary próbowały się bronić. Następnie oskarżony uciekł i dobiegł do kościoła ewangelickiego przy ul. Piotrkowskiej. Chciał porozmawiać z księdzem. Zaczął dobijać się do drzwi".

Oficer z komendy wojewódzkiej w centralnej Polsce: – *Przez lata dominowały przestępstwa popełniane pod wpływem alkoholu. Nadal to istotny wyzwalacz, ale coraz mocniej o miejsce na podium walczą narkotyki. Dzisiaj praktycznie nie ma młodego policjanta, który nie miałby doświadczenia z substancjami psychoaktywnymi. I to jest naprawdę groźne.*

Doświadczony funkcjonariusz od razu przywołuje kilka przykładów: policjant zajmujący się przestępczością gospodarczą na festiwalu techno w Kołobrzegu miał przy sobie 3,85 g mefedronu i trzy tabletki ecstasy, rzecznik komendy na Opolszczyźnie okazał się klientem dilera narkotyków (środki odurzające znaleziono u policjanta w mieszkaniu). Kabaretowo wręcz brzmi historia o kontroli drogowej w Wołominie – alarm wszczął kierowca, ale okazało się, że i on, i policjant z drogówki byli pod wpływem narkotyków; czy o policjancie, który pod wpływem jechał na hulajnodze, po zatrzymaniu go przez patrol drogówki okazało się, że miał przy sobie mefedron. Szokująco wygląda historia policjantki z tajnego wydziału Komendy Stołecznej, przy której znaleziono klefedron (narkotyk miała też w mieszkaniu). I urobek z ostatnich tygodni: zastępca komendanta rejonowego policji Warszawa IV z Woli po służbie spowodował kolizję – pod wpływem alkoholu i najprawdopodobniej kokainy.

W 2025 r. Biuro Spraw Wewnętrznych Policji ujawniło 90 przypadków przestępstw narkotykowych wśród funkcjonariuszy. To pozornie niewiele, biorąc pod uwagę, że formacja liczy blisko 100 tys. funkcjonariuszy. Ale te 90 przypadków to wzrost o 2,5 razy w porównaniu z 2024 r. – *Jeśli policjanci, którzy mają stać na straży prawa, sami to prawo łamią, mamy poważny problem* – mówi oficer.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 568960d3fb

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!



















Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 568960d3fb

A teraz coś z zupełnie innej parafii: w archidiecezji lubelskiej trwa konkurs na proboszcza. Brzmi nowocześnie, ale diabeł tkwi w szczegółach.

CV do Pana Boga



ZBIGNIEW BOREK

Otwarty nabór kandydatów, wymagane doświadczenie, program duszpasterski i termin składania dokumentów. Brzmi bardziej jak rekrutacja na dyrektora szkoły czy firmy niż procedura jednej z najbardziej hierarchicznych instytucji świata. Media ochrzciły to „rewolucją", bo w polskim Kościele proboszcz od zawsze był mianowany z góry, a wierni dowiadywali się o tym z ogłoszeń parafialnych. Tym razem ma ponoć być inaczej. Diabeł tkwi jednak w szczegółach: wierni nie głosują, komisji konkursowej z udziałem parafian nie ma, żadnej jawności też nie. Biskup nadal może zrobić wszystko.

Eksperci nie zostawiają na tym pomyśle suchej nitki. – *Burza w szklance wody* – komentuje ks. prof. Andrzej Kobyliński, kierownik Katedry Etyki na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. – *Gest w stronę społecznych oczekiwań przejrzystości, a nie realna zmiana modelu sprawowania władzy w Kościele* – wtóruje prof. Marta Osuchowska z Katedry Prawa Wyznaniowego i Konkordatowego UKSW. Nawet rzecznik kurii lubelskiej przyznaje, że nie chodzi o demokratyzację Kościoła. Jeśli nie o nią, to o co?

Korpo Christi

Furtkę dla konkursu otworzył III Synod Archidiecezji Lubelskiej, który zakończył się jesienią 2025 r. „W celu wyłonienia kandydata na urząd proboszcza konkretnej parafii arcybiskup może publicznie zapowiedzieć zamiar dokonania nominacji i zaprosić zainteresowanych prezbiterów, którzy przynajmniej 15 lat wcześniej przyjęli święcenia kapłańskie, aby przedstawili swoją kandydaturę" – czytamy w dokumentach synodalnych.

Powód wdrażania nowej procedury może być bardziej przyziemny. Jeszcze 20–30 lat temu proboszcz był gospodarzem dusz, inwestorem i nieformalnym politykiem. Na probostwo się czekało czasem całe życie. Ten model się sypie. Maleje liczba powołań, seminaria pustoszeją, młodzi księża coraz częściej nie chcą brać

© SHUTTERSTOCK AI/WL

eprasa.pl 568960d3fb

odpowiedzialności za niedoinwestowane parafie ze starzejącymi się wiernymi. Kościół w Polsce wchodzi więc w fazę, z którą zachodnie diecezje i parafie już się oswoiły – brak ludzi nie tylko do posługi, ale i do zarządzania. Nowa formuła wyboru proboszcza ma to zmienić – trochę tak, jakby od mieszania herbata robiła się słodsza.

Archidiecezja lubelska liczy 271 parafii, a konkurs na proboszcza – dla uproszczenia trzymajmy się tej nazwy – obejmuje 16 parafii, w których spodziewany jest wakat, bo np. dotychczasowy proboszcz przechodzi na emeryturę. Chętni składali dokumenty zawierające swoiste kościelne CV, czyli opis dotychczasowej posługi kapłańskiej, opinię dziekana czy zaświadczenie o wywiązywaniu się ze świadczeń finansowych na rzecz archidiecezji, a także propozycję programu dla parafii. Termin zgłaszania kandydatur minął 20 maja. Wpłynęło kilkadziesiąt zgłoszeń. Każdy wakat zostanie obsadzony, bo jedni kandydaci wskazali konkretną parafię, w której kandydują na stanowisko proboszcza, inni wymienili ich kilka, jeszcze inni zadeklarowali, że obejmą każdą, którą wskaże im biskup.

– *To nie jest żaden konkurs ani plebiscyt* – podkreśla ks. dr Adam Jaszcz, rzecznik prasowy archidiecezji lubelskiej. Nową procedurę nazywa „sposobem poszerzenia wiedzy potrzebnej do podjęcia ostatecznej decyzji o nominacji na proboszcza". – *Jeśli ktoś mówi o potrzebie demokratyzacji, odpowiadam, że Kościół katolicki nie jest demokratyczny, tylko hierarchiczny. Takim go ustanowił Jezus Chrystus, gdy powołał dwunastu apostołów i przekazał im szczególną władzę. Biskupi są ich następcami i wyłącznie oni nominują proboszczów.*

Nowych proboszczów poznamy w połowie czerwca. Nie dowiemy się natomiast, kto kandydował ani dlaczego jedni odpadli, a inni rywalizację wygrali. – *Nie ujawniamy kandydatów, bo procedura gwarantuje poufność danych. A poza tym mogłoby się zdarzyć, że trzy parafianki uznają innego kandydata za lepszego i będą się domagały zmiany, tymczasem decyzja należy do biskupa* – tłumaczy ksiądz rzecznik.

Weryfikowaniem zgłoszeń zajmuje się rada biskupia, w której skład wchodzą arcybiskup i biskupi pomocniczy. Podpowiedzią służą też urzędnicy kurii. Rada ma dopasować najlepszych kandydatów do konkretnych parafii, kierując się ich kompetencjami, umiejętnościami i cechami, a następnie zaproponować konkretne kandydatury arcybiskupowi.

Jaka jest rola świeckich? Najwyraźniej żadna. – *Sama procedura koncentruje się na osobie kandydata* – dyplomatycznie odpowiada ks. dr Jaszcz. Zauważa, że z opiniami osób świeckich biskup zapoznaje się, przyjmując interesantów, oraz w trakcie duszpasterskich wizyt w parafiach, bo spotyka się wtedy z radą parafialną. Rzecznik podkreśla również, że arcybiskup lubelski Stanisław Budzik popiera zwiększenie wpływu osób świeckich postulowane w archidiecezjalnym synodzie. – *Urząd notariusza w naszej kurii jako chyba jedynej w Polsce pełni świecka kobieta. Widzimy też potrzebę uczestniczenia świeckich w procesach decyzyjnych* – dodaje ks. dr Jaszcz. I zastrzega: – *Z zachowaniem hierarchicznego ustroju Kościoła.*

Od panowania do słuchania

Postulaty środowisk świeckich i części duchowieństwa idą jednak znacznie dalej. Zmieniła się też natura synodu i jego odbiór wśród wiernych. Dawniej większości katolików synod kojarzył się z niezbyt zrozumiałą kościelną biurokracją, która nie ma większego wpływu na życie ich, parafii czy całego Kościoła. Zainicjowany przez papieża Franciszka Synod o synodalności, wieloletni proces odnowy Kościoła katolickiego, to jednak inna jakość.

Franciszek zwoływał wcześniej synody o rodzinie, o młodzieży czy specjalny o Amazonii. Podobnie było w przypadku jego poprzedników – oficjalne nazwy synodów były bardziej rozbudowane, ale jednocześnie jasne i konkretne. W przypadku najnowszego zaskoczyła już sama nazwa: Synod o synodalności (hasło przewodnie: „Ku Kościołowi synodalnemu: uczestnictwo, komunia, misja"). I tu zaczął się problem: co to takiego synodalność? Watykan przygotował materiały, w których to wyjaśniał. Pełne metafor, miejscami wręcz kwieciste, zawierały też deklaracje, że to coś w rodzaju debaty o debatowaniu, dyskusji o sposobach dyskusji, ale nie w teorii: „Synodalność musi wyrażać się w zwyczajnym sposobie życia i pracy Kościoła". Innymi słowy – z wiernymi należy rozmawiać, a nie tylko do nich przemawiać.

Nowością był również sposób przeprowadzenia synodu. Zanim w Rzymie zaczęły się obrady, konsultacje przeprowadzała każda diecezja na świecie. Na różne sposoby: od ankiet, które zdalnie wypełniały wskazane osoby świeckie, aż po spotkania z wiernymi w realu, także w parafiach. Diecezje opracowały tzw. syntezy – i tym są dokumenty III Synodu Archidiecezji Lubelskiej przewidujące konkurs. Nie chodziło jednak o kwiatek do kożucha. Główne obiekcje wiernych świeckich wobec duchownych w Polsce dotyczą bowiem braku transparentności, anachronicznego modelu zarządzania, przedmiotowego traktowania świeckich i rosnącego dystansu między pasterzami a „ludem Bożym".

Hierarchii zarzuca się brak odwagi w rozliczaniu przestępstw seksualnych duchownych i zatajanie faktów, a także zaangażowanie Kościoła w politykę. Świeccy domagają się przejrzystości finansowej parafii i diecezji. Wskazują, że niejeden proboszcz traktuje parafię jak prywatny folwark. Nawet szeregowi księża uważają się za nieomylnych, nie chcą słuchać krytyki ani podpowiedzi, biskup zaś to funkcjonariusz kurialny oderwany od rzeczywistości. Krytykowana jest formuła jego wizytacji kanonicznych w parafiach, które często ograniczają się do spotkań pod okiem proboszcza, bez szansy na dialog z ogółem parafian. Do tego dochodzi fasadowość organów doradczych: rady parafialne (duszpasterskie i ekonomiczne) często istnieją jedynie na papierze lub składają się z osób, które wybrał proboszcz według klucza lojalności.

Podsumowując, dominującym postulatem jest przejście od modelu hierarchii panującej do hierarchii służebnej i słuchającej. A celem synodu jest nie tylko rozmowa o synodalności, lecz niezwłoczne jej wdrażanie w każdej parafii, diecezji i kraju. Z tym zaś bywa różnie.

Gorset i proteza

Teologiczny fundament Kościoła pozostaje niewzruszony: katolicyzm to nie demokracja, lecz hierarchia o Bożym pochodzeniu. Mimo tego dogmatycznego gorsetu historia i współczesność odnotowują próby wpuszczenia do struktur kościelnych demokratycznego powietrza. We wczesnym chrześcijaństwie powszechnie akceptowaną normą był wybór pasterza przez aklamację ludu i kleru. Klasycznym przykładem jest św. Cyprian wybrany na biskupa Kartaginy w 246 r. (lub w 247 r.) właśnie mocą zgodnej woli lokalnej społeczności. Dominikanie ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ od wieków stosują tzw. czystą demokrację elektorską: bracia w tajnych głosowaniach wybierają przeorów i prowincjałów. Wybór poprzedza *tractatus* – szczera debata o przymiotach kandydatów, obowiązuje też kadencyjność.

Hierarchiczną tradycję z zaawansowaną partycypacją świeckich udało się połączyć w szwajcarskiej diecezji Sankt Gallen. Proces wyłonienia jej nowego biskupa to wieloetapowe demokratyczne sito. Najpierw przeprowadza się ankiety wśród wiernych na temat cech przyszłego pasterza. Następnie kapituła katedralna wysyła listę sześciu nazwisk do Rzymu, który ją weryfikuje. Kluczowy moment następuje jednak w diecezji: Kolegium Katolickie – parlament świeckich wiernych z kantonu – ma prawo zawetować połowę kandydatów z listy. Dopiero z pozostałej trójki kapituła wybiera biskupa, a papież gra tu niemal rolę „notariusza", oficjalnie zatwierdzając wybór. Ostatnio w ten sposób w maju 2025 r. biskupem został 54-letni ks. Beat Grögli, wieloletni proboszcz katedry.

Kolejny przykład: Niemiecka Droga Synodalna skłoniła tamtejszy episkopat do wprowadzenia kadencyjności proboszczów (minimum sześć lat), co ma zapobiegać ich zasiedzeniu i poczuciu bezkarności. Dopuszcza to Kodeks prawa kanonicznego, ale takie postulaty w synodzie polskim pozostają bez reakcji, podobnie jak idea tworzenia komisji konkursowych z udziałem laikatu.

Nie jest jednak tak, że w polskim Kościele nic nie da się zrobić. W archidiecezji krakowskiej, zgodnie z dekretami kard. Franciszka Macharskiego, połowa składu parafialnych rad duszpasterskich pochodzi z bezpośrednich i tajnych wyborów wiernych. Stanisław Wielgus jako biskup płocki (lata 1999–2006) wpływ na obsadę stanowisk proboszczowskich oddał w ręce Kolegium Konsultorów, które tworzą duchowni. Uczynił więc z niego faktyczny organ decyzyjny, rezygnując z arbitralności. Są też przykłady z dołu kościelnych struktur. Ks. Zbigniew Paweł Maciejewski, proboszcz z podwarszawskiej parafii Winnica, przekazał w ręce parafian zbieranie niedzielnej tacy i w dorocznym sprawozdaniu rozlicza się też przed nimi z każdej złotówki (POLITYKA 51–52/25).

Z tej perspektywy lubelski eksperyment wygląda na protezę. – *Konkurs ma charakter wizerunkowy, nie cywilnoprawny. Jest procedurą doradczą, a ostateczną decyzję i tak podejmuje biskup* – stwierdza prof. Osuchowska.

A koperta stoi

Jej zdaniem takie rozwiązanie może trafiać w gust młodszego pokolenia. – *Rozmawiałam o tym ze studentami. Dla nich naturalne są mechanizmy świata korporacyjnego: składanie CV, przedstawianie kompetencji, podleganie ocenie* – tłumaczy. Jednocześnie podkreśla: – *To język współczesnej kultury organizacyjnej, coś nowego w formie, ale nie w treści. Nie zmienia ani misji Kościoła, ani jego hierarchicznego ustroju.*

Również według ks. prof. Kobylińskiego nie jest to początek jakościowej zmiany. Podkreśla, że biskup nie zna osobiście wszystkich księży w diecezji. Nominując proboszczów, opiera się na opiniach doradców, te zaś często wynikają z nieformalnych układów i zakulisowych machinacji, nieraz wręcz korupcyjnych. „Koperta powinna stać" – tłumaczył podwładnym arcybiskup Mordowicz z „Kleru" Wojciecha Smarzowskiego. – *Jeśli nie ma jasnych zasad, pojawia się pokusa załatwiania spraw przez znajomości, wpływy i prezenty* – komentuje ks. prof. Kobyliński.


ILUSTRACJA **SYLWIA MARKIETA**

W jego ocenie demokratyzacja i kolegialność nie są dziś dla Kościoła luksusem, lecz koniecznością. Kościelne instytucje i procedury powstawały w epoce feudalnej i monarchicznej, a współczesne społeczeństwa funkcjonują według zupełnie innych standardów przejrzystości i współuczestnictwa. Zdaniem eksperta już tylko dobrze skonstruowane komisje konkursowe (pluralistyczne, transparentne i wyposażone w realne kompetencje) mogłyby podnieść jakość nominacji proboszczów.

Sednem sporu pozostaje jednak kwestia ograniczenia niemal absolutnej władzy biskupa. W Kościele katolickim biskup skupia jednocześnie władzę ustawodawczą, wykonawczą, sądowniczą i religijną. Stanowi diecezjalne prawo, jest najwyższym przełożonym duchowieństwa (mianuje proboszczów, ale też ich odwołuje), jemu podlega sąd diecezjalny. Kandydaci do kapłaństwa składają wobec biskupa przysięgę o charakterze religijnym. „Czy mnie i moim następcom przyrzekasz cześć i posłuszeństwo?" – pyta biskup na święceniach kapłańskich. Odpowiedź klęczącego przed nim przyszłego kapłana może być tylko jedna: „Przyrzekam". Tak skoncentrowanej władzy w rękach jednej osoby nie ma dziś żadna świecka instytucja w demokratycznym świecie.

Demokratyzacja Kościoła w Polsce jest i będzie trudna. Powodem jest historyczne doświadczenie PRL, kiedy wiele spraw musiało być rozstrzyganych nieformalnie i poza oficjalnym obiegiem. Silna pozycja biskupów została utrwalona w czasach transformacji ustrojowej 1989 r., gdy Kościół katolicki odgrywał bardzo istotną rolę społeczną i polityczną. Jednym ze skutków jest marginalizowanie zwykłych księży, a przykładem – ich oficjalne spotkania z biskupami, które mimo formalnie kolegialnego charakteru często pozostają „niemym sejmem", bo krytyczne opinie nie są mile widziane. Inny przykład to wizytacje kanoniczne biskupa w parafiach (raz na pięć lat powinien odwiedzić każdą). – *Proboszcz haruje, wyremontował kościół, przyciągnął do parafii młodych ludzi, a biskup nieraz nawet go o to nie zapyta, tylko odprawi mszę, zje kolację na plebanii i wróci do swojego pałacu. Wśród księży jest z tego powodu dużo rozgoryczenia i złości. Księża to nie chłopi pańszczyźniani biskupa. Nie wolno ich lekceważyć* – mówi filozof i etyk z UKSW.

Przywołuje także własne doświadczenia z seminarium duchownego na początku lat 90. – wprowadzenie demokratycznych wyborów samorządu studenckiego szybko doprowadziło wśród kleryków do konfliktów i walk frakcyjnych. Wniosek: kultura demokracji nie powstaje automatycznie wraz ze zmianą procedur, może to potrwać całe dekady. Dla Kościoła jest to nie tyle wybór, ile walka o przetrwanie.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 568960d3fb



Koszary austriackie na pierwszym planie

Mój jest ten kawałek Wawelu

Misja i bezpieczeństwo najcenniejszych w Polsce zbiorów kontra emocje i sentymenty lokatorów. Na Wzgórzu Wawelskim trwa spór o mieszkania pracownicze.

JOANNA PODGÓRSKA

Któregoś dnia, późnym wieczorem, Magdalena Młodawska wracała do domu po spotkaniu ze znajomymi. Podała taksówkarzowi adres: na Wawel. Milczał. Było już dawno po godzinach zwiedzania. – Na Wawel poproszę – powtórzyła. Opcje są dwie, stwierdził taksówkarz: albo księżniczka, albo wariatka. W grę wchodziła jednak opcja trzecia – lokatorka mieszkania socjalnego przeznaczonego dla pracowników muzeum. Można je porównać do mieszkań przyzakładowych. W początkach PRL była to praktyka powszechna. Na Wawelu przeznaczono na ten cel XIX-wieczny budynek austriackich koszar – budynek nr 9.

– *W czasie wojny, gdy Kraków został przez Hitlera wyznaczony na stolicę Generalnej Guberni, Wawel stał się siedzibą Hansa Franka, a w dziewiątce urządzono luksusowe apartamenty. Po wojnie gościli tu m.in. cesarz Hajle Sellasje czy generał de Gaulle* – opowiada prof. Jacek Purchla, przewodniczący Rady Muzeum Zamku na Wawelu, nadzorującej jego działalność. – *Resztę budynku zaadaptowano na mieszkania pracownicze; wówczas bardzo potrzebne. Dziś to ostatni relikt PRL na Wawelu.*

– *Wprowadzali się tam ludzie różnych szczebli związani z odtwarzanym muzeum. Mieszkał tam pierwszy powojenny dyrektor, prof. Tadeusz Mańkowski, ale też grupa woźnych z Ossolineum, których ściągnął ze Lwowa. Dla pracowników te mieszkania były bardzo cenne, bo po wojnie ludzie startowali od zera* – opowiada prof. Jan Ostrowski, który – od 1989 r. – był na Wawelu dyrektorem przez 30 lat. Jak wspomina, te mieszkania były systematycznie przydzielane pracownikom, głównie tym najmniej zamożnym.

Magdalena Młodawska (dziś pełni funkcję kierowniczki działu Lapidarium i Rezerwatów Archeologicznych) mieszkała w dziewiątce sześć lat, od 2015 r. Nie pochodzi z Krakowa. Jej pensja była – jak mówi – marna. Po wynajęciu kawalerki na życie zostawało jej 200 zł. Gdy komisja przydzieliła jej mieszkanie służbowe, mogła odetchnąć, zrobić doktorat. Ale mieszkanie na Wawelu ma swoje plusy i minusy.

– *Największy plus to oczywiście finanse, do tego poczucie bezpieczeństwa, bo w nocy wzgórze jest zamknięte i chronione, widok z okna na zachody słońca w zakolu Wisły. Minusy – nie wolno mieć zwierząt, w dzień turyści potwornie hałasują, zapraszanie gości jest problematyczne, bo musi ich legitymować straż, a po wizycie trzeba ich* ▶

© DANIEL TURBASA/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 568960d3fb

▶ *odprowadzić pod bramę* – opowiada. – *Ale dla mnie największym problemem było oddzielenie życia prywatnego od pracy. Były za blisko. W pandemii te obszary całkowicie się zlały, nie umiałam odpoczywać. Dlatego podjęłam decyzję o wyprowadzce.*

Kiedy prof. Ostrowski obejmował władzę na Wawelu, w dziewiątce mieszkało ok. 60 osób. Dyrekcja zawierała z nimi umowy na okres pracy. Ale bywało różnie, gdy dotrwali do emerytury, mieszkali dalej. – *Podchodziliśmy do tego miękko, bo te lokale nie były nam wtedy potrzebne* – mówi. To się zmieniło po 2020 r. Nowy dyrektor, prof. Andrzej Betlej, podjął decyzję, by budynek dawnych koszar przeznaczyć na nowoczesne magazyny, przenieść tu wszystkie pracownie konserwatorskie, a piwnicach stworzyć schrony, gdzie w sytuacji kryzysowej można zabezpieczyć najcenniejsze zbiory. Projekt nazywa się Wawel Akropolis.

– *Czasy są burzliwe. Wybuch wojny w Ukrainie i doświadczenia tamtejszych muzealników uświadomiły nam, że jest to niezbędne. Gdy nadchodzi niebezpieczeństwo, zbiory powinny trafić do podziemi. Wawel musi mieć miejsce, gdzie w sytuacji nadzwyczajnej można schronić muzealia* – deklaruje prof. Betlej.

Dziewiątka to jedyny na Wawelu budynek, gdzie da się zrealizować projekt stworzenia przestrzeni dla nowoczesnych i bezpiecznych magazynów i pracowni konserwatorskich, bo ochronie konserwatorskiej podlega tylko bryła. Wnętrza można przebudować według potrzeb. Tylko tu można wyburzyć ściany i stworzyć pomieszczenia o odpowiedniej powierzchni, co jest szczególnie ważne przy konserwacji arrasów wawelskich. Obecne pracownie są na to za małe. Jak deklaruje dyrektor do spraw inwestycyjno-technicznych, Daniel Hankus, jest to miejsce, gdzie da się zapewnić odpowiednie warunki dla bezcennych zbiorów.

– *Nie możemy długo czekać, choćby ze względu na stan techniczny i warunki panujące w obiekcie, gdzie dziś znajduje się część pracowni i zbiorów. Budynek nam pęka, osuwa się, bo jest przeciążony. Są w nim stare instalacje elektryczne, brakuje odpowiedniej wentylacji i klimatyzacji* – opisuje Hankus.

Hasłem dyrektora Betleja jest „Wawel otwarty". Stale zwiększają się obszary dostępne dla zwiedzających. Otwarto ogród królewski, zmodernizowaną zbrojownię, małą basztę, Lapidarium i nigdy wcześniej nieudostępniany Kościół św. Gereona przy czakramie. Skarbiec miał trzy sale – teraz 12. W zeszłym roku padł rekord zwiedzających – 3,5 mln. Przyciągają ich wystawy stałe i czasowe, koncerty. Ale Wawel nie jest z gumy, dlatego zwolnione przez pracownie i magazyny powierzchnie będzie można włączyć do ekspozycji.

– *Dyrektor Betlej szybko zrozumiał, że jego misją jest nie tylko być historykiem sztuki, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i wybitnym znawcą sztuki nowożytnej, ale też menedżerem. I świetnie sobie z tym radzi* – ocenia prof. Purchla.

Mieszkańców o planach zmiany przeznaczenia budynku poinformowano już w 2020 r. Władze muzeum za wszelką cenę chciały uniknąć sporów sądowych z mieszkańcami; starały się pójść im na rękę najbardziej, jak się da. Gmina i wojewoda pomogli w załatwieniu mieszkań zastępczych.

– *To nie są lokale na obrzeżach miasta, tylko w historycznym centrum* – podkreśla dyr. Betlej. Mieszkania są remontowane na koszt muzeum, ale w porozumieniu z mieszkańcami. Mogli wybrać rodzaj wykończenia, panele, kolor płytek, zdecydować, czy wolą wannę czy prysznic. Muzeum pomagało także w przeprowadzkach. Na bieżąco reagowało na potrzeby mieszkańców. Urszula Wolak-Dudek, rzeczniczka prasowa wawelskiego muzeum, prowadzi rejestr spotkań z lokatorami; indywidualnych i zbiorowych. Było ich ponad 120.

– *Umowy zawierają bardzo istotny zapis – otrzymane od gminy lokale będą mogły być użytkowane dożywotnio, na preferencyjnych warunkach. Tak się zazwyczaj nie dzieje, gdy gmina przydziela mieszkania. Wynegocjowaliśmy ten zapis, by zapewnić lokatorom poczucie bezpieczeństwa. Władze przychyliły się do naszej prośby, bo przecież tu chodzi o Wawel* – mówi.

Z 27 rodzin 23 wyprowadziły się dobrowolnie. Mieszkańcy czterech lokali postanowili walczyć do końca. Władzom wawelskiego muzeum skończyły się racjonalne argumenty. Rozbiły się o emocje i sentymenty. Mieszkańcy przekonywali, że to miejsce ich stałego zamieszkania, główne centrum życiowe, dom rodzinny, z którym niektórzy związani są od kilku pokoleń. Wyprowadzka to byłby koniec życia, jakie znali. Są parafianami Bazyliki Archikatedralnej św. Stanisława i św. Wacława, miejsca koronacji i pochówków królów Polski. Nie wyobrażają sobie święcenia jajek czy pasterki w innym miejscu – skarżyli się w mediach. Przekonywali, że poprzedni dyrektor mówił: „z Wawelu się nie wyrzuca", i będą tu mogli dożyć swoich dni.

– *Niczego takiego nie obiecywałem, bo nie mogłem. Nie miałem takiego prawa, bo przecież to nie moja prywatna własność* – przekonuje prof. Ostrowski. – *Zmiana funkcji tego budynku to suwerenne prawo dyrekcji, a jeśli to się wiąże z ochroną zbiorów, to wręcz obowiązek.*

Betlej deklaruje, że rozumie sentymenty i emocje lokatorów. Komuś, kto całe życie mieszkał na Wawelu, trudno sobie wyobrazić, że może być inaczej. Ale misją dyrekcji jest ochrona dziedzictwa narodowego i bezpieczeństwo najcenniejszych zbiorów w Polsce. Ostatecznie władze muzeum zdecydowały się skierować sprawy do sądu.

– *Prawnie sprawa jest prosta* – deklaruje mec. Stanisław Kłys, reprezentujący przed sądami wawelską dyrekcję. – *Najem to korzystanie z cudzej rzeczy. Lokatorzy nigdy nie byli właścicielami tych mieszkań. Ich właścicielem jest muzeum.*

Wiadomo jednak, że sprawy w sądach lubią się ciągnąć. A czas goni. Na projekt Wawel Akropolis mają pójść dotacje ministerialne, a wiadomo, że sposób ich rozliczania jest dość rygorystyczny i terminowy. Pierwsza zakończyła się sprawa rodziny J. – pani Doroty, która pracowała na Wawelu jako opiekunka ekspozycji i kasjerka, jej męża Krzysztofa, byłego kierownika działu zaopatrzenia i transportu, oraz dwóch dorosłych synów: Mieszka i Gniewka, którzy nigdy na Wawelu nie pracowali. Zaproponowano im mieszkanie przy ul. Topolowej, do generalnego remontu, którego koszt miało pokryć muzeum. Odmówili przyjęcia. Domagają się lokalu o odpowiednim standardzie. A postępowanie wawelskiej dyrekcji porównują do „czyścicieli kamienic".

– *Nasza rodzina nigdy nie odrzucała samej idei relokacji. Zadeklarowaliśmy gotowość opuszczenia lokalu pod warunkiem przedstawienia realnej, godnej i możliwej do zamieszkania alternatywy mieszkaniowej* – mówi Mieszko. – *Propozycje relokacyjne były składane poszczególnym rodzinom w sposób wybiórczy i indywidualny, według trudnego do zrozumienia klucza. W naszej ocenie sposób prowadzenia*

eprasa.pl 568960d3fb

procesu relokacji nie uwzględniał w sposób jednolity rzeczywistej sytuacji zdrowotnej, rodzinnej oraz materialnej poszczególnych mieszkańców.

Klucz przyznawania lokali od początku był prosty – prostuje Urszula Wolak-Dudek. Proponowane mieszkania dopasowywano do warunków istniejących w budynku nr 9 – metrażu i liczby lokatorów.

Rodzina chętnie zaakceptowałaby mieszkanie na Sławkowskiej, w należącej do Wawelu kamienicy. To samo serce Starego Miasta. Sąd pierwszej instancji przyjrzał się sytuacji rodziny J. i ustalił, że pan Krzysztof już jakiś czas temu wyprowadził się z dziewiątki, podobnie jak Gniewko, który zyskał lokal z programu „Mieszkanie za remont". Rodzina ma udziały w czterech innych lokalizacjach w Krakowie, a jej sytuacja materialna pozwala na zaspokojenie potrzeb mieszkalnych we własnym zakresie i lokal socjalny jej nie przysługuje. Odmowę przeprowadzki sąd uznał za nadużycie prawa i postępowanie sprzeczne z zasadami współżycia społecznego. Argumenty, że rodzina jest z tym miejscem związana emocjonalnie, traktuje je jak dom rodzinny i centrum życiowe, nie są wystarczające.

Apelacja rodziny J. została oddalona, a nakaz eksmisji utrzymany w mocy. To oznacza, że w listopadzie 2025 r. rodzina J. powinna się wyprowadzić, ale dotychczas tego nie zrobiła. Mieszko porównuje ten wyrok do tych, na podstawie których strzelano do polskich oficerów w czasie drugiej wojny światowej albo w czasach stalinizmu. Czuje się skazaną na bezdomność ofiarą bezdusznej instytucji. Potem przeprasza za emocjonalny ton, ale sytuacja rodziny wiąże się ze stresem, presją i poczuciem bezradności. Widmo komornika wisi nad nimi od miesięcy. Muzeum, choć nie musiało, tuż przed wyrokiem zaproponowało lokal zastępczy, ale tym razem już bez remontu – wejście na ścieżkę sądową formalnie to uniemożliwiło.

Prawomocnym wyrokiem eksmisji zakończyła się także sprawa pana Artura. Nigdy nie był pracownikiem Wawelu, ale jego dziadek przez ponad 30 lat pełnił funkcję dyrektora Kierownictwa Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu. Miał tu 170-metrowy lokal, do którego dokwaterował wnuka.

– *Pamiętam, jak przyszedł do mnie prof. Alfred Majewski i powiedział: „Wie pan, ja już mam swoje lata, dlatego zameldowałem wnuczka. Jak umrę, to on tutaj pomieszka, a potem pan mu załatwi lokal poprzez miasto, no i odzyskacie to mieszkanie* – wspomina prof. Ostrowski. Skończyło się na tym, że pana Artura przeniesiono do mniejszego (ponad 70 m) lokum w dziewiątce, który zajmuje do dziś. – *Widocznie wnuczek bardzo lubi mieszkać na Wawelu. Charakterystyczne, że w tym konflikcie najgłośniej krzyczą ci, którzy nigdy w muzeum nie pracowali.*

Panu Arturowi zaproponowano do wyboru trzy lokale w Krakowie, z gwarancją remontu, ale żaden mu się nie spodobał. Z dyrekcją muzeum kontaktował się wyłącznie przez pełnomocnika. Odmówił także rozmowy z POLITYKĄ. W sądzie argumentował, że lokal w dziewiątce to nie jest dla niego zwykłe mieszkanie, ale DOM, w którym mieszka od urodzenia. Sąd uznał, że zasługi jego dziadka dla kultury polskiej nie mają wpływu na badanie zasadności powództwa o rozwiązanie najmu. Pod koniec maja sąd oddalił jego apelację od wyroku eksmisyjnego. Z ustnego uzasadnienia wynika, że pan Artur, jako człowiek zamożny, właściciel innej nieruchomości, podjeżdżający na Wawel najpierw Porsche, a potem Mercedesem, nie powinien korzystać z żadnych społecznych dotacji. Sprawa jest prawomocnie zamknięta.

Kolejny sporny lokal to rodzina G. Pani Ewa, osiemdziesięciolatka, urodziła się na Wawelu, bo pracował tu jej ojciec. Ona także całe zawodowe życie przepracowała w muzeum, jako telefonistka. W 2024 r. zaproponowano jej lokal przy Topolowej, blisko Plant i dworca, dwa pokoje z aneksem kuchennym. Jak mówi Urszula Wolak-Dudek – pani Ewa zaakceptowała propozycję. Lokal został wyremontowany. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy wyszedł z więzienia jej syn Jacek i przejął rozmowy z zamkiem. Uznał, że na Topolowej do remontu nadaje się cała kamienica. A dwa pokoje z aneksem kuchennym to w rzeczywistości jeden pokój z kuchnią (lokal w dziewiątce, w którym mieszka pani Ewa, ma 41 m kw., a proponowany na Topolowej – 40). Druga propozycja to mieszkanie przy ul. Rydygiera. Jacek uznał, że to okolica patologiczna i niebezpieczna, gdzie Białorusini toczą porachunki z Ukraińcami.

– *Moja misja to zapewnienie mamie godnej starości. Nie pozwolę jej skrzywdzić i wyrzucić na śmietnik* – deklaruje. – *Nas interesuje strefa A. Był zamienny lokal przy Sobieskiego, ale dostała go sąsiadka. Dyrekcja mnie demonizuje, bo uważa, że wszystko utrudniam.*

Jacek jest w ostrym konflikcie z władzami muzeum wawelskiego. Zarzuca im liczne przestępstwa i składa doniesienia do prokuratury. Procesu się nie obawia. Liczy, że potrwa parę lat, bo chce powołania kilkunastu świadków. Jak przegra, skieruje sprawę do Trybunału w Strasburgu, a to kolejnych kilka lat.

– *Tak prędko nas nie wyrzucą* – zapowiada. – *Potem zażądamy zadośćuczynienia za nękanie mamy, mnie i brata. Może uda się wygrać jakiś milion czy więcej i wtedy kupię mamie mieszkanie tam, gdzie będzie chciała.*

Władze muzeum gromadzą z kolei notatki służbowe strażników pilnujących bramy, z których wynika, że Jacek w stanie wskazującym awanturował się z nimi, a jednego z wartowników opluł. Są nagrania z monitoringu. On sam twierdzi, że ze strażnikami żyje dobrze, ale zastraszeni przez dyrekcję prowokują go, wiedząc, że jest impulsywny. Termin rozprawy w sprawie rodziny G. był wyznaczony na grudzień, ale sąd zgodził się go przyspieszyć i przenieść na wrzesień.

Ostatnia sprawa jest najtrudniejsza. Dotyczy lokalu, w który mieszka 86-letni pan Ryszard, który kiedyś prowadził na Wawelu sklepik Cepelii. Jest samotny. Mieszka na trzecim piętrze. Jakiś czas temu złamał nogę i od tej pory nie wychodzi. Odwiedza go tylko pielęgniarka. Gdy zemdlał, zabrało go pogotowie. Mieszkanie, które mu zaproponowano, to blisko 50 m kw. na krakowskim Salwatorze, przy ul. Kraszewskiego. Parter, a w dodatku opiekująca się nim pielęgniarka mieszka w pobliżu. Według pracowników muzeum pan Ryszard wyrażał chęć przeprowadzki, podpisał porozumienie. I nagle wszystko zmieniło się o 180 stopni.

Wiążą to z powrotem z więzienia Jacka G. Pan Ryszard odmówił nawet obejrzenia lokalu, mimo że muzeum proponowało transport sanitarny. Sprawa trafiła do sądu, a ponieważ pan Ryszard nie był w stanie dotrzeć na rozprawę, sąd przyjechał przesłuchać go na miejscu. Przy okazji zobaczył, gdzie mieszka i jaki lokal zastępczy mu zaproponowano. I nie miał wątpliwości, jaki wydać wyrok.

Wyremontowane lokale przy Topolowej i Kraszewskiego nadal stoją puste.

JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl 568960d3fb

Manipulacje z gracją

Rozmowa z prof. Dariuszem Dolińskim, psychologiem społecznym, o technikach manipulacji, po jakie sięgają oszuści, zgubnych skutkach wysokiej samooceny i pułapkach, jakie zastawiamy na siebie samych.

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**



eprasa.pl 568960d3fb

MARCIN PIĄTEK: **– Rynek kryptowalut widział już wiele oszustw, najnowsze to upadek giełdy Zondacrypto. Jej klienci wyrzucają sobie, że nie zauważali znaków ostrzegawczych. Ale jednocześnie byli obiektami marketingowej ofensywy tej giełdy, w jej uwiarygodnianiu brali udział politycy prawicy, sportowcy i aktorzy. Czy można było uniknąć oszustwa?**

DARIUSZ DOLIŃSKI: – W piramidach finansowych, a zdaje się, że to ten przypadek, dochodzi jeszcze jeden zwodniczy element, mianowicie na początku funkcjonowania mechanizmu nagłaśnia się przypadki inwestorów, którzy osiągnęli zysk. Szerzy się marketing szeptany. A produktów finansowych nie można przymierzyć jak choćby spodni. One są jak szampon, trzeba je kupić, żeby się przekonać o jakości. W przypadku kryptowalut mamy też aurę nowoczesności.

Późną jesienią, gdy giełda została sponsorem Polskiego Komitetu Olimpijskiego, odgrzana została historia czarnej przeszłości tej firmy. Mimo to ludzie nadal kupowali tam kryptowaluty. Dlaczego?

Najprawdopodobniej już wcześniej podjęli decyzję, że zainwestują tam pieniądze, a gdy się ktoś rozpędzi, często żadne argumenty do niego nie docierają. Nie zwraca uwagi na ostrzeżenia, ignoruje je, uważa za niewiarygodne, a nawet za element nieuczciwej kampanii ze strony konkurencji. Na swój sposób racjonalizuje podjętą decyzję, jednocześnie działa nieracjonalnie i nie chce się już zagłębiać w rozważania, czy to na pewno uczciwa firma. Na to nakłada się inny problem: częściej żałujemy tego, czego nie zrobiliśmy, niż tego, co zrobiliśmy. Jest to szczególnie widoczne w przypadkach dotyczących inwestowania pieniędzy. Człowiek nie chce mieć poczucia, że inni zaryzykowali, świetnie zarobili, a jego to ominęło dlatego, że nie podjął ryzyka.

Czy każdego da się zmanipulować?

Nasza czujność jest osłabiona, bo jesteśmy zalewani marketingiem. Oblicza się, że do mieszkańca dużego miasta dociera codziennie 1,1 tys. reklam. W mediach czy filmach szerzy się *product placement*, znany u nas pod nazwą, która niezbyt mi się podoba, czyli lokowanie produktu. Jakiś czas temu wprowadzono przepisy nakazujące uprzedzanie o takiej formie marketingu. Okazało się, że dzięki temu widzowie zaczęli zwracać uwagę na to, czego ta informacja dotyczy, przyglądać się produktowi, a nawet stali się bardziej skłonni, by go wypróbować. Czyli skutek był odwrotny do zamierzonego.

Reklama to manipulacja?

Prowadziliśmy kiedyś badania dotyczące wpływu reklam na odbiorców. Pytaliśmy ankietowanych: „W jakim stopniu reklama działa na ciebie?", ale również: „W jakim stopniu działa na przeciętnego Polaka?". Proszę sobie wyobrazić, że tylko 6 proc. pytanych przyznało, że reklama ma na nich większy wpływ niż na statystycznego rodaka. Podstawowy wniosek z tego badania był następujący: o sobie myślimy lepiej niż o innych. Zdecydowana większość Polaków mówi: aniołem nie jestem, ale na pewno jestem lepszy, bardziej uczciwy od przeciętnego.

Na kryptowalutach też znam się lepiej niż Kowalski z Nowakiem.

Ten efekt – lepszy od przeciętnego – służy podtrzymywaniu wysokiej samooceny. Ona sama w sobie jest zdrowa i bywa zasadna, ale może prowadzić do pułapek. Taki optymizm jest pożądany, ale gdy się bezrefleksyjnie patrzy na inwestycje kryptowalutowe – a ten rynek jest przecież stosunkowo młody, nieznany, nie podlega regulacjom i trudno mówić o tym, że przeciętny Polak porusza się na nim z wyczuciem – to można słono zapłacić.

Gdybym miał ochotę na manipulację, też bym pomasował ego adresata.

Słusznie. Oszuści mówią często: „Rozmawiam z wieloma ludźmi, nie wszyscy łapią, o co chodzi, ale pan wygląda na inteligentną osobę i już widzę, że wyczuwa pan, jak zbić dobry interes". Jeżeli w ten sposób namawia się na inwestycje, odmowa jest równoznaczna z przyznaniem się do niezrozumienia tematu, do deficytu poznawczego. Odwoływanie się do mechanizmów egotycznych jest wyjątkowo skuteczne.

Jedna z moich magistrantek pracowała dla pewnego salonu samochodowego. Jej zadaniem było namawianie klientów do kontynuacji serwisowania zakupionego samochodu w autoryzowanych stacjach tej marki, co jest przecież droższe niż rutynowe przeglądy i naprawy w zwykłych serwisach. Jej skuteczność była niezbyt imponująca, ale gdy odwołała się podczas rozmów do badań, z których wynikało, że na korzystanie z ASO decydują się ludzie przezorni i racjonalni, poprawiła wyniki ponaddwukrotnie.

Manipulatorzy wiedzą, że przekonywać trzeba z wyczuciem, gdyż osoba nadmiernie naciskana może zareagować oporem i zniweczyć plan. Jeszcze sprytniejsze jest sięganie po formułki: „I tak pan zrobi, co uważa za stosowne" albo „Decyzja należy do pana". To niby oczywista kwestia, wiadomo, że decyzja należy do mnie, ale takie upodmiotowienie sprawia, że łatwiej spełnia się oczekiwania manipulatora.

Rok temu opisywałem historie ludzi oszukanych w piramidzie finansowej stworzonej przez Piotra Tymochowicza, byłego doradcę od politycznego wizerunku. Też oferował kryptowalutowe tokeny. Słyszeli od niego: to wasza decyzja, niech wolność wyboru doprowadzi was do wolności finansowej. W ich relacjach powracało zauroczenie tzw. autorytetem. Że człowiek znany nie może dopuścić się oszustwa.

Znamienne, że nie mieli do czynienia z autorytetem z dziedziny finansów lub inwestycji kapitałowych, a wystarczało im, że to tzw. znana twarz. Pojęcie autorytetu się bardzo zdewaluowało, już samo kojarzenie twarzy sprawia, że nabieramy do danej osoby zaufania. Dla młodego pokolenia autorytetami stają się influencerzy, znani tylko z tego, że są influencerami.

Gdy pieniądze nie wracały do inwestorów, Tymochowicz namawiał do osobistego kontaktu. Teraz to samo robił Przemysław Kral, stojący za Zondacrypto.

To również chwyt z klasyki manipulacji, obliczony na grę na czas. Inwestorzy są przekonani, że gdyby ten „autorytet" coś przeskrobał, nie odbierałby telefonów, zerwał kontakty. A ponieważ deklaruje pełną otwartość, to na pewno wszystko się wyjaśni. Zresztą już samo uwikłanie w dialog leży u podstaw manipulacji. Rozmowa zbliża, sprawia, że automatycznie awansujemy obcych ludzi do kategorii znajomych, bardziej im ufamy.

A powinniśmy być czujni, jeśli rozmowa schodzi na kwestię finansów osobistych. Zwłaszcza jeżeli oferta wiąże się z odwołaniem do reguły niedostępności, w rodzaju: promocja lada ▶



Prof. Dariusz Doliński (ur. 1959 r.) – psycholog społeczny, ekspert w dziedzinach psychologii emocji, motywacji i technik wpływu, autor książek. Wykłada na Uniwersytecie SWPS.

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 568960d3fb



▶ moment się kończy, kolejna propozycja już nie będzie tak atrakcyjna.

Szczyt perfidii to sianie strachu: oszuści przejęli konto, proszę podać dane albo kliknąć w link, żeby zablokować dostęp do oszczędności.

Efekt ulgi następującej po zażegnaniu niebezpieczeństwa skłania do zadziwiających zachowań. Jak w grze w dobrego i złego policjanta: przesłuchiwany trzyma się twardo, mając pistolet przystawiony do głowy, a pęka poczęstowany przez dobrego glinę kawą albo papierosem. Kiedyś w Niemczech, jeszcze w czasach, gdy powszechne były telefony stacjonarne, prowadziliśmy takie badanie: dzwoniliśmy do klientów pewnego operatora z informacją, że na koncie powstała ogromna niedopłata. Po chwili tłumaczyliśmy, że jednak zaszła pomyłka, wszystko się zgadza, ale przy okazji testujemy pewien system, a test ów polega na tym, że należy przełożyć słuchawkę do drugiego ucha. Proszę sobie wyobrazić, że ponad połowa badanych robiła to bezrefleksyjnie, informując, że czynność – kompletnie przecież bezsensowna z jakiegokolwiek praktycznego punktu widzenia – została wykonana i czekają na dalsze instrukcje.

Z badań wynika, że stan ulgi związany z poczuciem zażegnania zagrożenia – kiedy to człowiek dosłownie głupieje i jest w stanie spełnić najdziwniejsze prośby – trwa kilkanaście sekund. To tzw. zaleganie afektu, czyli zaburzenie polegające na zbyt długim utrzymywaniu się wywołanego stanu emocjonalnego – zwłaszcza stresu– u osób starszych trwa jeszcze dłużej, co sprawia, że stają się bardziej podatne na oszustwa i wyłudzenia.

Manipulacja to wpływ na emocje. A wywoływanie lęku jest wyjątkowo skuteczne.

Człowiek myśli: jeśli moje pieniądze mają przepaść, nie mogę być bezczynny. Woli zrobić cokolwiek, aby nie mieć do siebie pretensji za brak reakcji. Co więcej, z badań wynika, że im bliżej terminu osiągnięcia wyznaczonego celu finansowego, tym mocniej się angażujemy. Dokonujemy dodatkowych wpłat, myśląc, że za umowny miesiąc, gdy nadejdzie wyznaczona data, zarobimy jeszcze więcej. W ciemno zakładamy więc zysk, co przecież nie ma podstaw. Jest ciekawe badanie dotyczące programów lojalnościowych w kawiarniach, gdzie po dziewięciu kawach dziesiąta jest gratis. Autor badania sprawdzał, jak szybko klienci zbierają pieczątki poświadczające zakup. Okazało się, że im więcej ich mają, tym częściej chodzą na kawę, czyli motywacja wzrasta proporcjonalnie do zbliżania się do celu.

Na pokusę zysku mało kto jest odporny. Wizja pieniędzy jako nagrody uruchamia w mózgu rejony euforyczne odpowiedzialne za stan po zażyciu narkotyków.

A zdrowy rozsądek jest uśpiony. Gdybyśmy kierowali się rachunkiem prawdopodobieństwa, obliczając szanse na wygraną przy jednoczesnym ryzyku poniesienia straty, nikt by nie grał w totolotka. Każdy wypełnia kupon, myśląc o wielkości wygranej.

Kolega od lat inwestujący na giełdzie zwierzył mi się kiedyś, że obserwując na żywo rajd jednej ze spółek, której akcje kupił, i widząc puchnące na jego koncie maklerskim grube tysiące złotych, doznał podniecenia. W sensie ścisłym.

Wcale się nie dziwię. W psychologii znany jest stan określany jako fałszywe rozpoznanie pobudzenia. W jednym z eksperymentów proszono mężczyzn, by wjechali na 10. piętro, tam pokazywano im zdjęcia roznegliżowanych kobiet, których atrakcyjność mieli ocenić. Innych poproszono o wejście schodami, twierdząc, że winda jest zepsuta, na górze pozwolono dojść do stanu względnej równowagi i pokazano te same zdjęcia. Okazało się, że w tej drugiej sytuacji panie bardziej im się podobały, pobudzenie erotyczne pytanych było większe. Z tej prostej przyczyny, że w związku z wysiłkiem zostały uruchomione procesy fizjologiczne, czyli szybsze krążenie krwi, odpowiedzialne również za osiągnięcie podniecenia. W przypadku pana kolegi zakładam, że wizja słusznego zarobku wprawiła go w stan euforii.

Co pana najbardziej zaskakuje w zachowaniu ofiar?

Brak refleksji. Na pierwszy plan wysuwa się poczucie krzywdy, które przesłania wnioski, że sam się do swojego nieszczęścia przyczyniłem. Przyznanie się przed samym sobą, że zachowałem się naiwnie, kłóci się z wysoką samooceną. Ludzie chcą tego za wszelką cenę uniknąć, wypierają własną winę, twierdzą, że zostali potwornie oszukani, i domagają się zwrotu pieniędzy od państwa, które nie zadbało o zabezpieczenie ich interesów. Co zresztą, nawiasem mówiąc, nie dowodzi ich inteligencji.

A jak się bronić przed naciągaczami?

Jeśli chodzi o bezpośrednią styczność, warto pamiętać, że manipulanci i oszuści mają rozpisany cały schemat rozmowy. Swego czasu, za namową koleżanki, zgodziłem się na rozmowę ze sprzedawcą odkurzaczy. Facet przyszedł do mnie do domu, rozłożył swoje pudła i poprosił o przyniesienie mojego odkurzacza. Za jego namową odkurzyłem nim kozetkę, po czym on wyjął swój odkurzacz, włożył do rury białą szmatkę, ponownie wyczyścił te same miejsca i pokazał mi brudną szmatkę, mówiąc: pański odkurzacz jest do niczego. Już chciał przejść do pokazu atlasu z roztoczami, a ja go pytam, czy ma więcej takich szmatek.

Uprzejmie zauważam, że właśnie dał się pan wciągnąć w dialog, który jest wstępem do skutecznej manipulacji…

Dał mi tę szmatkę, włożyłem do jego odkurzacza, nacisnąłem mocno w trudno dostępnych miejscach, wyjąłem brudną szmatkę, mówiąc facetowi: pański odkurzacz jest beznadziejny. Usiadł, zaniemówił na ładnych parę minut, a potem wyszedł. Zmierzam do tego, że zrobienie czegoś kompletnie nieoczekiwanego może obnażyć dziury w scenariuszu manipulatora. Jeśli chodzi o namawianie na inwestycje, mogą być to kontry w rodzaju: „No, ale stracić chyba też można?", „Skoro to taki świetny interes, rozumiem, że zapożyczył się pan po uszy, żeby zarobić?".

Po drabinie manipulacji idzie się od technik uniwersalnych do bardziej wyrafinowanych, czy raczej metodą prób i błędów sprawdza, co działa?

Dobry manipulator może z łatwością zrobić wstępne rozeznanie, z kim ma do czynienia. Profiluje: wykształcenie, wiek, zainteresowania, stan rodzinny. Nieprzypadkowo oszustwa „na wnuczka" kierowane są do dziadków i babć.

A te informacje podajemy w swoich mediach społecznościowych.

Więc nie dziwmy się, że padamy ofiarami oszustw, skoro sami się o nie prosimy.

ROZMAWIAŁ MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 568960d3fb

Zapasy w maśle



Niedawno po 10 zł, teraz nawet po złotówce. Wielkie dyskonty kuszą klientów tanim masłem, gotowe tracić na jego sprzedaży. Mniejsze sklepy są bezradne, a przepisy antydumpingowe – martwe.

CEZARY KOWANDA

Lidl i Biedronka znalazły dla siebie kolejne pole rywalizacji. Dwie największe w Polsce sieci handlowe biją się ostatnio na masło – najniższa cena 200-gramowej kostki doszła w kwietniu nawet do 88 gr, a oferty po 99 gr były dostępne niemal codziennie. W ostatnich tygodniach jest nieco drożej, ale wciąż można kupić masło po niespełna 2 zł. Są oczywiście warunki do spełnienia: trzeba zeskanować kartę lub aplikację lojalnościową i jednocześnie nabyć kilka kostek, najczęściej trzy. Jednak to wciąż bardzo opłacalne, skoro kostka takiego samego masła bez żadnej promocji kosztuje w dyskoncie co najmniej 5 zł. A za złotówkę więcej kupujemy aż trzy kostki. Nie trzeba ich zjadać szybko, bo termin ważności upływa po około dwóch miesiącach.

Dlaczego właśnie masło stało się polem cenowej bitwy? Jeszcze niedawno kostka kosztowała nawet ok. 10 zł. Nie brakowało memów porównujących masło do złota i zalecających chować je do sejfu. Opozycja atakowała rząd, chociaż maślana drożyzna dotykała cały świat. Politycy zdecydowali pod koniec 2024 r. o hurtowej sprzedaży masła przez Rządową Agencję Rezerw Strategicznych po preferencyjnych stawkach. Wszystko po to, by choć trochę zatrzymać cenowe szaleństwo. A Tobiasz Bocheński z PiS oburzał się, gdy na pokładzie Lot-u znalazł masło... niemieckie. To dlatego frakcję w tej partii wrogą Mateuszowi Morawieckiemu ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 568960d3fb

▶ (należy do niej także Bocheński) określa się złośliwie mianem maślarzy.

Kto smaruje?

Ostatnie miesiące przyniosły uspokojenie na rynku, głównie za sprawą spadających cen mleka. Jak wynika z danych GUS, jeden litr w skupie kosztował w kwietniu 1,82 zł – to o 20 proc. mniej niż rok temu i o 30 proc. mniej niż w grudniu 2024 r., w momencie cenowej górki. Jednak mimo tego spadku cen producenci oceniają, że standardowa kostka masła (musi być w niej minimum 82 proc. tłuszczu) powinna kosztować ok. 5–6 zł, aby zostały pokryte wszystkie koszty. Zatem jak to możliwe, że dyskonty oferują masło po złotówce albo po dwa złote?

Taka strategia zwana jest po angielsku *loss leader* (dosłownie lider przynoszący stratę), a po polsku produktem wabikiem. Sieć jest gotowa ponieść stratę na sprzedaży takiego artykułu, bo liczy, że jego niezwykle atrakcyjna cena przyciągnie klientów, którzy przy okazji zrobią inne zakupy. Dzięki temu ostateczny bilans promocji będzie dla dyskontu korzystny, ale na taką strategię mogą decydować się tylko najsilniejsi. Inne większe sieci nie idą na maślaną wojnę z Lidlem i Biedronką, chociaż też przygotowują swoje promocje. Jednak u nich najniższe ceny osiągają ok. 3–4 zł za kostkę, a nie 99 gr czy 1,99 zł.

Wybór masła jako wabika nie dziwi. Chodzi o to, żeby konsumenci byli mile zaskoczeni – oto niedawny lider drożyzny teraz staje się liderem taniości. Efekty rywalizacji handlowych gigantów widać w średnich cenach kostki masła. Takie dane regularnie zbiera platforma analityczno-badawcza UCE Research we współpracy z WSB Merito. Brane są pod uwagę zarówno zakupy dokonywane w ramach promocji, jak i bez nich. Z analizy wynika, że przeciętnie za masło płaciliśmy w kwietniu tego roku 5,45 zł – to najmniej od sierpnia 2023 r. Dzięki obniżaniu cen regularnych i jednocześnie agresywnym promocjom dyskontów masło tanieje z miesiąca na miesiąc – jeszcze w listopadzie 2025 r. jedna kostka kosztowała średnio prawie 8 zł, a w styczniu tego roku niemal 7 zł.

Nie wszyscy mogą brać udział w maślanej bitwie. W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się mniejsi gracze. Jeden z nich właśnie stracił cierpliwość. Krajowy Związek Rewizyjny Spółdzielni Spożywców Społem złożył niedawno skargę do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Zarzuca dyskontom stosowanie cen dumpingowych, które mają wyeliminować rywali z rynku. – *My jesteśmy gotowi do konkurencji, ale na uczciwych warunkach. Największe sieci, oferując tak tanie masło, chcą uzależnić od siebie konsumenta. Tracą na tym przede wszystkim polskie sklepy, które nie są w stanie sfinansować tak agresywnych akcji promocyjnych. Poza tym duże dyskonty w ten sposób wywierają presję na producentów, którzy w rezultacie sprzedają drożej mniejszym sieciom* – wyjaśnia Ryszard Jaśkowski, prezes KZRSS Społem.

Podkreśla, że wcześniej takie akcje promocyjne zdarzały się wyjątkowo, np. przed świętami, ale teraz bardzo tanie masło weszło już na stałe do handlowych gazetek. – *To, co się dzieje, może zagrażać stabilności polskiego handlu lokalnego, uczciwej konkurencji oraz interesom konsumentów w dalszej perspektywie. Bo jeśli my znikniemy, to ci najwięksi już nie będą tak skłonni do obniżania cen* – podkreśla Ryszard Jaśkowski.

Szanse na interwencję UOKiK są jednak niewielkie. Urząd podkreśla, że to sprzedawcy sami określają ceny. – *Rola UOKiK nie polega na ich bieżącym regulowaniu, ale na reagowaniu wtedy, gdy sposób ich ustalania może naruszać przepisy. Prezes UOKiK może interweniować tylko w określonych sytuacjach – np. gdy cena jest wynikiem zmowy przedsiębiorców albo nadużycia pozycji dominującej. Rynek handlu detalicznego w Polsce jest konkurencyjny. Działa na nim wiele sieci ogólnopolskich, regionalnych i lokalnych, które często rywalizują promocjami. Beneficjentami konkurencji cenowej na rynku pozostają konsumenci* – przekonuje Kamila Guzowska z Departamentu Komunikacji UOKiK. Jak podkreśla, niższa cena jednego produktu nie oznacza, że wszystkie pozostałe także będą tańsze niż u konkurencji.

Mleko się rozlało

Tymczasem największe dyskonty liczą właśnie na to, że klienci zachęceni wabikiem w postaci bardzo taniego masła przy okazji kupią także droższe produkty, na których sieci odbiją sobie straty. UOKiK jest w trudnej sytuacji, bo gdyby interweniował, można by mu zarzucić, że działa na szkodę klientów, zmuszając handlowców do podniesienia cen. Jeśli nic nie zrobi, wystawia się na krytykę ze strony mniejszych sprzedawców. Podkreślają oni, że przecież istnieje ustawa o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji. A w niej znaleźć można art. 15, w którym za takową uchodzi „sprzedaż towarów lub usług poniżej kosztów ich wytworzenia lub świadczenia albo ich odsprzedaż poniżej kosztów zakupu w celu eliminacji innych przedsiębiorców". Tyle że udowodnienie takiego zamiaru Biedronce czy Lidlowi byłoby już bardzo trudne. UOKiK, chętnie nakładający kary zwłaszcza na portugalską sieć za różne uchybienia, walki w tym temacie podjąć na razie nie planuje.

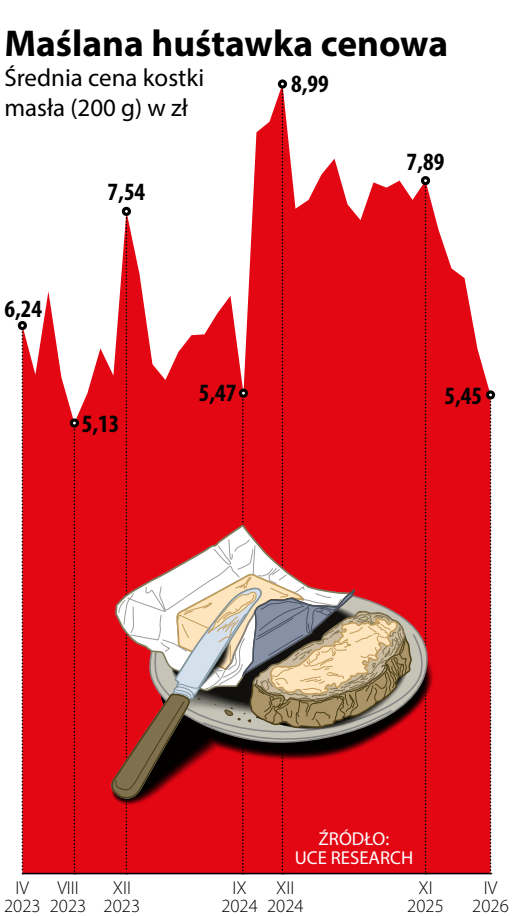
Do cenowej wojny sieci chętnie wykorzystują także mleko. Bardzo częste są promocje, w ramach których litr mleka kosztuje 1,49 zł, jeśli kupi się co najmniej cztery albo sześć butelek czy kartonów. Niedawno sieć Dino zaoferowała nawet litr mleka UHT za zaledwie 1,13 zł. Dino, które zajmuje pod względem obrotów już trzecie miejsce na naszym rynku, nie angażuje się tak bardzo w maślaną wojnę Lidla i Biedronki. Jednak w przypadku mleka ta sieć jest już bardziej agresywna. Tymczasem każda cena poniżej ok. 1,90 zł nie pokrywa nawet kosztu skupu mleka w hurcie.

Nabiałowa ofensywa sieci handlowych w trudnym położeniu stawia producentów, którzy podkreślają, że to nie oni decydują o wysokości cen w sklepach. – *Nasz rynek jest zdominowany przez sieci handlowe i to one ustalają strategie cenowe. To, co ostatnio widzimy, jest niepokojące, bo przyzwyczajamy konsumenta do nierealnej wartości produktów. Klient staje się zdezorientowany, bo nie rozumie, jak to możliwe, że masło może być sprzedawane tak tanio. Co będzie, gdy te promocje się skończą? Czy wówczas klienci nie będą rozczarowani i nie odwrócą się od takich produktów?* – obawia się Marcin Hydzik, prezes Związku Polskich Przetwórców Mleka.

Skoro obecne przepisy o walce z dumpingiem są martwe, pojawiają się bardziej radykalne koncepcje. Rolnicy mieliby określać swoje koszty produkcji, a sieci handlowe nie mogłyby sprzedawać wyrobów poniżej tych stawek. – *Tak zrobiła Hiszpania, ale był to zły pomysł. Lokalne produkty mocno zdrożały, więc wzrósł import, bo sieci handlowe wolały oferować taniej artykuły z innych krajów. Dla nas taki scenariusz byłby katastrofą.*

© PAP/WOJCIECH PACEWICZ, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 568960d3fb





Producenci masła skarżą się, że promocyjne ceny masła są już niemal pięciokrotnie mniejsze niż koszty produkcji

Już teraz ok. 30 proc. produkcji mlecznej musimy eksportować, bo polski rynek jest dla nas za mały. W naszych sklepach dominują polskie mleko czy masło. Gdyby z powodu pomysłów kontroli cen były zastępowane wyrobami z innych krajów, ponieślibyśmy ogromne straty – ostrzega Marcin Hydzik.

Hop, puszkę piwa!

Dyskonty zatem na razie nie muszą się przejmować ustawowymi ograniczeniami. Największe sieci przy ustalaniu cen mają tylko jeden dylemat – ile można wydać na walkę o klienta, by jej bilans był korzystny dla finansów potentata? Poza nabiałem drugie ważne pole cenowej bitwy to ostatnio piwo. Również w tym przypadku zaczęło się od specjalnych ofert przed świętami czy długimi weekendami, a teraz promocje typu 5 + 5 czy 10 + 10 to już standard w sklepowych gazetkach i aplikacjach. Schemat jest podobny jak przy maśle czy mleku – cena obniżona co najmniej o 50 proc. przy zakupie większej liczby sztuk (dzięki temu butelka lub puszka kosztują zaledwie 2–2,50 zł), a ewentualne straty rekompensuje sprzedaż innych produktów.

Jednak o ile masła za grosze politycy nie zamierzają zakazać, to już nad wyjątkowo tanim piwem zbierają się od dłuższego czasu ciemne chmury. Zdaniem części polityków i aktywistów sprzyja to nadużywaniu alkoholu, więc w Sejmie trwają prace nad przepisami mającymi ograniczyć takie akcje rabatowe. Jednak nie wiadomo, czy uda się uchwalić jakąkolwiek nowelizację przepisów antyalkoholowych. Kolejne posiedzenia komisji nie przynoszą rozstrzygnięć, a w parlamencie nie ma szerokiego poparcia dla ostrzejszych regulacji, bo tylko Lewica i Polska 2050 są mocno zaangażowane w tę debatę. Konfederacja broni prawa Polaków do taniego alkoholu, a KO i PiS najchętniej w ogóle nie zajmowałyby się kontrowersyjnym tematem.

Gdy prawo nie działa, a politycy obawiają się wyborców, karty rozdają najpotężniejsze sieci handlowe. To one rosną z roku na rok, zwiększając udziały w rynku dzięki swojej polityce cenowej. Mleko, masło czy piwo to tylko jedne z wielu elementów ich strategii rozwoju. Tak samo jak pączki po kilka groszy z okazji tłustego czwartku czy wyjątkowo tani karp przed Bożym Narodzeniem. Chodzi o to, żeby klient nie musiał się zastanawiać i wręcz instynktownie szedł do sklepu, który kojarzy mu się jako niedrogi. Mało kto ma czas i ochotę porównywać ceny i odwiedzać różne punkty w swojej okolicy, w każdym kupując to, co akurat jest w promocji. Bo przecież coś takiego jak zawsze najtańsza sieć nie istnieje, mimo że najwięksi gracze starają się nam to wmówić, wydając na reklamy ogromne pieniądze, sięgające nawet kilkudziesięciu milionów złotych miesięcznie. Każdy chce być dla konsumenta punktem pierwszego wyboru. Na walce o miejsce w naszych umysłach nie warto zatem oszczędzać. Nawet jeśli oznacza to dopłacanie do kostek masła, butelek mleka czy puszek piwa.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 568960d3fb

Polski Ormuz

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Przypadek Iranu pokazał, że słabsze państwo wciąż jest w stanie powstrzymać mocarstwo, jeśli tylko sprzyja mu geografia. Taki lewar przeciwko Rosji ma też Polska.

Wyobraźmy sobie taką sytuację. Przed lądowym i powietrznym atakiem na kraje NATO Rosja nakazuje swoim okrętom wyjść w morze. Poinformowany z wyprzedzeniem Sojusz Północnoatlantycki ogłasza światu rosyjski plan, tak jak przed atakiem Rosji na Ukrainę. I informuje, że wyjścia z rosyjskich portów wojennych są już zaminowane, a na bałtyckich wyspach stoją systemy rakietowe.

Wyjście rosyjskich okrętów z Bałtijska musi się odbyć przez wąski kanał, który od Polski dzieli 30 km. Mierzeja Wiślana jest już obsadzona przez (może skazanych na śmierć w kontruderzeniu) żołnierzy wojsk specjalnych, którzy odpalają swoje drony i rakiety. Na Rosjan spada też salwa z polskich wyrzutni HIMARS. Jeśli w powietrzu odpowiednio wcześnie znajdą się amerykańskie bombowce strategiczne i liczne samoloty taktyczne NATO, Królewiec nie wytrzyma pierwszych godzin.

Chwilę potem dowództwo morskie NATO pokazuje zdjęcie zanurzającego się w Bałtyku sojuszniczego okrętu podwodnego. Następny kadr już z rozpoznawczego drona: wybucha burta rosyjskiej korwety rakietowej. Jednocześnie w powietrzu zaczynają krążyć samoloty i drony dające NATO wiedzę o ruchach przeciwnika. Na Bałtyku zaczyna się kryzys.

A w północnej Polsce alarm. Wszyscy boją się rosyjskich uderzeń dronowych i rakietowych, jakie Moskwa już wypróbowała na Kijowie. Gdy ze wschodu lecą salwy, w powietrzu roi się już od polskich Patriotów i pocisków antydronowych. NATO pokazuje Rosji, że nie ma mowy o przełamaniu dominacji Zachodu na Bałtyku.

Nasze wąskie gardło

Teraz wróćmy do rzeczywistości. Cieśnina między Półwyspem Arabskim i wybrzeżem Iranu ma niecałe 50 km szerokości, w tym znacznie węższy tor wodny. A i tak jej amerykańsko-irańska blokada wywołała światowe zaburzenia cen i dostaw węglowodorów. Konkurencyjna pod tym względem cieśnina Bab-al Mandab między Jemenem i Dżibuti ma ledwie 15 km, przedzielone wysepką, co tworzy jeszcze korzystniejsze warunki do wywołania światowego kryzysu.

W przypadku wojny z Iranem okazało się, że znacznie słabsze państwo zaatakowane przez uzbrojone po zęby dwa mocarstwa,



Parada morska na Zatoce Gdańskiej

eprasa.pl 568960d3fb

globalne i regionalne, może się obronić, a nawet dyktować warunki pokoju. Jeśli tylko ma geograficzny lewar, którego nie unieważni nawet największa i najnowocześniejsza przewaga ogniowa. Iran ma cieśninę Ormuz. A co mają Polska i NATO?

Na Bałtyku nie brakuje dużo bardziej „wąskich gardeł", kandydatów na polski Ormuz, które dałoby się wykorzystać do utrudnienia życia Rosji w przypadku konfliktu z NATO. A nawet do narzucenia jej częściowej ekonomicznej blokady. Rosja ma oczywiście kontynentalne rozmiary i na dalekiej północy oraz dalekim wschodzie posiada szeroki dostęp do światowego oceanu. Ale akurat na zachodzie styka się z nim poprzez akweny łatwe do zamknięcia, w tym przede wszystkim Morze Bałtyckie.

Nie przypadkiem Moskwa wojowała o dostęp do tego morza od XVI w. Piotr I, wbrew uciążliwej naturze, zbudował w XVIII w. nową stolicę Rosji w bagnistym ujściu Newy do Zatoki Fińskiej. W końcu w XX w. Sowieci łapczywie pragnęli fińskiej Karelii i mniejszych nadbałtyckich sąsiadów.

Po drugiej wojnie światowej ZSRR kontrolował całe wschodnie i południowe wybrzeże Bałtyku – okupował Estonię, Łotwę i Litwę, politycznie zdominował Finlandię i Polskę, a Niemcy zawłaszczył niemal do Półwyspu Jutlandzkiego. Na wybrzeżu powstawały bazy wojskowe, w tym z bronią jądrową. W razie wojny wschodni blok gotów był zająć Danię i południową Szwecję. Sowieci dobrze wiedzieli, że dla wyniku wojny w Europie panowanie na Bałtyku będzie kluczowe.

ZSRR stracił je niemal zupełnie kilkanaście miesięcy po demokratycznym przełomie w 1989 r. i obraniu zachodniego kursu przez niepodległe państwa środkowej i wschodniej Europy. Niemcy się zjednoczyły. Polska wyprosiła sowieckie wojska i zaczęła starania o wejście do NATO i Unii Europejskiej. Państwa bałtyckie miały nadzieję, że dołączą. Finlandia zaczęła mówić niezależnym głosem. Szwecja neutralności nie odrzuciła, ale coraz ściślej wiązała się z USA.

W rękach Federacji Rosyjskiej zostały koniuszek Zatoki Fińskiej oraz eksklawa obwodu królewieckiego, ograniczonego przez Bałtyk, Litwę i Polskę. W ten sposób siły potężniejsze od niej zepchnęły Rosję na skraj jedynego morza, które dawało jej status europejskiej potęgi. A utrata kontroli nad Bałtykiem była składnikiem „geopolitycznej katastrofy", którą kiedyś Władimir Putin nazwał największą klęską XX w.

Rosyjskie zombie

Rosyjska potęga wokół Bałtyku przez dekady rzucała cień zagrożenia. Flota Bałtycka, choć ilościowo najsłabsza spośród czterech głównych flot rosyjskich, straszy szczególnie Polskę i Szwecję. Prowokacje w postaci niskich przelotów myśliwców nad okrętami NATO, wypraw bombowo-rozpoznawczych bez uprzedzenia, nagłych, niezapowiedzianych ćwiczeń są dziś codziennością tzw. nowej zimnej wojny.

Sam obwód kaliningradzki zyskał miano najbardziej zmilitaryzowanego regionu kontynentu, z rakietami Iskander zdolnymi do przenoszenia głowic jądrowych. Najbardziej narażone są Polska i Litwa, ale w ich zasięgu jest całe natowskie wybrzeże. Szczególnie niebezpieczne są małe okręty z pociskami manewrującymi Kalibr o zasięgu na całą Europę. Taki okręt po wykryciu łatwo zatopić, ale jeśli przedtem odpali salwę, narobi szkód zza grobu. Zresztą cały obwód królewiecki to jakby militarne zombie Rosji – w razie wojny będzie z dużą pewnością zniszczony, choć przed śmiercią kogoś zapewne ukąsi.

W odpowiedzi Rosja z Białorusią ćwiczą wyrąbanie lądowego korytarza, również z użyciem broni jądrowej, przez przesmyk suwalski, najgorętszy punkt zapalny na mapie Europy. To dlatego NATO już 10 lat temu postanowiło o rozmieszczeniu relatywnie dużych wielonarodowych kontyngentów na południe i na północ od tego wąskiego gardła. Blokowanie dostępu Rosji do Bałtyku odbędzie się właśnie na Suwalszczyźnie oraz na białoruskiej ▶



© ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl 568960d3fb



▶ Grodzieńszczyźnie. Tu bilans sił lądowych przemawia na korzyść Zachodu.

Na samym morzu i w powietrzu nad nim NATO też ma przewagę. Lotnictwo i siły morskie przeważają nad rosyjskimi, a zmianie strategii znów sprzyja geografia. W razie konfliktu z NATO oczywiste jest zablokowanie Rosjanom dostępu na Bałtyk, zanim jakiekolwiek siły podejdą do zygzakowatych Cieśnin Duńskich.

Samo Morze Bałtyckie wyraźnie dzieli się na kilka obszarów, z których znaczenia NATO zdaje sobie sprawę i na których dominuje. Sojusz całkowicie kontroluje Cieśniny Duńskie i kluczowe wyspy: duński Bornholm, szwedzką Gotlandię i należące do Estonii Hiumę i Saremę. Przy odpowiednim wysiłku one wystarczą, by powstrzymać Rosjan, zwłaszcza od wejścia do NATO Finlandii i Szwecji.

Bałtycka mitologia

Jeszcze zanim oba skandynawskie kraje weszły do NATO, również Polska zyskała zdolności, które mają stanowić bolesny kolec w boku Floty Bałtyckiej. Kilka razy w ramach ćwiczeń okręty transportowe przerzucały na estońską wyspę u wyjścia Zatoki Fińskiej baterie przeciwokrętowych pocisków manewrujących NSM, których Polska była pierwszym nabywcą niemal 20 lat temu. W razie „W" taki desant może stanowić wstęp do blokady morskiej St. Petersburga i wojennego portu w Kronsztadzie.

Z czasem wyposażona w NSM Morska Jednostka Rakietowa rosła mimo krytyki, że „zjada" środki przewidziane dla marynarki pływającej po morzu, a nie jeżdżącej po brzegu. Ale na podobne inwestycje zdecydowały się Finlandia i Estonia, a Szwecja od lat produkuje odpalane z okrętów i lądowych wyrzutni pociski zdolne do zatapiania okrętów i uderzania w cele lądowe. Ile ich jest wokół Bałtyku? Już setki, czyli dużo więcej niż rosyjskich okrętów i ich baz.

Od lat trwa jednak debata, czy najlepszymi okrętami na Bałtyku nie są przypadkiem samoloty. W korzystnych warunkach atmosferycznych – może. Ale pogoda bywa tam wredna, a morza – podobnie jak lądu – nie da się całkiem opanować z powietrza. Skupiające uwagę, duże i kosztowne fregaty mają w tym zadaniu wielkie wsparcie skromnej, ale liczniejszej floty okrętów minowych i przeciwminowych, które są w stanie zablokować wyjścia z portów i zapewnić bezpieczeństwo torów wodnych. A w tej dziedzinie Polska jest szczególnie mocna.

Innym rozpowszechnionym mitem jest to, że Bałtyk jest za płytki dla okrętów podwodnych. Podwodniacy śmieją się, że nigdzie indziej nie udaje im się tak dobrze ukryć, jak w tych zmiennie zasolonych, mało przejrzystych i płytkich wodach. Tu nie trzeba schodzić na setki metrów, by być niewykrytym. Dlatego niewielka Szwecja chce mieć w służbie pięć okrętów podwodnych, Polska stara się o trzy (zaprojektowane na Bałtyk, ze Szwecji), a Niemcy dzielą flotę sześciu okrętów między Morze Północne i Bałtyk. Stosunek NATO–Rosja bałtyckich sił podwodnych jest jak dziesięć do jednego na korzyść Zachodu, a będzie jeszcze korzystniejszy.

Blokadą dla Rosji będą też bałtyckie fregaty obrony powietrznej. Polska buduje trzy Miecznik, skonfigurowane do roli pływających baterii. Szwecja właśnie ogłosiła zakup czterech fregat z Francji wyposażonych w pociski przeciwlotnicze. Finlandia zainwestowała w okręty podobnej klasy. Niemcy realizują ogromny plan wzmocnienia marynarki wojennej we fregaty i niszczyciele, choć z problemami. Nawodne siły NATO na Bałtyku będą w stanie zablokować Rosję. A jeśli otrzymają jeszcze amerykańskie wsparcie, wynik takiego starcia będzie przesądzony.

Naziemnym wsparciem jest zlokalizowany w Redzikowie pod Słupskiem dalekosiężny radar i pociski przechwytujące, które są w stanie doścignąć rosyjskie rakiety większego zasięgu, choć nie wiadomo czy Iskandery. Kluczowe miejsca w Polsce chronić będą Patrioty, a system obrony właśnie wzmocniły pierwsze samoloty F-35, których do końca dekady ma być wokół Bałtyku ponad setka – 64 fińskie, 32 polskie, 27 duńskich (z zamiarem zakupu kolejnych) i 35 niemieckich, też z opcją nowych. To one zapewnią zdolność przełamania rosyjskiej obrony powietrznej i zniszczenia wyrzutni rakiet.

I w końcu drony – niewielkie bałtyckie odległości dają im olbrzymie pole do popisu. Najpierw chodziło o to, by bez zakupu drogich samolotów rozpoznawczych mieć rozeznanie, co się dzieje na morzu i wokół niego. Dlatego Polska zainwestowała w tureckie Bayraktary i amerykańskie Reapery. Mogą one utworzyć parasol rozpoznania nad południowym Bałtykiem. Ale duże drony same wymagają ochrony. Trudniej jest zwalczać tańsze i liczniejsze małe bezzałogowce, w których produkcji polskie firmy też są w stanie się wykazać. Dronowa rewolucja weszła już na dobre do polskiej armii.

Zanim uderzy Rosja

Ostatecznie geografia przemawia na korzyść tego, kto jest w stanie zasypać wroga z lądu – a tu Polska ma przewagę nad obwodem królewieckim i Białorusią. Jeśli spojrzeć na mapę morza, nie ma mowy o wyjściu jakiegokolwiek rosyjskiego okrętu z Bałtijska bez konieczności odparcia ataku dronami, rakietami i pociskami manewrującymi. Nie ma też mowy o wysłaniu na pozycje bojowe jakiejś rosyjskiej wyrzutni rakiet bez wiedzy o tym fakcie w Warszawie i zarządzeniu kontruderzenia.

W rachunku sił liczyć się będzie czas. NATO mówi, że jest sojuszem obronnym i wstrzymuje się przed uderzeniem

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 568960d3fb



Ćwiczenia Baltops. Desant z poduszkowca na plażę koło Ustki.

wyprzedzającym. Ale zupełnie niedawno szef komitetu wojskowego Sojuszu, adm. Giuseppe Cavo Dragone, rozważał publicznie to, do czego od lat namawiają szefowie obrony ze wschodniej flanki – obezwładnienie Rosji w samoobronie, zanim ona zacznie atak. Nie musiałyby tego nawet robić formalne siły zbrojne.

Nieoficjalne wieści z wciąż tajnej listy projektów SAFE szepczą o tym, że szykuje się pozyskanie dla Europy ukraińskiej technologii budowy łodzi bezzałogowych Magura, które siały popłoch na Morzu Czarnym i mogą zostać zaadaptowane na bałtyckie potrzeby. Uderzenia na rosyjskie okręty i bazy były dziełem ukraińskiego wywiadu – a nie armii – oczywiście działającego w koordynacji i na rozkazy naczelnego dowództwa. Wyobraźmy sobie taką skoordynowaną akcję NATO na Bałtyku.

Zresztą w samej Polsce podobnych projektów nie brakuje, a najbardziej znane stworzyła prywatna Grupa WB, potentat na rynku zbrojeniowym, producent bezzałogowców powietrznych i lądowych oraz systemów kierowania nimi, również w tzw. rojach. Masowej produkcji dronów morskich sprzyja zaplecze przemysłowe, bo Polska posiada olbrzymi, choć wytwarzający łodzie głównie na eksport, sektor mniejszych i większych stoczni jachtowych i motorowodnych. W teorii zdolne byłyby one wesprzeć produkcję dużo łatwiejszą, bo niewymagającą wszystkich tych kosztownych i skomplikowanych instalacji przeznaczonych dla załóg i pasażerów.

Gdyby udało się sformować „polską marynarkę dronową”, w ciągu kilku lat mogłaby być najpotężniejsza w Europie, a na pewno na Bałtyku. Połączenie relatywnie tanich powietrznych środków dalekiego rażenia z nawodną i podwodną armadą dronów mogłoby wystarczyć dla sparaliżowania rosyjskich prób wyjścia na Bałtyk.

W tej działce ukraińskie doświadczenia i technologie mają być jednym z fundamentów szybkiego i niedrogiego dozbrojenia. Bo jeśli taką gałąź przemysłu zbudowała biedna i słaba Ukraina w czasie wojny, to dlaczego nie miałaby jej zbudować bogata i silna Europa? Technologie z Ukrainy bywają lekceważone, bo rzeczywiście nie są stuprocentowo skuteczne i nie wytrzymują zachodniego trybu testowania, ale są wystarczająco skuteczne i wystarczająco tanie, by boleśnie razić Rosję – a o to przecież chodzi w realiach wojny.

Straszak nuklearny

W takich okolicznościach Rosja oczywiście nie będzie milczeć. W perspektywie blokady morskiej, a tym bardziej zniszczenia jej regionalnych sił (Królewiec), postawiłaby zapewne na nuklearną kartę. To scenariusz znany jako eskalacja dla deeskalacji, testowany zarówno w rosyjsko-białoruskich ćwiczeniach, jak i w ramach odpowiedzi NATO. Starcie jądrowe jest opcją skrajną, ale niewykluczoną. Rosja ma w nim jedyną przewagę nad NATO, bo posiada 10 razy więcej rakiet, pocisków i bomb zdolnych do wyposażenia w jądrowe głowice.

Rosja ryzykuje jednak bardzo dużo, bo trzy natowskie kraje posiadające broń jądrową: USA, Francja i Wielka Brytania, mają dość bezwzględne doktryny – nie wykluczają pierwszego uderzenia i zmasowanej odpowiedzi, w tym na cele cywilne, czyli rosyjskie miasta. Bałtycka regionalna wojna atomowa szybko mogłaby się rozwinąć w globalny armagedon, którego chyba żadna ze stron nie chce. Dlatego konwencjonalna obrona i zdolności do powstrzymania Rosji są i pozostaną kluczowe dla państw regionu oraz ich sprzymierzeńców.

Jeszcze ważniejsza może jednak okazać się geografia. W razie „W” przy zablokowanym Bałtyku Rosja będzie miała nie tylko duże kłopoty surowcowe, ale przede wszystkim straci szansę na projektowanie swojej siły poza swoje najbliższe otoczenie. Przy naszym dobrym planowaniu – i współpracy z sojusznikami – nie przebije się przez „polski Ormuz”, nie oskrzydli Polski od północy. A geografia, jak ponoć mówił Napoleon, znów stanie się przeznaczeniem.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

© ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl 568960d3fb

Nomadzi miłości

Jeśli masz dobrą pensję, pracę zdalną i męską dumę, po co zawracać sobie głowę zachodnimi kobietami? Tak uważają „paszportowi bracia", którzy jeżdżą po świecie w poszukiwaniu prawdziwej miłości.

PAULINA WILK



© MARIDAV/ALAMY STOCKPHOTO/BE&W

Nie sposób policzyć, ilu ich jest. Nie mają jednej definicji. Ale określają się jako ruch. I podążają według wskazań swoich influencerów, doświadczonych już mistrzów w dziedzinie podróżowania i zdobywania kobiet. Na chwilę, na dłużej, raczej nie na stałe.

Układ nie jest równoważny ani sprawiedliwy. Oni pochodzą z zamożnego Zachodu, najczęściej z USA, mają „przewagę paszportową" i nie wahają się wykorzystywać jej w najdosłowniejszy sposób, wyciągając dokument i machając nim na ulicy. To działa. Na Filipinach, w Tajlandii, Kolumbii czy Brazylii. Tak przynajmniej zapewniają w filmach instruktażowych ci, którym się już powiodło.

Skusili dziewczyny swoją zagraniczną tożsamością, białą (przeważnie) skórą i portfelem (zarobki w dolarach, wydatki w lokalnych walutach). Chętnie dzielą się swoimi sukcesami, ale też praktycznymi poradami dla innych mężczyzn, którzy czują, że w ich części świata z kobietami jest coś głęboko nie w porządku, a ekonomia i kultura zmieniają się na niekorzyść – mężczyznom trudniej o atrakcyjną partnerkę, ale też poczucie zadowolenia, sukcesu i stabilności w życiu.

Na kłopoty złota recepta od innych „paszportowych braci": praca zdalna, wyjazd do kraju „trzeciego świata" (wciąż trzymają się takich określeń) i znalezienie tam dziewczyny, jeśli nie idealnej, to otwartej na tradycyjny wzorzec męskości. Praca, kraj i partnerka nie muszą występować w liczbie pojedynczej – nomadzi postpandemicznego cyfroświata poruszają się płynnie, lubią zmiany, szukają rozmaitych doświadczeń.

Są więc wśród nich tacy, którzy na forach i w męskich dyskusjach o zawiłościach paszportowego stylu życia piszą o poszukiwaniu szczęścia na stałe i okazji do małżeństwa. Ale oni stanowią mniejszość, a ich dylematy dotyczące niuansów i wyzwań w budowaniu relacji z osobami z innych kultur pojawiają się na marginesie wątków dominujących. Te zaś dotyczą praktyki nawiązywania kontaktu w ogóle, zdobywania atencji oraz wysokich notowań u kobiet, o co w Stanach i Europie coraz trudniej.

Jeden z najpopularniejszych celebrytów tego nurtu, działający pod nickiem Digital Bromad (gra angielskich słów: brat i nomada), regularnie podsuwa blisko milionowi swoich obserwatorów na platformach społecznościowych konkretne instruktaże i zalety takiej ścieżki życia. Wyposażony w grube pliki banknotów wylicza niskie koszty randek, rozrywek, produktów. Ale też z pomocą swojej obecnej filipińskiej partnerki przygotowuje konkretne analizy kosztów życia i wydatków. Podpowiada, jak nie przepłacać i nie dać sobie sprzedać czegoś drożej tylko dlatego, że jest się obcokrajowcem.

Digital Bromad jako zawodowy analityk danych tworzy klarowne zestawienia dla wszystkich tych, którzy chcą iść w jego ślady. Pomaga obliczyć, czy stać ich na takie życie. Podziękowaniom w komentarzach nie ma końca. Pojawiające się w filmach dziewczyny służą także za przewodniczki, zabierają w ciekawe miejsca, karmią lokalnymi potrawami, towarzyszą w rozrywkach – ubarwiają życie, które stało się podróżą pozwalającą na kolekcjonowanie godnych pozazdroszczenia doznań.

Manosfera w podróży

To nie jest, rzecz jasna, scenariusz dostępny dla każdego rozczarowanego niepowodzeniami towarzyskimi czy życiowymi faceta z Zachodu. Jesteśmy w specyficznym sektorze. Tzw. cyfrowi nomadzi to grupa obecnie szacowana na 40–50 mln osób na całym świecie, wliczają się do niej i osoby podróżujące stale, i wyjeżdżające do pracy na określony czas. Blisko 18 mln nomadów pochodzi z USA; wyraźnie dominują, choć sporo jest też Brytyjczyków, Francuzów czy Rosjan. Gwałtownie przybyło ich w czasie pandemii, pod koniec dekady ma ich być 60 mln.

Pracujący i żyjący w ten sposób to zwykle mężczyźni (ok. 60 proc.), milenialsi, zatrudnieni w branży technologicznej, marketingu, zarządzaniu, nauce języków, e-usługach. Aż 91 proc. z nich ma wyższe wykształcenie, cieszą się dysproporcją między swoimi „pierwszoświatowymi" przychodami a „trzecioświatowymi" kosztami życia. Już 40 krajów oferuje specjalne wizy albo ułatwienia pobytowe czy podatkowe dla cyfrowych nomadów. A ci przynoszą globalnej gospodarce ok. 800 mln dol. rocznie, m.in. z wynajmu nieruchomości i zakupu usług.

Ich tryb życia sprzyja zmianom, krótkotrwałym związkom, opóźnia czas zawierania małżeństw i zakładania rodzin. A więc tzw. paszportowi bracia (terminu passport bros jako pierwszy użył w filmie dokumentalnym „Frustrateď" w 2011 r. afroamerykański reżyser Al

eprasa.pl 568960d3fb



Geeze), to w większości przedstawiciele dość elitarnej warstwy pracowników przydatnych w różnych częściach świata i korzystających z przywilejów usieciowionej ekonomii.

To ważne dla zrozumienia ich wyjątkowej pozycji w szerszym kontekście manosfery, czyli tej części internetu, w której grupują się różne męskie środowiska połączone krytycznym lub wręcz nienawistnym stosunkiem do kobiet. Z jednej strony paszportowi łowcy kobiet przeczą stereotypom „o mężczyznach, którzy nienawidzą kobiet" z powodu swojego życiowego nieudacznictwa i nieatrakcyjności, z drugiej – można ich zaliczać do osób aktywnie napędzających nowe modele seksturystyki oraz umacniających postkolonialne schematy. Tyle że w otoczce blichtru i relatywnego luksusu.

Jeśli chodzi o manosferę, paszportowi bracia na ogół stanowią jej łagodne skrzydło. Bywają zaliczani do trendu Men Who Go Their Own Way (mężczyzn idących własną drogą), tj. społeczności heteroseksualistów, którzy dystansują się wobec kobiet i instytucji małżeństwa. W tej podgrupie są m.in. świadomie wybierający celibat zdeklarowani przeciwnicy instytucji narzucających relacje z kobietami, a także mężczyźni uznający kobiety za postaci niegodne kontaktu w ogóle.

W tym wachlarzu postaw paszportowi bracia to skrzydło liberalne, chętnie korzystające z przewag i wygód, jakie oferuje globalizacja – szukają partnerek, które im pasują, związków bez zobowiązań i mniej kosztownych. Właściwie nie występuje tu wątek potrzeby zakładania rodziny, ojcostwa. Cel wydaje się prostszy: ominąć konkurencję (wedle tej logiki białoskóry ma zawsze przewagę) i złowić dziewczynę na przychylnym zagranicznym rynku. Szybciej i bez ceregieli, które w kulturze Zachodu, po kilku falach feminizmu i ruchu #MeToo, zmniejszają szansę na samo wejście w relację z dobrze notowaną i atrakcyjną partnerką – o jej utrzymaniu czy rozwijaniu w długiej perspektywie nie mówiąc.

Polki mają plusy

Nie wiadomo jednak, na ile ten model funkcjonowania zaspokaja potrzeby młodych mężczyzn z dala od domu. Uważniejsze studiowanie grup dyskusyjnych odsłania rozmaite trudności i nieoczywiste konsekwencje. Bracia piszą np. o problemach z zaakceptowaniem zagranicznego chłopaka przez chińską społeczność. Ale też przestrzegają, że przywiezienie dziewczyny np. z Filipin do USA może szybko doprowadzić do niepożądanej westernizacji – czytaj: emancypacji.

Im dłużej trwają przygody paszportowych braci, tym więcej na forach wątków podważających obietnicę szybkich i spektakularnych sukcesów obyczajowych. Jednocześnie ruch dojrzewa: w sieci pojawiło się sporo wyspecjalizowanych portali czy podkastów, porad i opisów dotyczących wyzwań, regulacji i szans na zawiązanie relacji w poszczególnych krajach. Np. Polska okazuje się rynkiem niełatwym, a nawet rozczarowującym, bo wedle relacji części braci, którzy próbowali szczęścia nad Wisłą, Polki są właściwie kobietami Zachodu, z pakietem wysokich oczekiwań wobec potencjalnych partnerów. Ale wciąż są przywiązane do tradycyjnych wartości, w tym chrześcijańskich, a to paszportowi chłopcy zaliczają na plus.

Zresztą wedle poradników internetowych Polska ma wiele plusów. Kilka przykładowych: kobiety naprawdę chcą związków, nie zadowalają się samą popularnością w aplikacjach randkowych; większość mówi po angielsku; loty z Ameryki Północnej są częste i niedrogie; kraj jest bezpieczny, koszty życia o około połowę tańsze niż w zachodniej Europie. Co jednak najważniejsze: Polki cenią galanterię, chcą, by to on wykonał pierwszy ruch, lubią dostawać na randkach kwiaty i oczekują, że mężczyzna ubierze się schludnie. Już po kilku spotkaniach dadzą wyraźny znak, czy chcą trwałej relacji. A gdy zaproszą na spotkanie z rodziną, to jednoznaczna deklaracja. Rachunki płaci mężczyzna, przynajmniej na początku.

I jeszcze jedno: najlepszym okresem do nawiązywania znajomości z Polkami są wiosna i lato, gdy pogoda sprzyja, a kawiarnie wystawiają ogródki. Od listopada wszystko staje się szare, ciemne, a perspektywy bledną.

To zupełnie inaczej niż np. w Kolumbii, do której paszportowi bracia latają w ostatnich latach coraz chętniej. W Medellín seksturystyka jest legalna – oczywiście dla dorosłych. Miasto znane jest jednak z wielkich nierówności oraz stosunkowo młodej populacji i dlatego tajemnicą poliszynela jest seksturystyka z nieletnimi. Do kontaktów dochodzi w prywatnych lokalach; działa złożona siatka pośredników i powiązań. A rozwibrowane nocne życie, imprezowy charakter miasta sprzyjają wizytom singli ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ szukających doświadczeń erotycznych albo krótkich relacji, z dorosłymi lub nie.

I tak Medellín znalazło się na mapie paszportowych braci, którzy w serwisie passportbro.com piszą o nim jak o raju zapewniającym „przygody, świetne możliwości randkowania i niskie koszty życia". A do tego łagodny klimat i w miarę nowa infrastruktura miasta. W sekcji ocen wystawianych przez użytkowników na czerwono oznaczone jest tylko „bezpieczeństwo w mieście".

Protokół współbycia

Według ośrodka badawczego Pew Research Center prawie 63 proc. mężczyzn w USA między 18. a 29. rokiem życia to single. To dwukrotnie więcej niż kobiet w tej samej grupie wiekowej. Łatwo policzyć: wolnym chłopakom jest dwukrotnie trudniej spotkać dziewczynę „do wzięcia". A według „Economist" blisko połowa młodych Amerykanów między 25. a 34. rokiem życia, bez względu na płeć, żyje w pojedynkę i takich osób tylko przybywa. Aż 61 proc. dorosłych Amerykanów i Amerykanek w ogóle nie szuka związku i nie chce chodzić na randki. Jednym z wielu powodów, deklarowanym przez 65 proc. młodszych mężczyzn, jest trudność w podchodzeniu do innych i nawiązywaniu kontaktu. Istotne, że wśród mężczyzn po 40. roku życia tę trudność deklaruje zaledwie 27 proc. Bo oni pamiętają jeszcze dorastanie w mieszanych grupach rówieśniczych, gdzie podczas wspólnych rozrywek, nieraz łączonych z używkami, łatwiej dochodziło do spontanicznych kontaktów i zawiązywania znajomości, które czasem przeradzały się w trwalsze relacje. Teraz o to trudniej.

Wśród kluczowych „winnych" są media społecznościowe. Łatwo tam o obśmianie, hejt i szydzenie, co powoduje rosnącą autocenzurę młodych i spadek spontanicznych zachowań. Pilnują się, by nie zrobić niczego, co może być uznane za błąd. Smartfony tworzą prywatne próżnie, czas spędzany online oducza „protokołów współbycia" z nieznajomymi – jak podejść, jak zagadać, jak się zachować. Stąd trend na moderowane kolacje tematyczne, wspólne ciche czytanie książek, rozmaite formy bycia offline. Chodzi o to, aby w ich trakcie nauczyć się podstawowych reguł zachowań, trochę oswoić obcych i przekonać się, że w rzeczywistości nie są tak nieobliczalni, łatwo oceniający i odrzucający jak w aplikacjach.

Wszystko to zdecydowanie bardziej dotyczy mężczyzn. Młode kobiety w USA czy Europie mają mniej powodów, by te – nie zawsze przyjemne wyzwania i konfrontacje – podejmować. Mają większe niż pokolenia ich przodkiń możliwości zatrudnienia. Partnerów wybierają swobodniej, bo mogą nie tylko utrzymać się samodzielnie, ale też robić to bez ryzyka stygmatu „starej panny". Swobodniej więc decydują się żyć same, niż trwać w relacjach z partnerami niesatysfakcjonującymi czy przemocowymi.

> Młodzi mężczyźni, często słabiej wykształceni i napotykający trudności w znalezieniu pracy zapewniającej prestiż, czują się przegrani na rynku nie tylko matrymonialnym, ale też towarzyskim.

Zachodnie kobiety są też coraz częściej lepiej wykształcone i stanowią coraz liczniejszy odsetek dobrze zarabiających. Pokazują to zestawienia płci nawet w przypadku amerykańskich rodziców samotnie wychowujących dzieci: kobiety przebijają mężczyzn dochodami.

Tymczasem młodzi mężczyźni, często słabiej wykształceni i napotykający trudności w znalezieniu pracy zapewniającej prestiż, czują się przegrani na rynku nie tylko matrymonialnym, ale też towarzyskim. Rezygnują z randkowania łatwiej niż kobiety, wolą się trzymać kolegów, częściej odpuszczają. Uciekają w samorozwój – coaching mobilizujący do pracy nad sobą, poprawę wyglądu, stylu bycia, zachowania. To z jednej strony zasilanie ambicji, z drugiej – kompleksów i logiki: „Nie randkuję, dopóki nie zrobię z siebie atrakcyjnego faceta".

Dziewczyny zostają

Rozdźwięk światopoglądów, aspiracji, wartości – oraz preferencji politycznych – między kobietami i mężczyznami na Zachodzie coraz wyraźniej daje o sobie znać, szczególnie wśród młodych. Inne modele życia prowadzą do innych oczekiwań w sferze publicznej, a polaryzacja jest siłą, która faktycznie komplikuje życie towarzyskie i wykopuje rów pomiędzy płciami.

Niemogący znaleźć sobie odpowiednich partnerek i partnerów Amerykanie uciekają w niszę. Można dziś iść na randkę i spotkania konserwatystów chrześcijańskich organizowanych pod hasłem „Make America Hot Again" (uczyńmy Amerykę znów ponętną), gdzie ma się gwarancje spotkania osoby szukającej tradycyjnego podziału ról w związku. Można iść na randkę w przykościelnej oazie (także w Polsce). Albo przeciwnie – wybrać popularne w dużych amerykańskich miastach randki tylko dla zawodowo aktywnych. Tam ambitne dziewczyny szukają mężczyzn, którzy – wedle uczestniczek – „nie będą na nich wisieć, bo pracują i zarabiają, po prostu mają życie".

Rów podziałów między płciami nie jest dla młodych abstrakcją. Część Amerykanów uważa, że #MeToo podziałało paraliżująco, zbudowało krzywdzącą zbitkę „mężczyzna równa się predator". Amerykanki w badaniach mówią, że nie czują się przy mężczyznach bezpiecznie i swobodnie, łatwiej im być sobą wśród przyjaciółek.

Ile w tym poważnych frustracji, ile eskapizmu, a ile cichej desperacji w reakcji na trendy, które sprawiają, że na Zachodzie coraz trudniej o wyjście z samotności, trwały związek, a nawet o zwykłą randkę? A co, jeśli nie da się znaleźć podobieństwa, bliskości i radości w niszy własnej płci czy przekonań? Wtedy pozostaje ruszyć w drogę śladami paszportowych braci, z nadzieją, że gdzieś indziej sprawy mają się lepiej i po staremu. Ale to wyjście awaryjne tylko dla mężczyzn. O paszportowych siostrach internet milczy. Dziewczyny zostają.

PAULINA WILK

eprasa.pl 568960d3fb



Kto umie w Unię?

Jak uratować i wzmocnić Unię Europejską, nie przegrywając wyborów w swojej ojczyźnie, krajowym przywódcom radzi politolog Jan Zielonka.

© SHUTTERSTOCK AI

MATEUSZ MAZZINI: **– Czy Europa stała się bardziej asertywna wobec Donalda Trumpa?**

JAN ZIELONKA: – Oczywiście. Widać to na przykładzie Włoch, gdzie rządzi Giorgia Meloni, dotychczas pupilka amerykańskiego prezydenta, która teraz go rozdrażniła, bo nie pozwoliła lądować w bazach na Sycylii amerykańskim samolotom lecącym na Bliski Wschód. Inni, jak premier Hiszpanii Pedro Sánchez, krytykują Stany Zjednoczone z pozycji bardziej pryncypialnych. Ale miarka przebrała się u wszystkich. Nawet u Brytyjczyków, którzy najdłużej próbowali udawać, że z Trumpem da się jeszcze jakoś rozmawiać. Do tego dochodzi kanclerz Friedrich Merz, który sam się chyba nie spodziewał, że słowa wypowiedziane na spotkaniu z licealistami wywołają międzynarodową awanturę (powiedział m.in., że „cały naród amerykański został upokorzony przez irańskich przywódców" – przyp. red.).

Kiedy nastąpił przełom?

Europejska retoryka zmieniła się po wybuchu wojny w Iranie. Oczywiście Europa nadal jest od USA zależna pod wieloma względami. I nie jest wcale łatwo powiedzieć Trumpowi, co myślimy o jego polityce. Jednak zmiana jest widoczna, bo w ubiegłym roku większość europejskich przywódców próbowała ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ grać na czas. Moim zdaniem to był błąd, bo oni raczej ten czas tracili, niż go zyskiwali. Alternatywy dla amerykańskiego parasola nuklearnego nie stworzy się w ciągu kilku tygodni, na to potrzeba lat. Nie ma już wątpliwości, że Trump nie dba o Europę, tylko w otwarty sposób działa przeciwko jej interesom.

Dlaczego zajęło nam to tak dużo czasu? Przecież intencje tej administracji były jasne od początku.

To pytanie raczej z zakresu psychologii, bo zahacza o nasze trudności z porzuceniem pewnego wyobrażenia świata i przyjęciem, że wcale nie jest taki, jak nam się wydawało. Niby premier Kanady Mark Carney powiedział w Davos to, o czym wszyscy mówili szeptem: że stary porządek już nie istnieje. Ale przecież Emmanuel Macron mówił o śmierci klinicznej NATO dużo wcześniej. Mieliśmy więc czas, żeby się z tymi argumentami oswoić. Bo inną rzeczą jest uświadomić sobie, że świat się zmienił, a inną – mieć pomysł, jak w tym świecie funkcjonować. I na tym właśnie polega problem Europy: że my tego sposobu cały czas nie mamy.

Z czego to wynika?

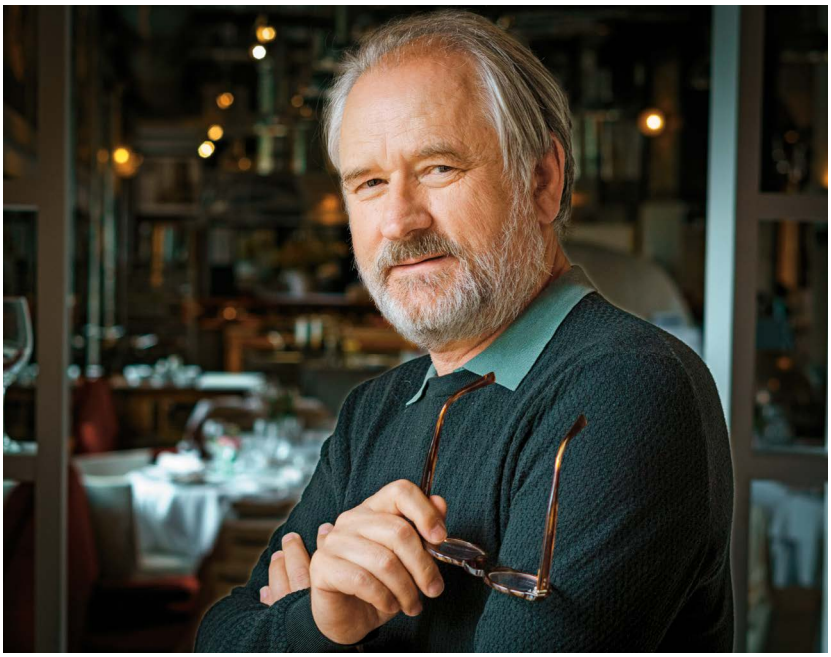
Wiele państw europejskich nie ufa sobie nawzajem. Jesteśmy wobec sąsiadów podejrzliwi nawet bardziej niż wobec Amerykanów. Wystarczy spojrzeć na antyniemiecką kampanię, która przetacza się przez polskie media, nie tylko te prawicowe, bliskie PiS. Poza tym model integracji europejskiej stał się dysfunkcyjny, bo z jednej strony następowało pogłębienie integracji, np. w aspektach finansowych czy poprzez własną walutę, a z drugiej wcale nie delegowano więcej władzy dla Brukseli – w Unii przecież nadal rządzą państwa narodowe. Ich liderzy po każdym szczycie wychodzą do mediów i się chwalą, że obronili interes narodowy, a nie unijny. Trudno myśleć, że uda się to zmienić w bieżącym klimacie politycznym, kiedy wybory wygrywa się obietnicą suwerenności i ograniczeniem – a nie zwiększeniem – roli Brukseli.

Tylko czy to nie jest grzech założycielski Wspólnot Europejskich? Jan-Werner Müller od lat powtarza, że Unia nigdy nie będzie podejmować decyzji tak szybko jak USA czy Chiny, bo jej ideą od początku była decentralizacja, żeby uniknąć powtórki z autorytaryzmu lat 30.

Moim zdaniem ideą założycielską było jednak *multilevel governance*, czyli rządzenie wielopoziomowe. Problem polega na tym, że to od początku była fikcja, bo opowiadano, że część decyzji będzie podejmowana ponadnarodowo, część krajowo, część lokalnie, a władza i tak była zawsze przy państwach narodowych. Teraz, kiedy potrzebujemy większej koordynacji na szczeblu unijnym, w krajowej polityce jest wszędzie presja, żeby tego nie robić. A z powodu zmian geopolitycznych, migracji, rewolucji technologicznych ludzie czują się zagubieni, na czym budują kapitał populiści i siły antyeuropejskie.

Politycy krajowi boją się integracji?

Tak, nikt nie ma odwagi powiedzieć, że owszem, są sprawy, które lepiej załatwi naród, ale są też takie, które musi załatwić Unia. Przypomina mi się rozmowa z Davidem Milibandem, ministrem spraw zagranicznych w rządzie Gordona Browna i współpracownikiem Tony'ego Blaira. Blair – dziś mało kto o tym pamięta – wygłaszał świetne, proeuropejskie przemówienia w Strasburgu, nawet w Warszawie. Kiedy zapytałem Milibanda, dlaczego takiego przemówienia nie wygłosi w Wielkiej Brytanii, ten odpowiedział, że cały rząd zostałby za to zjedzony żywcem przez tabloidy.



Jan Zielonka (ur. 1955 r.) – politolog, profesor emeritus Uniwersytetu Oksfordzkiego, wykładowca w Centrum Europejskim Uniwersytetu Warszawskiego. Wcześniej wykładał na uniwersytetach w Lejdzie i Wenecji oraz w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji. Członek Academia Europea, autor kilkunastu książek. W najnowszej (polski tytuł „Stracona przyszłość") analizuje wpływ cyfryzacji na systemy demokratyczne.

Można było inaczej?

W historii Unii była cała masa inicjatyw, które zaprzepaszczono, bo zabrakło kapitału politycznego, by je rozwijać. Nawet w obronności tak było. W 1999 r., w wyniku wojny na Bałkanach, na szczycie unijnym w Helsinkach podjęto decyzję o stworzeniu liczących 60 tys. żołnierzy oddziałów pod flagą unijną. I gdzie one są? Nie ma ich. A przydałyby się dzisiaj np. w Ukrainie, bo format koalicji chętnych nie działa.

Jednak Europa skutecznie przejęła od USA rolę głównego partnera i darczyńcy Ukrainy, finansowego i militarnego. Może taki format koalicyjny, bardziej elastyczny, jest przyszłością Europy? To idea forsowana przez Iwana Krastewa: mniej Europy tu, więcej tam.

Zgadzam się tu z Krastewem. Unię da się i trzeba reformować. Jednak trzeba też spojrzeć szerzej, ponad prosty dylemat: Europa federalna czy państwa narodowe. Federacja europejska jest dzisiaj niemożliwa z uwagi na opinię publiczną. Ale z drugiej strony liderzy polityczni nie są gotowi na samobójstwo polityczne w stylu brexitu, bo tak to trzeba opisać. Brytyjczycy szybko się zorientowali, że to nie był dobry pomysł. Dlatego populistyczna prawica zaczęła grać na dwóch fortepianach, trochę

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl 568960d3fb

jak Matteo Salvini we Włoszech – krytykując Unię, ale cały czas w niej trwając.

Znaleźliśmy się więc w sytuacji, w której nie można iść w górę, bo brakuje do tego akceptacji społecznej, ale też nie można iść w dół, bo nie uciekniemy od współzależności, świat za bardzo się zmienił. W dodatku ta współzależność nie wynika z ideologii integracji europejskiej czy z globalizacji – ona jest głównie napędzana przez technologię, bo połączyła nas rewolucja cyfrowa.

Czyli jeśli nie w górę ani nie w dół, to gdzie? W bok?

Otóż to. Dylemat dotyczący przyszłości Unii trzeba rozwiązać inaczej niż odwieczną dyskusją o federacji albo państwie narodowym. Powinniśmy stworzyć zarządzanie wielopoziomowe, w zależności od problemu i od wyzwań, które na nas czekają. To oczywiście nie będzie takie proste – zajmuję się integracją europejską od pół wieku i cały czas słyszę, że musimy być bardziej elastyczni. A potem zawsze pojawia się to samo pytanie: kto będzie siedział za stołem decyzyjnym?

Na samym początku przyjęliśmy w Unii zasadę, że za tym stołem siedzą wszyscy.

I w rezultacie mamy np. sytuację, w której Węgry czy Austria współdecydują o polityce dotyczącej rybołówstwa, nawet jeśli nie mają dostępu do morza. Ale chcą decydować, bo regulacje w sprawie połowu ryb wpływają na ich ceny, a to odbija się na cenach austriackich czy węgierskich produktów mięsnych. Nikt nigdy nie chce być wyłączony z żadnych decyzji, przez co w Unii zapanował paraliż. Nie rozwiązujemy żadnych problemów, bo jesteśmy w stanie dogadać się tylko co do drobnych spraw albo rzeczy najbardziej fundamentalnych.

Przykłady?

Unii łatwo jest nałożyć sankcje na Rosję albo zorganizować pomoc dla Ukrainy, bo to są rzeczy, które zawsze dobrze robiliśmy i one nie wymagają dalszej, głębszej integracji. Ale już kiedy trzeba otworzyć negocjacje akcesyjne z Ukrainą, to Viktor Orbán bez problemu to blokuje i trzeba płacić mu miliony w funduszach, żeby łaskawie wyszedł na kawę i odblokował proces. Przecież to jest najdroższa kawa w historii ludzkości.

Może Unia nie potrzebuje wielkich reform na poziomie traktatów czy instytucji, ale po prostu zmiany sposobu podejmowania decyzji?

Takie plany łatwo się robi i one są ładne w teorii. Nie możemy jednak zapominać, że Unia to przede wszystkim organizacja oparta na prawie. Owszem, traktaty są czasem łamane, czasem ignorowane, ale stanowią esencję Unii. Zresztą my się szczycimy na świecie tym, że u nas najważniejsze są reguły prawne.

I co z tym zrobić?

Rozwiązaniem byłoby przejście z Europy państw do Europy sieci. Żyjemy w świecie usieciowionym, pełnym wzajemnych powiązań. Tymczasem podstawa Unii to traktaty, a one są stare jak świat. Przecież ostatni duży dokument, który coś zmieniał w zasadach działania Wspólnoty, to traktat z Maastricht, podpisany w 1992 r., kiedy nie było jeszcze powszechnego dostępu do internetu. Świat się całkowicie od tego czasu zmienił. Przez ten okres Unia przeszła przez wiele kryzysów, od finansowego po pandemiczny, i łapała wiatr w żagle, gdy działała nieformalnie.

> Unia Europejska miała zabić demony nacjonalizmu, a mamy największą jego falę od drugiej wojny światowej.

Ale dziś brak woli do takiego działania.

To trochę pułapka, bo wprawdzie istnieją w prawie europejskim furtki do tego, żeby działać poza ramami traktatów, ale ta nieformalność też ma swoje wady i ograniczenia. Dobrze ilustrują to wspomnienia Janisa Warufakisa, ministra finansów Grecji w czasie ich wielkiego kryzysu. Kiedy o losach greckiej gospodarki decydowano na posiedzeniu ministrów finansów krajów członkowskich, został poproszony o wyjście z pokoju. Zapytał, na jakiej niby podstawie prawnej opiera się to żądanie. I usłyszał, że to nieformalna grupa, która właśnie podjęła taką decyzję. Czyli minister finansów został wykluczony z dyskusji o losie własnego kraju – głównie dlatego, że Angela Merkel powiedziała, że trzeba zainterweniować, bo jak upadnie Grecja, to upadnie eurostrefa, a wraz z nią cała Europa.

W takim razie rozwiązaniem chyba musi być odejście od jednomyślności na poziomie Rady Europejskiej.

Absolutnie tak. To jednak będzie wymagać zmiany sposobu myślenia o Unii. Państwa narodowe nie mogą mieć monopolu na decyzje, ale trzeba je też pozbawić monopolu na pieniądze. Unia nie jest np. w stanie zbierać podatków – robią to rządy państw członkowskich. One z kolei coraz częściej delegują zadania do lokalnych samorządów, choć niekoniecznie dają im na to więcej funduszy. Państwa też składają się na unijny budżet.

Czyli Europa sieci? Co to miałoby oznaczać?

Nie tylko organy formalne, takie jak Komisja Europejska, powinny mieć dostęp do decyzji i do pieniędzy. Trzeba do tego systemu wpuścić miasta, samorządy, ale też podmioty bardziej nieformalne, jak NGO-sy, związki zawodowe, stowarzyszenia pracodawców. To niestety wymagałoby rewolucji w myśleniu o Europie, bo musielibyśmy zaakceptować, że państwo nie ma monopolu na decyzje, a naród nie jest najwyższą wartością. Tymczasem tendencje w Europie są odwrotne – integracja miała zabić demony nacjonalizmu, a mamy największą jego falę od drugiej wojny światowej. Z jednej strony jesteśmy połączeni tak jak nigdy, z drugiej – żeby wygrać wybory, politycy muszą mówić obywatelom, że zabiorą władzę Europie i przeniosą ją do stolic.

Musimy więc wrócić do tego, co naprawdę jest fundamentem Zjednoczonej Europy – myślenia Hugona Grocjusza i Immanuela Kanta o zasadach prawnych, ale też moralnych. Kiedy te dwie rzeczy obowiązują, utrzymanie porządku światowego kosztuje mniej. Sama naga siła militarna nie wystarczy. Przecież to właśnie polityka oparta na prawie i wartościach pomogła nam pokonać Związek Radziecki, a to była potęga nieporównywalnie silniejsza militarnie od Rosji Władimira Putina.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

Prof. **Jan Zielonka** będzie gościem **Forum Horyzontów Społecznych 2026 Uniwersytetu Civitas** w dniach **11–12.06**. Dołącz do grona osób, które chcą rozmawiać o przyszłości odpowiedzialnie, mądrze i bez uproszczeń.

POLITYKA jest Partnerem Medialnym wydarzenia

Zarejestruj się przy pomocy kodu QR

eprasa.pl 568960d3fb

Niemcy wracają!

W Czechach skrajna prokremlowska prawica na nowo otworzyła spór o powojenne wysiedlenia Niemców. Ci rzeczywiście na chwilę wrócili – aby po niemiecku zaśpiewać czeski hymn.



JAKUB MEDEK

Tegoroczny 11. festiwal Meeting Brno, imprezę poświęconą szeroko pojętemu pojednaniu, otworzyła uroczystość żałobna na dworcu kolejowym. Przy peronie, z którego podczas okupacji Niemcy wywozili do obozów zagłady tutejszych Żydów, zebrali się razem potomkowie katów i ocalałe ofiary. „Także tutaj, raz jeszcze, proszę o przebaczenie za udział sudeckich Niemców w tych zbrodniach" – mówił Bernd Posselt, szef Związku Niemców Sudeckich, zrzeszającego już głównie potomków niemieckojęzycznych obywateli przedwojennej Czechosłowacji, wypędzonych z tego kraju po klęsce Trzeciej Rzeszy.

Ani uroczystość żałobna, ani obecność na niej Posselta, ani to, co mówił, nie było niczym nowym ani nadzwyczajnym. Jednak tegoroczny Meeting Brno (21–31 maja), którego częścią był także pierwszy w historii zjazd Związku Niemców Sudeckich, na kilka tygodni zdominował debatę publiczną w Republice Czeskiej, angażując rząd, parlament i prezydenta.

Zamknięty rozdział?

Wszystko za sprawą rozgłosu, jaki imprezie w Brnie kilka tygodni temu nadała czeska partia Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD), wchodząca w koalicję rządową, której przewodzi ugrupowanie ANO premiera Andreja Babiša. W ostatnich wyborach SPD zdobyła niespełna 8 proc. głosów, co dało jej 15 posłów w 200-osobowej izbie niższej. Niewielkie poparcie partia nadrabia jednak skrajnie prawicową wyrazistością. Jest antyunijna, chce referendum w sprawie wystąpienia Czech z NATO i w praktyce – podporządkowania się Rosji. Buduje swoją popularność na mobilizowaniu społeczeństwa wokół jakiegoś wroga. Byli już migranci, były mniejszości seksualne, wciąż jest Unia.

Teraz partia Tomio Okamury postanowiła sięgnąć po dawno niewykorzystywaną w czeskiej polityce kartę Niemców sudeckich i tzw. dekretów Beneša. Chodzi o wydane tuż po wojnie akty prawne, które – na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej – pozbawiały obywatelstwa i majątków czeskich obywateli narodowości niemieckiej. Na ich podstawie poza granice Czechosłowacji, głównie do Bawarii i Austrii, wysiedlono ok. 3,5 mln osób.

Pierwszej powojennej fali wysiedleń towarzyszyły liczne akty przemocy. Organizowanych przez czeską partyzantkę, wojsko, ale i zwykłych ludzi pogromów, masakr, marszów śmierci i obozów koncentracyjnych nie przeżyło co najmniej 30 tys. Niemców. Głównie starszych oraz kobiet i dzieci – mężczyźni znajdowali się wówczas w obozach jenieckich, gdzie chroniło ich prawo międzynarodowe.

Wydawać by się mogło, że wydarzenia z lata 1945 r. – podobnie jak wcześniej masowe poparcie czechosłowackich Niemców dla Adolfa Hitlera – to w relacjach czesko-niemieckich rozdział zamknięty. Jeszcze w latach 90. kanclerz Helmut Kohl i ówczesny premier Václav Klaus podpisali deklarację stwierdzającą, że krzywdy należą do przeszłości. Sam Związek Niemców sudeckich ponad 10 lat temu wykreślił ze swojego statutu punkty dotyczące odzyskania prawa do osiedlania czy przejętych przez Czechosłowację majątków. Temat Niemców sudeckich, którzy chcą wrócić i wyrzucić Czechów ze swoich domów, w debacie politycznej ostatni raz zaistniał w 2013 r. Wówczas wystarczyło, by prounijny polityk Karel Schwarzenberg stwierdził, że nie da się obronić dekretów Beneša, by z kretesem przegrał z Milošem Zemanem walkę o fotel prezydenta. Potem jednak nikt w polityce po ten temat nie sięgał.

Zaczął się natomiast pojawiać coraz mocniej w debacie publicznej czy w kulturze. Czesi powoli przypominali sobie, że historię własnego kraju tworzyli razem z niemieckojęzycznymi sąsiadami już od średniowiecza – od czasów, gdy niemieckich osadników na czeskie pogranicze ściągnęli czescy królowie. Zaczęto też upamiętniać ofiary czeskiego odwetu na Niemcach czy – jak się w Czechach mówi – na „naszych niemieckojęzycznych rodakach". Tak m.in. powstał Meeting Brno i jego kulminacyjny moment: coroczny 30-kilometrowy marsz pojednania trasą jednego z marszów śmieci z czerwca 1945 r., w którym zginęło blisko 2 tys. z 30 tys. wypędzanych wówczas niemieckojęzycznych mieszkańców Brna.

Rządowa awantura

Kilka tygodni przed tegoroczną edycją festiwalu na poświęconą mu sesję rady miasta wtargnęło kilkaset osób. Dzierżąc czeskie i radzieckie flagi, domagały się od władz Brna zakazania imprezy, jej zwolenników nazywając kolaborantami, zdrajcami i nazistami. Organizatorami nietypowego jak na Czechy, pełnego agresji incydentu byli lokalni działacze SPD, wspólnie z będącymi obecnie poza parlamentem komunistami.

W parlamencie kilka dni później SPD przedstawiła projekt uchwały sprzeciwiającej się roszczeniom Niemców sudeckich

eprasa.pl 568960d3fb



Festiwal Meeting Brno 2026. Wśród zgromadzonych m.in. premier bawarskiego rządu Markus Söder, burmistrzyni Markéta Vaňková i Bernd Posselt, szef Związku Niemców Sudeckich.

© PATRIK UHLIR/ČTK/PAP

i – niesprecyzowanym przez jej autorów – próbom relatywizowania niemieckich zbrodni. Dokument zawierał też apel o odwołanie nie tylko Zjazdu Niemców sudeckich, ale i całego Meetingu Brno. Pomysł poparła druga z małych partii tworzących koalicję rządową: Zmotoryzowani, a po jakimś czasie – również sam premier Babiš.

Liberalna opozycja zwracała uwagę na kilka niespójności. Przypominano niedawne wypowiedzi premiera, w których deklarował, że nie ma nic przeciwko Meetingowi i zjazdowi Niemców sudeckich, bo to impreza prywatna. Opozycja ostro krytykowała też samą SPD i jej lidera Tomio Okamurę, przypominając, że jeśli w Niemczech ktokolwiek mówi o unieważnianiu dekretów Beneša, to jest to Alternatywa dla Niemiec (AfD), czyli – na forum europejskim – ugrupowanie partnerskie SPD. Wskazywano również, że gośćmi imprezy będą premier bawarskiego rządu Markus Söder i szef niemieckiego MSW Alexander Dobrindt. I że angażowanie całej koalicji w awanturę wywoływaną przez marginalną i skrajną partię nie wydaje się najlepszym pomysłem, wszak głównym partnerem handlowym Czechów są właśnie Niemcy. Kraj, z którym trudną i złożoną historię udało się przecież skutecznie zamknąć.

W mediach pojawiło się wiele apeli intelektualistów – głównie związanych z byłą antykomunistyczną opozycją – by wesprzeć Meeting Brno i działania na rzecz pojednania. Honorowy patronat nad imprezą podtrzymał również prezydent Petr Pavel. Nic to jednak nie dało – po kilku dniach obstrukcji, a potem bojkocie obrad, koalicja rządząca uchwałę przyjęła.

Zamiast parteitagu

Kilka dni przed rozpoczęciem Meetingu czeskie MSW wydało komunikat, krytykowany właściwie przez wszystkich uczestników sporu. Wynikało z niego, że to źle, iż impreza z udziałem Niemców sudeckich się odbędzie. Ale skoro już ma być, to dobrze by było, aby w jej trakcie nie doszło do żadnych incydentów. Zdaniem przeciwników zjazdu rząd pokazywał w ten sposób, że nie ma odwagi, by zakazać festiwalu. Z kolei jego zwolennicy twierdzili, że trochę za późno na gaszenie pożaru, który się samemu wywołało. Ostatecznie na czas Meetingu do Brna skierowano dodatkowe siły policyjne. A czeskie media zleciły jedyny w sprawie sporu i zjazdu sondaż; wynikało z niego, że impreza ma minimalnie więcej przeciwników niż zwolenników.

Sam Meeting Brno przebiegł zgodnie z planem; stanowiący jego część zjazd Sudetendeutsche Landsmannschaft, Związku Niemców Sudeckich, był głównie nostalgiczną imprezą przy piwie, której uczestnicy śpiewali czeski hymn „Kde domov můj" (Gdzie mój dom), w czeskiej i niemieckiej wersji językowej. Imprezę odwiedzili zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami niemieccy politycy. Premier Söder z Brna pojechał prosto do Pragi na spotkanie z prezydentem Pavlem. Meeting demonstracyjnie odwiedziła też opozycyjna wobec rządu burmistrzyni Brna Markéta Vaňková.

Cały festiwal miał też trzy mocne historyczne punkty: wspomniane już upamiętnienie czeskich Żydów (w większości niemieckojęzycznych) zgładzonych przez Niemców; rekordowy frekwencyjnie marsz pamięci (śladami marszu śmierci); i wieńczącą zjazd ceremonię zorganizowaną w byłych domach studenckich zamienionych w czasie niemieckiej okupacji w katownię i miejsce straceń Czechów, po wojnie zaś – Niemców.

Każdej z tych imprez towarzyszyły kontrdemonstracje. Największa z nich na rynku w Brnie zgromadziła kilka tysięcy osób. Część z nich była przebrana w pasiaki więźniów obozów koncentracyjnych, inni nieśli przekreślone transparenty ze swastykami. Nad tłumem, obok siebie, powiewały flagi czeskie, radzieckie i husytów – radykalnego średniowiecznego ruchu religijnego, według komunistycznej interpretacji historii: antyniemieckiego. Na marginesie: oba odwołujące się do dziedzictwa husytów rodzime Kościoły od lat popierają Meeting Brno – podobnie jak ideę pojednania z Niemcami.

Wśród wiecowych mówców byli m.in. były prezydent Zeman, mocno antyniemiecki, eurodeputowana i była szefowa partii komunistycznej Kateřina Konečná i lider marginalnej prorosyjskiej partii PRO Jindřich Rajchl. Jak zwracają uwagę komentatorzy, na razie ani skrajna prawica, ani rząd nie zbiły wielkiego kapitału politycznego na straszeniu Niemcami. Wróciła jednak pokusa, by wykorzystywać i taki straszak.

Autor jest dziennikarzem radia TOK FM i autorem podkastu Czechostacja.

eprasa.pl 568960d3fb

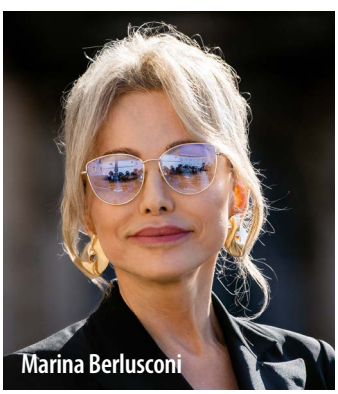
Kareta dam

W maczystowskich Włoszech rządom Giorgii Meloni zagrażają dziś trzy kobiety. Włoska Róża Luksemburg, miotaczka młotem i... córka Silvia Berlusconiego.

PIOTR PODEMSKI


Elly Schlein


Silvia Salis


Marina Berlusconi


Giorgia Meloni

Włochy 3 czerwca świętowały 80. rocznicę narodzin Republiki. Powody do historycznych porównań ma premier Giorgia Meloni, której rząd – o ile dotrwa do września – będzie najdłużej urzędującym gabinetem w dziejach tejże Republiki. „Jak tak dalej pójdzie, będę rządziła przez całe dwudziestolecie" – chełpi się postać odgrywająca Meloni w popularnym programie satyrycznym, co stanowi kolejną aluzję do rzekomo faszystowskich inspiracji pani premier – 20 lat rządził Benito Mussolini.

Pomimo urzędowego optymizmu, „Giorgia" (jak sama o sobie mówi) ma powody do zmartwień. Oprócz przegranego niedawno referendum w sprawie reformy sądownictwa, tąpnięcia w relacjach z Donaldem Trumpem, problemów z reformą konstytucyjną oraz napiętej sytuacji w koalicji – przed zaplanowanymi na jesień 2027 r. wyborami wyzwanie Giorgii rzucają trzy inne kobiety, co jest dość niezwykłe jak na „męskie" Włochy.

Pierwszą i oczywistą kandydatką do roli „antyMeloni" jest od trzech lat liderka opozycyjnej Partii Demokratycznej Elena Schlein, znana jako Elly. Urodzona w szwajcarskim Lugano, córka Włoszki i amerykańskiego profesora pochodzenia żydowskiego, z miejsca została określona przez rywali lekceważącym mianem radical chic. Ta wywodząca się z realiów Nowego Jorku lat 70. etykieta ma odnosić się do dysonansu pomiędzy głoszonymi przez nowoczesną lewicę postępowymi hasłami (ekologia, prawa LGBT, krytyka kapitalizmu) i uprzywilejowaną pozycją społeczną jej liderów oraz ich oderwaniem od potencjalnego elektoratu – np. młodych ludzi żyjących na śmieciówkach, z trudem wiążących koniec z końcem. Elly sama dała pretekst do takiej krytyki, przyznając w wywiadzie dla magazynu „Vogue", że korzysta z usług bajecznie drogiej stylistki.

Gdy Schlein pięła się na szczyty włoskiej polityki, jedni widzieli w niej nową nadzieję i powiew świeżego powietrza zza Alp, inni zaś straszyli, że to skrajna lewaczka i doktrynerka – nowa Róża Luksemburg, dla której autorytetem jest Greta Thunberg. Dziś widać, że zarówno te nadzieje, jak i obawy okazały się mocno na wyrost. W sondażach nie było i nie ma „efektu Elly"; Partia Demokratyczna zbiera nieco powyżej 20 proc. poparcia, bez szans na wyraźny przełom. Z trudem kleconemu szerokiemu obozowi lewicy, poza konkretami programowymi, brakuje charyzmatycznego lidera. Czerwona Róża Schlein okazała się nie mieć kolców.

Włoska lewica szuka zatem dalej, a światowe media – zastanawiająco konsekwentnie – suflują jej świeżą twarz w postaci Silvii Salis. Obwołana już, z obsesyjną przewidywalnością – a jakże! – „antyMeloni", Salis jest typowym przykładem postpolitycznego desantu ze świata celebrytów. To utytułowana lekkoatletka w dyscyplinie rzutu młotem, a następnie wysoko postawiona działaczka Włoskiego Komitetu Olimpijskiego. Już tam, jak mówi, nauczyła się radzić sobie w środowisku tradycyjnie zdominowanym przez mężczyzn.

Posągowo piękną, 40-letnią blondynkę, popularną dzięki aurze sportowych sukcesów i sprawnie komunikującą się

eprasa.pl 568960d3fb

w mediach społecznościowych, zdesperowana lokalna lewica ściągnęła do macierzystej Genui, by spróbować odzyskać władzę w mieście stanowiącym niegdyś jej bastion (silne tradycje robotnicze i partyzanckie). A tylko etatowa fighterka i zwyciężczyni spoza miejscowych układów partyjnych mogła zjednoczyć rywalizujące o podobny elektorat genueńskie struktury Partii Demokratycznej, Ruchu Pięciu Gwiazd i pomniejszych lewicowych komitetów.

W zeszłorocznej kampanii Salis unikała ideologii, koncentrując się na konkretnych problemach wciśniętej między morze i góry stolicy Ligurii (typowy produkt lokalny to tzw. sól liguryjska – jako mieszanka soli morskiej i górskich ziół). Obiecała zająć się częściowo zdegradowanym historycznym centrum o klaustrofobicznie wąskich uliczkach, gettoizacją peryferyjnych dzielnic zdominowanych przez imigrantów, upadającym tradycyjnym przemysłem i obsługującym go portem – jednym z największych we Włoszech, z tradycjami sięgającymi krucjat i Kolumba. Imponujące zwycięstwo w pierwszej turze Salis zawdzięcza wzrostowi frekwencji i – jak pokazują badania – przyciągnięciu niegłosujących dotąd wyborców, najczęściej młodych. Dla lewicy to wszystko brzmi oczywiście jak przepis na sukces w wyborach ogólnokrajowych.

Ale czy na pewno? Deklarująca wolę walki z klasycznymi problemami społecznymi burmistrzyni zdaje się popadać, bodaj bardziej nawet niż Elly Schlein, w pułapkę wizerunkową radical chic. Najszerzej znaną i komentowaną jak dotąd inicjatywą Salis stała się organizacja na głównym placu miasta pod okiem posągów świętych Andrzeja i Ambrożego... otwartego koncertu muzyki techno. Jak wiemy po rodzimych doświadczeniach z Wilanowa, to pomysł mocno kontrowersyjny. Szczególnie jeśli dodać do tego fakt, że koncert poprowadziła słynna belgijska DJ-ka Charlotte de Witte, koszt przedsięwzięcia wyniósł 140 tys. euro, a sama burmistrzyni ochoczo pląsała w pierwszym rzędzie, mając na sobie – jak szybko ustaliły media – okulary prestiżowej marki za dobrych kilkaset euro.

Burmistrzyni argumentowała, że skoro Genua jest kojarzona jako wymierające miasto starych ludzi, trzeba było w sposób spektakularny tchnąć w nie więcej życia. A przecież zdjęcia i rolki z koncertu stały się wiralami nie tylko we włoskim internecie, zapewniając miastu globalną reklamę. Nie chodzi jednak tylko o jeden koncert. Sesja zdjęciowa i wywiad dla „Vanity Fair", w olśniewającej stylizacji, oraz fakt, że Salis, wraz z mężem, reżyserem i producentem filmowym Fausto Brizzim, ewidentnie należą do finansowej i towarzyskiej elity kraju, niekoniecznie pomagają budować jej wizerunek rzeczniczki ludu. Czyli taki, który doprowadził do politycznej potęgi premier Meloni.

Lewica co prawda może chwalić Salis za to, że natychmiast po wyborach zdecydowała o rejestracji w urzędach stanu cywilnego dzieci par jednopłciowych, ale prawica wykorzysta to w ogólnokrajowej kampanii jako przejaw rozpasania – jak wykrzykiwała nieraz Meloni – „lobby LGBT". A zatem perspektywy szerszej politycznej kariery nowej burmistrzyni Genui należy chyba oceniać, jak mawiali Rzymianie, *cum grano salis*, z odrobiną soli. Czyli z rezerwą.

Mniej social mediów, więcej socjalu! – wykrzykują pod adresem włoskiej lewicy życzliwi publicyści, biorąc pod uwagę realne nastroje w kraju, w którym – jak podał włoski odpowiednik GUS – siła nabywcza płac pracowniczych na przestrzeni ostatnich pięciu lat spadła o 10 proc. To właśnie na tym polu – postulatów ekonomicznych – można by pokonać określającą się jako „córka ludu" Meloni, której rząd niespecjalnie jest w stanie epatować obietnicami rozdawnictwa, borykając się z długiem publicznym na poziomie niemal 140 proc. PKB.

Włoska premier może zatem spać spokojnie. Nie tyle ze względu na problemy wizerunkowe Silvii Salis, ile raczej na ogólną niezborność strategiczną lewicowej opozycji. Nieco ponad rok przed wyborami lewica nie ma konkretnego programu ani nawet pewności, że mityczna „szeroka koalicja" w ogóle powstanie. Do roli jej ewentualnego lidera/liderki pretendują niejako z urzędu szefowa Partii Demokratycznej Elly Schlein i przywódca Ruchu Pięciu Gwiazd, były premier Giuseppe Conte. Żadnemu z nich nie będzie łatwo ustąpić drugiemu pola, a dodatkowo upatrywana na kandydatkę kompromisową Silvia Salis deklaruje lojalność wobec obojga, odżegnując się od politycznego ojco- i matkobójstwa liderów, którzy poparli jej kandydaturę w Genui.

Lewica rozważa zatem wyłonienie rywala dla premier Meloni w prawyborach. I tu jednak trwa dyskusja, czy powinny one być otwarte wyłącznie dla oficjalnie zarejestrowanych członków sprzymierzonych partii, czy raczej dla wszystkich Włochów. Zdezorientowani tymi podchodami wyborcy, pytani o własne preferencje w sondażach, są niemal po równo podzieleni między zwolenników obojga liderów partyjnych, a Salis zajmuje niezmiennie trzecie miejsce. Jeden z satyryków skomentował to złośliwie, że w tej chwili włoska lewica ma chyba więcej kandydatów na lidera niż wiernych wyborców.

Paradoksalnie Meloni, bardziej niż tradycyjnym „cyrkiem lewicy", może być zmartwiona wyzwaniem ze strony czwartej damy. W pałacach i biurowcach Rzymu i Mediolanu szepcze się – i to nie jest kiepski żart – że do gry może wejść Berlusconi. Córka Silvia – którego legenda i partia (Forza Italia) trwają nawet po jego śmierci – Marina Berlusconi, jako główna spadkobierczyni fortuny ojca, szefowa rodzinnego koncernu kapitałowego Fininvest i członkini rady nadzorczej grupy medialnej Mediaset, coraz śmielej zabiera głos w sprawach publicznych.

Fizycznie nieco podobna do ojca, twarda bizneswoman, dobiegając sześćdziesiątki, jest niemal dokładnie w wieku, w którym Silvio przesiadł się z fotela menedżera do gabinetu premiera Włoch.

Tajemnicą poliszynela jest, że Marina nie ceni obecnego szefa Forza Italia, wicepremiera Antonio Tajaniego, którego potrafi wzywać na dywanik do swego firmowego biura. Choć oficjalnie deklaruje poparcie dla Meloni, różni się od niej zdecydowanie bardziej liberalnymi poglądami – w dziedzinie zarówno ekonomicznej, jak i światopoglądowej.

Magia nazwiska, siła stojącego za nią kapitału i imperium medialnego oraz osobowość zimnej menedżerki czynią z Mariny jeśli nie królową, to z pewnością główną rozgrywającą na włoskiej prawicy. Kareta czterech włoskich dam jedzie więc dalej, ale Giorgia Meloni będzie się musiała ciężko napracować, aby zdobyć upragniony tytuł najdłużej urzędującego premiera Republiki, który na razie należy do... Silvia Berlusconiego. ■

© SIMONA GRANATI/CORBIS/GETTY IMAGES, STEFANIA D'ALESSANDRO/GETTY IMAGES, ALESSANDRO SERRANO/ REX FEATURES/EAST NEWS, SIMONA GRANATI/CORBIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 568960d3fb



Polowanie na wodę w wyschniętej rzece na Jawie. Z powodu zjawiska El Niño Jawę uznano w 2019 r. za obszar najbardziej narażony na ekstremalną suszę.

Nadciąga

ANDRZEJ HOŁDYS

Od ostatniego El Niño, które podgrzało glob do rekordowej temperatury, minęły zaledwie dwa lata. Tymczasem naukowcy już ostrzegają przed nadejściem kolejnego, być może jeszcze silniejszego. Czy ich przewidywania się sprawdzą? Wszystko zależy od atmosfery.

W czarnych scenariuszach badacze mówią o zjawisku tak intensywnym, że zdolnym uruchomić wielką falę pogodowych żywiołów w wielu regionach świata. Sprowokowana przez rozgrzany Ocean Spokojny natura miałaby zareagować ekstremalnymi suszami, falami gorąca, gwałtownymi ulewami i innymi aktami szaleństwa. Sygnały są rzeczywiście niepokojące: w tropikalnym Pacyfiku – największej na Ziemi wannie z gorącą wodą – temperatury rosną od początku roku, coraz śmielej przekraczając wieloletnie normy. Modele komputerowe dość jednoznacznie interpretują to jako zapowiedź powrotu El Niño już w najbliższych tygodniach. W połowie maja amerykańska Narodowa Administracja Oceanów i Atmosfery (NOAA) określiła prawdopodobieństwo takiej recydywy na 91 proc.

eprasa.pl 568960d3fb



Dla jednych upały i susze, dla innych upały i huragany. Na zdjęciu efekty burzy tropikalnej Hilary z 2023 r. w Thermal w Kalifornii. To wtedy ostatnio pojawiło się El Niño.

wielka gorączka?

Nawet ogłoszenie początku tegorocznego El Niño – co może nastąpić w każdej chwili – nie oznacza jednak, że czeka nas apokalipsa, jak sugerują liczne nagłówki w mediach. Przewidywanie zachowania tego zjawiska nie przypomina prognozowania pogody na kolejny tydzień. To raczej próba odgadnięcia z półrocznym wyprzedzeniem, jak zachowa się złożony system, w którym swoją funkcję pełnią zarówno ocean, jak i atmosfera. Jeśli ten duet nie będzie zgodnie współpracował, El Niño może się okazać słabe, a nawet zaniknąć. Oczywiście w grę wchodzi też scenariusz odwrotny – ocean i atmosfera stworzą parę idealną, w której jeden z partnerów pogodowego tanga wzmacnia drugiego. Wówczas przedrostek „super" będzie jak najbardziej uzasadniony. Problem w tym, że dziś naukowcy nie potrafią jednoznacznie wskazać właściwego scenariusza. Nie dlatego, że nie znają tego zjawiska. Po prostu mają świadomość jego ograniczeń.

Czym w ogóle jest El Niño? W normalnych warunkach nad równikowym Pacyfikiem wieją ze wschodu na zachód wiatry zwane pasatami, które przepychają ciepłą wodę od Ameryki Południowej w stronę Azji. W jej miejsce podpływa z głębin woda zimna. El Niño oraz jego siostra La Niña (mniej medialna, ale również potrafi nabroić) są odchyleniami od tej normy. Każde z tych zjawisk trwa zwykle od dziewięciu miesięcy do roku, choć zdarza się, że utrzymuje się dłużej. Zazwyczaj pojawiają się co trzy–siedem lat, choć w ich przypadku nie istnieje żaden regularny rozkład jazdy.

Podczas El Niño pasaty słabną, a nawet zanikają, co sprawia, że ciepłe masy wody zatrzymują się, a następnie zawracają w stronę Ameryki Południowej, gromadząc się w jej pobliżu. Im więcej się ich tam zbierze i im wyższą mają temperaturę, tym silniej zaburzają pogodę w całej strefie tropikalnej globu, ▶

© AGUNG FATMA PUTRA/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES, DAVID MCNEW/GETTY IMAGES

eprasa.pl 568960d3fb

▶ a pośrednio także na wielu lądach położonych w umiarkowanych szerokościach geograficznych. Przy czym wpływ tej wanny z rozgrzaną wodą maleje wraz z odległością od niej. Maksimum zjawiska przypada zawsze na końcówkę roku.

Poprzednie El Niño zameldowało się na Pacyfiku w czerwcu 2023 r. Wcześniej przez trzy lata na oceanie rządziła chłodna La Niña, podczas której pasaty przybrały na sile i zepchnęły więcej niż zwykle ciepłej wody w stronę Azji. To z kolei doprowadziło do wypłynięcia sporych ilości zimnych wód głębinowych bliżej Ameryki. Odchylenie od normy nie było jednak zbyt duże, a La Niña wycofała się dyskretnie, ustępując miejsca El Niño. To zaś okazało się na tyle silne, że podniosło średnią roczną temperaturę na Ziemi globalną do wartości, jakich nigdy wcześniej na niej nie zmierzono. Stało się tak, choć nie był to najbardziej ekstremalny z epizodów. Skoro tak, to rodzi się pytanie, jak gwałtownie klimat planety, konsekwentnie podgrzewany przez nas gazami cieplarnianymi, zareaguje na nadejście naprawdę potężnego El Niño? Jest pewne, że wcześniej czy później to nastąpi. Być może nawet w tym roku.

W ciągu ostatniego półwiecza tysiące badaczy wykonało olbrzymią pracę, próbując opisać i wyjaśnić ów niezwykły rytm, który od tysięcy lat występuje na równikowym Pacyfiku oraz w atmosferze ponad nim aż do wysokości kilkunastu kilometrów.

Ten oceaniczno-atmosferyczny duet zyskał swoją naukową nazwę El Niño-Oscylacja Południowa, w skrócie ENSO (od ang. El Niño/Southern Oscillation), ale wciąż nie wiadomo do końca, który z dwóch „tancerzy" jest w nim dominujący. Wydaje się, że inicjatywa należy do oceanu, ale funkcja atmosfery jest ogromna, bo to w niej krążą masy powietrza, od których zależą siła i kierunek wiatrów wprawiających w ruch powierzchniowe warstwy wody. Właśnie na tę reakcję atmosfery czekają teraz naukowcy ze swoimi modelami prognostycznymi, aby ostatecznie wypowiedzieć się na temat siły następnego El Niño – stwierdzić, czy faktycznie nastąpi „powrót króla", jak określił to jeden z badaczy.

Bez wątpienia równikowy Pacyfik już robi swoje – temperatura jego centralnej i wschodniej części szybko rośnie. W wodach powierzchniowych i podpowierzchniowych jest już dużo ciepła i w zasadzie do ogłoszenia przez NOAA komunikatu o nowym El Niño powinno się odliczać dni. W praktyce jednak o jego dalszym losie, a przede wszystkim o sile, zdecyduje w dużym stopniu atmosfera. A jej planów na lato i jesień naukowcy nie znają. Zasadnicze pytanie brzmi: jak zachowają się pasaty? Jeśli osłabną albo wykonają woltę i powieją na wschód, ku Ameryce, system się domknie. Wówczas – biorąc pod uwagę ilość ciepła już zgromadzonego w oceanie – może się zrobić naprawdę gorąco. Jeśli jednak wiatry odmówią współpracy, wszystko może się rozejść po kościach.

Naukowcy zajmujący się ENSO mają własne określenie na tę lukę w wiedzy. Nazywają ją „wiosenną barierą przewidywalności". W kwietniu w jednym z czasopism z grupy „Nature" meteorolodzy Aaron Levine z University of Washington oraz Michelle L'Heureux i Caihong Wen z NOAA opublikowali artykuł, w którym analizowali przyczyny dość często powtarzających się „fałszywych alarmów" wszczynanych od marca do maja za sprawą modeli komputerowych. „Wielokrotnie zdarzało się, że wiosną z dużą pewnością prognozowały one silne El Niño, a ono się nie pojawiało lub było bardzo łagodne. Nasza analiza wykazała, że zbyt mocno polegają na sygnałach wysyłanych przez Pacyfik, a przywiązują zbyt małą wagę do innych czynników, w tym właśnie zachowania atmosfery" – stwierdzili badacze. Levine, który był liderem zespołu, podsumował to następująco: „Wiosną modele zachowują się trochę tak, jakby potrafiły przewidzieć zakończenie filmu po obejrzeniu jego trailera".

Takie fałszywe alarmy ogłaszano ostatnio w 2014 i 2017 r. Modele do połowy roku upierały się przy prognozie silnego El Niño, ale później okazywało się, że wiatry nie dołączają się do oceanu. W rezultacie w pierwszym przypadku jesienią zjawisko było tak słabe, że przeszło niemal niezauważone, a w drugim cały system zapadł grzecznie w drzemkę. Również



w tym roku wiatry, przynajmniej jeszcze w maju, nie chciały wesprzeć Pacyfiku w podkręcaniu gorączki na planecie, mimo że ocean wyraźnie do niej parł – co zresztą zauważyli w połowie maja synoptycy z NOAA, zwiększając do prawie 70 proc. prawdopodobieństwo pojawienia się silnego lub bardzo silnego El Niño. Natychmiast jednak zastrzegli, że „wszystko zależeć będzie od tego, czy latem atmosfera sprzęgnie się z oceanem".

To, że światowy ocean jest rozgrzany (z wyjątkiem paru akwenów) i gotowy do podkręcenia temperatur na globie, nie jest zaskoczeniem. On przejmuje bowiem od atmosfery ponad 90 proc. nadwyżek ciepła zatrzymywanego przez gazy cieplarniane emitowane przez ludzkość. Są to gigantyczne ilości energii.

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 568960d3fb

Nic zatem dziwnego, że od początku roku bite są rozmaite rekordy. Średnia temperatura powierzchni oceanów jest najwyższa w historii pomiarów. Zasięg i objętość lodu morskiego w Arktyce – najmniejsze. A w wielu regionach półkuli północnej, w tym na Grenlandii, odnotowano rekordowo wysokie temperatury miesięcy zimowych.

To nie wszystko. W połowie maja naukowcy z międzynarodowej grupy World Weather Attribution, zajmującej się atrybucją klimatyczną (określaniem wpływu zmian klimatycznych na ekstrema pogodowe), zdecydowali się na ostrzeżenie. Opierając się na analizie danych z ostatniego półwiecza, stwierdzili, że bardzo silne El Niño, podobne do tych z lat 1982–83 i 1997–98, mogłoby uruchomić na ziemskich lądach najpierw rekordową falę upałów i susz, a w ślad za nimi – falę pożarów roślinności naturalnej, przede wszystkim lasów. Przypomnieli zarazem, że Pacyfik z całym swoim pulsem ENSO wzmacnia tendencję klimatyczną zainicjowaną przez nas w drugiej połowie XIX w., a od pół wieku przyspieszającą z każdą kolejną dekadą. „Dziś mamy glob znacznie cieplejszy niż w latach 80. i 90. XX w. W przypadku bardzo silnego El Niño trzeba się więc liczyć ze skutkami znacznie poważniejszymi niż w przeszłości" – stwierdził Daniel Swain z University of California w Los Angeles, współautor analizy.

El Niño z lat 1982–83 sprowadziło potężne susze do jednych regionów świata oraz katastrofalne powodzie do innych. Jego skutki odczuła cała strefa tropikalna i wiele lądów leżących poza nią. Sytuacja powtórzyła się 15 lat później. Ostatnio w „Science" Christopher Callahan i Justin Mankin z Dartmouth College oszacowali na ponad 4 bln dol. straty spowodowane przez pierwszy z epizodów, a przez drugi na ponad 5 bln dol. Badacze prognozowali też, że w XXI w. intensywne El Niño i La Niña mogą kosztować świat łącznie niemal 100 bln dol. Co ciekawe, w 1982 r. impet Pacyfiku kompletnie wszystkich zaskoczył. Naukowcy nie dysponowali jeszcze wtedy odpowiednim arsenałem urządzeń monitorujących.

Dopiero po tych wydarzeniach Amerykanie rozmieścili na oceanie pierwszą sieć boi pomiarowych. Dziś jest on obserwowany przez tysiące takich urządzeń, a także przez satelity oraz armadę autonomicznych sond nawodnych i podwodnych (jak dokładny jest to monitoring, można zobaczyć na www.tropicalpacific.org/observations/interactive-map).

Kiedy zatem dowiemy się, czy faktycznie pod koniec roku zjawi się „super El Niño"? W połowie czerwca Amerykanie opublikują kolejny raport, który powinien rozjaśnić obraz sytuacji. Zapewne już wtedy będzie wiadomo, czy zjawisko w ogóle zameldowało się na Pacyfiku, a boje, satelity i sondy morskie doniosą, jak szybko się rozwija. Kluczowe dane pochodzić będą ze strefy zwanej Niño 3.4. To pas oceanu o długości ok. 5 tys. km i szerokości ok. 1 tys. km ciągnący się po obu stronach równika na wschód od południka 180°. Jeśli temperatura wód powierzchniowych w tej strefie przekroczy wyraźnie, czyli co najmniej o 1 st. C, normę wieloletnią (tak z dużą dozą pewności i dość zgodnie pokazują modele), będzie to oznaczało, że prawdopodobieństwo włączenia turbodopalaczy przez ENSO wzrosło. I chociaż wciąż do końca nie wiadomo, co latem zrobią pasaty, świat powinien przygotować się na El Niño być może najsilniejsze w historii obserwacji. I w konsekwencji – na kolejny skok temperatur na globie.

ANDRZEJ HOŁDYS

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA

Czytaj, słuchaj, oglądaj



Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Słuchaj w biegu: podkasty i artykuły

Codzienne nowe treści

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl 568960d3fb

Kosmiczna awantura

Były zarzuty o cenzurę Polskiej Agencji Kosmicznej wobec Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego. Było oświadczenie astronauty. Rzecznik rządu zapewniał, że żadnego kneblowania nie będzie. O co tu chodzi?

KATARZYNA KACZOROWSKA



© JAREK PRASZKIEWICZ/PAP, PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Kalendarium wydarzeń. 11 maja dr Sławosz Uznański-Wiśniewski uczestniczy w hybrydowym posiedzeniu Rady Polskiej Agencji Kosmicznej (POLSA). Temat: finansowanie sektora kosmicznego i instrumenty wsparcia dla przemysłu, nauki i start-upów. 13 maja na kongresie Impact w Poznaniu drugi Polak w kosmosie, uczestnik misji Axiom-4, mówi o konieczności zbudowania strategii rozwoju sektora kosmicznego w Polsce. Podkreśla, że w kraju są firmy, które rozwijają technologie w tym obszarze, są inżynierowie i instytuty z doświadczeniem.

19 maja prezeska POLSA Marta Wachowicz rozsyła (według rozdzielnika, więc m.in. do ministerstwa, któremu podlega) czterostronicowy list, w którym odnosi się do posiedzenia Rady. Trzy dni później wybucha bomba – Paweł Jabłoński, adwokat i poseł Prawa i Sprawiedliwości, publikuje to pismo na platformie X. I pisze, że jest „naprawdę grubo", cytując i podkreślając niektóre fragmenty: „Wypowiedzi Pana Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego PRZEKROCZYŁY GRANICE DOZWOLONEGO KOMENTARZA. W trakcie posiedzenia sformułował on nie jedną, lecz szereg wypowiedzi ocennych, które łącznie tworzą spójną narrację podważającą zasadność uczestnictwa Polski w programie IRIS2"; „Formułowanie tego rodzaju ocen to REALNE ZAGROŻENIE DLA INTERESÓW POLSKI"; Dlatego też „niezbędne jest NIEZWŁOCZNE PODJĘCIE STANOWCZYCH DZIAŁAŃ mających na celu doprowadzenie do zaprzestania przez Pana Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego publicznego komentowania kwestii związanych z działalnością Agencji (...)" oraz „działań organizacyjnych i nadzorczych zapewniających, że Pan Sławosz Uznański-Wiśniewski NIE BĘDZIE WYSTĘPOWAŁ PUBLICZNIE jako osoba kojarzona z działalnością Agencji".

Swój wpis Paweł Jabłoński kończy własną opinią: „A wszystko dlatego, że Sławosz Uznański-Wiśniewski miał odwagę powiedzieć, że udział Polski w tym programie jest przede wszystkim w interesie przemysłu kosmicznego innych państw – głównie Niemiec i Francji. Co to jest za banda...".

Na list Marty Wachowicz reaguje dr Uznański-Wiśniewski. Na portalu społecznościowym oświadcza, że do treści odnieść się nie może, bo go nie otrzymał. Na podstawie doniesień prasowych

eprasa.pl 568960d3fb

odbiera jednak żądanie zakazu wypowiedzi „jako próbę cenzury, marginalizowania i uciszania głosów krytycznych wobec braku strategicznych kompetencji i zaniechań Prezes POLSA, które mogą osłabiać pozycję Polski w sektorze kosmicznym".

Przez media przetacza się fala zarzutów o cenzurowanie polskiego astronauty. Rzecznik rządu Adam Szłapka czuje się w obowiązku zapewnić, że o żadnej cenzurze nie ma mowy, a Adrian Zandberg zapowiada złożenie interpelacji poselskiej, w której będzie się domagać wyjaśnienia sytuacji w Agencji. Okazuje się bowiem, że swój list do ministra finansów Andrzeja Domańskiego napisali byli i obecni pracownicy POLSA, zarzucając prezesce Wachowicz łamanie praw pracowniczych i niezdolność do realizacji ustawowych zadań. Do POLSA trafili zresztą urzędnicy Państwowej Inspekcji Pracy. Sama prezeska po wybuchu awantury zorganizowała briefing, podczas którego powiedziała, że „Polska Agencja Kosmiczna jest agencją wykonawczą rządu" i jej zadaniem jest wdrażanie strategicznych projektów związanych z obronnością i bezpieczeństwem. A list był reakcją na dezinformację dotyczącą europejskiego projektu IRIS2, w który zaangażowana jest Polska.

Iris, czyli Jutrzenka

Bo to w związku z IRIS2 prawica postanowiła zareagować. Poszło oczywiście o francuskie i niemieckie firmy, które na tym europejskim projekcie miałyby zarobić kosztem firm polskich i ich potencjału technologicznego.

Naukowiec nr 1 (zastrzega dane, bo środowisko – nazwijmy je kosmicznym – jest w Polsce relatywnie młode, niewielkie i wszyscy się tu znają): – *Szlag mnie trafił, jak przeczytałem, że zamiast pompować Niemców i Francuzów, wystarczy, że kupimy od Elona Muska Starlinka. Po pierwsze, nie wystarczy, bo IRIS2 to system, który ma budować europejską niezależność m.in. w obszarze łączności satelitarnej. A w przypadku Muska nie mamy gwarancji, że jak wstanie lewą nogą, to nam Starlinka nie wyłączy, tak jak zrobił to z Ukrainą. A po drugie, w branży kosmicznej wszyscy wiemy, że naszą siłą jest kooperacja. Ani Niemcy, ani Francuzi, ani tym bardziej Polacy nie są w stanie takiego systemu zbudować sami. A korzystać z niego będą i tak wszyscy.*

IRIS2 to unijny program bezpiecznej łączności satelitarnej. Umowa koncesyjna została podpisana przez Komisję Europejską w grudniu 2024 r. z konsorcjum SpaceRISE, które ma zbudować wieloorbitalną konstelację 290 satelitów. IRIS2, trzeci sztandarowy program Unii Europejskiej, ma uniezależnić kraje Wspólnoty od zewnętrznych, przede wszystkim amerykańskich dostawców takich jak Starlink.

Konsorcjum SpaceRISE obejmuje trzech czołowych europejskich operatorów sieci satelitarnych – SES SA, Eutelsat SA



Marta Wachowicz, prezeska Polskiej Agencji Kosmicznej (POLSA) od 2025 r.

i Hispasat SA – wspieranych przez zespół europejskich podwykonawców. Kluczowi partnerzy to Thales Alenia Space, OHB, Airbus Defence and Space, Telespazio, Deutsche Telekom, Orange, Hisdesat i Thales SIX.

Thales Alenia Space to konsorcjum francusko-włoskie, zatrudnia ok. 8,5 tys. pracowników, jest obecne w 10 krajach z 17 placówkami w Europie i fabryką w Stanach Zjednoczonych. Polski oddział ma doświadczenie w projektach telekomunikacyjnych i nawigacyjnych, dotyczących obserwacji Ziemi, eksploracji planet i ochrony środowiska, jak również w badaniach związanych z infrastrukturą orbitalną. Thales Alenia Space Polska realizuje projekty dla Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), współpracuje z ośrodkami naukowymi i badawczymi oraz z polskim przemysłem.

Koncern OHB (z siedzibą w Bremie) to z kolei europejska grupa kosmiczno-technologiczna specjalizująca się w rozwoju i wdrażaniu kompletnych systemów kosmicznych, produkcji komponentów do różnych programów rakiet nośnych, jak i obsłudze systemów satelitarnych oraz przetwarzaniu i udostępnianiu zebranych danych. Siedzibę w Niemczech ma też Airbus Defence and Space, ale już Telespazio to spółka joint venture, która należy do włoskiego koncernu zbrojeniowego Leonardo i Thales Alenia Space. Orange to kapitał francuski, Hisdesat – hiszpański.

Budowany przez te podmioty system ma być odporny na cyberataki i zakłócenia. Pierwsze satelity mają zostać uruchomione w 2030 r., a całość ma kosztować prawie 11 mld euro: 6 mld daje UE, 500 mln ESA, resztę – firmy zaangażowane w konsorcjum. Całość ma rozwinąć europejskie technologie kosmiczne.

Naukowiec nr 2: – *To wyobraźmy sobie, że te kilkanaście polskich firm z branży miałoby wydać 4,5 mld euro. I zastanówmy się spokojnie, czy byłyby w stanie udźwignąć takie zaangażowanie w pojedynkę. Mamy świetnych specjalistów, firmy, które robią istotne komponenty dla misji kosmicznych, np. główne urządzenia optyczne, ale one też działają w ramach konsorcjów międzynarodowych.*

Naukowiec nr 3: – *Laurent Jaffart, dyrektor ESA ds. odporności, oawigacji i łączności, w szczycie tej kosmicznej awantury udzielił wywiadu Polskiej Agencji Prasowej i „Gazecie Wyborczej". I przypomniał, że system nawigacji satelitarnej Galileo daje lepszą jakość niż amerykański GPS. Kiedy go uruchamiano, też pytano po co, skoro jest narzędzie zbudowane w USA. No właśnie po to, by mieć swoje, niezależne i jak się okazuje – lepsze.*

Gwiezdne wojny

W awanturze umyka to, co wydaje się najważniejsze: – sytuacja w POLSA. Z oświadczenia Uznańskiego-Wiśniewskiego wynika wprost, że większość środków na IRIS2 trafi do firm spoza Polski, ale dlatego, że te polskie nie mają wystarczających możliwości technologicznych potrzebnych do budowy satelitów telekomunikacyjnych. Aby je ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ zdobyć, trzeba czasu i pieniędzy – i tu astronauta jest przekonany, że sytuacja ulegnie poprawie. Podczas krytycznego posiedzenia Rady POLSA zadał jednak prezesce Agencji wiele pytań dotyczących braku działań w 2025 i 2026 r. Dociekał m.in., czy prawdą jest, że w 2025 r. POLSA wydatkowała mniej niż 38 proc. środków przeznaczonych przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii, i czy to prawda, że nie wystąpiła o dotacje celowe na działalność merytoryczną na rok 2026.

POLITYKA poprosiła Agencję o informacje dotyczące jej budżetu. W 2024 r. było to ok. 57 mln zł, w 2025 r. ok. 71 mln zł, na ten rok zaplanowano ok. 53 mln zł.

Naukowiec nr 1: – *Tylko warto w tym miejscu przypomnieć, że przemysł kosmiczny, technologie, a przede wszystkim misje, które tak ekscytują wszystkich, to są gigantyczne koszty. Te kilkadziesiąt milionów z tej perspektywy to jak, cytując klasyka, budżet na waciki.*

Naukowiec nr 2: – *Na dwa tygodnie przed misją Uznańskiego-Wiśniewskiego prezeska zwolniła rzeczniczkę, którą ministerstwo wyznaczyło do koordynowania komunikacji dotyczącej tej misji. O to także pytał na tej radzie Uznański-Wiśniewski, bo w środowisku nikt tej decyzji nie rozumiał.*

Astronauta chciał też wiedzieć, czy i jakie programy edukacyjne zostały zrealizowane przez POLSA i udostępnione polskim szkołom. W tym, ile z 212 tys. zdjęć i wideo zrobionych przez niego i innych astronautów misji Axiom-4 zostało upublicznione Polkom i Polakom, biorąc pod uwagę, że POLSA miała wyłączność na wszystkie materiały audiowizualne do końca 2025 r. Zapytał również o opóźnienia w rozwoju Narodowego Systemu Informacji Satelitarnej (NSIS), wynikające z braku zamówień na kolejne serwisy, co może skutkować utratą przeznaczonych na ten cel środków z KPO.

POLSA w odpowiedzi na pytania POLITYKI odniosła się do NSIS: „Narodowy System Informacji Satelitarnej działa i jest sukcesywnie rozwijany zgodnie z przyjętym harmonogramem. System jest dostępny dla wszystkich zainteresowanych użytkowników instytucjonalnych". Agencja stwierdziła także, że na bieżąco prowadzi działania popularyzujące NSIS i zapewnia przygotowanie zainteresowanych do korzystania z tego narzędzia – organizuje szkolenia z wykorzystywania danych satelitarnych w takich obszarach jak rolnictwo, środowisko, gospodarka wodna czy zarządzanie kryzysowe, w tym z obsługi portalu. W dalszej części POLSA podkreśla, że NSIS jest przedsięwzięciem złożonym technologicznie i organizacyjnie. „Projekty tego rodzaju – obejmujące dane satelitarne, systemy obserwacji Ziemi, integrację zasobów administracji publicznej oraz wsparcie dla bezpieczeństwa państwa (...) są rozwijane stopniowo w zależności od dostępności środków finansowych, priorytetów państwa, harmonogramów międzyinstytucjonalnych oraz możliwości technologicznych". Stąd też od początku zakładano, że poszczególne funkcjonalności i usługi będą się w NSIS pojawiały etapami. „Jest to standard dla projektów tego rodzaju realizowanych przez administrację publiczną w całej Europie, nie zaś wyjątek charakterystyczny dla NSIS".

Naukowiec nr 3: – *Najlepiej dla nas wszystkich byłoby, gdyby państwo usiedli do stołu i się porozumieli. Bo realnie jest tak, że w agencji zmieniają się dyrektorzy, którzy wymieniają pracowników, biorąc ich chyba z łapanki. Później czeka się w nieskończoność na odpowiedź na e-mail, jest problem z decyzyjnością. I tych problemów nie zasłoni mówienie o ochronie strategicznych interesów państwa polskiego.*

Naukowiec nr 1: – *W przyszłym roku w Polsce ma się odbyć najważniejsze wydarzenie dla środowiska astronautów i przemysłu kosmicznego – Międzynarodowy Kongres Astronautyczny. Zjadą wszyscy święci, przedstawiciele najważniejszych firm. I nikt z nas nie wie nic o przygotowaniach. Panuje kompletna cisza.*

Zwolnienia i listy

POLSA powstała w 2014 r. Jako agencja wykonawcza Ministerstwa Rozwoju i Technologii ma wspierać polski przemysł kosmiczny i współpracę z międzynarodowymi agencjami i administracją państwową w dziedzinie badania i użytkowania przestrzeni kosmicznej. Na początku 2025 r. minister Krzysztof Paszyk odwołał jej prezesa, prof. Grzegorza Wrochnę. Oficjalnie – za brak informacji o skali ryzyka w związku z naruszeniem polskiej przestrzeni powietrznej przez rakietę Falcon 2, jak i z cyberatakiem, w wyniku którego POLSA na kilka dni została odcięta od internetu. To prezes Wrochna w 2024 r. zapowiadał udział dr. Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w IGNIS, czyli polskiej misji technologiczno-naukowej na Międzynarodową Stację Kosmiczną w ramach Axiom-4.

Prof. Wrochnę zastąpiła dr Wachowicz. I już jesienią 2025 r. do mediów trafił anonimowy list z zarzutami wobec niej. Autor bądź autorzy twierdzili, że POLSA utraciła zdolność współpracy z partnerami, zwalniani są kompetentni pracownicy, co prowadzi do paraliżu organizacyjnego i komunikacyjnego. Pojawił się też zarzut, że misja IGNIS była przygotowana nieprofesjonalnie.

Tym razem list wysłano nie do mediów, lecz do ministra Domańskiego. Obecni i byli pracownicy nie tylko podziękowali za starania o utworzenie polskiej siedziby ESA (do końca maja miało być znane miasto, gdzie znajdzie się jej biuro) czy zwiększenie polskiego wkładu finansowego do budżetu ESA. Napisali jednak także: „Aby jednak te osiągnięcia skutecznie przełożyły się na sukcesy polskiego przemysłu i nauki, konieczne jest sprawne działanie Polskiej Agencji Kosmicznej. Tymczasem od roku obserwujemy jej praktyczny demontaż. Niemal jedna trzecia personelu straciła pracę. Zadania ustawowe Agencji w dużej mierze przestały być realizowane. Pracownicy są zastraszani i poniżani". I podobnie jak Uznański-Wiśniewski zarzucili obecnej prezesce m.in. ograniczenie skuteczności operacyjnej NSIS, brak działań związanych z utworzeniem Centrum Obserwacji Satelitarnej, brak współpracy w inicjatywie Artemis Accords i innych programach NASA, zaprzepaszczenie potencjału misji IGNIS czy bierność w zakresie przygotowań do organizacji MKA 2027 w Poznaniu.

List jest analizowany w ministerstwie, w którym zapewne czekają też na wyniki kontroli PIP. Sama agencja zaś wyjaśnia, że zwolnione zostały cztery osoby, inne odejścia nastąpiły z inicjatywy pracowników, w kilku przypadkach pracownicy odmówili przyjęcia nowych warunków zatrudnienia.

Awantura zatem trwa. Kiedy się zakończy, nie wiadomo. Jedno natomiast jest pewne: tak jak „gwiezdne wojny" – jak potocznie nazywano Inicjatywę Obrony Strategicznej – w czasach Ronalda Reagana przesądziły o zmianie układu geopolitycznego na świecie, tak dzisiaj rozwój technologii kosmicznych zdecyduje o tym, komu przypadnie światowy prymat, nie tylko w gospodarce.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 568960d3fb



Poławiacze gąbek nurkujący w Morzu Egejskim (fresk z Akrotiri na Santorynie, ok. XVII w. p.n.e.)

© ZDE/COMMONS.WIKIMEDIA.ORG

Zanurzeni w antyku

Starożytni nurkowali bez sprzętu po gąbki, perły i skarby. Ile byli w stanie wytrzymać i jakimi technikami się posługiwali? Opowiada archeolog i nurek prof. Bartosz Kontny z Uniwersytetu Warszawskiego.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Czy ludzie w pradziejach często nurkowali?**

BARTOSZ KONTNY: – Człowiek od zawsze wiedział, że jeśli nabierze powietrza, może na chwilę zniknąć pod wodą. I od tysięcy lat sprawdza, jak długo ta chwila może trwać. U nas nurkowano zapewne zarówno w jeziorach i rzekach, jak i u wybrzeży Bałtyku, by zamontować pułapki na ryby, wydobyć zatopioną dłubankę czy ranne zwierzę, np. upolowaną fokę. W ciepłych morzach komfort termiczny był większy, nurkowano zatem częściej i głębiej, głównie po gąbki i owoce morza, jak uchowce, jeżowce, skorupiaki czy ośmiornice, ale też w poszukiwaniu skarbów, w tym naturalnych pereł.

W eposie o Gilgameszu z końca III tys. p.n.e. główny bohater nurkuje w pierwotnych wodach Apsu po roślinę dającą młodość. W Zatoce Perskiej jednak naprawdę poławiano perły, a w Morzu Śródziemnym – gąbki, koralowce i ślimaki, z których pozyskiwano królewską purpurę.

Najstarsza gąbka w kontekście archeologicznym liczy blisko 6,5 tys. lat i pochodzi z predynastycznego Egiptu. Drapieżne szkarłatniki wydobywano ponad 4 tys. lat temu. A najstarsza perła, ze stanowiska na wyspie Marawah w emiracie Abu Zabi, ma nawet 7,8 tys. lat. Trochę młodsze perły i muszle perłopławów znane są też z Mezopotamii, co tłumaczy obecność w sumeryjskim słowa *ñiñri*, czyli nurkować. Stąd zapis prawny z kodeksu Hammurabiego, regulujący wydobycie przez flisaków z dna rzek zatopionych łodzi, czy właśnie wspomniany epizod z eposu o Gilgameszu.

Czytamy w nim, że bohater użył ciężarków, by zejść na dno. Czy znamy stosowane w pradziejach techniki nurkowe?

Arystoteles wspomina, że nurkowie wynurzali się co pewien czas niczym delfiny, ale też, że niektórzy z nich korzystali z urządzenia do oddychania pod wodą. Może chodziło o fajkę oddechową? Nie mogła ona jednak być zbyt długa, bo zaczerpnięcie powietrza z głębokości większej niż 40 cm wymaga pokonania różnicy ciśnień przekraczającej możliwości mięśni klatki piersiowej przeciętnego człowieka. Ponadto wydychane powietrze pozostawałoby wewnątrz rurki, co oznacza, że z każdym kolejnym wdechem rosłoby w niej stężenie dwutlenku węgla. Z tych powodów na pewno nie używano żadnych kapturów, z których wychodziły na powierzchnię długie, skórzane węże.

Plutarch, Pliniusz Starszy i grecki poeta Oppian (II w.) pisali, że poławiacze gąbek przed zanurzeniem wypełniali usta oliwą, którą wypluwali w wodzie, dzięki czemu poprawiała się widoczność. Rzeczywiście?

Naukowcy odnosili się do tej kwestii rzadko. Jedynie w 2021 r. turecki archeolog, chemik oraz fizyk stwierdzili, że warstwa oliwy na powierzchni wody może wygładzać fale i sprawiać, że światło ▶

eprasa.pl 568960d3fb



Prof. **Bartosz Kontny** (ur. 1971 r.) z Uniwersytetu Warszawskiego – archeolog podwodny, bronioznawca i badacz okresu wpływów rzymskich na terenach Barbaricum. Autor licznych publikacji, m.in. książki „Archeologia wojny". Płetwonurek (instruktor KDP/CMAS), który łączy badania nad przeszłością z własnym doświadczeniem pracy pod wodą.

▶ załamuje się bardziej równolegle, poprawiając widoczność dna z powierzchni. Tyle że opisy starożytnych odnosiły się do nurków, więc postanowiłem to sprawdzić podczas badań w grudniu 2025 r. w porcie Ptolemais w Libii.

Pomimo że zanurzałem się i wypluwałem oliwę na różne sposoby, używałem różnych jej rodzajów, a nawet przykładałem dłoń do oczu, spodziewając się, że oleista emulsja będzie lepiej załamywać światło, nie objawiła się żadna jasność czy snop światła. Każdy eksperyment kończył się konstatacją, że kuliste drobiny oliwy przemieszczają się ku powierzchni – poza tymi, które pokrywały moją twarz i brwi. Na tafli wody nie tworzyło się przy tym żadne „okienko" ułatwiające spojrzenie w głębinę. Może starożytni nurkowie wykształcili lepszą akomodację, jak Mokenowie, „morscy nomadzi" z Tajlandii, u których pod wodą ekstremalnie zwężają się źrenice. Nie wiem jednak, jak miała im w lepszym widzeniu pod wodą pomagać oliwa.

Może stosowano ją w innym celu?

Może, ale też dawna oliwa mogła mieć inne parametry albo stosowano technikę pozbywania się jej, której nie opanowałem. Możliwe też, że zimowe słońce zbyt nisko operowało podczas moich prób. Starożytni jednak często powielali nieprawdziwe historie, by ubarwić opowieść, więc nie należy wierzyć ani w wielogodzinne zanurzenia, ani w kaptury z wężem do nurkowania czy w przebijanie nozdrzy i błon bębenkowych, by wyrównywać ciśnienie w uchu środkowym. Zapewne żaden piszący o tych technikach autor nigdy sam się nie zanurzył. To samo dotyczy zresztą ogromnej większości współczesnych komentatorów zajmujących się historią nurkowania.

Pan starał się zweryfikować kwestię oliwy, a dwaj archeolodzy – Hakan Öniz i Ahmet Denker – stwierdzili, że do schodzenia na dno służyły nurkom obręcze z kamienia lub ołowiu, znalezione u południowych wybrzeży Turcji.

Według nich antyczni nurkowie wskakiwali głową w dół, mając w dłoni lub na ramieniu obciążnik. Biorąc pod uwagę opisy starożytne oraz analogie etnograficzne, sądzić można, że śmiałków zabezpieczano liną przewiązaną w talii. Na dnie odcinano nożami urobek, który trafiał do sakw na szyi lub przy pasku, a następnie nurek pociągał za linę, by pomocnik wyciągnął go na powierzchnię.

Mam trzy wątpliwości co do szczegółów technicznych, dotyczących zastosowania pierścieniowatych obciążników. Trudno pracować pod wodą z uwiązaną ręką, a przecież kosztowna obręcz też była raczej zabezpieczona liną. Poważnym zagrożeniem jest w takim wypadku splątanie dwóch lin. A co najważniejsze – lepiej zanurzać się nogami do dołu. W takiej pozycji skutecznie wyrównuje się ciśnienie w uchu, co uzyskuje się przeważnie poprzez zaciskanie palcami płatków nosa i wydmuchiwanie przez nie powietrza. Można wówczas stanąć na obręczy, a dołączoną do niej linę trzymać w zagięciu łokcia – i ma się wolne ręce. Poza tym w tej pozycji to nie głowa uderza w niespodziewane przeszkody.

A co z dzwonami nurkowymi, o których także pisze Arystoteles?

Na pewno je znano, ale skala zastosowania jest trudna do oszacowania. Wszystko zależało od wielkości – im były większe, tym większą wyporność miało zamknięte w nich powietrze i trzeba było użyć większego ciężaru, by je zanurzyć i zrównoważyć siłę wyporu. Być może genialny Archimedes byłby w stanie zbudować taki dzwon, ale najsłynniejsze wzmianki o jego użyciu są baśniowe. Według tzw. Pseudo-Kallistenesa Aleksander Wielki podczas oblężenia Tyru w 332 r. p.n.e. zanurzył się w szklanej beczce lub dzwonie na dno oceanu, gdzie przez wiele dni obserwował stworzenia morskie. Niewykluczone, że to dalekie echo rzeczywistych wydarzeń, kiedy władca dokonywał inspekcji działań nurków macedońskich podczas oblężenia fenickiego miasta. Ci jednak raczej pływali z fajkami oddechowymi lub nurkowali na bezdechu, a nie w dzwonach.

Czy tę umiejętność ceniono?

Myślę, że w tym fachu zawsze nieźle się zarabiało, bo łowienie pereł lub ślimaków do produkcji purpury czy wydobywanie skarbów to był intratny biznes. Prawo rodyjskie regulowało, jaka część wyciągniętych z wraków towarów należy się nurkowi. Jeśli znajdowały się poniżej 90 stóp (27,4 m – przyp. red.), zatrzymywał nawet połowę. Według Herodota Skyllias ze Skione wyciągnął z wraków floty perskiej mnóstwo kosztowności dla króla Kserksesa, ale nie otrzymał zapłaty. W zemście przeciął liny kotwiczne i uciekł do Artemizjum, pokonując pod wodą 80 stadiów, co odpowiada kilkunastu kilometrom, więc nie jest możliwe. Z napisu na steli z Ostii z połowy II w. wiemy, że rzymscy nurkowie *urinatores* tworzyli gildie, a z innej inskrypcji – że nurkowie zawarli sojusz z rybakami, zapewne po to, by wspólnie decydować o cenach owoców morza.

Czyżby łacińska nazwa *urinatores* miała jakiś związek z sikaniem?

Według jednych wzięła się od czasownika *urinari*, czyli „być zanurzonym w wodzie", ale za Johnem Peterem Olesonem uważam, że termin może nawiązywać do oddawania moczu. Podczas schodzenia na dno występuje zjawisko diurezy zanurzeniowej, skutkujące zwiększoną produkcją uryny przez organizm, więc każdy nurek musi w pewnym momencie opróżnić pęcherz.

Etymologia nie miała wpływu na to, że nurkowie byli poszukiwanymi specjalistami, pomagającymi przy pracach podwodnych w portach czy podczas konfliktów zbrojnych.

W trakcie wojny peloponeskiej (w latach 431–404 p.n.e.), jak o tym wspomina Tukidydes, wykorzystywali ich Spartanie podczas oblężenia na wyspie Sfakteria, a ateńscy nurkowie uszkadzali wbite przez syrakuzańskie wojsko pale, które miały uniemożliwić wpłynięcie do portu. Pauzaniasz pisze natomiast o wspomnianym już Skylliasie, że wraz z córką Hydną pod osłoną nocy dopłynął do miejsca, gdzie flota Kserksesa schroniła się przed sztormem, i poprzecinał liny okrętów, co pozwoliło Grekom wygrać pod Artemizjum w 480 r. p.n.e. Uznano ich za bohaterów i wystawiono w Delfach posągi, więc wygląda na to, że mamy tu do czynienia z postaciami historycznymi, a tym samym jedynymi starożytnymi nurkami znanymi z imienia.

Czyli kobiety w Grecji też mogły nurkować?

Tak, ale zapewne było im trudniej, a według Pauzaniasza musiały to być dziewice.

Inaczej niż w Japonii, gdzie wśród poławiaczy pereł *ama* były kobiety,

eprasa.pl 568960d3fb

czy w Korei, gdzie po owoce morza *haenyeo* nurkowały wyłącznie one. Był to jednak fach trudny, przypłacany chorobami związanymi z wychłodzeniem.

Gdy długo nurkowałem zimą w Libii, pomimo że miałem piankę, po trzech godzinach byłem solidnie wymęczony i zmarznięty. A myślę, że starożytni nurkowie spędzali w wodzie mniej więcej tyle czasu.

Jak głęboko byli w stanie zejść i jak długo potrafili wytrzymać pod wodą?

Dzisiejsze rekordy w konkurencjach rozgrywanych mniej więcej zgodnie z dawnymi realiami sięgają ponad 100 m. Tyle że antyczni nurkowie najprawdopodobniej nie zanurzali się tak głęboko. Nie dlatego, że nie umieli (część zapewne mogła osiągać nawet takie wyniki), tylko dlatego, że mieli do wykonania pracę. Sądzę, że docierali do 30–40 m. Mniej więcej do tej głębokości sięgają bowiem promienie słoneczne w stopniu umożliwiającym obserwację dna bez masek nurkowych, a było to jedyne źródło światła, jakim dysponowali. Przypuszczalnie, podobnie jak *ama*, *haenyeo* czy polinezyjscy nurkowie, wytrzymywali na bezdechu 2–4 min – to wystarcza, by rozejrzeć się, znaleźć gąbkę, odciąć ją, włożyć do sakwy i wypłynąć. Później wyrównywano oddech, odpoczywano i znów nurkowano.

Gdy koreańskie nurkinie się wynurzają, z ich ust wydobywa się gwizd, może antyczni nurkowie też tak robili?

Chodzi o oczyszczenie płuc z dwutlenku węgla przed kolejnym zanurzeniem. Może to być przeciągły gwizd, przyspieszone lub bardzo długie wdechy i wydechy aż do rozkasłania, z twarzą zanurzoną w wodzie, co jest moją ulubioną techniką. Nie trzeba tu jednak przesadzić, bo może to doprowadzić do omdlenia.

W antyku nurkowie ze sobą rywalizowali?

Na pewno ci najbardziej utalentowani budzili podziw, więc myślę, że była między nimi jakaś rywalizacja – ale nie o to, kto głębiej zejdzie, bo to było trudno sprawdzić, tylko o to, kto więcej wyłowi. W XIX i na początku XX w. konkurencja między tureckimi, włoskimi i greckimi poławiaczami gąbek (nurkującymi w skafandrach) była olbrzymia, czasami na śmierć i życie.

Czy teksty wspominają o lękach przed niebezpieczeństwami czyhającymi w morskich głębinach?

Tak. Najbardziej obawiano się rekinów, które zwano „morskimi psami". Pliniusz Starszy twierdził, że są najniebezpieczniejsze przy samej powierzchni, więc podczas powolnego wyciągania nurek powinien odpędzać drapieżnika nożem, a później zwinąć się w kłębek, żeby towarzysze mogli gwałtownie podjąć go z wody, jednocześnie odpychając drapieżnika harpunami. Elian na przełomie II i III w. zalecał natomiast malowanie dłoni i stóp na czarno, co miało utrudnić rekinowi dostrzeżenie pływającego. Za kolejne zagrożenie uważano ośmiornice i wielkie muszle przydaczni, ponieważ bano się, że mogą uciąć nogę lub rękę. Choć zdarzały się nieliczne przypadki uwięzienia kończyny przez pokrywy wielkiego małża, ani one, ani ośmiornice, ani nawet rekiny nie stanowiły aż tak poważnego zagrożenia. W rzeczywistości najczęstszymi przyczynami śmierci były utonięcie wywołane uderzeniem w przeszkodę czy omdleniem, skrajne wyczerpanie, zachłyśnięcie czy ciężka hipotermia.

A o chorobie ciśnieniowej pisano?

Nie, bo lekarze nie mieli szans, żeby ją zaobserwować. Jednak nurkowie polinezyjscy, pomimo że nie oddychają sprężonym powietrzem, zapadają na postać choroby ciśnieniowej zwaną taravana. Dochodzi do niej wskutek kumulacji azotu w organizmie podczas wielokrotnych głębokich zejść. Objawia się nagłym zamroczeniem, utratą orientacji, bełkotliwą mową i problemami z koordynacją, a w skrajnych przypadkach paraliżem.

Czy nurka można rozpoznać po szczątkach kostnych?

Niektóre zmiany wywołane chorobą ciśnieniową mogą manifestować się na kościach u wielorybów, te jednak schodzą na głębokość nawet 3 km. Czy byłoby zatem możliwe stwierdzenie takich zmian u nurków z Polinezji, nie wiem, a dopiero gdyby rezultaty były pozytywne, można byłoby poszukać takich zmian w starożytnych szkieletach z grobów u wybrzeży Grecji czy Rzymu. Może wówczas udałoby się zidentyfikować jakiegoś antycznego nurka? Niestety, jest to tylko pobożne życzenie, bo o ile wiem, nikt dotychczas nie podjął się takich badań. A co więcej, starożytni bardzo często praktykowali ciałopalenie.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© LESZEK ZYCH

REKLAMA

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaKS sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 568960d3fb



Naziści jako poganie, którzy stworzyli SS i prześladowali chrześcijan, to wygodny obraz. Tyle że nieprawdziwy – mówi prof. Doris L. Bergen, autorka książki „Między Bogiem a Hitlerem. Kapelani wojskowi w służbie nazizmu".

Kapelan Wehrmachtu podczas odprawiania mszy żałobnej na froncie, ok. 1944 r.

Żołnierze wiary



Doris L. Bergen (ur. 1960 r.) – profesorka na Wydziale Studiów nad Holokaustem na Uniwersytecie w Toronto. Wykłada gościnnie w USA, Niemczech, Polsce, Bośni i Kosowie. Jej badania koncentrują się na zagadnieniach religii, płci kulturowej i etniczności w dobie Zagłady i drugiej wojny światowej. Jest autorką wielu książek, w tym „Wojna i ludobójstwo. Krótka historia Holokaustu" (2011 r.). Za „Między Bogiem a Hitlerem" otrzymała The Yad Vashem International Book Prize for Holocaust Research (2024 r.).

KASPER KALINOWSKI: **– Poświęciła pani książkę kapelanom III Rzeszy. To zapomniany wątek drugiej wojny światowej. Skąd ta luka?**

PROF. DORIS L. BERGEN: – Temat jest niewygodny dla wszystkich. Nie wiadomo, jak go zakwalifikować. Czy to historia wojskowości? Owszem, pojawiły się dwa artykuły niemieckiego historyka wojskowości Manfreda Messerschmidta, ale historycy wojskowości nie są zainteresowani kapelanami Wehrmachtu. Czy to historia Kościoła? Nie do końca. To raczej wątek poboczny.

eprasa.pl 568960d3fb

Kto chce wiedzieć, że Wehrmacht miał chrześcijańskich kapelanów? Wygodniejszy jest obraz nazistów jako pogan, którzy stworzyli SS i prześladowali chrześcijan. Taki wizerunek sugerował, że chrześcijanie i Żydzi byli ofiarami nazizmu, podczas gdy w rzeczywistości sprawcy byli chrześcijanami. Kapelani III Rzeszy z tradycji i wychowania uważali się za chrześcijan i tak byli postrzegani.

Temat prowokuje również wiele niechcianych pytań o rolę chrześcijaństwa w Holokauście i narodowym socjalizmie.

Niemcy między pierwszą i drugą wojną światową byli narodem religijnym?

Tak. Popularny obraz Republiki Weimarskiej jako dekadenckiego społeczeństwa swobodnego seksualnie nie jest trafny. Ponad 95 proc. Niemców należało do Kościoła chrześcijańskiego – rzymskokatolickiego (około jednej trzeciej społeczeństwa w 1933 r.) lub protestanckiego. Chrześcijańskie tradycje i święta strukturyzowały życie codzienne, a kościoły były ważnym elementem krajobrazu. Niemcy płacili podatki kościelne, a wszystkie dzieci uczęszczały na lekcje religii.

Żydzi stanowili mniej niż 1 proc. mieszkańców, co zawsze budzi zaskoczenie.



Umundurowanie kapelana Wehrmachtu, płaszcz

Klęska w pierwszej wojnie światowej wywołała kryzys, zwłaszcza wśród protestantów, ponieważ to cesarz był głową Kościoła. Pojawiło się poczucie, że Kościół traci grunt pod nogami na rzecz postępującego sekularyzmu. Sprawiło to, że liderzy religijni stali się podatni na sojusz z nazistami. Pragnęli odzyskać dawne znaczenie i rolę.

Kto mógł zostać kapelanem wojskowym?

Już w 1933 r. przepisy wymagały, aby potencjalni kapelani przedstawili dowód – w przypadku protestantów dotyczyło to również ich żon – że są „krwi aryjskiej". Stanowiska były zarezerwowane wyłącznie dla duchownych Kościoła rzymskokatolickiego i Kościołów ewangelickich (luterańskiego i reformowanego).

Proces wyboru był wieloetapowy i rygorystyczny. Kandydata proponował biskup. Zazwyczaj wskazywał kogoś, kto już miał powiązania z wojskiem. Następnie kandydat przechodził przez weryfikację ministerstwa kościoła, biura kapelańskiego armii oraz kontrolę bezpieczeństwa przeprowadzaną (w zależności od okresu) przez policję, SD lub Gestapo. Kluczowym kryterium było to, by kapelan nie sprawiał problemów. W przypadku katolików eliminowano księży, którzy angażowali się w „nielegalną pracę z młodzieżą", naruszającą regulacje prawne. To był najczęstszy powód odrzucania kandydatów. Reżim nazistowski dążył do całkowitego monopolu w formowaniu światopoglądu.

Poszukiwano ludzi reprezentujących tradycyjne, „umiarkowane" chrześcijaństwo, którzy będą po prostu wykonywać swoją pracę, nie wychylając się. Paradoksalnie, fanatyczni naziści byli często odrzucani.

Dlaczego?

Ich obecność wywoływała podziały i kłótnie, a w wojsku potrzebne były jedność i dyscyplina. Od kapelanów oczekiwano, że będą księżmi żołnierzami, zrozumieją potrzeby wojska i będą skutecznie budować morale. Wielu poborowych hołdowało tradycyjnej pobożności.

Kapelani byli bardziej żołnierzami niż księżmi?

Nie stawiałabym problemu „albo, albo". Kapelan miał być „żołnierzem wśród żołnierzy i chrześcijaninem wśród chrześcijan". Musiał dbać o wojskowy wizerunek, ale jego rola nie była bojowa. Skupiał się na udzielaniu sakramentów, zapewnianiu pochówku i nauczaniu moralnym.

Oficjalnie kapelani nie brali udziału w operacjach bojowych i mogli nosić jedynie mały pistolet do samoobrony w niebezpiecznych strefach.

Opisuje pani historię z lata 1941 r. w Białej Cerkwi, gdzie kapelani Ernst Tewes i Gerhard Wilczek próbowali interweniować w sprawie żydowskich dzieci. To był odosobniony przypadek?

Masakry dzieci i cywilów na froncie wschodnim możemy liczyć w tysiącach, a kapelani często przebywali w pobliżu. To, co jest absolutnie wyjątkowe w przypadku Białej Cerkwi, to fakt, że kapelan katolicki i protestancki wspólnie poszli do dowódcy, by interweniować. Byli oburzeni zamiarem wymordowania dzieci, które cierpiały z powodu głodu i pragnienia. Wśród nich były niemowlaki.

Po nieudanej rozmowie z lokalnym dowódcą przekonali podpułkownika Helmutha Groscurtha, aby wstawił się za ich sprawą. Ostatecznie im się nie udało. Decyzja o zamordowaniu dzieci zapadła na najwyższym szczeblu dowodzenia – feldmarszałek Walter von Reichenau osobiście interweniował, krytykując „wtrącanie się" duchownych. Dzieci zamordowano, a kapelani do końca wojny nie podjęli podobnych działań. Udokumentowany sprzeciw wobec ludobójstwa dotyczy więc jedynie czterech kapelanów (Tewes i Wilczek poinformowali o sprawie swoich bezpośrednich przełożonych).

Ten przypadek ujrzał światło dzienne tylko dlatego, że po wojnie odbył się proces jednostki Einsatzkommando, a kapelani występowali jako świadkowie.

Czy kapelani wiedzieli o Holokauście, o komorach gazowych w Auschwitz?

W oficjalnych raportach z tamtego okresu nie znalazłam wzmianek o Auschwitz czy komorach gazowych. Głównie dlatego, że te miejsca podlegały SS, a nie Wehrmachtowi. Jednak kapelani byli świadkami wielu innych zbrodni – łapanek robotników przymusowych w Polsce i Ukrainie, brutalności i gwałtów wobec kobiet, masakry czarnoskórych żołnierzy francuskich, mordowania jeńców wojennych czy marszów śmierci.

W swoich powojennych wspomnieniach często opisywali te zbrodnie, niemal zawsze z pozycji bezradności.

Katolicki kapelan Josef Perau opisywał w dzienniku prowadzonym podczas wojny, jak patrzył na łapankę przymusowych robotników na Białorusi w 1944 r. Niemcy mordowali swoje ofiary. Widział, jak Niemcy depczą martwe dzieci. Twierdzi, ▶

© INTERFOTO/ALAMY/BE&W, MP, HERMANN HISTORICA/FORUM

eprasa.pl 568960d3fb

▶ że zwrócił się do jednego z sanitariuszy, a ten odpowiedział: „Proszę księdza, proszę zostawić to nam. Ja sam zastrzeliłem już kilkoro bezbronnych dzieci, z litości. Gdy już wygramy tę wojnę, to Niemcy znów staną się kulturalnym narodem".

Drugi znany przypadek to zapiski Hansa Leonharda, kapelana ewangelickiego. Są niezwykle krytyczne i autorefleksyjne. Leonhard w styczniu 1945 r. był świadkiem ewakuacji więźniów z obozu koncentracyjnego Auschwitz. Opisywał kolumny „żywych szkieletów", idących w pasiakach przez mróz, oraz drogę usłaną ciałami tych, którzy nie przeżyli marszu. Próbował interweniować u młodego esesmana po tym, jak ten zastrzelił starszego więźnia niemogącego iść dalej. Ten zagroził mu, że jego również może zastrzelić.

Bezradność była sposobem na zachowanie moralnego spokoju – widzieli zło, ale uznawali, że nie mogą nic zrobić.

Na froncie wschodnim Niemcy często otwierali Kościoły, przedstawiając się jako obrońcy chrześcijaństwa przed bolszewizmem. Rola kapelanów wtedy wzrosła?

Tak, inwazja na ZSRR zapewniła im potężną narrację „chrześcijańskiej krucjaty". Przez moment w 1941 r. był to ważny element kampanii wizerunkowej Wehrmachtu. Jednak entuzjazm szybko opadł. W sierpniu 1941 r. Hitler wydał dekret, który zakazywał Wehrmachtowi wspierania lokalnych praktyk religijnych. Obawiano się odrodzenia Kościołów i Cerkwi. Niemieckie dowództwo nie chciało, by kapelani ewangelizowali lokalną ludność – mieli zajmować się wyłącznie niemieckimi żołnierzami.

Znaczenie kapelanów rosło wraz z porażkami. Gdy armia parła naprzód, mało kto myślał o Bogu, ale po klęsce pod Stalingradem kapelani stali się znów potrzebni. Mieli podkreślać świętość przysięgi, by zapobiegać dezercjom, i towarzyszyć żołnierzom przed egzekucją.

Wiemy, że rumuńscy prawosławni kapelani osobiście zabijali Żydów. Mamy udokumentowane analogie po stronie niemieckiej?

Historycy rumuńscy wykonali świetną pracę. Adrian Cioflancă udowodnił, że pewien kapelan uczestniczył w mordach w okolicach Jassów. W Rumunii warunki były inne. Niemieccy kapelani byli bardzo mocno osadzeni w strukturze wojskowej. Nie mieli takiej niezależności jak kapelani rumuńscy. Nie znalazłam niczego takiego w archiwach. Brak dowodów nie oznacza, że nigdy się to nie zdarzyło, ale pojawia się pytanie: w jakich źródłach miałoby to się zachować? Nawet źródła żydowskie – bardzo dla mnie cenne, bo pozwalały wyjść poza zapiski samych kapelanów – zwykle nie odróżniają kapelana od zwykłego żołnierza. Dla większości Żydów to był po prostu człowiek w mundurze. Poza tym kapelanów było niewielu.

Ilu?

Szacuję, że oficjalnych kapelanów było około tysiąca – po połowie katolików i protestantów. Ustaliłam to dość łatwo – w dokumentach protestanckiego biskupa polowego znalazłam listę protestanckich duchownych, którzy służyli jako kapelani wojskowi. Było na niej ok. 500 nazwisk. Katolików było mniej więcej tyle samo.

Mimo że katoliccy księża i seminarzyści byli zwolnieni z udziału w walce, wielu służyło jako sanitariusze czy w innych rolach pomocniczych. W armii służyły tysiące innych duchownych. Choć oficjalnie nie wolno im było sprawować posługi, często to robili, zwłaszcza w lazaretach, gdy żołnierze umierali

Może rozmawiamy o marginalnej grupie bez znaczenia? W 1944 r. w Generalnym Gubernatorstwie na 200 tys. żołnierzy przypadało… 10 kapelanów. Jak mogli wywierać jakikolwiek wpływ?

Zgadzam się, było ich niewielu i nie byli priorytetem dla niemieckiego dowództwa. W czasie wojny, kiedy ginęli, często ich nie zastępowano. Nie chodzi mi jednak o indywidualny „wpływ" każdego kapelana jako jednostki. Najważniejszy jest poziom symboliczny. Nawet tam, gdzie nie byli fizycznie obecni, ich obecność sprawiała, że Bóg i chrześcijańska tradycja stawali się częścią niemieckiego wysiłku wojennego, łącznie z jego ludobójstwem i zbrodniami.

Sprzeczność między chrześcijańskim przesłaniem pokoju a ich działalnością jest olbrzymia. Jak sobie z tym radzili?

Jako historyk muszę powiedzieć coś, co może zabrzmieć brutalnie. Nie widzę tej sprzeczności. Dla osoby wierzącej to kluczowy problem, ale z perspektywy historii chrześcijaństwo wielokrotnie wiązało się z przemocą, inkwizycją, niewolnictwem czy apartheidem. Przykład kapelanów Wehrmachtu pokazuje po prostu, jak działają instytucje. Kapelani nie byli potworami, byli typowymi przedstawicielami swoich czasów. Ich obecność symbolizowała ciągłość tradycji i dawała żołnierzom poczucie, że Bóg jest z nimi – co zresztą każdy z nich nosił wypisane na klamrze paska: *Gott mit uns*.



Czapka służbowa kapelana

A którykolwiek z kapelanów został pociągnięty do odpowiedzialności?

Żaden z nich nie stanął przed sądem. Byli aresztowani jako jeńcy, ale nie oskarżano ich o zbrodnie. Zastępca głównego kapelana katolickiego Georg Werthmann po wojnie został zatrzymany przez aliantów i trafił do obozu jenieckiego. W praktyce występowali jako świadkowie i autorytety moralne. Główny kapelan marynarki wojennej Friedrich Ronneberger po wojnie zeznawał w Norymberdze na korzyść admirała Ericha Raedera. Wykorzystał status kapelana, by budować obraz oskarżonego jako moralnego człowieka. Raeder dostał lżejszy wyrok niż wielu innych. Takich przypadków było więcej.

A może wybielenie wizerunku kapelanów służyło również utrwaleniu mitu niewinnego Wehrmachtu przez całe dekady po wojnie?

To bardziej wizerunek tragicznego bohatera, który starał się czynić dobro w strasznych czasach. Obraz prosty i moralnie słuszny: „starał się, ale nie mógł nic zrobić". Stał się on bardzo atrakcyjny w powojennych Niemczech, bo pozwalał wierzyć, że „prawdziwi Niemcy" nigdy nie byli nazistami.

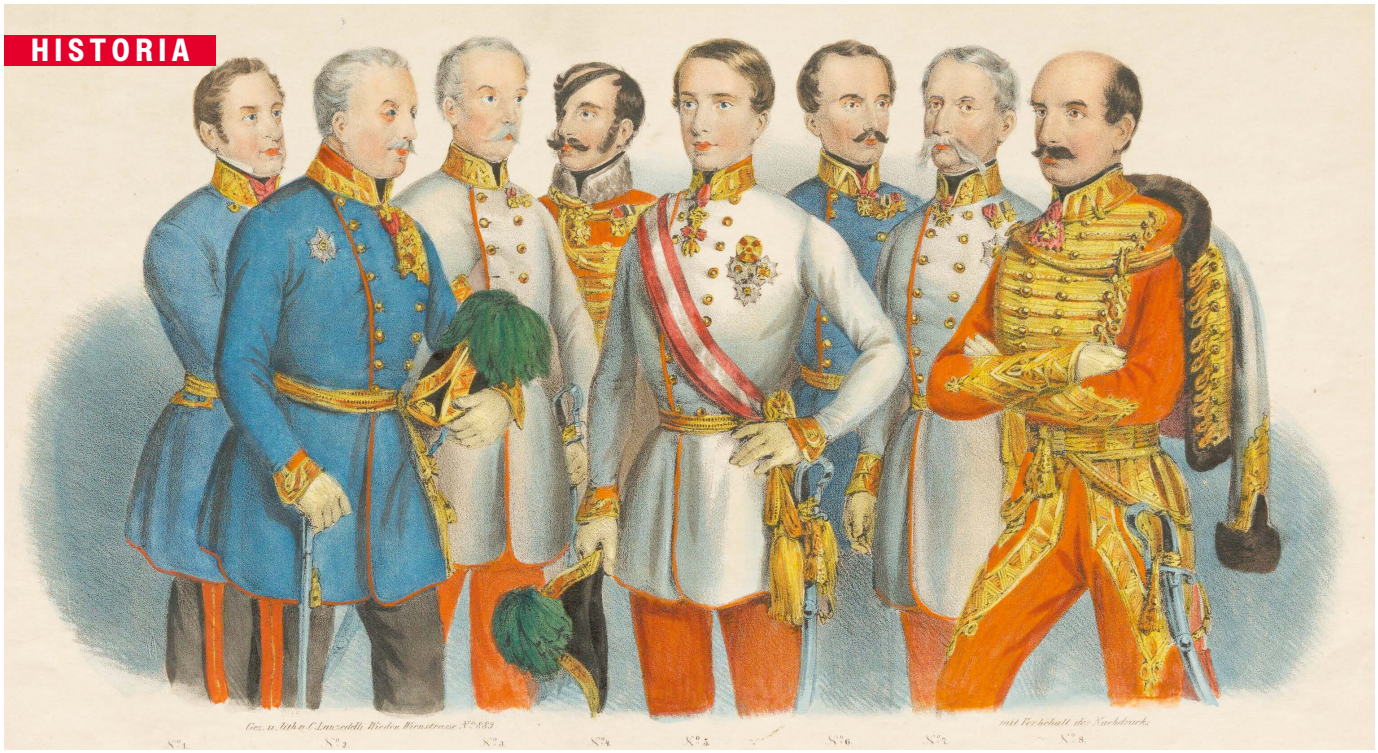
Kiedy pracowałam nad książką, zaskoczyło mnie, że we Włoszech kapelani po wojnie stali się bohaterami filmów i wzorcami do naśladowania. We Włoszech obraz dobrego katolika dobrze pasował do stereotypu Włocha jako rodzinnego, miłego, cenięcego dobre jedzenie. Ktoś taki nie mógł przecież być faszystą z własnej woli.

W Niemczech było trudniej, ale niemiecka wersja tego samego mitu również się sprawdziła. Kapelani jako „tragiczni bohaterowie" pozwalali ocalić tradycyjne wartości.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© HERMANN HISTORICA/FORUM

eprasa.pl 568960d3fb



© DP

19-letni cesarz Franciszek Józef I w otoczeniu wiernych mu generałów. Od prawej: **Joseph Jelačić i Julius von Haynau.** Drugi z lewej: **Joseph Radetzky. Rysunek z 1849 r.**

Dziwni buntownicy

Kilku zbuntowanych wojskowych zdołało uratować rozpadające się CK imperium.

PIOTR SZLANTA

Najczęściej wojskowi dokonują puczu, aby siłą obalić sprawujących władzę. Głoszą przy tym hasła odnowy i jedności narodowej oraz odsunięcia skorumpowanych i nieudolnych elit. W historii zdarzały się jednak przypadki, że generałowie wbrew legalnym władzom usiłowali przywrócić porządek w kraju ogarniętym rewolucją. Tak było w sypiącym się Cesarstwie Austrii.

Podczas burzliwych lat rewolucji 1848–49, która ogarnęła znaczną część Europy, monarchia habsburska stanęła na krawędzi rozpadu. W każdej prowincji tego rozległego państwa doszło do wystąpień politycznych i społecznych o różnym nasileniu. Cesarz Ferdynand I okazał się nieudolny i dwukrotnie uciekał z Wiednia z obawy o swoje życie. Kolejne rządy – sparaliżowane strachem i niemające pomysłu na wyjście z głębokiego kryzysu – trwały, dryfując z dnia na dzień.

Jak stwierdził późniejszy premier Felix zu Schwarzenberg, Austrię ocalił bunt generałów. Kilku z nich bowiem bez wyraźnych rozkazów lub wręcz ignorując je, na własną rękę tłumiło ruchy rewolucyjne i narodowe w monarchii naddunajskiej. Bez ich zdecydowania Austria albo by się rozpadła po szwach narodowościowych, albo przekształciła w luźną federację z silną pozycją prowincjonalnych parlamentów i symboliczną pozycją cesarza.

Joseph Radetzky nie czekał

Do otwartego powstania narodowego wobec władzy Habsburgów doszło w Królestwie Lombardzko-Weneckim. Ten twór powołany do życia na kongresie wiedeńskim w 1815 r. wchodził w skład Austrii. Na pytanie o instrukcje w sprawie strategii wobec rebeliantów gubernator i dowódca tamtejszych sił austriackich, marszałek Joseph Radetzky, usłyszał od ministra wojny Theodora Bailleta von Latoura: „Minęły czasy, gdy Dworską Radę Wojenną w Wiedniu musiano się pytać o to, czy można wydać bitwę". Autor tych słów został później zlinczowany i powieszony na latarni przez rewolucjonistów w 1848 r.

Niejednoznaczne dyspozycje rządu stanowiły zachętę do podejmowania samodzielnych decyzji bez oglądania się na centrum władzy. Radetzky z tego skorzystał. Ten wywodzący się z Czech szlachcic, który swoją długą służbę rozpoczął jeszcze w XVIII w. za panowania cesarza Józefa II, miał do dyspozycji zaledwie ok. 70 tys. żołnierzy. W obliczu interwencji zbrojnej kilku państw włoskich na czele z Piemontem oraz wskutek rewolucji w Wenecji, która odcięła go od reszty kraju (zostały mu tylko linie komunikacyjne wiodące przez tyrolskie przełęcze), wycofał się więc pod koniec marca 1848 r. z Mediolanu do czworoboku twierdz Werona – Peschiera – Mantua – Legnago. Położone między jeziorem Garda a Padem strzegły przejść na rzekach Adyga i Mincino. Mimo przewagi sił włoskich Radetzky, umiejętnie manewrując – pruscy obserwatorzy stwierdzili, że po napoleońsku – pokonał wojska piemonckie pod Custozą w lipcu 1848 r. i triumfalnie wkroczył do Mediolanu.

W Wiedniu zapanowała euforia, a we Włoszech zawieszenie broni. Radetzky stał się bohaterem Wiedeńczyków, którzy entuzjastycznie przyjęli skomponowany przez Johanna Straussa ojca marsz ku jego czci. Poeta Franz Grillparzer zadedykował mu wiersz z frazą „W Twoim obozie jest Austria". W armii marszałka służyły bowiem jednostki z różnych części ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ wielonarodowej monarchii, także z Galicji. Poza tym dzięki otaczającej Radetzky'ego aurze zwycięskiego wodza w podległych mu oddziałach panowało wysokie morale, ponadnarodowy duch zgody i przywiązania do monarchii.

Ponad 80-letni marszałek ponownie wyciągnął szpadę w marcu 1849 r., gdy pod wpływem opinii publicznej król Piemontu Karol Albert złamał zawieszenie broni. I tym razem Radetzky wymanewrował przeciwników. Nie czekał na inwazję całej armii, sam przekroczył granicę na południe od Mediolanu i pod Nowarą 23 marca pokonał Piemontczyków na ich własnej ziemi. Armia piemoncka poszła w rozsypkę, a klęska kosztowała Karola Alberta tron.

Kilka miesięcy później marszałek na czele wojsk wkroczył do Wenecji, która po oblężeniu i pierwszych w historii bombardowaniach lotniczych (bomby zrzucano z balonów) skapitulowała. Wkroczeniu wojsk habsburskich do miasta św. Marka towarzyszyły dźwięki słynnego marsza odgrywanego przez orkiestrę wojskową. Austriacy byli panami sytuacji w północnych Włoszech.

Joseph Jelačić
tworzył nową Austrię

Na początku rewolucji Węgrzy uzyskali prawo do utworzenia własnego rządu narodowego i dążyli do wynegocjowania z Wiedniem jak największego zakresu swobód. Z drugiej strony nie zgadzali się na jakiekolwiek ustępstwa wobec licznych innych narodów zamieszkujących dawne terytorium Korony Świętego Stefana.

Nie podobało się to m.in. Chorwatom. Na ich przywódcę wyrósł Joseph Jelačić. Ten pułkownik przed rewolucją służył na krańcach imperium w jednym z pułków na granicy z osmańskimi wówczas Bośnią i Hercegowiną. Żołnierze regimentów stacjonujących na tym niespokojnym pograniczu nazywani grenczarami lub Chorwatami (choć służyli w nich liczni Serbowie) uchodzili za brutalnych i niekarnych, porównywano ich do rosyjskich kozaków. Przedstawiciel cesarza na Węgrzech w marcu mianował Jelačicia banem (namiestnikiem) Chorwacji.

Rząd węgierski nie uznał tej decyzji, odwołał się do cesarza i mianował własnego bana. Dla Węgrów Jelačić był rebeliantem i separatystą, zwłaszcza że zwołał w Zagrzebiu chorwacki parlament. Jelačić odmówił podporządkowania się decyzjom rządu węgierskiego, a nawet rozmów z nim. Równocześnie latem 1848 r. jastrzębie z wiedeńskiego ministerstwa wojny zachęcali Jelačicia – bez wydawania jednoznacznych rozkazów – by ten ruszył na Peszt i zagrał va banque. Jak argumentowali, węgierska decyzja o jego odwołaniu nie była sygnowana przez odpowiedniego ministra.

Po kolejnym zaostrzeniu relacji między rządami austriackim i węgierskim we wrześniu 1848 r. Jelačić rozpoczął otwartą wojnę z Węgrami, powołując się na cesarza. Mówił wówczas „Austrii już nie ma. Trzeba ją stworzyć". Jak pisał w przejętym przez Węgrów liście: „Od momentu nominacji na bana otrzymałem od cesarza dwadzieścia jeden listów, których się nie posłuchałem. Jeśli cesarz chce mnie odwieść od moich celów, może mi przesłać jeszcze kolejne dwadzieścia jeden listów, ale ja i tak ich nie posłucham. Muszę działać dla cesarza, nawet gdyby to było wbrew jego woli".

Nie zaprzestał kampanii nawet wtedy, gdy odciął się od niego publicznie austriacki premier. Wojna chorwacko-węgierska zradykalizowała Węgrów i doprowadziła do ostatecznego zerwania z Wiedniem i detronizacji Habsburgów.

Dla Chorwatów Jelačić stał się bohaterem narodowym, zaś wpływowa arcyksiężna Zofia, matka Franciszka Józefa I, żartobliwie określała go mianem „drogiego zdrajcy stanu". Za zasługi dla kontrrewolucji uzyskał ostatecznie stopień marszałka polowego.

Alfred von Windischgrätz
zdobył Wiedeń

Dalej na północ, w Czechach, także doszło do ożywienia politycznego. W Pradze zwołano zjazd słowiański, na który przybyło 150 delegatów. Bacznie przyglądał się temu dowódca sił cesarskich w Czechach Alfred von Windischgrätz. Wywodził się z arystokracji, był do szpiku kości konserwatystą, przymierzanym na ministra wojny lub następcę Radetzky'ego we Włoszech. Na wieść o wybuchu rewolucji w marcu 1848 r. pojawił się w Wiedniu gotów do pacyfikacji miasta. Jednak władze nie zdecydowały się na taki krok.

Wrócił zatem do Pragi i gdy w czerwcu doszło tam do zamieszek i budowy barykad, obłożył miasto ogniem z artylerii. Sytuacja została szybko opanowana. Podczas tych wydarzeń Windischgrätz poniósł jednak bolesną osobistą stratę – od przypadkowej kuli zginęła jego żona, która z ciekawości obserwowała z okna walki uliczne. Wkrótce Windischgrätza mianowano naczelnym dowódcą sił austriackich poza Italią. Obawiając się ponownej rebelii w Czechach, odmówił wydzielenia z podległych mu wojsk posiłków dla Radetzky'ego, grożąc dymisją.

W październiku 1848 r. wraz z oddziałami Jelačica zdobył zrewoltowany Wiedeń. Obroną miasta dowodził Józef Bem, który z kolei uważał obu wojskowych za... buntowników. Miasto padło po kilku dniach walk. Ustanowiono w nim twarde rządy wojskowe. Rozstrzelano wielu pojmanych prominentnych rewolucjonistów, w tym m.in. posła do ogólnoniemieckiego parlamentu we Frankfurcie nad Menem, Roberta Bluma. Na ulicach zatrzymywano mężczyzn z brodami, gdyż tak często nosili się rewolucjoniści.

W grudniu Windischgrätz ruszył na Węgry, odmawiając jakichkolwiek negocjacji z przedstawicielami rządu węgierskiego. „Nie negocjuję z buntownikami" – stwierdził krótko. Bez większych walk dowodzone przez niego siły zajęły Budę i Peszt. To austriackie oddziały jako pierwsze przeszły przez niedawno ukończony most łańcuchowy łączący oba miasta. Jednak kolejne trzy miesiące Windischgrätz spędził bezczynnie, czekając na – nieuchronną jego zdaniem – kapitulację powstańców. Działaniom w polu nie sprzyjała zima. Węgrzy zdołali jednak w tym czasie przegrupować siły i zmusili Austriaków, trapionych chorobami, do wycofania się na granicę węgiersko-austriacką. Ta nieudolność kosztowała go posadę, gdyż w kwietniu 1849 r. cesarz udzielił mu bezterminowego urlopu.

Julius von Haynau
współpracował z carem

Na miejsce Windischgrätza pośpieszył z Włoch na Węgry gen. Julius von Haynau. Był on pozamałżeńskim synem elektora heskiego. Uchodził za krnąbrnego i skłonnego do awantur. Do wojska wstąpił jako kadet w wieku 15 lat i mówiono, że miał więcej konfliktów z przełożonymi niż lat służby. W 1848 r. wiódł spokojne życie emeryta w Grazu, gdy Radetzky wezwał go do Włoch, gdzie powierzył mu dowództwo twierdzy w Weronie.

Tam w kwietniu 1849 r. Haynau nakazał pacyfikację Brescii, która odmówiła zapłacenia kontrybucji. Jego żołnierze

eprasa.pl 568960d3fb

wykonali rozkaz bezwzględnie i krwawo, co przyniosło mu przydomek hieny z Brescii. Na Węgrzech współdziałał z wojskami rosyjskimi.

Car Mikołaj I, zaniepokojony radykalizacją węgierskiej rewolucji (detronizacja Habsburgów, dyktatura Kossutha) oraz możliwością rozlania się jej na kraje ościenne, w tym ziemie polskie, zdecydował się na interwencję militarną. Jak stwierdził, trzeba pomóc w gaszeniu pożaru w domu sąsiada. Siły austriacko-rosyjskie do sierpnia 1849 r. zajęły całe Węgry i Siedmiogród. Na rozkaz Haynaua w Aradzie w październiku 1849 r. powieszono 13 pojmanych przywódców powstania węgierskiego. Ponieważ po egzekucji oprawcy mieli wznosić toast piwem, od tego czasu na Węgrzech stukanie się kuflami jest uznawane za duży nietakt.

Felix zu Schwarzenberg wybrał cesarza

Wojsko miało także swoich ludzi w polityce. Jednym z nich był premier Felix zu Schwarzenberg. Poza służbą wojskową generał major miał bogate doświadczenie dyplomatyczne m.in. na placówkach w Paryżu, Londynie i Petersburgu. Wybuch rewolucji zastał go na stanowisku austriackiego posła przy dworze w Neapolu. Bezzwłocznie wstąpił do armii Radetzky'ego, został nawet ranny w walkach.

Po zdobyciu Wiednia przez siły jego szwagra Windischgrätza dwór powierzył mu stanowisko premiera i ministra spraw zagranicznych. Doskonale wywiązał się z tego zadania, wyprowadzając kraj z głębokiego kryzysu. Doprowadził do abdykacji nieudolnego cesarza Ferdynanda I i osadzenia na tronie młodziutkiego Franciszka Józefa I.

Opracował też projekt austriackiej konstytucji. Wprowadzała ona ustrój centralistyczny i unitarny z dominującą pozycją cesarza. Zakładała także m.in. równouprawnienie narodów i likwidację odrębności ustrojowych habsburskich prowincji. Po jej wdrożeniu Schwarzenberg dekretem w marcu 1849 r. rozwiązał austriacki parlament i odwołał austriackich posłów z ogólnoniemieckiego parlamentu obradującego we Frankfurcie nad Menem.

W ciągu najbliższych miesięcy udało się innym austriackim wojskowym złamać opór Włochów i Węgrów, co kończyło rewolucję. To dzięki zabiegom Schwarzenberga, który w zasadzie rządził w Austrii jak dyktator, odzyskała ona pozycję mocarstwa. Zmarł niespodziewanie w 1852 r. Przed śmiercią zdążyły jeszcze przekonać cesarza do anulowania konstytucji.

Sześć lat później odszedł sędziwy Józef Radetzky. Miał za sobą 72 lata czynnej służby. Wynik trudny do pobicia. Marszałka pochowano w mauzoleum pod Wiedniem. W założeniu fundatora był to pomnik całej armii, która w latach 1848–49 ocaliła monarchię. Marszałek spogląda na mieszkańców Wiednia i licznych przyjezdnych z pomnika konnego ustawionego na Ringu, najbardziej reprezentacyjnej ulicy naddunajskiej metropolii. W podobnej pozie, choć z wyciągniętą szablą, upamiętniony jest Jelačić na placu swego imienia w Zagrzebiu. Jednak najbardziej trwałym pomnikiem opisanych wyżej wydarzeń pozostaje Marsz Radetzky'ego. To jedyny utwór muzyki klasycznej, podczas którego publiczność w Wiedniu zwyczajowo klaszcze w jego takt.

PIOTR SZLANTA

REKLAMA

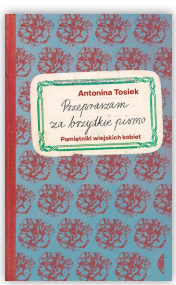
NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

LAUREACI Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego za rok 2025

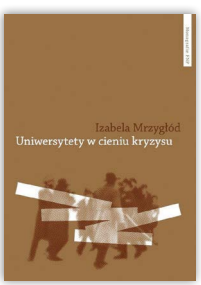
PRACE NAUKOWE



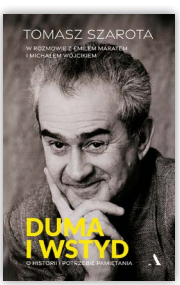
PRACE POPULARNONAUKOWE



DEBIUTY



PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA



WYDAWNICTWA ŹRÓDŁOWE



Partner Główny Nagród Historycznych POLITYKI

Enea

Partner Nagród Historycznych POLITYKI

Deutsches Historisches Institut Warschau
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

Dantex

za KS sprzyjamy wyobraźni

ZABUR Systemy automatyki

eprasa.pl 568960d3fb

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)



scena

Hamlet na grubie 3/6

William Szekspir, **Tragedyjo Hamleta, ksiyncia Dynymarku,**
reż. Robert Talarczyk, Teatr Śląski w Katowicach

Pierwsze w historii tłumaczenie „Hamleta" na śląski (autorstwa Mirosława Syniawy) wystawione zostało w teatrze, który za dyrekcji **Roberta Talarczyka**, reżysera spektaklu, stał się świątynią śląskości, w kontekście (kolejnego) prezydenckiego weta w sprawie ustawy o przyznaniu śląskiemu praw języka regionalnego. Śląskość utożsamiana z górnictwem jest tu celebrowana w scenografii i w kostiumach, a dworska uczta to barbórkowa biesiada z pojedynkiem na kufle piwa. W roli Grabarzy występują rektorzy Uniwersytetu Śląskiego (były, Tadeusz Sławek, i obecny, Ryszard Koziołek), w roli Ducha Ojca scenę przemierza w wojskowym szynelu sam dyrektor Talarczyk, nakazując młodemu Hamletowi (niewyróżniający się **Paweł Kempa**) pamięć o historii. A w finale Krzysztof Głuchowski, dyrektor krakowskiego Teatru Słowackiego, jako Fortynbras we współczesnym garniturze (z nienaganną polszczyzną) przejmie Śląsk i narrację o nim; w tle wokaliza arcypolskiej „Roty". „Tragedyjo Hamleta, ksiyncia Dynymarku" to spektakl mocnych symboli, ze scenami-wypełniaczami, czasem intrygującymi (Poloniusz w wykonaniu Grażyny Bułki), częściej nieprzekonującymi, jak cały wątek Ofelii (Ewelina Adamska-Porczyk), ofiary wszelkiego zła, z kazirodztwem włącznie. A przede wszystkim to opowieść, która w różnych wydaniach pojawiała się już nieraz w Teatrze Śląskim. Do jednych trafi, innym wyda się archaiczna lub petryfikująca.

ANETA KYZIOŁ

scena

Ufoludki rządzą 4/6

Richard Strauss, **Kawaler srebrnej róży**,
reż. Wojciech Faruga,
kier. muz. Yaroslav Shemet,
Opera Bałtycka



Księżna Marszałkowa patrzy przez łzy na slapstickową komedię

To wspaniałe dzieło jest połączeniem skrajnie różnych nastrojów: slapstickowa komedia musuje jak szampan w rytmie wiedeńskiego walca, ale od strony głównej bohaterki, świadomej przemijania, oglądana jest jednak przez łzy. Księżna Marszałkowa romansuje z młodziutkim kuzynem Oktawianem (którego gra kobieta w tzw. roli spodenkowej – to wyraźna aluzja do zalotów Cherubina do Hrabiny w „Weselu Figara" Mozarta), lecz by zachować godność, sama każe mu odejść, on zaś szybko znajduje nową miłość. Reżyser stwierdził, że to wszystko, wraz z odniesieniami do Mozarta, jest dziś niezrozumiałe, więc ekspediuje tę historię do Hollywood, co zresztą ujawnia się dopiero w drugim akcie, gdy akcja toczy się pomiędzy słynną skałą z napisem a wielką ręką King Konga, z wszędobylskimi ufoludkami – i już zupełnie nie wiemy, o co tu właściwie chodzi. W finałowym akcie mamy z kolei udawaną przez Oktawiana pokojówkę w srebrnej sukni drag queen oraz łoże w kształcie wielkiej muszli. Niewiele z tego wynika, ale przynajmniej główne role są naprawdę satysfakcjonujące – i wokalnie, i aktorsko. Wspaniała **Iwona Sobotka** jako Marszałkowa; Joanna Motulewicz jako Oktawian doprawdy wszechstronna i przekonująca (także jako drag queen), Aleksandra Kubas-Kruk jest pełną wdzięku Zofią, a grubiańskiego Barona Ochsa świetnie gra Bjarni Thor Kristinsson. Wiedeński wdzięk pozostaje również w interpretacji muzycznej Yaroslava Shemeta.

DOROTA SZWARCMAN

© PRZEMYSŁAW JENDROSKA, KRZYSZTOF MYSTKOWSKI, AURORA FILMS, NETFLIX, ZACHĘTA

eprasa.pl 568960d3fb

film

Na smyczy reżimu 4/6

Orły Republiki (Eagles of the Republik),
reż. Tarik Saleh, prod. Dania, Francja, Szwecja, 127 min,
w kinach od 5 czerwca

Wygnany z Kairu po starciu z egipskim aparatem bezpieczeństwa, przygarnięty przez Szwecję filmowiec Tarik Saleh nakręcił już dwa mocne dramaty analizujące władzę, inwigilację i korupcję za czasów prezydenta Abd al-Fattaha as-Sisiego, który przejął władzę w Egipcie w zamachu stanu w 2013 r. i utrzymuje ją do dziś („Morderstwo w hotelu Hilton", „Chłopiec z niebios"). „Orły Republiki" stanowią dopełnienie trylogii kairskiej Saleha i choć on sam wzbrania się przed nazywaniem ostatniej części satyrą, jest to rzecz subtelnie prześmiewcza poświęcona propagandzie, wykorzystywaniu przez autorytarne reżimy celebrytów usłużnie sprzedających im swoją duszę oraz trudnemu zadaniu mówienia prawdy. Fikcyjna egipska gwiazda filmowa zwana faraonem ekranu (**Fares Fares**) otrzymuje propozycję nie do odrzucenia, by zagrać samego Sisiego w propagandowym projekcie „Wola ludu". Heroiczne próby aktora, by zamienić historyczny gniot w nieco ambitniejszą produkcję, nie układają się dla niego dobrze, gdyż neutralność w świecie zmierzającym w stronę autokracji nie wydaje się możliwa. Zawiła intryga niekoniecznie musi się podobać, nie sposób jednak nie docenić uniwersalizmu przesłania, wyglądającego trochę jak przestroga przed końcem naszej cywilizacji.



JANUSZ WRÓBLEWSKI



serial

Srebrna młodzież 3/6

The Boroughs, twórcy serii: Jeffrey Addiss,
Will Matthews, 8 odc., Netflix

W domku z widokiem na pustynię jak w „Jedynej", w miasteczku jak ze Spielberga idyllicznym, ale tylko pozornie, jak u Kinga – w tym wypadku w enklawie stworzonej specjalnie dla emerytów – przemyka jakieś monstrum jak u Carpentera, ale związana jest z tym intryga rodem z filmu „Kokon" Howarda. Jak przystało na produkcję braci Dufferów, odpowiedzialnych za „Stranger Things", cała fabuła nowego serialu „The Boroughs" (nazwa miasteczka tłumaczona jest w dialogach jako Włości) jest mniej lub bardziej zręczną kompilacją znanych motywów. I słusznie doczekała się etykietki „Stranger Things" dla seniorów. Bo grupa bohaterów granych przez grono dobrze znanych aktorów (**Alfred Molina**, Geena Davis, Clarke Peters, Bill Pullman i in.) i tu próbuje rozwiązać zagadkę trochę z fantastycznego bestiariusza, a trochę już z kręgu metafizyki. W tle mamy jeszcze modny temat wiecznej młodości. Całość, niestety, co jakiś czas niedomaga logicznie i nie wykorzystuje potencjału komicznego, a starość wydaje się tu przekłamana jak w reklamach amerykańskich domów opieki. „The Boroughs" to frustruje, to jednak angażuje – w dużej mierze dzięki zmianie perspektywy i spojrzeniu na srebrną generację jako na dzieciaki z kina akcji z poprzedniego wieku, tyle że starsze.

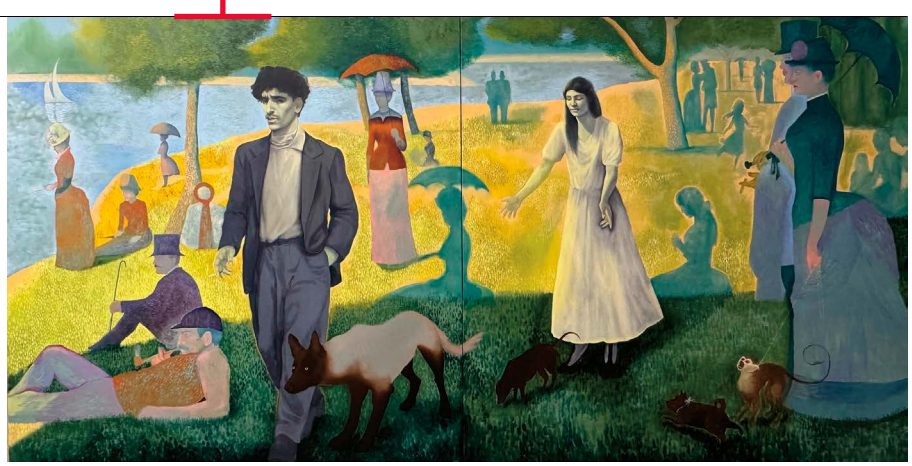
BARTEK CHACIŃSKI

galeria

1001 traum 5/6

Krzysztof Gil, Nikt was tu nie chce,
Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa,
wystawa czynna do 9 sierpnia

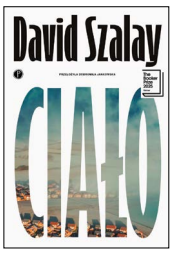
Wykluczenie, neokolonializm, nierówności społeczne, nietolerancja, stereotypy i uprzedzenia, skrywana i otwarta agresja – to tematy regularnie pojawiające się dotychczas w malarstwie Krzysztofa Gila. Często ukryte za wręcz bajkową formą, kojarzącą się bardziej z „Baśniami 1001 nocy" aniżeli z problemami współczesnej cywilizacji. Jednak równocześnie bardzo wiarygodne, bo pochodzący z romskiej rodziny artysta sam doświadczył wielu z tych międzyludzkich patologii i powraca do nich po raz kolejny na wystawie w Zachęcie. Jak zwykle osadza je w szerokich kontekstach kulturowych. Odwołuje się zarówno do pierwszego w historii weneckiego getta, przez XIX-wieczne podręczniki savoir-vivre'u, pointylistyczne malarstwo Seurata, aż po wydarzenia z ostatnich dekad: tzw. pogrom mławski w 1991 r., sytuację Palestyńczyków czy doświadczenia z własnego życia – napadu bandy skinheadów na romskie osiedle. Ton oskarżycielski brzmi tu jednak jak zwykle dyskretnie, przeważa potrzeba pokazania mechanizmów, zmierzenia się ze zjawiskiem, a może i własnymi traumami. Nowością u Gila są formy, których wcześniej nie uprawiał, mieszczące się gdzieś między rzeźbą a artystyczną instalacją. W jednej mamy np. nawiązanie do dioramy, w innej – do teatru cieni. Wystawa ciekawa i ważna.



Krzysztof Gil „Niedzielne popołudnie", 2016 r.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 568960d3fb



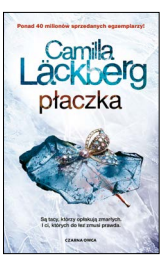
Dobrze, w porządku 5/6

David Szalay, **Ciało**, przeł. Dobromiła Jankowska, Wydawnictwo Pauza, Warszawa 2026, s. 400



Podobno nie ma przypadków, są tylko znaki, ale życie Istvána toczy się siłą rozpędu, a jego losy mocno zależą od tego, kogo akurat spotyka. Gdy miał 15 lat, dał się uwieść zamężnej sąsiadce, „starej i brzydkiej", ale rozpościerającej przed nim nieznane, fascynujące światy seksu. Przygoda kończy się szybko i dramatycznie, naznacza chłopaka na wiele lat. Z braku lepszych perspektyw i pomysłów zaciąga się do wojska. David Szalay nie musi się o tym rozpisywać – wiadomo, że misja w Kuwejcie też odciska ślad na młodym bohaterze, który ciągle szuka swojej drogi. Na Węgrzech niespecjalnie się udaje, więc próbuje w Londynie. Widoków na łatwe szczęście brak. Ale są widoki na bogactwo. István całe życie odpowiadał na pytania krótko: „w porządku", „dobrze". Jakby godził się na bylejakość. „Jeśli masz te rzeczy w sobie, choć one nie są tu rzeczywistością, czujesz się trochę nienormalny" – wspomina traumę z wojska. Szalay, nagrodzony za tę powieść Nagrodą Bookera, portretuje człowieka, który wcześnie został zgruchotany przez życie i nie umie się z tej pętli wydostać. Ma się wrażenie, że nieprzesadnie się stara. Sam sobie winien? Jego historia bardzo subtelnie wpisuje się w szersze tło społeczne współczesnej Europy Środkowo-Wschodniej. Jednak przede wszystkim dostajemy ciekawy przykład bohatera, nie przypadkiem męskiego, który budzi z każdą stroną mniej sympatii. Powieść jak ostrzeżenie – bierność, życiowy stupor mogą sprowadzić katastrofę.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

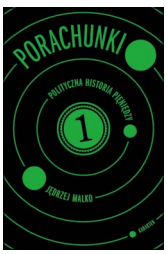


Fjällbacka coraz mroczniejsza 4/6

Camilla Läckberg, **Płaczka**, przeł. Inga Sawicka, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2026, s. 560

Po trzech latach od poprzedniego pojawił się dwunasty tom sagi o Fjällbace. Jednak akcja dzieje się niecały rok po zakończeniu „Kukułczego jaja": tam się okazuje, że główna bohaterka, pisarka Erica Falck, choć początkowo podejrzewa u siebie początki klimakterium, jest w ciąży; w tym córeczka ma parę miesięcy i zespół Downa, a przy tym wciąż się uśmiecha i wszyscy chcą ją pieścić. Patrik, mąż Eriki i policjant, farbuje sobie włosy, jego matka wmusza rodzinie zdrowe i oczywiście paskudne jedzenie, szef komisariatu wybiera się na emeryturę do ciepłych krajów, znajomi otwierają rewelacyjną restaurację i w ogóle panuje sielanka. Wszystko zaczyna się od tego, że mocno starsza pani przychodzi na komisariat i przyznaje się, że 30 lat wcześniej zamordowała męża. Podczas ekshumacji policja odkrywa pod trumną szczątki licealistki, która zniknęła również 30 lat temu; wygląda na to, że zmarła wskutek uduszenia. Niedługo potem pojawia się kolejna, współczesna zbrodnia. Odtąd ukryte dramaty stopniowo wychodzą na jaw, powieść, początkowo rozwlekła, nabiera tempa, a na koniec już nie wiemy, czego się złapać: ostateczny bilans to cztery morderstwa i trzy samobójstwa (w tym jedno rozszerzone), do spowodowania jednej ze śmierci przyznają się trzy osoby, do drugiej dwie. Dramatyczne zakończenie to zapewne podprowadzenie pod kolejny tom.

DOROTA SZWARCMAN



Pieniądze śmierdzą 5/6

Jędrzej Malko, **Porachunki. Polityczna historia pieniędzy**, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2026, s. 456

Należy liczyć, że Jędrzej Malko dobrze zarobi na swojej historii pieniędzy, bo mu się to po prostu należy. Ciekawa książka z dziedziny ekonomii to wyczyn. A jeszcze taka, w której można robić rozliczne podkreślenia, to już majątek. Zresztą o majątek tu chodzi, bo Malko zadaje pytanie fundamentalne – skąd się biorą pieniądze? I nie chodzi o odpowiedź z kategorii „z ciężkiej pracy" albo „z bankomatu". Okazuje się, że my sami (nieco pośrednio) możemy je produkować. Wystarczy, że weźmiemy kredyt mieszkaniowy, a przelana nam przez bank kwota zobowiązania staje się częścią finansowego krwiobiegu. Ale jak zapanować nad czymś, co jest w wiecznym ruchu, skoro na samą Polskę przypada ok. 6 mln transakcji dziennie na kwotę ok. 20 mld zł? Tu pojawiają się banki, które tym ruchem zarządzają. Lubią przy tym z sędziego zmienić się w zawodnika i same zacząć grać w grę pieniądzem. Pamiętamy, jak się to skończyło w 2008 r. Nie pamiętamy tylko, ile zer miały kwoty, które trzeba było wrzucić do systemu bankowego, żeby się całkiem nie załamał – nie umiemy ich nawet policzyć. Jednak, jak możemy przeczytać, to nie tyle banki są problemem, ile same pieniądze, które po prostu śmierdzą. Czasem był to wręcz pieniądz dosłownie „gówniany" – tak miał niską wartość, co zresztą sam autor ubarwia zgrabną anegdotą o tym, że „w latach 30. XVIII w. Pensylwania drukowała tyle pieniędzy, że nieraz drukarnie nie nadążały z realizowaniem zamówień na gazety". Ta i inne anegdoty pozwalają nam zgrabnie przejść przez historię, której nikt nam nie tłumaczy, a w której jesteśmy drobniakami.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© GEOFF PUGH/REX FEATURES/EAST NEWS, ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS, KINO ŚWIAT, LESZEK ZYCH, MP (6)

eprasa.pl 568960d3fb



Blask i brzask

Ephemera Festival, Warszawa,
8–14 czerwca



Warszawski festiwal twórców Unsoundu zyskał markę bliską tamtej krakowskiej imprezie. Od dawna wyprzedany jest koncert otwarcia, który w dużej przestrzeni Teatru Wielkiego – Opery Narodowej zderzy ze sobą dwie międzynarodowe gwiazdy: pakistańską wokalistkę Arooj Aftab oraz polską pianistkę, kompozytorkę i wokalistkę **Hanię Rani**, która tym razem w towarzystwie Hashtag Ensemble zaprezentuje po raz pierwszy w Polsce swój nowy utwór „Shining". 10 czerwca w Palladium wystąpi reaktywowana, legendarna formacja Cabaret Voltaire, jedni z pionierów industrialnej muzyki elektronicznej. W dawnej pracowni Magdaleny Abakanowicz zagra Teoniki Rożynek, a do prywatnych filmów artystki – Joanna Duda. W Komunie Warszawa pojawi się kolejny w tym gronie laureat Paszportu POLITYKI 2K88 ze swoimi brytyjskimi współpracownikami oraz rapowy duet Armand Hammer. A całość tradycyjnie zakończy niedzielny koncert o świcie, na którym usłyszeć będzie można m.in. rozchwytywaną producentkę muzyczną Martę Salogni, a obok niej m.in. Martynę Bastę i Natana Kryszka. Na odniesieniach do słowiańskich rytuałów Ephemera zbudowała swoją zupełnie nieefemeryczną pozycję. BCH

Szczegóły: ephemerafestival.com

Co uwiera młodych?

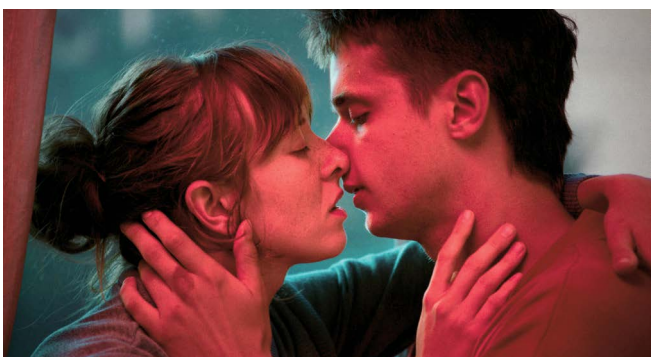


45. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film",
Koszalin, 7–13 czerwca

Wystarczy rzut oka na program tegorocznej edycji festiwalu, by się przekonać, jak dobry czas mieli ostatnio polscy debiutanci. W konkursie filmów fabularnych znalazły się m.in. **„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"**, za który Emi Buchwald została nagrodzona Paszportem POLITYKI, również nominowane do Paszportu „LARP. Miłość, trolle i inne questy" Kordiana Kądzieli, a także dwa bardzo ciekawe tytuły łączące arthouse'ową estetykę z politycznym niepokojem: „Glorious Summer" Heleny Ganjalyan i Bartosza Szpaka oraz „Królestwo" Michała Ciechomskiego. Jednak głośne tytuły i prestiżowe wyróżnienia nie powinny być jedynym magnesem dla widzów. Spojrzenie na świat oczami młodych twórców jest odświeżające, uświadamia, jakie problemy są dla nich najważniejsze: od wojny w Ukrainie i politycznej opresji kapitalizmu po trudne relacje rodzinne. A niektóre filmy są znakomitymi lekcjami dystansu do własnej historii, jak pokazywany niedawno w Cannes „Spiritus Sanctus" Michała Toczka (konkurs filmów krótkometrażowych), rozgrywający się pod koniec lat 90. w czasie pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Takiego rozbrajania narodowych mitów potrzeba w polskim kinie znacznie więcej.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Szczegóły: www.mlodziifilm.pl



Zapraszamy na Ogrody

Ogrody Polityki, Elbląg,
12–14 czerwca

Po raz 18. będziemy gośćmi Biblioteki Elbląskiej. Ogrody są miejscem spotkań czytelników naszego tygodnika z jego dziennikarzami i twórcami kultury. Zawsze są panele dyskusyjne, koncerty, wystawy, spektakle. Tak będzie i w tym roku. Zacznie się od spotkania z pisarzem i fotografem



Mikołajem Grynbergiem na temat jego znakomitej książki „Rok, w którym nie umarłem". Spotkanie poprowadzi red. Juliusz Ćwieluch. On też będzie moderatorem dyskusji o chirurgii plastycznej z udziałem socjologa prof. Tomasza Szlendaka, chirurga plastycznego prof. Jerzego Jankaua i psycholożki dr Marzeny Sekuły. Wydarzeniem muzycznym będzie tego dnia koncert Mai Kleszcz i jej zespołu.

Drugi dzień rozpocznie rozmowa z laureatem Paszportów POLITYKI w kategorii książka **Stanisławem Łubieńskim**, wieczorem odbędzie się rozmowa z muzykiem Tomkiem Lipińskim (zdobywcą paszportowego lauru Kreatora Kultury) na temat jego książek autobiograficznych i spektakl improwizowany Klubu Komediowego z udziałem filozofa Tomasza Stawiszyńskiego.

W niedzielę o książkach na lato red. Justyna Sobolewska porozmawia z pisarką Sylwią Chutnik i literaturoznawczynią prof. Bernadettą Darską, a całą imprezę zakończy koncert Arka Jakubika.

MIROSŁAW PĘCZAK

Szczegóły: bibliotekaelblaska.pl

eprasa.pl 568960d3fb

Władcy nostalgii



Z lewej: **zabawka He-Man firmy Mattel z 1988 r.** Poniżej: **kadr z animowanego serialu „He-Man i Władcy wszechświata" z lat 80.** W kółku: **Nicholas Galitzine jako He-Man w wersji fabularnej w nowym filmie „Władcy wszechświata".**

eprasa.pl 568960d3fb

Nowy fabularny film o He-Manie to kolejna próba ożywienia wielkiego hitu lat 80. Na fali nostalgii coś, co było opowieścią dla dzieci, może dziś przemówić głównie do dorosłych.

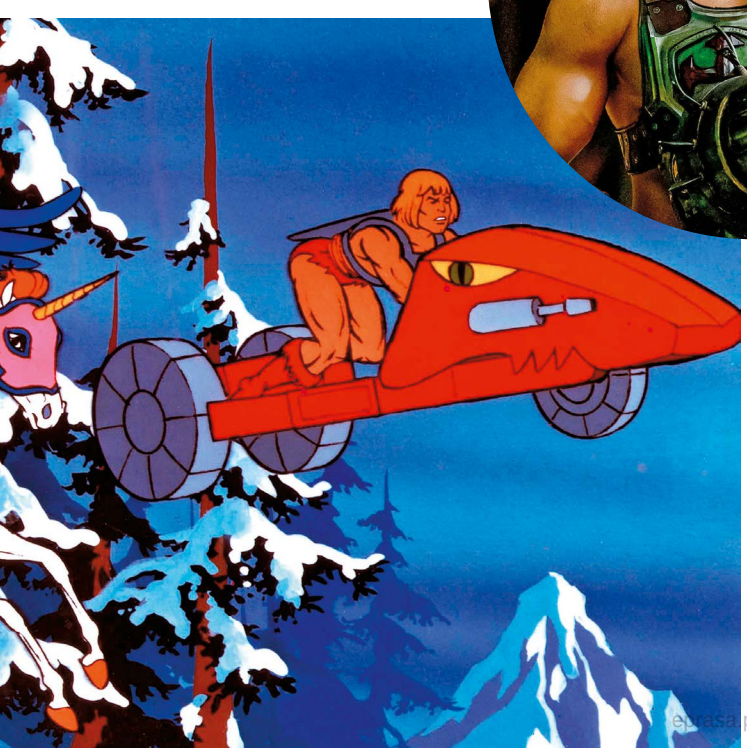
JAKUB DEMIAŃCZUK

Po 15 latach spędzonych na Ziemi książę Adam wraca na Eternię, by przekonać się, że jego rodzinna planeta jest teraz we władzy Szkieletora i jego podstępnych sługusów. Adam – początkowo nieświadomy, kim jest naprawdę – musi połączyć siły z dawnymi sprzymierzeńcami: Zbrojnym Rycerzem i jego przybraną córką Teelą, by stawić czoła złu. To tylko zarys fabuły filmu Travisa Knighta „Władcy wszechświata", lecz każdemu – a przynajmniej każdemu chłopcu – kogo szczenięce lata przypadły na drugą połowę lat 80., może uruchomić wspomnienia czwartkowych popołudni spędzonych przed telewizorem w oczekiwaniu na nowy odcinek animowanych przygód He-Mana.

„Na potęgę Posępnego Czerepu! Mam władzę!", krzyczał umięśniony heros na tle przecinających niebo błyskawic (dopiero później druga część inkantacji została w polskiej wersji językowej zmieniona na bardziej chwytliwe „Mocy, przybywaj!"), co oznaczało wstęp do widowiskowej bijatyki. Fantasy mieszało się z elementami science fiction, walki można było toczyć równie dobrze za pomocą czarów co pistoletów laserowych, a w finale odcinka jeden z bohaterów wygłaszał stosowny morał: czy to zachęcający do aktywności fizycznej lub dzielenia się swoimi problemami z rodziną, czy przestrzegający przed zażywaniem narkotyków. Ejtisowa telewizja w szczytowej formie: pstrokaty konglomerat wszystkiego, co akurat popularne, niemiłosiernie kiczowaty, a zarazem zapadający w pamięć.

Do Polski serial „He-Man i Władcy wszechświata" trafił krótko przed transformacją, TVP zaczęła emisję niewcześniej niż w 1987 r. i – jak wszystko, co amerykańskie i kolorowe – opowieści te gromadziły młodocianą publiczność przed odbiornikami. Mimo że większość polskich widzów nie znała kontekstu, w jakim herosi z Eternii pojawili się w kulturze popularnej. Bo paradoksalnie, gdy my zachwycaliśmy się przygodami He-Mana, w Stanach Zjednoczonych franczyza właśnie gwałtownie straciła popularność.





© ALAMY/BE&W (3)

Muskuły i technologia

Prawdopodobnie nie byłoby He-Mana, gdyby nie biznesowa krótkowzroczność ówczesnego prezesa firmy Mattel Raya Wagnera. Pod koniec lat 70. Mattel był gigantem wśród producentów zabawek: w portfolio miał nie tylko lalkę Barbie, lecz także samochodziki Hot Wheels. Wagner mógł dołożyć do tego jeszcze jedną atrakcyjną franczyzę, lecz odrzucił złożoną przez Lucasfilm ofertę współpracy przy produkcji figurek z „Gwiezdnych wojen". Trudno sobie dziś wyobrazić bardziej spektakularny strzał w stopę. Gdy Mattel przekonał się, ile stracił, próbował dogonić konkurencję, wypuszczając na rynek figurki inspirowane serialem „Battlestar Galactica" i filmem „Flash Gordon", lecz z rycerzami Jedi nie miały szans.

Po licznych nowych projektach, testach i badaniach (małoletniej) opinii publicznej okazało się, że jeden pomysł podoba się bardziej niż inne: figurka barbarzyńcy z wielkim toporem i muskulaturą, której nie powstydziłby się Arnold Schwarzenegger. Heroic fantasy było w tamtym czasie na fali: ukazywały się kolejne komiksy i powieści o Conanie Barbarzyńcy, a John Milius i Oliver Stone pracowali nad filmem, w którym herosa zagrał szybko zyskujący popularność Arnie. Projektant postaci He-Mana Roger Sweet wykorzystał własne zainteresowania kulturystyką i tężyzną fizyczną. Postarał się także, by postaci wyróżniały się ekspresyjną mimiką i postawą ciała naśladującą ruch, bo większość dotychczas dostępnych na amerykańskim rynku figurek była statyczna, nawet gdy miały ruchome kończyny.

To Sweet wymyślił imię He-Man – przynajmniej od połowy XVIII w. występujące w języku angielskim także jako rzeczownik pospolity, oznaczający mężczyznę wyróżniającego się siłą i wigorem – lecz ostateczny kształt postaciom z Eternii nadał ilustrator Mark Taylor. Jednocześnie fantasy zostało uzupełnione ikonografią charakterystyczną dla science fiction, dzięki czemu bohaterowie mogli mieszkać na zamku Posępny Czerep i żyć w systemie feudalnym (Eternia jest królestwem), a jednocześnie używać zaawansowanej technologii. Nie był to wcale nowy koncept, korzystały z niego choćby „Gwiezdne wojny". ▶

egrasa.pl 568960d3fb

▶ Do głównego bohatera dołączyli szybko jego towarzysze (Zbrojny Rycerz, Czarodziejka, wierny Kot Bojowy) i wrogowie (Szkieletor, Bestia, Mer-Man i wielu innych, coraz bardziej wymyślnych), lecz Mattel nie chciał, by seria figurek była promowana jedynie imieniem głównej postaci. W końcu – jak zauważyli twórcy serialu „The Toys That Made Us", poświęconego kultowym zabawkom sprzed lat – produkt miał konkurować z franczyzą, która nazywała się „Gwiezdne wojny", a nie „Luke". Ostatecznie kolekcja zyskała miano „Władców wszechświata" i choć bardzo dobrze wypadła w testach, nie spotkała się ze specjalnym zainteresowaniem sieci sklepów zabawkowych. Żeby więc przekonać hurtowników, na szybko wymyślono najpierw serię minikomiksów, które były dodawane do figurek, a później serial animowany, mający dobudować do plastikowych bohaterów i łotrów całą mitologię.

Wzlot i upadek Eternii

To bodaj pierwszy taki przypadek w historii, że kreskówka powstała, by promować zabawki, a nie na odwrót. „He-Man i władcy wszechświata", łącznie 130 odcinków, realizowany był w latach 1983–85 przez firmę Filmation, słynącą z niskobudżetowych, za to niezwykle popularnych seriali dla dzieci. Miała w dorobku m.in. adaptacje komiksów o Batmanie i Supermanie, kreskówki o Tarzanie, animowane wersje seriali „Star Trek" i „Wyspa Gilligana". Charakterystyczne były nieskomplikowane scenariusze, duża dawka slapstickowego humoru, obowiązkowe walory edukacyjne, stąd moralizatorskie przesłanie w finale każdego epizodu.

Odpowiedzialni za He-Mana pracownicy Mattela nie ukrywali rozczarowania – w ich wyobrażeniu kolekcja figurek miała domyślnie znacznie bardziej mroczne tło, tymczasem animowany serial musiał być przyjazny dzieciom. Dlatego pojawiło się w nim „cywilne" alter ego herosa: książę Adam, który dzięki Mieczowi Mocy może się zmienić w niezniszczalnego He-Mana. Jego sekret zna tylko trójka najbliższych przyjaciół, nawet rodzice Adama nie wiedzą, że ich sympatyczny, ale nieco zgnuśniały i niezbyt ambitny syn jest w rzeczywistości potężnym obrońcą Eternii, a jego tchórzliwy pupil Cringer dzięki mocy zmienia się w Kota Bojowego, zabójczą masę mięśni, kłów i pazurów. Stąd również wziął się w serialu Orko, przypominający latającego skrzata czarodziej z innego wymiaru i główne źródło niezbyt wyrafinowanego humoru.

Oglądany dziś serial razi naiwnością i leniwą animacją, ale wtedy odniósł piorunujący efekt. Sprzedaż zabawek z kolekcji „Władców wszechświata" przekroczyła oczekiwania, przynosząc zyski idące w setki milionów dolarów. W szybkim tempie zaczęły się pojawiać kolejne figurki, niektóre dość – powiedzmy – fantazyjne, mogły bowiem tryskać wodą lub specjalnym śluzem, były też takie, które wydawały nieprzyjemny zapach (Stinkor, który „niszczył odorem zła", był wytwarzany z plastiku wymieszanego z olejkiem paczuli). Zachęcony sukcesem Mattel próbował wciągnąć do zabawy także dziewczynki, powstał więc serial „She-Ra – księżniczka mocy", którego bohaterką była siostra He-Mana, i oczywiście odpowiednio przystosowana linia zabawek. Bonanza trwała do 1986 r., gdy przychody z franczyzy przyniosły ponad 400 mln dol. W następnym roku jednak gwałtownie spadły do zaledwie 7 mln. Moc się wyczerpała.

Wśród przyczyn kryzysu wymieniano m.in. dramatycznie nieudaną adaptację filmową franczyzy (z Dolphem Lundgrenem w roli He-Mana i Frankiem Langellą jako Szkieletorem), zbyt wielką liczbę dostępnych wzorów figurek, a nawet niepotrzebne zdaniem niektórych skierowanie uwagi na bohaterki takie jak She-Ra, przez co chłopcy stracili zainteresowanie zabawkami. Inna sprawa, że lata 80. dostarczały co chwila nowych podniet – w siłę rosły gry wideo, a i zabawkowa konkurencja nie spała. Firma Hasbro wprowadziła do produkcji Transformery, odkurzyła też nieco zapomnianą linię figurek G.I. Joe, wpisując się jednocześnie w militarystyczne nastroje epoki Reagana. He-Man poszedł w odstawkę, ale nigdy nie zniknął z pola widzenia.

Ikona kultury queer

Franczyzę „Władców wszechświata" reanimowano wiele razy na różne sposoby. Powstawały kolejne seriale animowane, z których warto zapamiętać jeden: „Władcy wszechświata: Objawienie" (i jego drugą część, opatrzoną podtytułem „Rewolucja"), stworzoną przez Kevina Smitha bezpośrednią kontynuację oryginalnej serii, tyle że zrealizowaną w konwencji znacznie bardziej serio i z fantastyczną obsadą dubbingu (m.in. Liam Cunningham, Henry Rollins, Sarah Michelle Gellar oraz Mark Hamill w roli Szkieletora).

Postaci z „Władców wszechświata" zaczęły też nowe życie w czasem zaskakujących rolach. Sam He-Man ze swoją podwójną tożsamością i w kusym stroju, który wygląda, jakby zaprojektował go Tom of Finland, został zaadaptowany przez środowiska LGBTQ+ jako ikona kultury queer z pełną świadomością akceptująca swoją seksualność (w przeciwieństwie do „niewyoutowanego" księcia Adama). Szkieletor natomiast pojawia się w różnych wariantach internetowych memów, najczęściej w serii, w której przedstawia „niewygodne" (co w tym przypadku oznacza najczęściej zmyślone) fakty. Z reguły mocno niecenzuralne.

I choć od czasu do czasu próbowano wskrzesić Eternię w wersji dla młodszych widzów, to „Władcy wszechświata" są teraz propozycją głównie dla zafascynowanych popkulturą nerdów, barwnym wspomnieniem dzieciństwa dzisiejszych czterdziestolatków. To oni oglądają seriale, kupują repliki oryginalnych figurek (w internecie łatwo znaleźć opinie, że Stinko w nowym wydaniu nie śmierdzi tak jak kiedyś), uczęszczają na Power-Cony, czyli zjazdy fanów He-Mana i She-Ry (tegoroczna edycja odbędzie się we wrześniu w Cincinatti). I to oni zapewne wybiorą się do kin na nowy film.

Największa fala nostalgii za latami 80. już chyba przeminęła, a jeśli „Władcy wszechświata" nie trafią w swój czas, będzie można obwiniać przedłużającą się w nieskończoność produkcję. Pierwsze przymiarki do kolejnego aktorskiego „He-Mana" były podejmowane dobre 20 lat temu. Prawa do ekranizacji kilka razy sprzedawano, wreszcie jednak Mattel – być może zachęcony gigantycznym sukcesem filmu „Barbie" – przyspieszył prace (podobnie jak w przypadku marek Hot Wheels i Matchbox, które także posłużyły za inspirację do filmowych scenariuszy). Za kamerą stanął Travis Knight, który wcześniej zrealizował m.in. „Bumblebee", czyli najlepszy pełnometrażowy film o Transformerach. He-Mana zagrał Nicholas Galitzine, a więc idol widzów raczej z segmentu young adult, lecz dostał wsparcie m.in. od Idrisa Elby, Alison Brie i Jareda Leto. Czy będą w stanie przyciągnąć do Eternii nowych fanów? Chyba nie takie jest ich zadanie, zanosi się raczej na próbę zmonetyzowania nostalgii. Na ile film będzie korzystać z „dorosłych" interpretacji He-Mana, przekonamy się po premierze.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl 568960d3fb

Maszyny do pisania

EDWIN BENDYK

Za sporem o słowa Olgi Tokarczuk o AI kryje się pytanie: czy możliwe, że w przyszłości większość masowej produkcji literackiej będzie powstawać za pomocą AI, że zwyczajnie nie opłaca się pisać?



ILUSTRACJA ISKRA

Rozwój sztucznej inteligencji budzi wielkie emocje, czego dowiodła burza wywołana wypowiedziami Olgi Tokarczuk podczas poznańskiej konferencji Impact '26. W rozmowie ze Sławomirem Sierakowskim noblistka przyznała, że korzysta z AI. Opowiedziała nieco więcej o charakterze pracy pisarza: „wbrew obawom uważam, że my, pisarze, z uwagi na specyfikę naszego rzemiosła najszybciej i najściślej zwąchamy się z narzędziami pokroju AI. Nasze głowy, umysły literackie działają w zupełnie inny sposób; ich praca opiera się na szerokim, bardzo rozległym obwodowym i asocjacyjnym kojarzeniu faktów".

Pisarka oświadczyła także, że jej nowa powieść, zapowiedziana na jesień, będzie ostatnią, jaką napisze. Proces twórczy jest niezwykle pracochłonny, a zwrot z poczynionego wysiłku – niepewny. Bo nieodwracalnie zmienia się czytelnik, który pod wpływem przemian kulturowej i technologicznej rzeczywistości traci zdolność złożonego pojmowania rzeczywistości, a tym samym i odbioru takich form artystycznych jak rozbudowana powieść.

Cytowane na wyścigi słowa Tokarczuk do wirtualnej asystentki: „Kochana, jak ▶

eprasa.pl 568960d3fb

▶ mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?", wywołały burzę niemniejszą niż te z 2022 r., gdy na Festiwalu Góry Literatury z rozmowy noblistki z Jerzym Sosnowskim zapamiętano jedno zdanie: „literatura nie jest dla idiotów". Ale cała dyskusja wpisuje się w debatę, która trwa już na świecie od dłuższego czasu.

Pisarze na krawędzi

Stawkę tej debaty w syntetyczny sposób przedstawił raport opublikowany w listopadzie ub.r. przez Minderoo Centre for Technology and Democracy (MCTD), działający w ramach University of Cambridge. Opracowanie „The Impact of Generative AI on the Novel" (Wpływ generatywnej sztucznej inteligencji na powieść), przygotowane przez Clementine Collett, podsumowywało złożone badanie przeprowadzone na grupie blisko 400 osób zajmujących się twórczym pisaniem i obsługą ruchu wydawniczego (agentów literackich i wydawców).

Dwie trzecie spośród badanych pisarzy zadeklarowało, że nie korzysta ze sztucznej inteligencji w swojej pracy, ale 39 proc. twierdzi, że ich dochody już zmalały na skutek upowszechnienia nowej technologii. 85 proc. jest przekonanych, że ich dochody zmaleją w przyszłości, przy czym nieco ponad połowa – 51 proc. – obawia się utraty pracy na skutek konkurencji z technologią. Mają przy tym świadomość, że sami przyspieszają smutny koniec – 59 proc. wie, że ich twórczość jest wykorzystywana do trenowania modeli językowych w systemach AI. Tyle że 99 proc. nie wyraziło (według deklaracji) zgody na taki proceder, a 100 proc. nie zobaczyło grosza tantiem.

Badani zdają sobie sprawę, że toczą nierówną walkę z przeciwnikiem dysponującym gigantycznymi zasobami kapitału i politycznego wpływu. Technologiczne korporacje potrafią pozyskiwać przychylność polityków, proponując im rozwiązania, które mają usprawnić zarządzanie państwem, walkę z przestępczością i rozwój potencjału militarnego. W zamian oczekują, w imię „tworzenia klimatu sprzyjającego rozwojowi innowacyjności", rozluźnienia regulacyjnego gorsetu – tak, by łatwiej można było choćby korzystać z zasobów objętych ochroną przez prawo autorskie.

Raport pokazuje, że zagrożenie idzie nie tylko z zewnątrz. Sami pisarze zaczynają odkrywać, że rozwiązania wykorzystujące AI potrafią być od nich lepsze. Brytyjski raport cytuje wyniki analiz przypadków. Jeden z nich opisuje pisarkę o imieniu Lisbeth, która zarabia, pisząc powieści gatunkowe pod różnymi pseudonimami autorskimi. W swej pracy wykorzystywała takie narzędzia, jak oprogramowanie ProWriters i SudoWrite. Gdy przeszła na ChatGPT, odkryła, że maszyna jest od niej lepsza – proponuje ciekawsze pomysły i wyższej jakości tekst.

Zamiast więc walczyć z technologią, Lisbeth zaczęła trenować swój ChatGPT, by nauczył się jej stylu i stworzył z nią autorską spółkę. W efekcie, zamiast jednej powieści rocznie, Lisbeth ma zamiar pisać ich pięć. Czy taką konkurencję są w stanie wytrzymać pisarze, którzy jeszcze AI nie wykorzystują i męczą się nad pisaniem samodzielnie? Kiedy dojdą do podobnego wniosku jak Olga Tokarczuk – że nadszedł czas na porzucenie pisania, bo zwyczajnie przestało się opłacać?

> Sami pisarze zaczynają odkrywać, że rozwiązania wykorzystujące AI potrafią być od nich lepsze.

Andrew Wylie, amerykański agent literacki, mający w swoim portfolio takie nazwiska jak Salman Rushdie, Karl Ove Knausgård, John Updike i Philip Roth, w 2023 r. w rozmowie z „The New York Times Magazine" stwierdził krótko: „O Boże, nie rozmawiajmy o sztucznej inteligencji. Mam już tego serdecznie dosyć i nie sądzę, żeby cokolwiek, co reprezentujemy, było zagrożone powieleniem za pomocą jej mechanizmów".

Przyciśnięty przez dziennikarza wyjaśnił, że mówi o prawdziwej prozie, a nie o książkach z czołówki listy bestsellerów. Twierdził, że – owszem – sztuczna inteligencja może podrobić Stephena Kinga czy Danielle Steel, bo im gorsza proza, tym łatwiej poddać automatyzacji proces jej powstawania. I skwitował, że problem nie dotyczy autorów, których on reprezentuje. Prawdziwa sztuka jest niepodrabialna. Wylie znany jest w środowisku wydawniczym pod pseudonimem Szakal. Czy jednak wie, co mówi?

Flaubert dokończony

Niestety, cień na dobre samopoczucie Szakala Wylie'ego rzucają wyniki eksperymentów przeprowadzonych we Francji. W marcu br. tygodnik „Le Nouvel Obs" poinformował, że sztuczna inteligencja, „zatrudniona" przez redakcję, dopisała zakończenie do ostatniej powieści Gustave'a Flauberta „Bouvard i Pécuchet".

Flaubert uznawany jest za największego stylistę francuskiego języka, więc poprzeczka została ustawiona wysoko. Efekt? Blanche Cerquiglini, kierująca w paryskim wydawnictwie Gallimard serią Folio classique, nie ukrywa wrażenia, jakie zrobiła na niej lektura „brakującego" rozdziału. W rozmowie z tygodnikiem mówiła: „Niepokojące jest to, że sztuczna inteligencja zachowuje styl. A przecież styl jest tym, co definiuje pisarza... To tak, jak gdyby sztuczna inteligencja, karmiąc się całym dziełem Flauberta, nauczyła się »mówić językiem Flauberta«, wtapiać się w jego słowa, rytm, zwroty i wyrażenia. Nie popadając jednak w pastisz".

Podobne wyrazy uznania wyraża francuski pisarz Hervé le Tellier, zdobywca w 2020 r. prestiżowej Nagrody Goncourtów za „Anomalię" (polski przekład Beata Geppert). Wskazuje pewne niedoskonałości, ale przyznaje, że w dopisanym przez AI ostatnim rozdziale „odnajdujemy wszystkie cechy charakterystyczne dla późnego Flauberta. Widzimy jego literackie obsesje: ironia jest zjadliwa, precyzja naukowa, jest tu odpowiednia dawka satyry społecznej i metafizycznego rozczarowania. Jest też niezaprzeczalne poczucie oszczędności i błyskotliwe użycie frazy".

Czyżby Le Tellier swymi słowami wydawał wyrok na pisarską profesję, przyznając, że maszyny radzą już sobie z tekstem literackim tak dobrze jak najwybitniejsi twórcy? Pisarz rok wcześniej na zaproszenie „Nouvel Obs" stoczył pojedynek twórczy ze sztuczną inteligencją i często się na temat konsekwencji rozwoju tej technologii wypowiada. W obszernym wywiadzie, udzielonym przeglądowi „Le Grand Continent", stwierdził, że nie jest szczególnie przywiązany do koncepcji

eprasa.pl 568960d3fb

wyjątkowości ludzkiej i dopuszcza świadomość, że maszyny już są lub będą w stanie zastąpić człowieka w większości, a być może i we wszystkich ludzkich kompetencjach.

Eksperyment z dokańczaniem dzieła Flauberta to przekonanie potwierdza. Tylko że pytanie jest w istocie źle postawione. Bo to prawdopodobne, że w nieodległej przyszłości większość produkcji literackiej będzie powstawać za pomocą systemów wykorzystujących sztuczną inteligencję. Tempo tej zmiany zależeć będzie nie od pisarzy, tylko od czytelników – w jakim stopniu uznają, że „twórczość" maszynowa zaspokaja ich potrzeby estetyczne.

Le Tellier przyznaje, że jako czytelnik nie miałby oporu przed sięgnięciem po napisaną przez maszynę powieść kryminalną, do szybkiej lektury w pociągu. Nie wyobraża sobie jednak możliwości rozwoju w ten sposób prozy artystycznej. Pisarz przekonuje, że literatura to złożone zjawisko, które – choć polega na samotnej lekturze – w istocie jest doświadczeniem relacyjnym, spotkaniem z nieznanym innym w kontekście fabularnej fikcji. Czytanie to nie tylko rozrywka, ale forma praktykowania przyjaźni i doświadczania, przez zanurzenie w literacką fikcję, złożoności świata oraz ludzkich stosunków. Innymi słowy, Le Tellier dochodzi więc do podobnych wniosków jak Wylie. Prawdziwa sztuka się obroni.

Nowy, lepszy Molier?

Francuzi postanowili jednak pójść jeszcze dalej w swym eksperymentowaniu z nowymi technologiami. W maju na scenie Opéra royal du Château de Versailles (Opera Królewska Pałacu w Wersalu) wystawiono sztukę „L'Astrologue ou les Faux Présages" (Astrolog, czyli fałszywe przepowiednie), jakoby napisaną przez Moliera. W rzeczywistości tekst farsy jest efektem projektu Molière ex Machina, realizowanego od 2023 r. przez Théâtre Molière z Sorbony i kolektyw artystyczny Obvious z wykorzystaniem systemu sztucznej inteligencji francuskiej firmy Mistral.

Technologia posłużyła nie tylko do pisania tekstu, ale także projektowania strojów zgodnych z duchem epoki Moliera, scenografii oraz muzyki. Samo pisanie, którego kluczowym elementem było „uczenie" systemu stylu francuskiego dramatopisarza, wymagało 20 tys. interakcji maszyny z człowiekiem. Podobnie tworzenie innych elementów spektaklu. Złośliwi komentowali, że to, co żywemu Molierowi zajęłoby dwa tygodnie, ludziom uzbrojonym w AI zajęło dwa lata.

Sztuka weszła jednak na deski i będzie grana nie tylko w Paryżu, a projektowi towarzyszy akcja edukacyjna poświęcona różnym aspektom wykorzystania sztucznej inteligencji. Recepcja krytyków, jak zwykle w takich przypadkach, była zróżnicowana. Jedni zachwycają się jakością kreacji, inni oburzają naruszeniem granic dobrego smaku. Francuzi podjęli jednak tę wyrafinowaną grę ze sztuką i technologią, bo obie sfery uznają za strategicznie ważne.

Z jednej strony bronią zaciekle idei „wyjątkowości kulturowej" wyróżniającej Francję. Z drugiej zaś chcą odgrywać główną rolę w rozwoju nowych technologii, co w przypadku narzędzi sztucznej inteligencji całkiem nieźle im idzie. Zdają sobie też więc sprawę, że skuteczna kontrola rozwoju nowych technologii wymaga dobrego zrozumienia ich działania i możliwości.

Eksperymenty z Flaubertem i Molierem podpowiadają kwestię niezwykle istotną: spektakularne efekty nie były skutkiem autonomicznej pracy maszyny. Wymagały twórczego zaangażowania ludzi, którzy z systemem technicznym pracowali, by nadać dziełu ostateczny kształt. Żaden system sam z siebie nie wydałby (przynajmniej na razie) efektu o jakości porównywalnej z twórczością Flauberta czy Moliera.

Dyskusję o wpływie AI na literaturę oraz – szerzej – na sztukę i kulturę warto wyprowadzić poza zachodni krąg cywilizacyjny. Podobne pytania dotyczące twórczej autonomii, kreatywności i relacji z techniką wywołują inne odpowiedzi w kulturach naznaczonych tradycją animizmu, jak w Afryce czy wśród rdzennych ludów Ameryki Południowej. W myśli odwołującej się do afrykańskich metafizyk przedkolonialnych technologia, w tym AI, traktowana jest jak juju – rodzaj fetyszu pośredniczącego między człowiekiem a innymi wymiarami rzeczywistości.

Kulturowy kontekst ma znaczenie w ocenie sztucznej inteligencji. Najnowszy raport AI Index 2025, opublikowany przez Stanford University Human-Centered Artificial Intelligence, pokazuje, że w Chinach, Indonezji czy Tajlandii panuje optymizm – ok. 80 proc. badanych patrzy na AI z nadzieją. W Kanadzie, Stanach Zjednoczonych lub Polsce przeważają nastroje pesymistyczne. Sondaż, opublikowany w marcu w Stanach Zjednoczonych przez NBC News, pokazuje, że dla 57 proc. Amerykanów AI niesie więcej zagrożeń niż korzyści, tylko 34 proc. ma odwrotny pogląd.

Troska o osobę

Najbardziej negatywny stosunek do sztucznej inteligencji mają respondenci z najmłodszej grupy wiekowej 18–34 lata. Podobnie w Polsce najmłodsi wykazują największą rezerwę wobec nowych technologii. Czy dlatego, że to oni potencjalnie są najbardziej zagrożeni konkurencją z ich strony?

Najbardziej negatywny stosunek do sztucznej inteligencji mają respondenci z najmłodszej grupy wiekowej 18–34 lata.

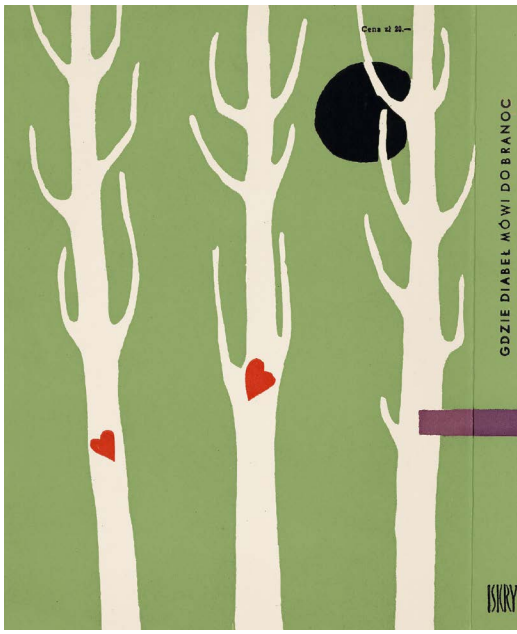
Wyzwania zmiany technologicznej i rozwoju sztucznej inteligencji nabrały takiej wagi, że wypowiedział się również papież Leon XIV – w swej pierwszej encyklice „Magnifica humanitas" poświęconej trosce o osobę ludzką w dobie sztucznej inteligencji. Daleki jest w niej od katastrofizmu i proponuje podejście właściwe dla swej instytucji, wyznaczone przez Leona XIII encykliką „Rerum novarum" z 1891 r. Historyczny i technologiczny kontekst radykalnie się zmienił, ale aktualne pozostało kluczowe pytanie. Nie dotyczy ono samego rozwoju technologii, ale ducha, w jakim ten proces będzie się odbywał: czy będzie to duch humanizmu i wspólnoty, czy też dojdzie do podeptania godności człowieka i podporządkowania osoby ludzkiej pozaludzkim siłom?

Odpowiedź na to pytanie nie jest jeszcze zdeterminowana. Od niej zależy również przyszłość literatury.

EDWIN BENDYK

eprasa.pl 568960d3fb





Barbara Baranowska i Zbigniew Cybulski w filmie „Do widzenia, do jutra", 1960 r. Obok: **zaprojektowana przez nią okładka książki Eugeniusza Paukszty „Gdzie diabeł mówi dobranoc", Wydawnictwo Iskry, 1968 r.**

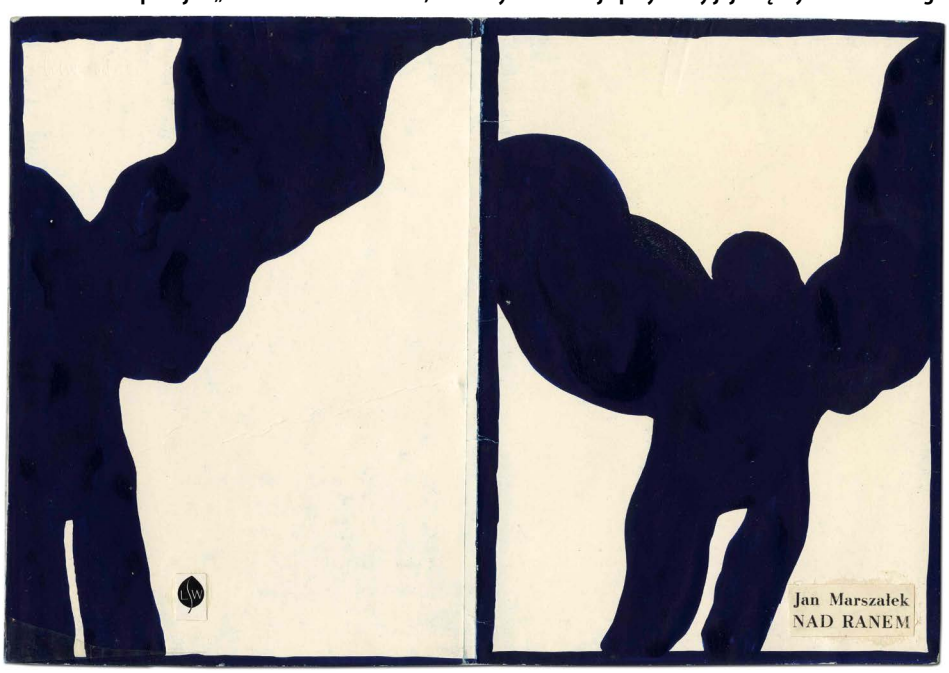
PIOTR SARZYŃSKI

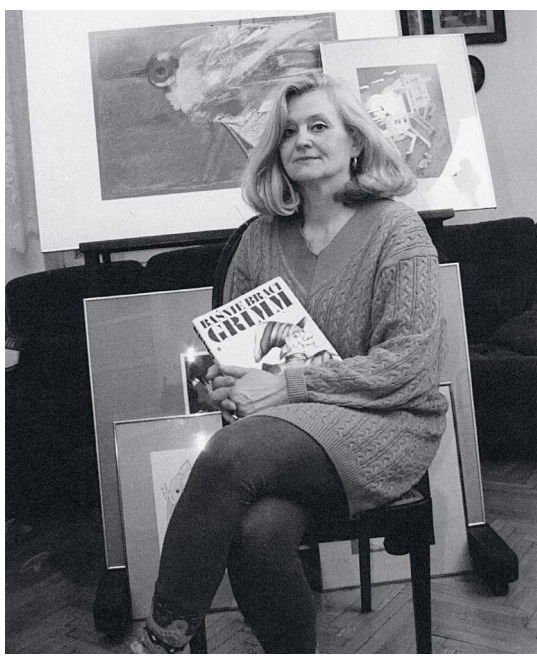
Talent i pech



Książka „Graficzki" Alicji Kobzy wyprowadza bohaterki kolejnej kreatywnej profesji powojennej Polski z cienia, nierzadko własnych mężów.

Stworzona przez Elżbietę Murawską (po prawej) **obwoluta książki Jana Marszałka „Nad ranem", 1970 r. Graficzka pozuje z „Baśniami braci Grimm", do których ilustracje przyniosły jej międzynarodowe nagrody.**





eprasa.pl 568960d3fb



Maria „Mucha" Ihnatowicz i jej okładki do serii Klubu Interesującej Książki PIW: „Nie wierzcie papudze" Sergiusza Antonowa, 1972 r. i „Cudownej pory na podróż" Liliany Michajłowej, 1975 r.

Od jakiegoś czasu trwa zmasowana (choć nieskoordynowana) akcja oddawania sprawiedliwości dziejowej zasługującym na to kobietom. Koncentruje się, co dziwić nie powinno, na tzw. zawodach twórczych, w których historyczny przekaz przez dekady zdecydowanie dowartościowywał mężczyzn. Zapełnianie białych plam chyba najsprawniej przebiega w sztuce: w malarstwie, a przede wszystkim – paradoksalnie – w wymagającej największego fizycznego znoju rzeźbie. Nienajgorzej nadrabiamy zaległości w architekturze (publikacja „Architektki"), we wzornictwie przemysłowym czy modzie. Bogato ilustrowane „Graficzki" wyciągają więc z cienia bodaj ostatnią z zawodowych grup, w których kobiety cicho i karnie wędrowały w drugim szeregu.

Rzecz dotyczy generalnie drugiej połowy XX w. i autorka książki Alicja Kobza słusznie zwraca uwagę na nieraz już podnoszoną kwestię permanentnego konfliktu między równościową narracją socjalistycznej władzy a praktyką, w której to mężczyźni znajdowali się w uprzywilejowanej pozycji.

Ponad dwie dekady temu malarka Anna Okrasko na swej wystawie zamieściła ironiczne hasło „Malarki to żony dla malarzy". Studiując życiorysy 27 bohaterek książki Kobzy, można by śmiało je sparafrazować i stwierdzić: „Graficzki to żony dla grafików". Większość z nich uprawiała bowiem ten sam zawód co mąż. Z reguły poznawali się jeszcze na studiach, pobierali i budowali wyjątkowo trwałe związki. Niekiedy działali zgodnie, wspierali się, dzielili zleceniami, tworzyli zgrany tandem. Jak Elżbieta Procka współpracująca z mężem Romualdem Sochą, Barbara Stanisławska-Balicka i Bogusław Balicki czy Zofia Darowska i Andrzej Darowski. O tej ostatniej parze pisze Kobza: „Aż do śmierci będą nierozłącznym duetem projektantów, będą pracować przy jednym stole, wymieniając się narzędziami i pomysłami".

Tam jednak, gdzie kariery mężów rozkwitały, ich partnerki pozostawały w cieniu. By wspomnieć choćby Emilię Piekarską-Freudenreich, żonę jednego z najwybitniejszych polskich plakacistów, czy Marię Wieczorek-Heidrich, której mąż słynął z projektowania... znaczków i banknotów. Pierwsza z nich mówiła: „Na projektowanie nie zawsze był czas, a to obiad ugotować, a to mieszkanie ogarnąć".

Wśród przytoczonych opowieści jedna wyróżnia się szczególnie. I gdyby jej bohaterka rozpoczęła karierę pół wieku później, z pewnością stałaby się jednym z głównych obiektów zainteresowania wszelkich plotkarskich portali i kobiecych czasopism. To Barbara Baranowska. Zaliczyła epizodyczną, ale wyrazistą rolę w filmie „Do widzenia, do jutra", niemalże zagrała w „Nożu w wodzie". W telewizji prowadziła – unikatowy wówczas – program o modzie. Jej pierwszym mężem był starszy o 26 lat pisarz Adolf Rudnicki. Drugim – młodszy o sześć lat reżyser Andrzej Żuławski. A trzecim, gdy już uwolniła się od poprzedniego toksycznego związku i na stałe osiadła we Francji – Christian Ferry, producent filmowy i szef francuskiego oddziału Paramount Pictures. Przez jakiś czas mieszkała też na Dominikanie i w USA.

Ale swej kariery nie budowała dzięki kontaktom i wpływom. Była po prostu uzdolnioną graficzką. To ona odpowiadała za – wyśmienite zresztą – okładki książek swego pierwszego męża. W Polsce robiła plakaty m.in. do filmów Morgensterna, Barei, Różewicza. Ale skrzydła rozwinęła dopiero we Francji, tworząc afisze do dzieł takich tuzów reżyserii, jak Miloš Forman, Woody Allen, Steven Spielberg i Tim Burton. A jej ostatnim i absolutnie wybitnym projektem był plakat do filmu „Opętanie" (1981 r.) jej byłego męża.

Baranowska świeciła jak diament, ale generalnie graficzki w PRL w blasku reflektorów stawały sporadycznie. Nie tylko dlatego, że często tworzyły w cieniu mężów lub że musiały tradycyjnie łączyć obowiązki zawodowe z domowymi. Także dlatego, że przeciw nim przemawiały wielowiekowe nawyki, przesądy, ▶

© EAST NEWS, ARCHIWUM ARTYSTKI (4), PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

eprasa.pl 568960d3fb

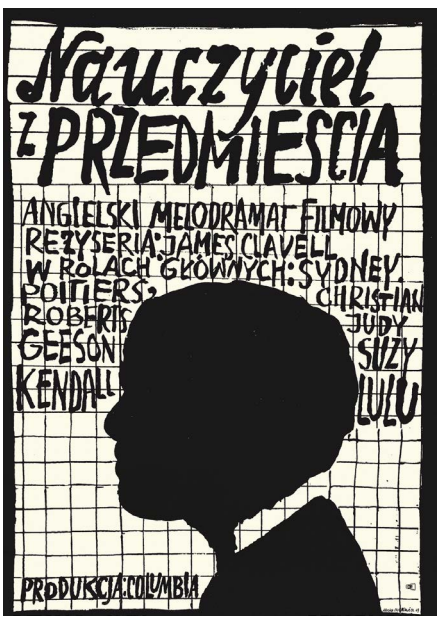
▶ stereotypy. Jak choćby ten, że kobiety nie mają predyspozycji do myślenia syntetycznego, stąd nie za bardzo nadają się np. do projektowania znaków graficznych (dziś powszechnie znanych jako logotypy). A przecież Emilia Nożko-Paprocka osiągnęła w tej dziedzinie interesujące rezultaty, zostawiając po sobie m.in. słynny znak Poldrobu, najpopularniejszych w PRL lodów Bambino czy „krówkę" Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskich, która zdobiła kostki masła czy sera od 1973 aż po 2018 r.!

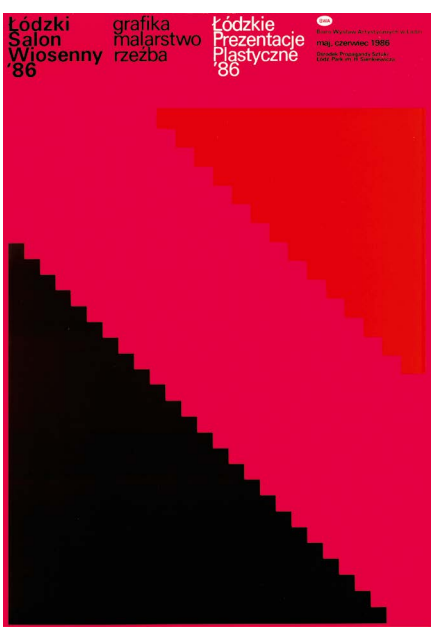
Generalnie jednak dominowało przekonanie, które świetnie obrazuje wypowiedź Bożeny Jankowskiej: „Waldemar Świerzy powiedział mi kiedyś, że miałam pecha, iż nie zostałam dużym mężczyzną". Graficzki nie podbiły więc rynku plakatów, a rekordzistka w liczbie ich projektów Hanna Bodnar (120 realizacji) miała ich w swym CV z grubsza dziesięciokrotnie mniej niż czołowi w tym czasie mężczyźni plakaciści, jak Waldemar Świerzy, Franciszek Starowieyski czy Jan Lenica.

Mówiąc brutalnie, kobietom pozostawały zlecenia, które dla męskiego ego były mało atrakcyjne. Opakowania produktów, grafika reklamowa, kalendarze, druki ulotne, okładki niskonakładowych lub specjalistycznych czasopism, a nawet gry planszowe czy torby reklamowe. I kwestia talentu nie miała tu znaczenia. Dlatego zdarzało się, że zniechęcone artystki decydowały się emigrować i za granicą szukać zawodowego szczęścia. Niekiedy – jak w przypadku Bożeny Jankowskiej, która trafiła do Niemiec – ze sporym sukcesem.

W tej sytuacji polem dającym duże możliwości artystycznej inwencji, a równocześnie pozwalającym się najpełniej rozwijać, pozostawały dla polskich graficzek książki. Każdego roku wydawano średnio 10–12 tys. nowych tytułów. Dziś jest ich trzy razy więcej. Ale w PRL okładka niemal każdej nowej publikacji była samodzielnym dziełem sztuki graficznej. Sporą część stanowiły też książki dla dzieci, dodatkowo bogato wypełniane obrazami. To przecież ilustracje do „Baśni braci Grimm" przyniosły Elżbiecie Murawskiej nagrody na międzynarodowych konkursach i powszechne uznanie. Okładki Ewy Frysztak i Marii „Muchy" Ihnatowicz do serii Klubu Interesującej Książki PIW, projekt serii tzw. ceramowskiej Danuty







© GRAFITERIA (2), ARCHIWUM ARTYSTKI

Od góry: **plakaty filmowe Hanny Bodnar z 1958 r. i Marii „Muchy" Ihnatowicz z 1962 r. oraz Ewy Stanisławskiej-Balickiej z 1986 r. zapowiadający łódzkie wystawy.**

Staszewskiej czy Biblioteki Jednorożca Emilii Piekarskiej-Freudenreich budowały historię książkowej ilustracji.

Grafiki artystycznej i użytkowej uczono wtedy na paru uczelniach w kraju, ale naprawdę liczyła się jedna: stołeczna Akademia Sztuk Pięknych. I dwóch ówczesnych pedagogów-mistrzów, ba, niemal bogów projektowania: Henryk Tomaszewski i Józef Mroszczak. Uważani za twórców tzw. polskiej szkoły plakatu dawali równocześnie gwarancję dobrego przygotowania zawodowego i glejt ułatwionego (szczególnie dla mężczyzn) zawodowego startu. Ich patentem na grafikę były, w sferze formy, malarskość i nowatorstwo typograficzne, a w sferze treści – myślowy skrót, często ironia lub żart, symbolika. I zdecydowana większość opisywanych w książce Kobzy, wybijających się ponad przeciętność graficzek, wyszła właśnie spod ich skrzydeł i artystycznie pozostawała pod ich wpływem.

Ale były i wyjątki. Jeden z ciekawszych stanowi dorobek Ewy Stanisławskiej-Balickiej, reprezentującej dla odmiany dużo mniej popularną, ale wyrazistą tzw. szkołę łódzką, czerpiącą gdzieś z dorobku Władysława Strzemińskiego i bazującą z kolei na dyscyplinie formalnej, prostym liternictwie, oszczędności kolorystycznej czy geometrii jako podstawowej formie wizualnej.

Czy książka Alicji Kobzy jest w stanie przewartościować, w feministycznym duchu, powojenną historię polskiej grafiki użytkowej tak, jak udało się to np. w sztuce, choćby z malarstwem Marii Anto czy Marii Jaremy? Czy uda się wynieść na piedestał uznania kilka spośród sportretowanych graficzek? Nie wydaje się. Zbyt silna przez opisywane dekady była dominacja mężczyzn, opanowali najważniejsze obszary zawodowej aktywności. Poza tym trzeba by kolejnych publikacji, a przede wszystkim wystaw, które by dorobek polskich graficzek zaprezentowały.

Jest to jednak książka, która z pewnością wypełnia uciążliwą białą plamę, a poprzez bogactwo wyśmienitych ilustracji daje świadectwo licznych, zwykle zapoznanych talentów i uzmysławia, jak wiele z tego potencjału nie zostało wykorzystane właśnie z powodu społeczno-historycznych uwarunkowań.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 568960d3fb

ZASŁUGUJEMY NA PRAWDĘ



SPIELBERG

DZIEŃ OBJAWIENIA

HISTORIA AUTORSTWA STEVENA SPIELBERGA SCENARIUSZ DAVID KOEPP

REŻYSERIA STEVEN SPIELBERG

10.06.26

© 2026 UNIVERSAL STUDIOS



Festiwal Big Bang: jest dialog, jest zabawa i nikt nie pyta, czym się różnią skrzypce od altówki

Z batutą wśród smyków

Co zagrać, kiedy dziecięca publiczność zasypia – tłumaczy Wouter Van Looy, popularyzator muzyki, który w 20 miastach świata organizuje dla najmłodszych festiwal Big Bang.

MARIUSZ HERMA: **– Czego od muzyków oczekują dzieci?**

WOUTER VAN LOOY: – Chcą mieć poczucie, że ich obecność ma znaczenie, że nie są tylko kolejnym numerkiem na sali, posadzonym gdzieś daleko od wykonawcy. Chcą, żeby między osobą na scenie a nimi prowadzony był dialog. Komunikacja powinna być dwukierunkowa. Szukają też szczerości. Dlatego szybko zauważają, gdy ktoś za bardzo próbuje ich zabawiać, aby utrzymać ich uwagę. Uważają to za dziecinne. Wolą kogoś, kto powie wprost: „Jestem muzykiem i teraz dla was zagram", bez błaznowania na scenie. Dlatego wypracowałem formułę „Jeden na jednego", w której jeden muzyk występuje dla jednego odbiorcy.

Jak to wygląda?

Dziecko siada na krześle naprzeciwko wykonawcy, obraca stojącą na stoliku klepsydrę, a muzyk zaczyna grać. Całkowicie improwizuje, utrzymując ze swoim odbiorcą kontakt wzrokowy – i czerpiąc z niego inspirację. Trwa to minutę. Następnie koncert się kończy, wchodzi kolejne dziecko i znów obraca klepsydrę. To niezwykle intensywne, ale też bardzo piękne przeżycie, dotykające esencji artystycznego dialogu. Gdy dzieci wstają po tej minucie z krzesła, widać w ich szeroko otwartych oczach, że doświadczyły czegoś wyjątkowego.

Wszystkie znoszą tę intensywność?

Niektóre się chronią, opuszczając wzrok, ale to zrozumiałe. Nie zdarzyło się nam jeszcze, aby któreś wstało i wyszło przed końcem tego jednominutowego występu.

eprasa.pl 568960d3fb

Zajmował się pan z powodzeniem operą jako reżyser, ale od 30 lat skupia przede wszystkim na młodej publiczności. Dlaczego?

Organizowanie koncertów dla dzieci daje wolność, ponieważ pozwala odejść od tradycyjnego ustawienia publiczność–scena. Od tego tradycyjnego ceremoniału związanego z filharmonicznymi koncertami, z wejściem orkiestry, oklaskami na początku, później w przerwach... Zamiast tego traktujemy koncerty jak plac zabaw pełen rekwizytów, które możemy dowolnie dobierać i eksperymentować z ich pomocą. Jednym z takich podstawowych rekwizytów jest interakcja, rodzaj wzajemnej gry, w której publiczność aktywnie uczestniczy w występie, a nie jest jedynie jego biernym odbiorcą.

A wspomniane ustawienie wykonawcy względem publiczności?

Tutaj jest mnóstwo możliwości. Organizowaliśmy wykonania utworów Johna Cage'a, podczas których dzieci mogły wybrać sobie dowolną pozycję: część kładła się na podłodze, inne spacerowały. Lepiej jest, gdy nie muszą cały czas siedzieć w miejscu, dla niektórych to trudne wyzwanie. Eksperymentowaliśmy też ze śpiącą publicznością. Dzieci przyjeżdżały na festiwal w Antwerpii, wieczorem wkładały piżamy, myły zęby i kładły się do łóżek umieszczonych w dużej sali – ze ściankami zapewniającymi minimum prywatności. I wtedy stojący na środku sali muzycy rozpoczynali koncert, wprowadzając powoli dzieci w sen. Tak samo wyglądała nazajutrz pobudka. Codziennie przyjeżdżała do nas kolejna grupa dzieci.

Często sięga pan po Cage'a, a przecież kojarzymy go z bardzo eksperymentalną muzyką.

Dla mnie to przede wszystkim twórca, który przełamywał barierę między dźwiękiem a muzyką. Dla niego każdy dźwięk mógł być muzyką, ale komponował także bardzo piękne, staranne utwory fortepianowe. Dlatego w ramach innego eksperymentu podzieliliśmy przestrzeń koncertową na dwie części: w jednej odbywał się tradycyjny koncert fortepianowy w duchu muzyki kameralnej, a druga zmieniła się w laboratorium dźwięków z rozmaitymi rekwizytami. Pomiędzy obiema częściami projektor wyświetlał mur. W trakcie występu mur ten stopniowo zanikał, a obie przestrzenie stawały się jedną. W ten sposób dzieci odkrywały, że oba te światy są naprawdę jednym.

Odkrywały, a nie dowiadywały się. Lubi pan podkreślać: edukacja nie ma wstępu na salę koncertową, to nie jest klasa szkolna.

Ludzie z jakiegoś powodu przyjmują, że dzieci plus muzyka równa się edukacja. Bo na młodą publiczność patrzy się zwykle z góry, szczególnie w kręgach muzyki poważnej. Wykonawcy i kompozytorzy mają pewną wiedzę, której dzieci nie posiadają. Trzeba je więc tą wiedzą napełnić. Muszą się nauczyć, jak nazywają się instrumenty: że to jest wiolonczela, to są skrzypce, a to altówka. Muszą też przyswoić sobie określone informacje o kompozytorze i jego zamyśle. I dopiero to wszystko pozwoli im pojąć sens samej muzyki. Powinny też słuchać najpierw tzw. muzyki łatwej, lekkiej, dajmy na to przystępniejszych kompozycji Mozarta czy Haydna, zanim zaproponuje się im muzykę bardziej złożoną, cokolwiek to znaczy.

Z tego samego powodu utwory pisane dla dzieci zwykle mają prostą, czytelną melodię.

To błędne myślenie i niepotrzebne samoograniczanie się. Dzieci potrafią zachwycić się złożonymi klastrami z muzyki współczesnej. Gramy dla nich mnóstwo jazzu, który uważa się za skomplikowany, chociażby kompozycje Theloniousa Monka. I okazuje się, że te właśnie koncerty podobają im się najbardziej. Doceniają wolność, jaką daje jazz. Dzieci lubią się buntować przeciw zastanemu porządkowi, mają w sobie iskrę anarchii, którą wyczuwają też w jazzie. Ale także u Johna Cage'a czy Meredith Monk, z którą chętnie współpracujemy. Z badań wiemy, że już niemowlęta eksperymentują z dźwiękami, próbują zrozumieć abstrakcyjne odgłosy. Dzieci wcale nie potrzebują prostych melodii – i warto to wykorzystać.

A jak muzycy podchodzą do młodej publiczności?

Czasem to walka, bo wielu artystów wciąż uznaje granie dla dzieci za mniej wartościowe, mniej prestiżowe. Sądzą, że stracą wartość na rynku, jeśli przyklei się do nich etykietka „muzyków dziecięcych". Taka przesadna troska o własną reputację jest bardzo powszechna. Istnieje jednak liczne grono znakomitych wykonawców, którzy niezwykle cenią sobie młodą publiczność i zawsze chętnie przyjmują tego rodzaju propozycje. Bo odkrywają, że grając dla dzieci, mają większą swobodę, pole do eksperymentów, ▶

© CAROLINE DOUTRE, KAROLINA MARUSZAK

REKLAMA

45. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych

Młodzi i Film



7-13 czerwca 2026

Zaprasza Tomasz Sobieraj – prezydent Koszalina

ORGANIZATORZY:

60 lat Stowarzyszenie Filmowców Polskich

50 lat Centrum Kultury 105 w Koszalinie

760 lat Koszalina

WSPÓŁFINANSOWANIE:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny

„Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury"

Pomorze Zachodnie

Polski Instytut Sztuki Filmowej

eprasa.pl 568960d3fb

▶ jakiego nie daje im filharmonia. Na „dorosłych" scenach muszą przestrzegać sztywnych zasad, więc nie do końca są sobą. Zdarzają się i tacy muzycy, którzy chcieliby to robić, ale wątpią w siebie, mają trudność choćby z utrzymaniem kontaktu wzrokowego z dziećmi. Staramy się tworzyć dla nich warunki do przekraczania barier, zachęcamy do kolejnych prób.

Muzycy przychodzą czasem z własnymi pomysłami takich eksperymentów?

Jak najbardziej, podam przykład zespołu grającego muzykę portugalskiej diaspory z całego świata. Ułożyli program, przenieśli go następnie na piękną mapę, po której przemieszczała się mała papierowa łódka. Nie musieli niczego dzieciom tłumaczyć, pozwolili im przesuwać tę łódkę z państwa do państwa, a zespół ilustrował to odpowiednią muzyką. Ten prosty pomysł umożliwił dialog z dziećmi, które w mig rozpoznały zasady gry. Czuły się, jakby same wykonywały tę muzykę.

Muzycy wykształceni klasycznie, tak jak pan wspomniał, są przyzwyczajeni do pewnych schematów. Jak się z nimi pracuje?

Zawsze punktem wyjścia musi być to, w czym są dobrzy, co rozumieją, ale szukamy nowej formuły. Pracowałem z pewnym chorwackim kwartetem smyczkowym. Dawali koncerty dla dzieci w bardzo tradycyjnym stylu: najpierw wprowadzenie, później dzieci siadają i słuchają Mozarta. W ciągu paru dni zupełnie to przearanżowaliśmy. Wybraliśmy utwór, w którym partia każdego instrumentu mogła istnieć samodzielnie. Kwartet zaczynał grać wspólnie, ale następnie jedno z dzieci mogło dotykać ramion muzyków i w ten sposób ich wyciszać lub włączać z powrotem do gry. Jeśli chciało posłuchać samej wiolonczeli, to uciszało pozostałą trójkę. Albo wyciszyło wiolonczelę i altówkę, aby pozostawić parę skrzypiec. W ten sposób dzieci komponowały własną wersję. Bardzo proste, prawda? A pozwala na bezpośrednią komunikację między zespołem a dziećmi. Przekazujemy im kontrolę nad tym, czego słuchają. Dla samych muzyków to zaś zgoła codzienna sytuacja, bo są przyzwyczajeni, że na próbach orkiestry dyrygent często wywołuje pojedyncze sekcje, aby coś powtórzyły czy poprawiły.

Co do orkiestr: jak pracuje się z tak dużymi zespołami?

Zawsze znajdzie się kilka procent instrumentalistów, którzy absolutnie odmawiają współpracy. Pozostali dzielą się na entuzjastów oraz takich, którzy wprawdzie niechętnie, ale idą na współpracę. Dotyczy to jednak całych zespołów. Gdy pracuje się z muzykami indywidualnie albo w ramach tria czy kwartetu, nawet ci oporni szybko odkrywają, że istnieją inne, skuteczniejsze metody komunikacji z młodymi odbiorcami niż poprzez tłumaczenie wszystkiego werbalnie. Słowa trafiają do mózgu i są tam analizowane, a muzyka działa przecież na nas bardziej bezpośrednio. Dlatego na festiwalach Big Bang raczej unikamy słów. Są od tego wyjątki, pamiętam występ kwartetu, podczas którego każdy z muzyków miał na początku powiedzieć jedno zdanie o swojej karierze, jak się zaczęła. Skrzypaczka wstała i powiedziała: „Kiedy byłam dzieckiem, pewnego razu tak się sfrustrowałam ćwiczeniami, że rozbiłam skrzypce o podłogę". To wyznanie było bardzo osobiste, ale świadczyło o tym, jak wymagająca bywa nauka gry na instrumencie. Dzieci wyglądały na zszokowane, do końca koncertu były poruszone tym szczerym wyznaniem. Z reguły jednak wszystko, co chcemy im powiedzieć, przekazujemy za pomocą muzyki, obrazu (także wideo), rekwizytów, scenografii.



© MARCEL LENNARTZ

Wouter Van Looy (ur. 1966 r.) – założyciel i dyrektor artystyczny belgijskiej agencji Zonzo Compagnie, która od 1995 r. organizuje koncerty i festiwale dla dzieci. Jego festiwal Big Bang organizowany jest obecnie w 20 miastach w Europie i Kanadzie, a przynajmniej raz odwiedził drugie tyle. Jest również cenionym reżyserem operowym oraz twórcą muzycznego zespołu teatralnego Muziektheater Transparant.

A jak w tym podejściu odnajdują się duże, poważne instytucje muzyczne?

Często także z trudem. Po nich widać, że nierówne traktowanie dzieci niejako wpisane jest w system. Większość filharmonii ma w swojej strukturze piony odpowiedzialne za muzykę klasyczną, współczesną i jazz, a także tzw. departament edukacji – zazwyczaj podporządkowany pionowi współczesnemu. Jego szef musi wyrazić na wszystko zgodę, ale sam nie chodzi na koncerty dla dzieci. Decyduje o czymś, czego nie zna. Dorosłym oferuje się więc koncerty, a dzieci edukuje. Już po tym widać, że uznaje się je za niepełnowartościową publiczność, która najpierw musi być odpowiednio przygotowana, zanim zasłuży na obcowanie z samą muzyką. Zdecydowanie z takim podejściem się nie zgadzam, czego dowodem festiwal Big Bang. Moje stanowisko można streścić postulatem: traktujmy dzieci poważniej, a dorosłych z większym luzem.

No właśnie, po tej dorosłej stronie chyba widać pewne zmiany, stopniowe odchodzenie od starych reguł?

Nasze eksperymenty zaczynaliśmy w połowie lat 90. To, co wtedy było nowinką, teraz rzeczywiście staje się dość powszechne. Każda filharmonia chce mieć specjalne występy, podczas których publiczność otacza orkiestrę albo orkiestra otacza publiczność, a czasem można nawet usiąść między muzykami. Organizuje się sesje głębokiego słuchania i inne niesztampowe wydarzenia. Myślę, że mamy w tym swój udział.

Jaki pański pomysł czeka jeszcze na realizację?

Chętnie wróciłbym do instalacji, w ramach której dzieci dostawały skrzydła i poruszając nimi, tworzyły dźwięki, jednocześnie unosząc się w powietrze na linkach. Mieliśmy też instalację „Las dźwięków" – między drzewami umieściliśmy przedmioty wydające różne odgłosy. Chciałbym w takim lesie rozwiesić sieć, na którą dzieci mogłyby się wspiąć, wpatrywać w korony drzew i wsłuchiwać w dialog naszej instalacji z naturą.

To wspinanie mogłoby być ryzykowne.

Rozważaliśmy też na poważnie pomysł koncertu w formie pogo dla sześciolatków, ale bezpieczeństwo ostatecznie wygrało.

ROZMAWIAŁ MARIUSZ HERMA

eprasa.pl 568960d3fb

BIBLIOTEKA ELBLĄSKA | 12 - 14 CZERWCA 2026

OGRODY

POLITYKI W ELBLĄGU

PIĄTEK 12.06

16:00 Kiedy ciało nas zawodzi… wsiadaj na rower
spotkanie z Mikołajem Grynbergiem wokół książki Rok, w którym nie umarłem
Prowadzenie: red. Juliusz Ćwieluch/TYGODNIK POLITYKA
Dziedziniec Biblioteki Elbląskiej, ul. św. Ducha 3-7 | Wstęp wolny

18:00 Jak się naprawić i przy okazji nie zepsuć
spotkanie z prof. Tomaszem Szlendakiem, socjologiem, prof. Jerzym Jankauem, chirurgiem plastycznym, dr Marzeną Sekułą, psycholożką przygotowującą pacjentów do operacji bariatrycznych
Prowadzenie: red. Juliusz Ćwieluch/TYGODNIK POLITYKA
Dziedziniec Biblioteki Elbląskiej, ul. św. Ducha 3-7 | Wstęp wolny

20:00 Maja w Ogrodach – koncert z okazji 18. urodzin Ogrodów Polityki w Elblągu
Maja Kleszcz z zespołem
Sala „U św. Ducha", Biblioteka Elbląska, ul. św. Ducha 3-7 | Bilet: 70 zł

SOBOTA 13.06



9:00 Rejs przyrodniczy
(rz. Elbląg – rezerwat jez. Drużno – pochylnie Kanału Elbląskiego)
i spotkanie autorskie ze Stanisławem Łubieńskim, laureatem Paszportu POLITYKI 2025 za książkę Dwanaście srok za ogon
Prowadzenie: red. Jędrzej Winiecki/TYGODNIK POLITYKA
Bilet: 20 zł

18:00 Jeszcze będzie przepięknie
spotkanie z Tomkiem Lipińskim wokół jego biografii
Prowadzenie: red. Mirosław Pęczak/TYGODNIK POLITYKA
Dziedziniec Biblioteki Elbląskiej, ul. św. Ducha 3-7 | Wstęp wolny

20:00 Klub Komediowy z Tomaszem Stawiszyńskim,
filozofem, autorem bestsellerowych książek – spektakl improwizowany
Sala „U św. Ducha", Biblioteka Elbląska, ul. św. Ducha 3-7 | Bilet: 70 zł

NIEDZIELA 14.06

16:00 Książki na lato
podwieczorek literacki z prof. Bernadettą Darską, literaturoznawczynią i Sylwią Chutnik, pisarką
Prowadzenie: red. Justyna Sobolewska/TYGODNIK POLITYKA
Dziedziniec Biblioteki Elbląskiej, ul. św. Ducha 3-7 | Wstęp wolny

18:00 Romeo i Julia żyją – koncert Arka Jakubika
Sala „U św. Ducha", Biblioteka Elbląska, ul. św. Ducha 3-7 | Bilet: 70 zł

PROGRAM
I SPRZEDAŻ BILETÓW:

bibliotekaelblaska.pl

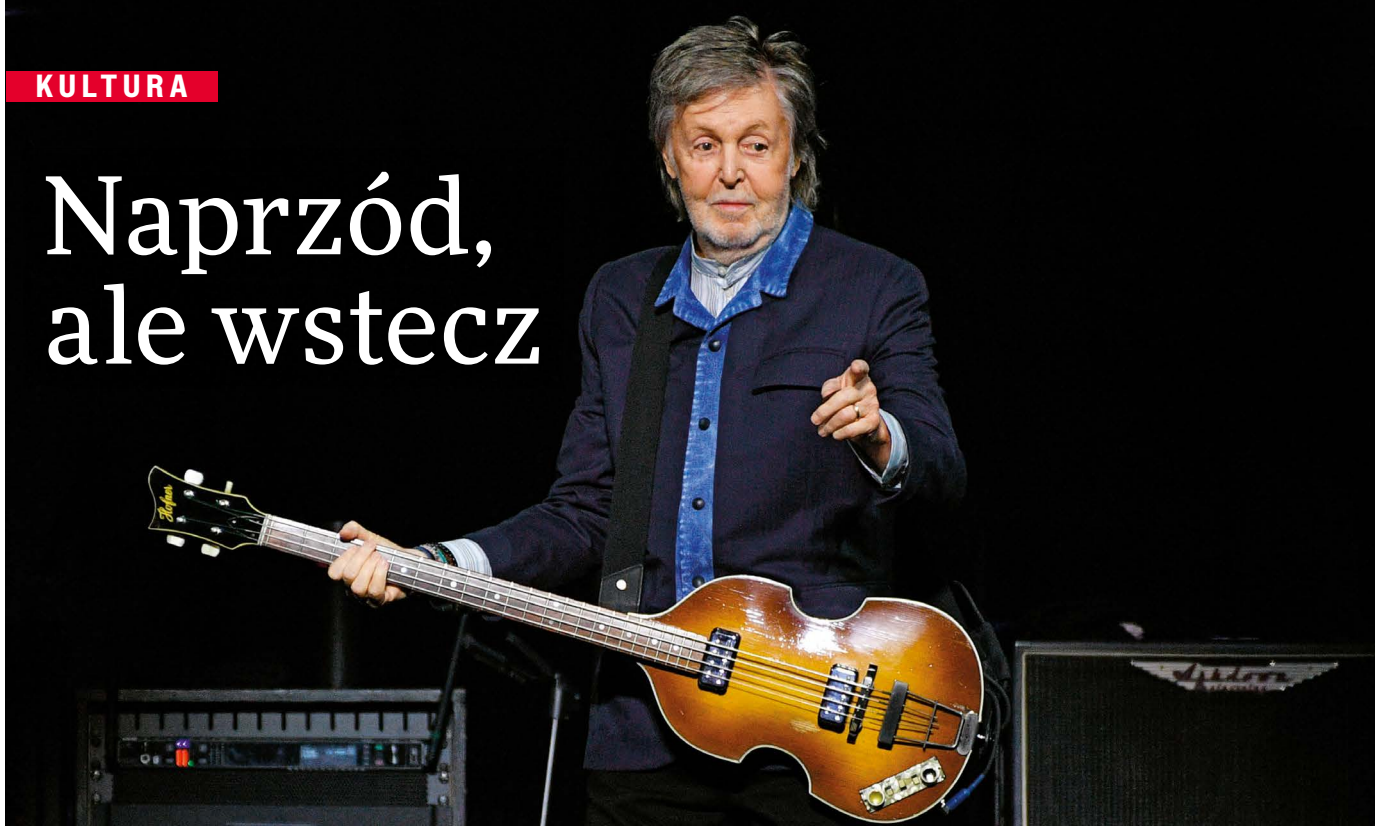
ORGANIZATORZY

PARTNERZY

PARTNER MEDIALNY

eprasa.pl 568960d3fb

Naprzód, ale wstecz



Królem kolejnego sezonu powrotów gwiazd z lat 60. jest Paul McCartney. Niby wiecznie młody, żyje od zawsze w przeszłości i współtworzył otaczający nas przemysł nostalgii.

BARTEK CHACIŃSKI

Dinozaury rocka nie tylko ciągle grają i mają się dobrze, ale jeszcze wzajemnie się wspierają, niczym w angielskim klubie towarzyskim. I tak sir Paul McCartney wystąpił przed trzema laty jako basista na płycie „Hackney Diamonds" The Rolling Stones, a na ich nowym albumie „Foreign Tongues", zapowiadanym na początek lipca, znów dostał podobne zadanie.

Z kolei 29 maja ukazała się kolejna płyta samego McCartneya „The Boys of Dungeon Lane". I łączy te tytuły ktoś jeszcze poza osobą basisty, wokalisty i współtwórcy The Beatles: 35-letni amerykański producent Andrew Watt. To on ośmielił się poprosić sir Paula o gościnny występ u dawnej konkurencji (wahanie trwało ponoć tylko 10 sekund). Wcześniej to jego polecił Stonesom McCartney, który w końcu, po kilku latach, sam zdecydował się na współpracę z Wattem.

„Znają się na strukturze piosenki, miksie, dźwięku perkusji, nagrywają od wieków. Żaden z nich tak naprawdę nie potrzebuje producenta" – mówi z podziwem i zdziwieniem Andrew Watt pismu „Guitar World". „A jednak mnie zatrudniają".

W rękach natręta

Pytanie brzmi: co takiego jest w tym młodym producencie? Zaletą Watta jest z pewnością to, że potrafi grać na różnych instrumentach, ale z tym radzi sobie sam McCartney. Dodatkowym atutem – fakt, że pracował z bardzo popularnymi i bardzo różnymi artystami, jak Lady Gaga, Justin Bieber, Iggy Pop czy Ozzy Osbourne. Niewątpliwie jeszcze cenniejszą cechą młodego Amerykanina jest determinacja. Kiedy już wiedział, że McCartney odwiedzi jego studio w Los Angeles, obudził się zlany zimnym potem w środku nocy, uświadamiając sobie, że nie ma przecież żadnej gitary dla leworęcznych. Usiadł przy komputerze i tak długo szukał po kalifornijskich wypożyczalniach, że następnego dnia miał już przygotowany cały arsenał ulubionych instrumentów Beatlesa.

Najważniejszą umiejętnością Andrew Watta jest jednak – jak to dosadnie ujął Mick Jagger – umiejętność „kopania w tyłek" doświadczonych muzyków i sprawienia, że zamiast leniwie przerzucać się pomysłami, posuwają sprawy do przodu i kończą robotę. W ten sposób mamy dziarski album 83-letniego McCartneya, a za kilka tygodni – kolejną płytę zespołu Jaggera i Richardsa, dwóch 82-latków. „Z pierwszej sesji wyszedłem z myślą: lubię go, choć jest trochę natrętny" – mówi McCartney w rozmowie z magazynem „Mojo". „Tyle że w wypadku producenta bycie natrętnym to nie wada. W pewnym momencie okazuje się, że entuzjazm człowieka, który chce z tobą robić płytę, jest zaraźliwy".

Muzycznie Watt to człowiek bez właściwości – nie wnosi charakterystycznego brzmieniowego stylu poza tym, że pozwala starszym kolegom skorzystać z nowszych technik nagraniowych, a sam materiał wyszlifować do formy pasującej do XXI w. Płyty weteranów, nad którymi pracuje, są więc nieco mocniejsze, dynamicznie agresywne, głośniejsze. Choć w wypadku „The Boys of Dungeon Lane" nie psuje to odbioru ani nie zmienia sytuacji – McCartney stworzył wyjątkowy materiał, atrakcyjniejszy niż jego ostatnie albumy.

Powrót do autobusu

Najciekawsze w tej płycie jest to, w jak bezceremonialny sposób wraca do przeszłości. Tytułowa „Dungeon Lane" to ulica biegnąca przez nieużytki otaczające

© JIM DYSON/GETTY IMAGES

eprasa.pl 568960d3fb

lotnisko w Liverpoolu, dziś noszące imię Johna Lennona. McCartney jeździł tam na rowerze jako nastolatek i obserwował startujące samoloty. Nieopodal mieszkał nastoletni George Harrison, którego Paul wprowadzał do zespołu The Quarrymen, późniejszych Beatlesów, organizując mu przesłuchanie przed Lennonem na stanowisko gitarzysty na górnym pokładzie miejskiego autobusu.

Ten autobus ma tu znaczenie. Już w zapowiadającym płytę utworze „Days We Left Behind" Paul wraca do topografii Liverpoolu z czasów, gdy zaczynała się kariera grupy – z tytułową Dungeon Lane oraz Forthlin Road, przy której mieszkała rodzina McCartneyów. Ten temat pojawia się w twórczości Beatlesów jak refren. Lennon opisał przecież w piosence „Strawberry Fields Forever" park otaczający miejscowy sierociniec, a McCartney unieśmiertelnił oddaloną nieco ponad kilometr od jego rodzinnego domu Penny Lane. A obie miały źródło w „In My Life" – starszej piosence Beatlesów, w którą początkowo Lennon wpisał miejsca mijane na stałej trasie autobusu, którym podróżowali w latach 50. W swojej pierwotnej wersji tekst był – już wtedy! – nostalgiczną opowieścią o pozostawionych za sobą latach. I pradziadkiem tysięcy innych utworów, choćby „Ostatniej stacji" Taco Hemingwaya, opowiadającej linijka po linijce o podróży warszawskim metrem (i niedawno w poszerzonej wersji przypomnianej na Stadionie Narodowym).

To jednak nie wszystko – na nowym albumie McCartneya pojawia się też Chester Road. W utworze „Down South" artysta opisuje rozpoczynające się tam wyprawy autostopem ciężarówkami wiozącymi towary z portu. Podróżowali w ten sposób za miasto i był to – jak muzyk gdzieś zauważył – „jedyny rodzaj wakacji, na jakie mogli sobie pozwolić". A przy okazji dobry sposób, żeby się lepiej poznać. „Kiedyś z Johnem dojechaliśmy tym sposobem do Paryża" – opowiadał McCartney w wywiadzie rzece Paulowi du Noyerowi. „Zdecydowaliśmy, że potrzebujemy jakiejś sztuczki (...), więc włożyliśmy meloniki i skórzane kurtki. Dwóch facetów w melonikach i skórzanych kurtkach, z chlebakami i walizkami! Kierowcy ciężarówek myśleli: »No dobra, podwiozę ich, żeby się dowiedzieć, co się za tym kryje«".

Miasto – biedne po wojnie, ale pełne czających się za każdym rogiem przygód – mamy też w singlowym „Home To Us", nagranym z drugim żyjącym Beatlesem, Ringo Starrem (ten kolejną solową płytę opublikował ledwie w kwietniu). Towarzyszą nam też obrazki z brzegu rzeki Mersey, gdzie chłopcy (według opowieści Mike'a McCartneya, młodszego brata Paula) szukali rano drobniaków zgubionych przez nocnych balangowiczów. Co istotne, piosenkę „Days We Left Behind" na początek promocji płyty jako pierwsze na świecie wyemitowało Radio Merseyside – lokalny oddział BBC.

Syndrom McCartneya

Różnica między Stonesami a McCartneyem, formułowana niedawno przez tego drugiego, jest bardzo jasna: oni mają swoje charakterystyczne brzmienie, które za każdym razem odtwarzają w studiu. On nie chce wciąż wracać do muzyki, którą już kiedyś zrobił. Choć estetyka Beatlesów była niezwykle silna, a piosenki z „The Boys of Dungeon Lane" bardzo często kojarzą się z utworami wykonawców, którzy się grupą z Liverpoolu inspirowali, np. ELO czy Toma Petty'ego. A teksty McCartneya nieustannie wracają przecież do przeszłości.

Dość powiedzieć, że w wieku 22 lat jeszcze dla The Beatles napisał klasyk idealizowania przeszłości, czyli „Yesterday". „Jeszcze wczoraj wszystkie problemy wydawały się tak odległe". A później regularnie do tematu wracał, wspominając swoich kolegów i samego siebie sprzed lat w „That Was Me" czy „Early Days". Ich autorowi te powroty zwyczajnie przynoszą przyjemność – kiedy Morgan Neville skończył pracę nad bardzo udanym filmem dokumentalnym o McCartneyu „Man on the Run" (od niedawna do obejrzenia na Prime Video), jego bohater miał jedno życzenie: zorganizować specjalny seans przedpremierowy filmu dla całej jego rodziny.

Simon Reynolds, autor „Retromanii" – książki o obsesyjnym odtwarzaniu przeszłości – zauważa, że naszą kulturę dopadł syndrom Chrisa Farleya, komika znanego z programu „Saturday Night Live". „Typowy skecz wygląda tak, że ktoś, na przykład Paul McCartney, siedzi grzecznie na sofie u Farleya, a jąkający się dziennikarz amator, ciężko spięty i w widoczny sposób ociekający potem, z wysiłkiem stawia beznadziejne pytania, bez wyjątku rozpoczynające się od »A pamiętasz...?«" – opisuje Reynolds. W przypadku McCartneya brzmiałoby to: „A pamiętasz, Paul... a pamiętasz... yyy... »Eleanor Rigby«?". Jak przekonuje Reynolds, całe mnóstwo telewizyjnych programów wspominających dawne czasy miało mniej więcej na tym polegać.

W maju br. McCartney złożył niezapowiedzianą wizytę w innym amerykańskim programie „Late Show with Steve Colbert" w telewizji CBS, która po 33 latach zdecydowała się zamknąć ten sławny talk-show, tłumacząc to względami finansowymi (prawdziwe powody to zapewne naciski z Białego Domu). „To przecież idealny ostatni gość!" – cieszył się Colbert. „Zrobiłem się sławny, ale tutaj, w środku, wciąż jestem tym dzieciakiem z Liverpoolu. Tylko ciało urosło, a ten sławny to najwyraźniej ten drugi" – opowiadał gość w rozmowie. Później wspólnie odśpiewali „Hello, Goodbye", a na koniec Colbert pozwolił McCartneyowi symbolicznie zgasić światło w budynku, gasząc też przy okazji wielki neon na budynku Ed Sullivan Theatre na Manhattanie.

Na to wzruszające sentymentalne pożegnanie oficjalny profil Białego Domu odpowiedział filmem wygenerowanym przez AI, na którym prezydent Trump wrzuca Colberta do kontenera na śmieci. Na szczęście oszczędził starszego od siebie McCartneya. Ten wprawdzie wygląda, jakby się nową płytą żegnał, ale to może być tylko złudzenie – w końcu żegnał przeszłość przez całe artystyczne życie.

Pytanie do publiczności

Choć brzmieniowo unowocześniony, album „The Boys of Dungeon Lane" jest bowiem znowu nostalgią w czystej postaci. Poruszające finałowe „Momma Gets By" to tekst odnoszący się do matki Paula, zmarłej, gdy miał 14 lat. A jedna z kluczowych piosenek „Life Can Be Hard" odnosi się do tego, co nawet w muzyce Beatlesów było już nawiązaniem do przeszłości, czyli muzyki rozrywkowej z okresu Tin Pan Alley, z początków XX w. U Beatlesów słychać ją było choćby w sławnym „When I'm Sixty Four" – i ten tekst McCartneyowi często się przypomina: „Czy wciąż będziesz mnie potrzebować, czy nadal będziesz mnie karmić, kiedy będę miał 64 lata?". Napisał go jako nastolatek, przez lata odczytywano to jako tekst o partnerce (ewentualnie o ojcu), ale dziś, gdy ma lat 83, można w tym usłyszeć piosenkę adresowaną do publiczności. Odpowiedź na pytanie, czy wciąż go potrzebuje i czy jest go skłonna wykarmić, wydaje się oczywista. ■

eprasa.pl 568960d3fb



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Za nami kolejny Polsat Sopot Hit Festiwal. Był Maciej Maleńczuk śpiewający Africa Simone'a oraz Michał Wiśniewski nieśpiewający nikogo z Mozambiku. Choć momentami brzmiało, jakby próbował.

●

Iza Miko odezwała się do fanów na Instagramie i nagle wyjęła sztuczne zęby, pokazując, jak wygląda bez nich. W Hollywood aktorzy potrafią zmieniać się do roli. U nas potrafią nawet bez roli.

●

Wielka afera u Huberta Urbańskiego. Gospodarz „Milionerów" zmienił wizerunek, stawiając na krótkie cięcie z grzywką. Suweren przemówił raczej brakiem entuzjazmu. A tak dokładniej, to wybrał pół na pół.

●

Badania IMM pokazują, że Radosław Sikorski jest jednym z najbardziej medialnych polityków Europy Środkowo-Wschodniej. Szczególnie w Indiach. Co ciekawe, bo z badań wynika, że to już nie Europa.

●

„Nie chce mi się wynajmować i wolę se kupić" – tak laureatka „Królowej przetrwania", Dominika Rybak, rzekła o przeznaczeniu wygranej kwoty (na nieruchomość w Tajlandii). W badaniu „Dlaczego lubisz język Polski" 8 proc. wyznało: „Bo tak".

●

Marianna Schreiber, kobieta omnibus, zapowiedziała swoją kandydaturę w wyborach na prezydenta Krakowa. W 1945 r. marszałek Koniew też groził miastu, ale przeszedł bokiem.

Grzegorz Skawiński ujawnił, że chciałby zostać skremowany wraz z gitarą. Ładne. Odejść, ale z klasą. To najlepsza rzecz, jaką można powiedzieć o nauczycielce.

●

Szok. W ostatnim sezonie oglądalność serialu „M jak miłość" spadła z 2,6 mln do 2,4 mln widzów. To się nazywa masowe uzdrowienie.

●

Anna Rusowicz najpierw wzięła ślub ze sobą, a teraz ujawniła, że żyje w całkowitym celibacie. Takie są efekty, jak cię partner nie kręci.

●

Niedzielne występy kabaretów okazały się hitem festiwalu Polsatu w Sopocie. Ponad 2 mln widzów. Z jakością kabaretów jest jak z biegunką. I rzadko, i często.



© PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

Plotek obwieszcza: „Fani długo na to czekali. Tomaszewska w końcu pokazała narzeczonego". Gratulacje. Przypomina mi się dialog: „Krzysiu, myślisz, że jestem dobrą matką? – Mamo, mam na imię Kamil".

●

Wspaniała zabawa w TV Republika. Prowadzący program „Piachem w tryby" przebierali się za Zorro, więźniów oraz dziennikarzy i śpiewali „Donald jest kaput". Wspaniałe. Fuzja z Kanałem Zerro pewna.

●

„Filip Chajzer i jego młoda partnerka przyłapani w Krakowie. Już się nie kryją" – to „Super Express". Fascynująca retoryka kryminalno-myśliwska. Proponuję terminy: okręg łowiecki, strzelić zwierza i darz bór.

●

Marcela Leszczak zaprasza swoje fanki na wspólny wyjazd na Bali. W pakiecie znajdą się treningi, ćwiczenia i zwiedzanie wyspy. Cena to 5657 zł i 75 gr. Jak widać, zwiedzanie odmierzone co do centymetra.

●

Astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski otrzymał od POLSA zakaz publicznego wypowiadania się. Skandal. Czyli już nigdy nie dowiemy się, jak to było z rozbłyskiem gamma, Mgławicą Omega i pierogami.

●

Krzysztof Ibisz ujawnia prawdę o zarobkach – krzyczą portale. „Ja nie negocjuję, nie uczestniczę w rozmowach. Mam zaufane osoby, które to robią". Dlatego nie jest wiarygodny w programie „Awantura o kasę".

●

Bogdan Rymanowski jest dziennikarzem politycznym najbardziej zasługującym na zaufanie – wynika z ankiety CBOS. Zgadzam się. Więcej badań w tym złożonym temacie ma prof. Grażyna Cichosz.

Natalia Szroeder wyznała, że nie występowała w TVP Jacka Kurskiego, bo miała dosyć dzielenia ludzi i braku tolerancji. Gratulacje. Z tego samego powodu Kasia Cichopek zaprosiła go na swoje wesele.

eprasa.pl 568960d3fb

FELIETON

Witkowski



Bajka o smokach

Opowiem wam bajkę, jak... smok palił cygaro. Czasem robił to w zaciszu domowym, czasem w magistracie, zdarzało się, że na wizji. Smok był prawdopodobnie wielkim hipnotyzerem. Przez 22 lata rządził i dzielił, niespecjalnie niepokojony przez mieszkańców. Ci bowiem uwierzyli, że nie ma żadnej alternatywy. Aż wreszcie smoczysko, znużone odwiecznym smoczeniem, opuściło jamę i udało się na zasłużoną emeryturę.

Po nim zapanował smok młody, pełen werwy. Zamiast wymachiwać cygarem, nagrywał filmiki na Instagramie, uśmiechał się, tańczył. „O co nam chodziło z tym starym smoczyskiem? – pytali mieszkańcy. – Już dawno powinniśmy postawić na młodego!". Ten jednak wkrótce objawił swoją prawdziwą naturę – na każdy filmik instagramowy przypadał jeden wielkopański gest. Mnożyli się jak mrówki nowi kasztelanowie. Z miejskiego mieszka co rusz ginęły kolejne monety.

Jak widać, baśń ta rozgrywa się w Krakowie. Jestem winien państwu te wyjaśnienia, statystyka jest bowiem nieubłagana – większość Polek i Polaków nie mieszka w stolicy Małopolski (z drugiej strony: nie mieszka też w stolicy Polski, a mimo to kontakt z rodzimymi mediami nasuwa przeciwny wniosek). Piszę do państwa jako krakowski obywatel, podatnik, ba, sympatyk. To mój dom, z wyboru, nie zostałem przykuty łańcuchem do Kościoła Mariackiego ani wmurowany w Bramę Floriańską. To, co wydarzyło się w związku z niedawnym referendum, to moim zdaniem dowód powszechnej deziluzji. Czar starego smoka, który notabene właściwie namaścił młodego na swojego następcę, zwyczajnie przestał działać.

> W Krakowie okazało się, że nie wystarczy bajanie o budowie metra, decyzyjna dezynwoltura i nepotyzm.

Trzeba państwu wiedzieć, że aby zmienić coś w Krakowie, mieście zastygłym w bursztynie sprzedawanym na staromiejskich straganach, nie wystarczy dokonać drobnych korekt. Żeby zmienić coś w Krakowie, trzeba... zmienić naprawdę sporo. I to na lepsze. Tymczasem Aleksander Miszalski okazał butę nieporównywalną do tej, do jakiej przyzwyczaił nas Jacek Majchrowski, a przy tym okazał się znacznie mniej sprawnym politykiem. Wprowadzane na rympał podwyżki, kompulsywne obsadzanie wysokich stanowisk krewnymi i znajomymi królika (poprzednik dawał przynajmniej swoim akolitom czas, by wykazali się na niższym szczeblu!), iluzoryczność prowadzonych konsultacji społecznych, chaos decyzyjny, ukrywanie przed mieszkańcami Planu Ogólnego – wszystko to stworzyło podatny grunt pod odwołanie prezydenta.

Krakowianie może nie są wzorem dynamiki i energii – jeśli coś interesującego dzieje się w Nowej Hucie, to kilkudziesięciominutowa wycieczka tramwajem może okazać się skuteczną przeszkodą. Mimo to rachunek win okazał się na tyle wysoki, że doprowadził do błyskawicznej mobilizacji. Wygodnie jest myśleć o tym, co się wydarzyło, jak o spisku milionerów albo o rosyjsko-brauniarskiej prowokacji. Zanim jednak na dobre rozpuścimy istotę tego referendum w opowieści o dwóch Polskach, podkreślę: nie, to nie jest przyjemne głosować podobnie do braunistów czy konfederatów. To jednak jeden z uroków demokracji. Motywacje do oddania tego samego głosu mogą się różnić.

Umieszczanie całej sprawy w spektrum „dwupolskości", którego tak chętnie podejmuje się nie tylko środowisko polityczne Miszalskiego, ale i sprzyjające mu media, jest nie tylko obraźliwe wobec wyborców, którzy od Rosji czy oligarchicznych spisków trzymaliby się jak najdalej. Jest również szkodliwe dla wagi, jaką niesie za sobą demokratyczny porządek.

Kolejny z uroków demokracji polega bowiem na tym, że ta nie znika, gdy nakryjemy ją czapką. Histeryczne lawirowanie wokół tematu uprawiane przez byłego już prezydenta („Jakie referendum? Dajcie spokój", „Ojej, referendum, przychodźcie i głosujcie na nie", „Nie przychodźcie w ogóle") czyni z jednego z najskuteczniejszych instrumentów kontrolowania władzy przez obywateli dziecięcą igraszkę. „Demokracja jest wspaniała, chyba że nie jest" – oto wniosek, który brzmi dość niebezpiecznie i niewykluczone, że trafia w gusta niektórych osób ze Wschodu.

Fascynuje mnie przy tym odporność na wiedzę i niechęć do wyciągania wniosków. Odkąd pamiętam, Platforma Obywatelska uprawia politykę, którą należałoby streścić słowami: „czasem mamy władzę, a czasem próbujemy ją po prostu odzyskać – ta bowiem się nam należy". „Inna polityka jest niemożliwa i albo będzie tak, albo, panie dzieju, totalitaryzm". W 2015 r. boleśnie przekonano się o tym, że ciepła woda w kranie nie wystarczy (przydałyby się jeszcze bowiem prąd, by ją ugotować, oraz herbata). Jedenaście lat później okazuje się, że nie wystarczą bajanie o budowie metra, decyzyjna dezynwoltura i nepotyzm.

Gdy czytam, że „prezydenta Krakowa odwołali mieszkańcy spoza centrum miasta", zaczynam wątpić, czy tzw. środowisko liberalne dysponuje łaską wnioskowania. Najwyższa pora, by zstąpiła na nich z nieba, zanim w jamie umości się smok najgorszego autoramentu. Opowieść o obronie demokracji może już nie wystarczyć – dopiero co chcieliście ją zanegować.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 568960d3fb

FELIETON

Lis



Brutalny posybilizm

Skrajności czują do siebie nienaturalny pociąg. Jeszcze chwila, a skrajna prawica i skrajna lewica zażądają prawa do transkrypcji mieszanych politycznie małżeństw zawartych za granicą, żeby wspólnie rozliczać koszty antyrządowych akcji i dzielić się opieką nad młodzieżówkami. W Krakowie wspólnym wysiłkiem odwołały prezydenta miasta, otwierając drogę do populistycznej hucpy, w jaką niechybnie zamienią się przyspieszone wybory. Również w sprawie małżeństw jednopłciowych atakują razem – na głowy ministrów Donalda Tuska ciosy sypią się z prawa i z głębokiego lewa. Tak, najlewicowszej lewicy też nie cieszy przełom w sprawie transkrypcji zagranicznych aktów ślubu.

Mowa o tych lewakach, którzy nigdy nie zrobili nic, by wesprzeć walkę o równe prawa dla osób LGBT w Polsce. To im dolega uznany przez państwo ślub za granicą jako „przywilej dla bogatych". „Wybiórcza ta emancypacja. Już nie wiem, co gorsze" – cedzą przez zęby, widząc, jak ktoś skacze z radości, bo jego czy jej jednopłciowy związek trafił w końcu do rejestru stanu cywilnego. „O nie, powinni tego zabronić!" – marzy skrycie taki lewak. Bo skoro małżeństw bez względu na płeć nie ma w polskim prawie, to niech lepiej nie będzie niczego. Grunt to sprawiedliwość – niech wszyscy będą tak samo nieszczęśliwi. Zdumiewające, w jak różne szaty może się stroić trywialna homofobia: raz wygląda jak wrzeszczący austriacki akwarelista, raz jak wódz rewolucji w robociarskim kaszkiecie.

> Grunt to sprawiedliwość – niech wszyscy będą nieszczęśliwi. Zdumiewające, w jak różne szaty może się stroić homofobia.

Jarosław Kaczyński poszedł w tym samym kierunku, tylko jeszcze dalej. „Penalizowałbym!" – wyznał bezwstydnie w ulubionej poetyce „nadzorować i karać". Urocze słowo „penalizować" – jakaż słodycz dźwięku. Penalizować innym to, czego samemu się nie ma, to dla niektórych jedyna radość. Skandal: Polska zabrania, a oni jadą do Wiednia, Berlina czy Kopenhagi i robią ze swoim życiem, co im się podoba. Cóż za brutalny posybilizm. Woluntaryzm bez czci i honoru. Penalizować ich to mało. Proponuję zamknąć granice i odebrać paszporty. Kaczyński trzymałby je w szufladzie i wydawał na czas określony, po śledztwie, czy ukrytym celem podróży nie jest ślub jednopłciowy, zwłaszcza w Niemczech. Bo „wszyscy wiemy, jakiemu państwu to służy, żeby w Polsce szerzyć homoseksualizm". Czyżby prezes wyobrażał sobie, że jednopłciowe małżeństwa zaczną płodzić mówiące po niemiecku pedalątka i lesbiątka, kiedy tylko dostaną do ręki polski akt ślubu?

Dzieci to w ogóle nośny temat, zniesie wszystko. Aktualnie jadą na nim konfederaci z ludowcami (czy aby nie za blisko, panowie?), goniąc marzenie o zakazie adopcji przez pary jednopłciowe. Panika moralna, jaką starają się wywołać, opiera się na stereotypie od lat umacnianym przez prawicowe media – zgodnie z nim osoby LGBT miałyby być przestępcami seksualnymi. To prawda, że w Kościele katolickim często się tak zdarza. Jednak poza nim nie występuje nadreprezentacja osób LGBT wśród sprawców takich przestępstw. Ponadto istnieją procedury adopcyjne. Powstały właśnie po to, żeby eliminować osoby nienadające się na opiekunów niezależnie od orientacji seksualnej. Serio, adopcja to nie sklep, do którego wchodzi się z aktem ślubu i z automatu dostaje dziecko.

Zresztą osoby LGBT wcale nie pragną ponad wszystko adoptować cudzych dzieci. Na pewno istnieją takie, które chcą, ale jak żyję, nie spotkałam nikogo takiego. Jeżeli pojawia się potrzeba dziecka, to najczęściej własnego. Kobiety mogą urodzić; mężczyźni uciekają się do surogacji albo tworzą rozszerzoną rodzinę z parą lesbijek. Nie są to żadne „eksperymenty". Struktura rodziny i formy rodzicielstwa stale się zmieniają, a najbardziej zmieniły się za życia Jarosława Kaczyńskiego. Istnieje pokaźna literatura naukowa na ten temat. Biblioteki na Żoliborzu powinny mieć coś o tęczowych rodzinach, także polskich. Zbadano, że dzieciom wychowywanym w takich warunkach nie dzieje się krzywda – rozwijają się dobrze, a pod niektórymi względami lepiej niż dzieci z rodzin tradycyjnych. Nie przejmują orientacji seksualnej rodziców, jednak cechuje je większa akceptacja własnych pragnień. Dzięki temu nie potrzebują nikogo penalizować. Źle na nie wpływa natomiast homofobia otoczenia. Nic tak nie szkodzi dzieciom z tęczowych rodzin jak Bosaki, Czarnki i Kaczyńscy.

Prawica z lewicą mylą się bliźniaczo, gdy odpowiedzialnością za transkrypcje jednopłciowych małżeństw obarczają Tuska. Przełom zawdzięczamy głównie Mateuszowi i Jakubowi Cupriak-Trojanom oraz zespołowi ich prawników. Pisała o tym POLITYKA („Pierwsi mężowie", nr 21). Rząd nie miał innego ruchu, niż wykonać wyrok NSA, chyba że odrzuciłby praworządność jako zasadę ustroju. Chwała Tuskowi, że postawiony pod ścianą wybrał rządy prawa, nie oznacza to jednak, że społeczność LGBT coś od niego dostała. Przestała czekać na ochłap, który wynegocjował Kosiniak z Kamyszem, i sama wzięła sobie równość. Myślę, że to jest piękne. Teraz trzeba jeszcze rozszerzyć ją na wszystkich.

RENATA LIS

eprasa.pl 568960d3fb



Rotuj się, kto może

Modnym terminem w Najjaśniejszej jest ostatnio „rotacja". To oczywiście za sprawą codziennie świeżych decyzji podejmowanych przez prezydenta Donalda Trumpa i krzyżowca tatuażysty Pete'a Hegsetha. W dodatku narracja administracji amerykańskiej jest, delikatnie mówiąc, w dużej kontrze do stylu takich noblistów jak Tomasz Mann czy László Krasznahorkai.

Moje pokolenie pamięta absurdalno-komediowy serial „M*A*S*H" o lekarzach i lekarkach podczas wojny w Korei. Czekam na polską wersję z Drawska Pomorskiego lub Bemowa Piskiego. O atrakcyjnych amerykańskich chłopcach w modnych noktowizorach, robiących zakupy w Żabkach i korzystających tam z promocji ze zdrapką, i o mazurskich zbieraczkach jagód trafiających a to na połamane drony, a to na zagubione pojazdy automatyczne próbujące odebrać im cnotę lub pizzę w Piszu. Jako osoba, dla której ADHD i logorea narracyjna są naturalnym środowiskiem, czuję się w chaosie rotacji jak ryba w wodzie. Trumpizm stosuje zarządzanie przez chaos, więc dawne hasło Unii Demokratycznej „Siła spokoju" raczej się nie przebija.

Przeżyjmy to jeszcze raz. Najpierw gruchnęły wieści, że Trump obraził się na Niemców i zabierze im chłopców, dziewczyny i wszystkie nieodkręcone jeszcze przez niego płcie z którejś bazy. Ależ euforia, prawda? Chyba wiemy, że po pierwsze, to na złość Rudemu Donaldowi, a po drugie, nic tak nie cieszy jak klęska tych strasznych Szwabów. Po trzecie, biorąc pod uwagę poczynania Amerykanów w Afganistanie czy Iranie, może lepiej by było, gdyby skupili się na pomaganiu starszym osobom w przechodzeniu przez jezdnię, handlu kurtkami bomberkami lub wprowadzaniu bioróżnorodności do europejskich genotypów za pomocą zbliżeń podczas przepustek. Bo z realizacją celów różnie bywa: a to się ewakuują, porzucając Afganki na pastwę talibów, a to zbombardują szpital czy zagłodzą Gazę. „Pięć tysięcy mniej Amerykanów z wozu, to może babie lżej" – pocieszyłam się.

> Czekam na polską wersję serialu „M*A*S*H" – o amerykańskich chłopcach robiących zakupy w Żabkach.

Wtem gruchnął nowy nius. Niemcom Trump zabiera, ale nam tu podrzucą te dodatkowe pięć tysięcy *American boys and girls*. Zaczęłam wyklejać okna papierem i kocami w obawie, że jeśli nie da się ich wcisnąć do zatłoczonego garnizonu w Jasionce, to jakiś desant pod moim blokiem może mnie zaskoczyć. Mimo propagandy tefałenów dobrze wiemy, że Amerykanie żyją teraz swoim *European dream*. Tu jabłko smakuje jak owoc, tu szpital służy do leczenia, a nie wyrzucania nieubezpieczonych na wycieraczkę, tu można dojść do kolegi pieszo, nie przeskakując przez dwanaście jezdni autostrad, a studia nie kosztują miliard złotych.

Ponieważ jednak Trumpowi czasem przewraca się globus i raz chce sobie kupić Lego i Grenlandię, a raz półprzewodniki i Chiny, to na szczęście o żadnym dodatkowym desancie nie ma mowy, tylko rotujemy jak dawniej. Rotacja to najmilsza forma nawiązywania sojuszy, jaką znam. Monogamia i związki z czasów rewolucji przemysłowej już dawno są *passé*. Teraz wszystko jest płynne i dynamiczne niczym pomysł na nowe centrum Warszawy, gdzie nikt nie ma prawa parkować, tylko trzeba sunąć na hulajnogach, rowerach czy w uberach, z których należy wyskakiwać w biegu.

Rotacja to podstawa nowych tzw. relacji otwartych. Starego męża można sobie zamówić na zakończenie roku szkolnego czy do popilnowania kota, ale oto na grupie wyświetla się, że w okolicy są rowery z Pawłem, *cosharing office* z Kubą i jego projektem, herbatka na tarasie z koleżankami, kolegium w POLITYCE i oprowadzanie w radiu. A przyjaciele korzystają z promki na wynajem domu w Beskidach i brakuje im jeszcze trzech psiapsiółek, najlepiej z dziećmi, bo dzieci potrzebują innych dzieci, a rodzi się ich mało i nikt nie woła na podwórku. Podwórka puste, bo kto przy takich cenach w centrach miast może sobie pozwolić na utrzymanie dziecka. Mieszkanie należy poddać rotacji – co parę dni nowi goście z Airbnb. Warszawiak musi być w ciągłym ruchu. Najlepiej żeby w pędzie rotacji szybko umarł, rozwiązując palący problem ekologiczny i mieszkaniowy miasta.

Staram się utrzymywać swoje amerykańskie sojusze, które nawiązałam jeszcze w czasach, gdy byłam małą dziewczynką. Mam wspaniałe, nie tylko depresyjne, wspomnienia ze Stanów. Niedawno, gdy obecna administracja zaczęła proces zastraszania uczelni, odwiedziłam Boston. Amerykańscy studenci szukają teraz szans w Kanadzie czy Chinach. Młodzi fizycy nie próbują sił w MIT, tylko aplikują na studia doktoranckie do Niemiec. W ramach rotacji może czas na zapraszanie nie tylko wojskowych z maszynami do zabijania, ale pisarzy, jazzmanów, studentów czy takich ludzi, jakimi my byliśmy na Greenpoincie, gdy Janusz Głowacki pisał „Antygonę w Nowym Jorku". Z takimi Amerykanami niech fotografują się nasz premier i prezydent, a nie tylko ze sprzedawcami Apaczy.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 568960d3fb



Śmiechu kupa

Nie cichnie oburzenie nieprzyjaznymi wobec Polski i Tatrzańskiego Parku Narodowego działaniami ukraińskiego influencera, który przez nikogo nieniepokojony dojechał swoim luksusowym autem do Morskiego Oka, a następnie z niego odjechał. Premier polskiego rządu zwrócił się do MSWiA o pilne wyjaśnienie okoliczności zdarzenia i wyciągnięcie surowych konsekwencji. Najwyraźniej uznał, że państwo musi zareagować, zanim inni Ukraińcy wjadą luksusowymi autami na Jasną Górę, Wawel, molo w Sopocie albo do Puszczy Białowieskiej i spowodują kompletny chaos w państwie.

Po ustaleniu danych sprawcy, który zresztą sam podał je do publicznej wiadomości, służby ukarały go pięcioletnim zakazem wjazdu do Polski, mandatem 100 zł i 8 pkt karnymi. Niektórzy żądali deportacji influencera, niestety ten ją uniemożliwił, bo sam dobrowolnie wyjechał do Ukrainy.

Politycy prawicy podkreślają, że agresywnym rajdem Ukrainiec napluł Polakom w twarz, zamiast okazać wdzięczność, do jakiej każdy Ukrainiec jest w Polsce zobowiązany w zamian za okazaną mu pomoc. Prawica ostrzega, że Ukraińcy pozwalają sobie w Polsce na coraz więcej; wielu pracuje, a niektórzy mają tyle pieniędzy, że szastają nimi w Żabkach, Biedronkach i galeriach handlowych. PiS i Konfederacja wzywają rząd do ukrócenia tych praktyk.

Z drugiej strony według wojskowych fakt, że influencer nie wleciał do Morskiego Oka dronem, świadczy o tym, że raczej nie miał wrogich zamiarów. A osoby nastawione prozwierzęco i proekologicznie przekonują, że dla zadeptanego Morskiego Oka i umęczonych koni ciągnących wozy z turystami najlepiej byłoby, żeby na dojazd tam zezwalano wyłącznie zagranicznym właścicielom luksusowych aut.

Czytam, że z winy Tuska zagrożone jest nie tylko Morskie Oko, ale i bezpieczeństwo prezydenta Nawrockiego. Zdaniem obrońcy granic Roberta Bąkiewicza świadczy o tym brutalne wtargnięcie służb Tuska do mieszkania mamy prezydenta po fałszywym zawiadomieniu hakerów (kto wie, czy nie ukraińskich). Bąkiewicz zapowiedział zorganizowanie specjalnych wart i patroli wokół Belwederu, co z pewnością uniemożliwi Ukraińcom wjeżdżanie tam luksusowymi autami, a agresywnym służbom wyważanie drzwi po informacjach spreparowanych przez kolejnych (niewykluczone, że również ukraińskich) hakerów.

Bąkiewicz podkreśla, że agresywny jest także minister Kierwiński, zachowujący się wobec prezydenta „jak gangster z Pruszkowa", a szczególnie „kupa śmiechu Kierwińskiego, który żartował sobie z red. Sakiewicza". Bąkiewicz dał do zrozumienia, że zamierza zrobić z tą kupą porządek.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prasa Polska Print

eprasa.pl 568960d3fb

Stulecie Mariana Turskiego

26 czerwca przypada 100. rocznica urodzin Mariana Turskiego – zmarłego w ubiegłym roku naszego przyjaciela, inicjatora Nagród Historycznych POLITYKI i przewodniczącego Jury Nagrody (przez ponad 60 lat), przewodniczącego Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny, współtwórcy Muzeum POLIN. Ocalałego z łódzkiego getta, więźnia Auschwitz II-Birkenau, uczestnika marszów śmierci. Człowieka dialogu i strażnika pamięci.

„Nie bądźcie obojętni, bo nawet się nie obejrzycie jak na was, jak na waszych potomków, jakieś Auschwitz nagle spadnie z nieba" – ta przestroga, wypowiedziana przez Mariana Turskiego przed bramą śmierci KL Auschwitz, obiegła cały świat.

Redakcja POLITYKI, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN oraz Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny we współpracy z Niemieckim Instytutem Historycznym, Dzielnicą Śródmieście m.st. Warszawy oraz Zarządem Zieleni Miejskiej m.st. Warszawy w setną rocznicę urodzin Mariana Turskiego zapraszają na debaty, warsztaty i wydarzenia edukacyjne oraz odsłonięcie rabaty różanej. Upamiętnimy w ten sposób autora „XI przykazania", jego niespożytą energię i dziedzictwo. Będziemy także próbowali odpowiedzieć na pytanie, jak dziś rozumieć odpowiedzialność za drugiego człowieka i pamięć o przeszłości.



© LESZEK ZYCH

● **9, 16, 18 czerwca (wtorki i czwartek), godz. 18., Dom w Alejach – Dom Kultury Śródmieście, Aleje Jerozolimskie 2 – zapraszamy na cykl debat historycznych** poświęconych życiu i dziedzictwu Mariana Turskiego, a także relacjom między doświadczeniem historycznym, pamięcią i odpowiedzialnością – jednostki i zbiorowości. (Wstęp wolny). ***Szczegóły: dhi.waw.pl/pl/wydarzenia/dyskusje-panelowe***

● **10 czerwca (środa) o godz. 18. zapraszamy do Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN (hol główny) na spotkanie poświęcone książce „Nieobojętny. 100 portretów Mariana Turskiego"** – pełnej anegdot, ciepłych wspomnień i humoru, a zarazem mądrych refleksji o odpowiedzialności, wspólnocie i granicach kompromisu. Z autorem książki Markiem Zającem oraz córką Mariana, Joanną Turską, rozmawiać będzie Jerzy Baczyński, redaktor naczelny POLITYKI. (Wstęp wolny).

● **25 czerwca w Muzeum POLIN zostanie wręczone specjalne wyróżnienie Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego.** Poznamy też laureatów pierwszej edycji Konkursu Funduszu „Nieobojętnych" im. Mariana Turskiego, powołanego przez Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce wspólnie z Rodziną Mariana Turskiego. Celem Funduszu jest wspieranie osób i inicjatyw, które sprzeciwiają się obojętności wobec dyskryminacji, przemocy i wykluczenia. (Obowiązują zaproszenia). ***Więcej: funduszniebojetnych.pl***

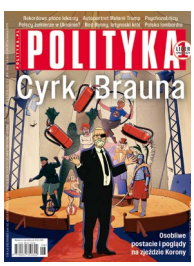
● **26 czerwca (piątek) o godz. 14 przed Muzeum POLIN odbędzie się uroczyste nadanie nowej odmianie róży imienia „Marian Turski"** oraz odsłonięcie rabaty obsadzonej tą różą. Nowa odmiana róży została stworzona przez polskiego hodowcę Łukasza Rojewskiego. Rabata powstaje dzięki wsparciu Dzielnicy Śródmieście i Zarządu Zieleni Miejskiej m.st. Warszawy.

● **Muzeum POLIN zaprasza młodzież ze szkół ponadpodstawowych na bezpłatne warsztaty pod hasłem „Nie bądź obojętny"** i lekcje online z tytułem „Auschwitz nie spadło z nieba". To wartościowy pomysł na lekcje wychowawcze, historii, WOS czy etyki. A także okazja do rozmowy z młodzieżą o pamięci, odpowiedzialności, prawach człowieka i mechanizmach wykluczenia. (***Zapisy: rezerwacje@polin.pl***)

1









POLITYKA numerem 1

Miło nam poinformować, że według najnowszych danych spółki Polskie Badania Czytelnictwa również w pierwszym kwartale 2026 r. POLITYKA odnotowała najwyższą sprzedaż spośród wszystkich tygodników opinii w Polsce. Z wynikiem 69,2 tys. średnio sprzedanych wydań nasze pismo było tym samym najchętniej kupowanym tytułem w segmencie.

Na drugim miejscu w zestawieniu tradycyjnie znalazł się „Newsweek" – ze średnią sprzedażą na poziomie 56,6 tys. egz. Pozostałe tygodniki społeczno-polityczne tradycyjnie już były daleko w tyle: „Tygodnik Powszechny" sprzedawał średnio 22,3 tys. egz., „Do Rzeczy" – 21,5 tys. egz., „Sieci" – 20,5 tys. egz., natomiast „Gazeta Polska" – 18,5 tys. egz.

POLITYKA wypada również najlepiej pod względem sprzedaży wydań cyfrowych (tzw. e-wydań). Głównie za sprawą Polityki Cyfrowej zanotowaliśmy w pierwszym kwartale tego roku średnią sprzedaż na poziomie 27,9 tys. egz. Drugie miejsce i w tym zestawieniu przypadło „Newsweekowi" – 26,5 tys. egz.

Natomiast żaden z pozostałych tytułów nie przekroczył progu 8,4 tys. średnio sprzedanych egzemplarzy.

Zapraszamy do Wisły na festiwal Pilcha

To już szósta edycja literackiego festiwalu im. Jerzego Pilcha Granatowe Góry w Wiśle, która przypomina zmarłego w 2020 r. pisarza i felietonistę POLITYKI.

W tym roku spotkaniom, które odbędą się **między 4 a 7 czerwca**, przyświeca hasło „Źródło jest przed nami". Wśród gości: Eliza Kącka, Grzegorz Piątek, Marek Bieńczyk, dziennikarze POLITYKI Justyna Sobolewska, Artur Domosławski, Mateusz Mazzini. Do tego koncert laureatów Paszportów POLITYKI Swady x Niczos i monodram Sławomira Kołakowskiego (odtwarzającego rolę Jerzego Pilcha) z Teatru Polskiego w Szczecinie.

W planie również wspólne wieczorne czytanie fragmentów powieści Jerzego Pilcha i Wiesława Myśliwskiego, szybkie randki z pisarzami, kino letnie i dyskoteka. Pełny program na stronie: **www.granatowegory.pl**. Polecamy i zapraszamy!

REDAKCJA

eprasa.pl 568960d3fb



Błyszczą na kortach

Turnieje tenisowe zaczynają przypominać modowe wybiegi. Przepych widać nie tylko na trybunach.



TREND

Cekinowy – i złoty! – top ze zdobną baskinką, biżuteryjna spódniczka mini oraz plisowana, wielowarstwowa spódnica z półprześwitującej tkaniny, przedłużona rodzajem trenu. Tak w 2026 r. gra się w tenis. Przynajmniej według **Naomi Osaki**, która właśnie błysnęła – dosłownie – we wspomnianej stylizacji na French Open. „Zaliczyła wielki szlem!", triumfalnie obwieścił sekundujący sportsmence amerykański „Vogue", zachwycony faktem, że Osaka kort potraktowała jak czerwony dywan, zresztą nie pierwszy raz.

Możliwe, że kultowa „biblia mody" nieco pospieszyła się z tą deklaracją, bo liderka rankingu **Aryna Sabalenka** pierwszy tegoroczny mecz Rolanda Garrosa rozegrała w bardziej niż imponujących, wartych ok. 150 tys. zł naszyjnikach marki Material Good, wysadzanych granatami o masie 122,12 karata i diamentami ważącymi 13,93 karata. A do kompletu – w kolczykach z „granatami w szlifie poduszkowym i diamentami w szlifie markiza", jak czujnie odnotowały media.

Gwiazdy sportu polubiły świecidełka. A to z kolei polubiły media, dla których gusty zawodniczek stały się tematem newsowym. Także w Polsce – by wspomnieć Igę Świątek, u której dziennikarze wypatrzyli m.in. bransoletkę Tiffany Knot z 18-karatowego żółtego złota od „tego" Tiffany'ego. „Cacko na jej nadgarstku jest wartę fortunę" – doniósł nie bez nuty podziwu „Super Express". „Warto wspomnieć, że od czterech lat Iga spełnia się w roli ambasadorki Rolexa" – dodawał portal Onet Kobieta. I przypominał, że biżuteria przynosi Idze szczęście; wszak „w bransoletce Lilou odniosła spektakularne zwycięstwo w finale turnieju WTA w Rzymie".



Michał Zaczyński – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

Tenisistki zatem dla świata biżuterii i mody to nowe gwiazdy Hollywood. Choć zaczynały skromniej. Jak „matka chrzestna" sportowej biżuterii Chris Evert, która zasłynęła prostą (acz diamentowo-złotą) bransoletką, zaprojektowaną przez egipskiego jubilera George'a Bedewiego (w 1978 r. na oczach zdumionej publiczności przerwała mecz na US Open, gdy zorientowała się, że ją zgubiła; od tego zdarzenia wzięła się zresztą nazwa bransoletki tenisowej). Jednak ani ona, ani Serena Williams z diamentową bransoletką „Twelve to Twilight" Harry'ego Winstona (na tej samej imprezie, tyle że w 2002 r.) czy Coco Gauff w perłowym naszyjniku z charakterystycznym motywem berła od Vivienne Westwood (w 2024 r.) nie zwracały na siebie takiej uwagi, jak gwiazdy tegorocznych rozgrywek.

Można się było tego spodziewać. Po pierwsze, mężczyźni w sportowym świecie już od lat są także gwiazdami mody. Mowa zarówno o piłkarzach, nierzadko słynących z umiłowania do stylizacji drogich i krzykliwych, jak i o gwiazdach SuperBowl (diamentowy medalion Jalena Hurtsa z Philadelphia Eagels; Miguel Rojas z Los Angeles Dodgers i jego niebieski naszyjnik Van Cleef; pokaźne łańcuchy plus diamentowy gwizdek Deiona Sandersa, trenera, a wcześniej zawodnika m.in. Dallas Cowboys), koszykówki (obsesja LeBrona Jamesa na punkcie bransoletek Cartiera; naszyjniki Michaela Jordana), Formuły 1 (lśniące kolczyki Lewisa Hamiltona) czy wreszcie tenisa – jak Grigor Dimitrow, noszący pod opaskami stos bransoletek Van Cleefa z motywem Alhambry.

Po drugie, noszą, bo mogą. W kwestii biżuterii mają większą swobodę. I choć niektóre ligi wprowadziły przepisy regulujące noszenie ozdób przez zawodników, większość z nich dotyczy bezpieczeństwa (ich samych oraz ich rywali, w dyscyplinach, w których trudno uniknąć kontaktu). Przepisy dotyczące noszenia ubrań z logo też są bardziej rygorystyczne. Tymczasem na biżuterii logo nie widać, można się wyróżniać i budować markę osobistą. (Agencja Brand Essence przewiduje, że globalny rynek sponsoringu sportowców w 2033 r. sięgnie blisko 3,7 mld dol.).

To trzeci powód, dla którego widujemy na kortach coraz więcej biżuterii. Oczywiście, tenisistki – i inne sportsmenki – często traktują ją jak talizman, który ma przynieść zwycięstwo albo upamiętnić kamienie milowe w karierze. Jednak dzięki social mediom z miejsca stały się też influencerkami, a to zobowiązuje. A przy okazji oznacza dodatkowe profity z tzw. współprac, czyli po prostu płatnych zleceń. „Kultura sportowa ewoluowała" – uważa Brittany Hampton, stylistka cytowana przez „New York Times", który gorący temat świecidełek również wziął na tapet. I dodaje: „Kibice i producenci drogich dóbr chcą teraz osobowości, indywidualności oraz prezencji, a sportowcy wiedzą, że mogą to wyrazić poprzez modę". Tak oto kort stał się wybiegiem. ■

© GETTY IMAGES (2), MP (2)

eprasa.pl 568960d3fb

WIRAL

Demokraci od kuchni



Żyjemy w niespokojnych czasach, więc w poszukiwaniu nadziei szukamy totemów i talizmanów. W czasie pandemii Covid-19 Japończycy przypomnieli sobie o trzynogim duchu (yokai) Amabie, który miał chronić przed zarazą. Sieć zalały wizerunki mitologicznej istoty – może i internet jest miejscem nowoczesnym, ale stare zabobony czynią go miejscem niewyczerpanego żartu. Poszukiwania kogoś, kto nas ochroni przed złem, przyjmują więc najczęściej kpiącą formę. Krąży np. propagandowy obrazek przedstawiający spokojnie śpiącego obywatela i żołnierza chroniącego go swoim ciałem; zmienna jest tylko tożsamość owego obrońcy (to np. „youtuberzy grający w Minecrafta").

Od kilku lat dyżurnym lękiem jest widmo trzeciej wojny światowej. Każde globalne zawirowanie produkuje nową falę memów. Jedne opowiadają o pójściu na front (trendy na TikToku „co będę puszczać z głośników czołgu" albo „w co się ubiorę"), inne starają się szukać ukojenia. To, co je łączy, to żarty z materiałów propagandowych. Jednym z wirali jest format: „Śpię spokojnie, bo wiem, że oni nas bronią". Po takim wstępie można by się spodziewać „naszych chłopców" z karabinami, czołgów albo baterii przeciwlotniczej, ale śmieszki pokazują zgoła inne rzeczy, np. „groźnego" pieska albo – to polski wątek – **Magdę Gessler**. Królowa polskich żołądków i postrach gastronomów w czołówce „Kuchennych rewolucji" niczym Neo z „Matrixa" zatrzymuje lecące w swoją stronę noże. Ten właśnie fragment stał się dowodem na to, że możemy spać spokojnie.

Klip z polską superbohaterką musiał zrobić duże wrażenie na zagranicznych internautach, bo trafił nawet na oficjalne tiktokowe konto amerykańskiej Partii Demokratycznej. Powstrzymująca latające noże Gessler ma symbolizować odparcie Republikanów w nadciągających wyborach. Cóż, desperackie czasy wymagają desperackich czynów. Skoro pradawny japoński demon ocalił nas przed zarazą, to może kuchenna rewolucjonistka pomoże ocalić amerykańską demokrację?

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Jazda polska

W języku – jak w innych dziedzinach życia – czasem wciskamy gaz, a czasem hamulec. Od kilku lat zdarza nam się też jednak używać sprzęgła. Weźmy niedawną konwersację na platformie X: „– Czasem żal mi tych wszystkich niemówiących po polsku ludzi, którym umyka piękno takich określeń jak »zakolak« czy »wysprzęglić się«. – Czy »wysprzęglić się« to jakieś nowe słowo, czy żyję pod kamieniem?".

Zacznijmy od tego, że nawet „żyć pod kamieniem" to stosunkowo młode określenie (oznacza bycie zacofanym), a „zakolak" to jedno z popularniejszych ostatnio słów, opisujące mężczyznę jeszcze młodego, ale już z zakolami na głowie. Mniej dosłownie – fana popularnego kanału na YouTube z liczbą w nazwie. A podstawowe potoczne znaczenie czasownika „wysprzęglić się" – w samochodowej nomenklaturze odnoszące się do odcinania napędu – to: wygadać, donieść, puścić farbę. Inny internauta użył go we wpisie, w którym pokazał mężczyznę doglądającego butli z domowej produkcji alkoholem: „Dzisiaj synek zrobił mi fotkę jak stoję w swojej »szopce dobroci«, hehe, żonka nie wie, że to mam na podwórku. Oby ten młody szczylek się jej nie wysprzęglił o tym". Tu warto dodać, że samo „sprzęgło" bywa określeniem przepitki, czyli tego, czym się popija mocny alkohol (a znaczenie „walenia w gaz" nie bardzo się przez lata zmieniło). W rapowym utworze Hałastry mamy z kolei: „Ty byś w moment się wysprzęglił tak jak »Gossip Girl«", z odniesieniem do serialu znanego w Polsce jako „Plotkara".

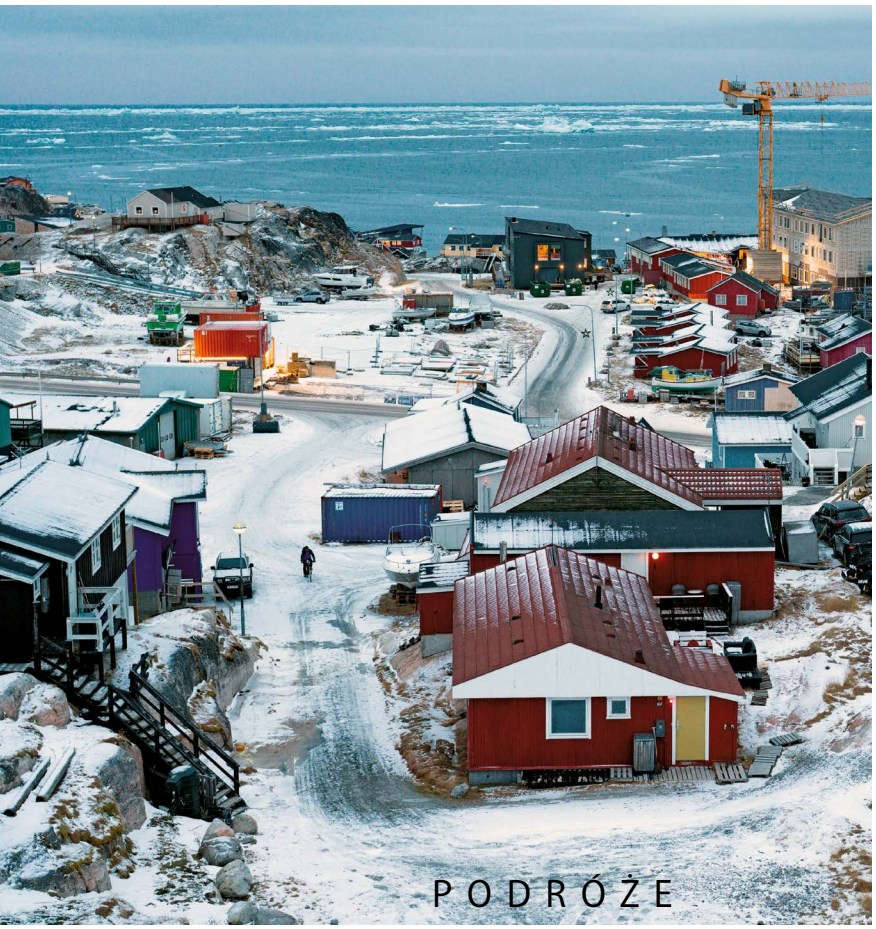


Słownik miejski.pl potwierdza, że ktoś, kto się wysprzęglił, to kapuś. Ale dodaje niuanse: to także ktoś, kto nas wystawił do wiatru, wypiął się na nas (podają przykład: „Antoni się na nas wysprzęglił, więc oglądamy bez niego"), a do tego można się „wysprzęglić z pieniędzy", wydając je bez hamulców. Z kolei „wysprzęglić w ryja" to uderzyć kogoś. Jak w pisanej bez literackich zahamowań piosence **Braci Figo Fagot:** „Czas już tak miło nie mija/ Wysprzęgliłem typowi w ryja". Czyli znowu – bez hamulców. Można oczywiście w ogóle radzić sobie bez sprzęgła, co w języku sugeruje „jazda na automacie": odruchowe reakcje i rutynowe działania.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Ona ma długi włos, ja krótki lont i zaraz spłonie,
Miałem zabrać ją nad Como, nie dotarliśmy nawet do niej
Pezet, Zizu, 2025 r.
krótki lont – impulsywność, szybkie reagowanie, przechodzenie do działania

eprasa.pl 568960d3fb



Na Grenlandii między miastami nie ma dróg, więc do Ilulissat można tylko dolecieć albo dopłynąć. Nie będzie to tania podróż, za to na pewno wyjątkowa.

Białe złoto



Monika Witkowska
– himalaistka, żeglarka, podróżniczka. Autorka książek (m.in. „K2. Ostatnia szansa" i „Kurs Arktyka"). Prowadzi stronę na Facebooku: Monika Witkowska – Podróże małe i duże.

W położonym 250 km na północ od linii kręgu polarnego Ilulissat psów jest prawie tyle co ludzi. Krępe, silne, z gęstą sierścią, zimą wykorzystywane są głównie do transportu. Ciągną sanie, bo miejscowi Inuici (nie lubią, gdy nazywa się ich Eskimosami) zgodnie z odwieczną tradycją nadal polują na foki, wyjeżdżając na zamarzniętą zatokę. Latem psy uwiązuje się na parcelach z dala od centrum. Nikt nie wyprowadza ich wówczas na spacery, bo miejscowi uznają, że długi łańcuch wystarczy dla odrobiny ruchu, a skoro nie pracują, to wystarczy, jeśli raptem trzy razy w tygodniu właściciel wysypie im worek rybnych odpadów. Moje zwierzęcolubne podejście przeciwko takim zasadom się buntuje, podobnie nie popieram praktykowanych ciągle na Grenlandii polowań na wieloryby, ale skoro chciałam zobaczyć, jak żyją grenlandzcy Inuici, to ich tradycji głośno komentować mi nie wypada.

Wśród liczącej 4,7 tys. osób populacji Ilulissat 90 proc. stanowią Grenlandczycy (w przeważającej większości właśnie Inuici), niechętnie uczący się duńskiego, chociaż oficjalnie Grenlandia to przecież wyspa duńska. Z kolei tutejsi Duńczycy niechętnie przyswajają sobie grenlandzki. Już sam zapis może wywołać ból głowy. Przykłady? Samolot to „timmisartoqarfik", zaś przewodnik turystyczny – „takornarianut najoqqutassiaq". Nawet nie próbuję zapamiętać.

W Ilulissat – trzecim co do wielkości mieście Grenlandii – ludzie żyli już od prehistorycznych czasów (przy pobliskim fiordzie jest miejsce osady sprzed 4 tys. lat). Początki miasteczka sięgają 1741 r., kiedy ówczesny potentat handlowy Jacob Severin założył osadę od jego imienia nazwaną Jacobshavn (Port Jakuba). Nazwa oficjalnie nadal funkcjonuje, jednak obecnie większą popularnością cieszy się wersja grenlandzka, oznaczająca, widniejące również w herbie miasta, góry lodowe. W okolicy są szczególnie spektakularne, bo tworzy je Sermeq Kujalleq, jeden z najbardziej produktywnych lodowców naszej planety. Jego zasługą jest 40-kilometrowy fiord, zwany nie bez powodu Icefjordem, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Oczywiście idę go zobaczyć. Znajduje się raptem 2 km za Ilulissat i zgodnie z nazwą składa się z różnej wielkości lodowych bloków przesuwających się w stronę otwartego oceanu ze średnią prędkością 40 m dziennie. Patrząc na olbrzymie góry lodowe, trudno uwierzyć, że większość takiego kolosa skrywa się pod wodą. To stąd wypłynęła góra, na której w 1912 r. rozbił się „Titanic".

Teraz lód to „białe złoto" Grenlandii. Rejs statkiem po Icefjordzie jest główną atrakcją przyciągającą turystów, ale również lód jako taki służy do robienia biznesu. Przykładowo: pocięty na kostki, w wersji krystalicznie przejrzystej i z pęcherzykami powietrza, z przeznaczeniem do drinków wysyłany jest m.in. do Japonii. Woda wytapiana z lodowca jest eksportowana m.in. do Dubaju, a opakowana w specjalne butelki – wystawiana na aukcje. Jeszcze niedawno woda pobrana z wnętrza lodowca i wlana do platynowej butelki ozdobionej 6 tys. brylantów była do kupienia za okazyjną cenę 17,2 mln zł.

Dobrym miejscem do obserwowania miejscowego życia jest w Ilulissat port zastawiony łodziami. Działa w nim fabryka przetwórcza ryb, największy tutejszy pracodawca. Obraz lokalnego życia daje też supermarket, zawalony produktami z Danii, choć są w nim również... strzelby (można je kupić nawet na stacji benzynowej). Wbrew pierwszym myślom nie chodzi wcale o obronę przed niedźwiedziami polarnymi, bo tych w tym rejonie nie ma, ale o – wspomniane już – zamiłowanie Grenlandczyków do polowań. ■

© JULIETTE PAVY/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, MICHAŁ KLAG/REPORTER

eprasa.pl 568960d3fb

Ukazała się właśnie nowa edycja Przewodnika Michelin Polska. Na naszej mapie kulinarnej przybyły cztery gwiazdkowe restauracje. Rekordowa liczba – blisko 80 – dostała rekomendacje. Co to znaczy dla polskiej gastronomii?

Gwiazdki przez sito



KUCHNIA

Ten rok był wyjątkowy. Po raz pierwszy w historii gwiazdkę dostała polska szefowa kuchni – **Beata Śniechowska**, prowadząca we Wrocławiu restaurację Baba (trochę to wywróżyliśmy w artykule „Gwiazdy gastro teatru", POLITYKA 18). Nagrodę młodego szefa kuchni także przyznano kobiecie – Idzie Malec z krakowskiego Nat Bistro. Także po raz pierwszy w historii inspektorzy Michelin rozjechali się po całej Polsce. Dotychczas koncentrowali się na kilku dużych miastach.

Nową gwiazdkę zyskała Warszawa – a konkretnie japońska restauracja Alon Omakase (doceniono perfekcyjne składniki, takie jak przegrzebki z Hokkaido czy hiszpański tuńczyk, ale też hipnotyzujące umiejętności szefa kuchni w posługiwaniu się nożem). We Wrocławiu gwiazdkę otrzymała nie tylko Baba (jedno z jej popisowych dań to petit bon bon, pierożki w kształcie cukierków nadziewane smardzami i truflami), ale też restauracja Most (przemyślane połączenia najwyższej klasy składników). Czwarta gwiazdka trafiła do Pszczyny, do restauracji Steampunk, gdzie doceniono nie tylko poziom kulinarny, ale też lokalizację na ósmym piętrze wieży ciśnień i industrialny, odlotowy wystrój. Wyróżnienia Bib Gourmand (za stosunek jakości do ceny) trafiły do miast, których dotychczas na mapie Michelin nie było: do Wałbrzycha, Olsztyna, Kielc, Torunia, Łodzi, a nawet małego Skórzewa.

– *Bardzo mnie to cieszy, bo skupienie inspektorów na kilku wielkich miastach było krzywdzące dla kolegów i koleżanek z innych rejonów, świetnych szefów kuchni, którzy od dawna zasługiwali na uwagę* – mówi Maciej Sondij, warszawski restaurator, prowadzący m.in. lokal Dyletanci. Natomiast co do liczby nowych gwiazdek jest rozczarowany. – *Inspektorzy nadal traktują nas pod tym względem bardzo zachowawczo. Cedzą te gwiazdki jak przez sito. Mogliby spokojnie dorzucić jeszcze sześć i nikomu nie stałaby się krzywda. W Warszawie są co najmniej dwie restauracje – Nolita i Epoka – gdzie wizyta z pewnością jest gwiazdkowym doświadczeniem. Od lat robią genialną robotę, a nie mogą doczekać się gwiazdki. To frustrujące* – ocenia. On sam ma powody do satysfakcji, bo założony przez niego Blisko Bar na Stalowej dostał wyróżnienie Bib Gourmand, a to bardzo cenne biznesowo; napędza klientów ze średniej półki.

Według Polskiej Organizacji Turystycznej, dzięki której podpisano umowę z Michelin Guide, a polskie lokale mają szansę dołączyć do elitarnego grona, gastroturystyka to dziś jedna z najważniejszych motywacji podróży do Polski (deklaruje to 70 proc. zagranicznych turystów). Nasza gastronomia staje się coraz atrakcyjniejszym punktem na kulinarnej mapie, a nowy przewodnik nada jej jeszcze dynamikę. Ale nazywane kulinarnymi Oscarami gwiazdki mają także ciemniejszą stronę. I nie chodzi tylko o presję i lęk szefów kuchni przed utratą tego wyróżnienia (zdarzały się samobójstwa).

– *Czerwone plakietki budzą prestiż, ale u części gości wywołują również obawę, że stoi za nimi bardzo drogie doświadczenie, na które nie wszystkich stać* – mówi Agnieszka Małkiewicz, założycielka platformy Made for Restaurants. – *Z perspektywy biznesowej sytuacja restauracji wyróżnionych przez Michelin nie jest jednoznaczna. Część restauratorów podkreśla, że rekomendacje czy gwiazdki dosłownie uratowały ich biznes i pozwoliły wyjść z finansowych trudności. Ale w historii branży nie brakuje też miejsc, które po zdobyciu wysokich ocen zaczęły tracić część gości – przede wszystkim tych lokalnych, którzy zaczęli obawiać się wysokich cen, formalnej atmosfery czy trudności z rezerwacją stolików. Zdarzało się, że mimo ogromnego zainteresowania medialnego restauracje nie były wypełnione gośćmi na co dzień, choć utrzymywano, że trzeba czekać miesiąc na miejsce.*



Joanna Podgórska – dziennikarka POLITYKI od 1994 r. Zajmuje się problematyką społeczną, w tym zwyczajami i zjawiskami kulinarnymi.

Pewien młody utalentowany kucharz, jeden z bohaterów publikowanego w POLITYCE artykułu „Gwiazdy i ich gwiazdki", zadeklarował, że gdy osiągnie superpoziom i dostanie gwiazdkę, będzie pierwszym Polakiem, który odmówi jej przyjęcia. Nie tylko dlatego, że nie podoba mu się idea wystawiania cenzurki przez jednak przypadkowych ludzi i odczuwa ten system jako przemocowy. Odmowa to dopiero byłby fejm. ■

W Polsce jest obecnie tylko jedna restauracja z dwiema gwiazdkami – krakowska Bottiglieria 1881 Przemka Klimy. Po jednej gwiazdce ma 10 lokali: Arco by Paco Perez (Gdańsk), hub.praga, Nuta i Rozbrat 20 (Warszawa), Muga (Poznań) oraz Giewont (Kościelisko). Dołączyły do nich Baba i Most z Wrocławia, warszawski Alon Omakase oraz Steampunk z Pszczyny.

147 polskich restauracji ma rekomendację Michelin, w tym 38 Bib Gourmand.
Jedna gwiazdka – miejsce godne uwagi, kuchnia na wysokim poziomie.
Dwie gwiazdki – warto odwiedzić, znakomita kuchnia, w której czuje się wyrafinowanie i talent.
Trzy gwiazdki – sprawdź koniecznie, szef kuchni wspina się na wyżyny, a jego dania to dzieła sztuki.

eprasa.pl 568960d3fb

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Czy PiS ma powody do radości?



„Referendum krakowskie jest opowieścią o całej Polsce" – ocenia prof. Antoni Dudek, gość Karoliny Lewickiej w podkaście „Temat tygodnia". Ale czy PiS ma powody do radości, a śladem Krakowa pójdą inne miasta? I jakie szanse pod Wawelem ma Grzegorz Braun? Prof. Dudek komentuje też ostatnie wydarzenia, m.in. spór Karola Nawrockiego z prezesem Kaczyńskim o Sąd Najwyższy, i kreśli scenariusze na wyborczy 2027 r.

Komunia mniej święta



Kończy się sezon komunijny, ale jeśli ktoś świętuje poza Kościołem i bez jego udziału, to może go sobie jeszcze wydłużyć. Polska klasa średnia coraz chętniej rezygnuje z religijnych obrzędów na rzecz świeckiej celebry. **„Choć u nas to wciąż nowość, świeckie rytuały przejścia mają w Europie ponad 170-letnią historię", pisze na polityka.pl Zbigniew Borek.** I szczegółowo objaśnia, jak to wygląda i ile kosztuje.



Świątek wyrzucona z Paryża

W niedzielę, w swoje 25. urodziny, Iga Świątek odpadła z Rolanda Garrosa. Czterokrotna mistrzyni turnieju kończy zmagania na etapie czwartej rundy, z Ukrainką Martą Kostiuk przegrała w dwóch setach (5:7, 1:6). **„Ponad miarę chwaliliśmy zmiany, które zaszły w tenisie Igi po objęciu rządów przez uśmiechniętego Francisco Roiga", pisze Krzysztof Matlak.** Przed Polką teraz wielkie wyzwania na kortach trawiastych.



Nowa gwiazda lewicy?

W podkaście **„Polskie demo" gościmy poznańskiego aktywistę Kacpra Nowickiego.** Jedni nazywają go Oskarem Szafarowiczem lewicy, inni twierdzą, że „zaorał Patryka Jakiego" podczas jednego ze spotkań z wyborcami. Nam opowiada, dlaczego polityka go rozczarowuje i co należałoby zmienić w polskiej oświacie. „Szkołom i władzy opłaca się robienie z ludzi bezwolnej, tępej masy" – mówi bez ceregieli na ten i inne tematy.

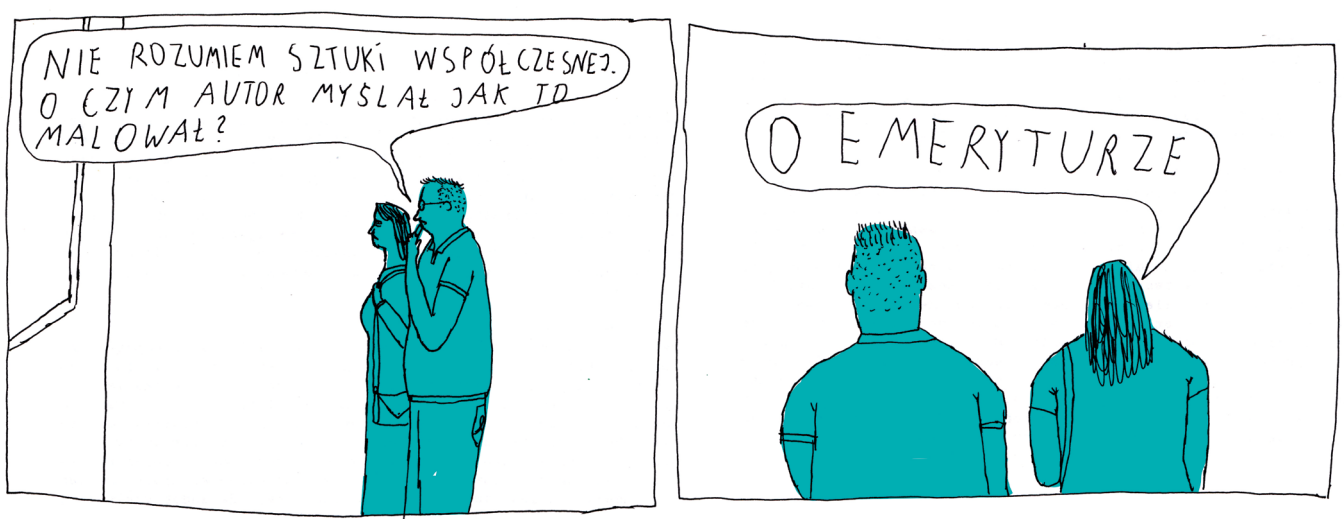
Ani słowa o przerzutkach



Komik Abelard Giza to nieoczywisty gość podkastu „Rowery, nie bajki" Juliusza Ćwielucha. Na przerzutkach się nie zna, co przyznaje na wstępie, ale ma ciekawe obserwacje na temat rowerowej mody odzieżowej i systemowych luk, a przede wszystkim wie, jak ważny w życiu jest ten pierwszy rower. Fundacja Gizy spełnia takie marzenia w polskich domach dziecka. Do czego i Państwa zachęcamy.

© ANNA AMAROWICZ, LESZEK ZYCH (2), EAST NEWS (2)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 568960d3fb

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 568960d3fb

Technologia usprawnia bankowość,

ale to relacje budują siłę Twojego biznesu

Technologia przyspiesza procesy.
Relacje pomagają podejmować najlepsze decyzje.

Dlatego łączymy nowoczesne rozwiązania finansowe
z wiedzą i doświadczeniem naszych doradców
bankowości korporacyjnej i inwestycyjnej.

WIERZ W SIEBIE

ERSTE

eprasa.pl 568960d3fb